



Stefan  
Hertmans

Głośniej  
niż śnieg

MARGINESY



Stefan  
**Hertmans**  
Głośniej  
niż śnieg

Z niderlandzkiego przełożyła ALICJA OCZKO

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

## **CZĘŚĆ I**

1

2

3

4

5

6

7

## **CZĘŚĆ II**

1

2

3

4

## **CZĘŚĆ III**

1

2

Przypisy

Tytuł oryginału HARDER DAN SNEEUW  
Przekład ALICJA OCZKO

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja ROMAN HONET  
Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com  
Zdjęcia na okładce © ANNA POL  
© whitewizzard / iStock by Getty Images



Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu Flemish Literature Fund ([www.flemishliterature.be](http://www.flemishliterature.be))

*Harder dan sneeuw*

Copyright © 2004, 2015 by Stefan Hertmans  
Originally published by De Bezige Bij, Amsterdam.  
Copyright © for the translation by Alicja Oczko  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017

Warszawa 2017  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65780-02-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Forteczna 1a  
01-540 Warszawa  
tel. 48 22 839 91 27  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Nothing has changed.  
Everything has changed.*

DAVID BOWIE

I

*A więc to ma być świat.*

J.W. VON GOETHE, *FAUST*,  
PRZEŁ. JERZY KONOPKA

Ten podmuch wiatru był jak uderzenie olbrzymią dłonią; wydawało się, że auto zostało niespodziewanie brutalnie popchnięte. Musiałem mocno zaciskać ręce na kierownicy, żeby utrzymać samochód na wąskim pasie ruchu. Obok mnie pędziła wielka ciężarówka. Na wysokości oczu widziałem niewiele więcej niż okopcone felgi i trzęsącą się rurę wydechową. Olbrzym trzeszczał, sapał i dyszał ogłuszająco, pompując mi do środka przez na wpół otwarte okno czarne kłęby dieslowego dymu. Zamknąłem je krótkim pociągnięciem za rączkę. Staralem się nie wdychać zanieczyszczonego powietrza zbyt głęboko. Zdawaliśmy się rzucać na następne światła jak leminigi na linię przyływu. W tej samej chwili za oświetloną fasadą bazyliki zobaczyłem sierp księżyca wyłaniający się obok pozłacanego krzyża, jakby stał się bizantyjskim ornamentem. Kiedy patrzyłem na swoje ręce na kierownicy i myślałem o matce, usłyszałem barokową muzykę. Brzmiała jak prosta piosenka, przejmująca, a jednak lekka. *Bisogna morire* – musisz umrzeć. Nanana. „Włoska pieśń ludowa z siedemnastego wieku” – powiedział po zakończeniu dziewczęcy głos. Wyobraziłem sobie ciemnoblond chłopięcą głowę w pustym studiu. Znowu ruszyłem, zanurzyłem się w krętym tunelu i rzuciłem auto w szybszy strumień po lewej, jak nieważki płynąłem pod miastem, ponownie zająłem prawy pas, wyjechałem przy wysokich biurowcach, jakby wylot tunelu mnie wypluł, ujrzałem odległe światła na najwyższych piętrach, atmosferę opuszczonych biur, gdzie nocne oświetlenie jeszcze rzuca swój zimny blask na nudne stoły. Srebrzysty pył, który brwi i rzęsy farbuję czułą powłoką lat. Wiersz Theodore’a Roethkego, o ile dobrze pamiętam.

W radiu męski głos powiedział do dziewczyny, że wiek dwudziesty był nie tyle wiekiem ideologii, ile muzyki barokowej. Jego zdaniem nigdy wcześniej nie osiągnęła ona takiej popularności i doskonałości wykonania. Dziewczyna wydawała z siebie dźwięki aprobaty, dzięki czemu radio stało się bardziej intymne, niż mogło być.

Zawsze się dziwiłem, że jazda samochodem przypomina sen; świat przesuwa się obok, człowiek jest wyjęty spod praw fizyki, lecz jest to sen, który w mgnieniu oka może cię zabić. Tamtego wieczoru, samotny na drodze, pozwoliłem uczuciom popłynąć. Stukałem w kierownicę, przeklinałem albo śpiewałem, śmiałem się lub jęczałem z powodu tego, co czyniły mi moje rozproszone myśli.

Kiedy dotarłem do domu, żona spała na kanapie. Telewizor był jeszcze włączony; na ekranie zobaczyłem opuszczoną przyczepę kempingową otoczoną kurami i bezzębnego, mamroczącego coś mężczyznę z karabinem. Wziąłem pilota i nacisnąłem. Nagła cisza obudziła żonę.

– Późno wróciłeś – westchnęła, przeciągając się i przecierając oczy.

Burknąłem coś jak najbardziej niewyraźnie. Powoli weszła po schodach na górę, gdy ja tymczasem kręciłem się trochę po kuchni. Otworzyłem piwo, zjadłem kanapkę z chorizo i czytałem gazetę. W łazience wydłubałem sobie pasemko białego tłuszczu spomiędzy zębów i powąchałem palce. Skrzywiłem się do lustra jak szympan za kratami.

Kiedy przyszedłem do łóżka, leżała plecami do mnie, regularnie oddychając. Przysunąłem się do niej, poczułem, jak sennym ruchem pchnęła pupę w stronę mojego brzucha, wsunąłem rękę pod jej biodro. Łydki przeszły mi kłujący ból. To podobno od nerek. Tak mówi Marga.

W wydawnictwie przez cały dzień manipuluję przy ustawieniach nowego komputera. Z lekką migreną schodzę w południe po białych marmurowych schodach, idę na kanapkę za rogiem. W barze widzę dziewczynę, która mi się przygląda. Ponieważ czuję się niezręcznie pod jej nieskrępowanymi



spojrzeniami, chyba raczej nieprzeznaczonymi dla mnie, chowam się za gazetą. Czytam niestarannie napisany artykuł, w którym pada teza, że Chazarowie, naród żyjący gdzieś w okolicach Kaukazu między 650 a 950 rokiem, wyznawali dwie religie jednocześnie. Podobno w czasie odkrycia tak zwanego skarbu ze Spillings na Gotlandii znaleziono monety, na których zarówno Mahomet, jak i Mojżesz występują jako wysłańcy Boga. Rzecz w historii unikalna, zapewnia artykuł, ta tolerancyjna reprezentacja dwóch kultur równorzędnie przedstawionych na jednej monecie. Ale jak Chazarowie trafili na Gotlandię? Muszę to wyrwać i zabrać ze sobą. Obok widnieje artykuł o młodej australijskiej grupie rockowej, o której mówi się, że jest kombinacją Nirvany i Beatlesów. Trochę sałatki z tuńczykiem spada z mojej kanapki na prognozę pogody zapowiadającą spokojną jesienną aurę. Odkładam gazetę. Od połączenia majonezu z kawą robi mi się niedobrze. Czuję się jak głupia blondynka z bananem.

Pada, gdy wychodzę z baru kanapkowego. Grupa Indian, kołysząc się z głupkowatym uśmiechem, gra muzykę z Andów. Najniższy z nich, grubas z fletnią Pana, wygrywa melodyjki, które są nie na miejscu. *I'd rather be a hammer than a nail*. Ja również. Zastanawiam się, co by zrobili, gdybym napluł na monety w ich otwartym futerale na gitarę. Ślina z majonezem. Bosko tłusta. Jeden z gitarzystów kłania się, szczerząc zęby. Czuję się niezręcznie, kiedy wracam do wydawnictwa i siadam do korekty niekończącego się przeglądu z zakresu historii sztuki.

Późnym popołudniem mam kolejną wizytę u nefrologa. Okazuje się, że cierpię na niewydolność nerek. Byłoby lepiej, żebym dał się podłączyć do sztucznej nerki. Na razie raz w tygodniu, potem zobaczymy. Bezmyślnie gapię się na lekarza; nerki od zawsze płatały mi figle, często miałem zapalenie, ale to wydaje mi się ograbianiem mnie z wolności, którego nie zakładałem. Życie wypełnione włóczęgiem się tam i z powrotem do centrum, później może trzy razy w tygodniu na dializę, leżenie plackiem i wpatrywanie się w odbłask gołej lampy, podczas gdy na zewnątrz ludzie siedzą w kawiarnianych ogródkach albo spacerują po parkach. Jestem zmęczony i otepiały, gdy wracam do samochodu. Widzę swoje odbicie w szybie. Nagle

mam dosyć patetycznych szylkretowych oprawek na błyszczącym nosie. Znowu jadę w kierunku centrum, parkuję w podziemnym garażu, idę wzdłuż sklepów aż do optyka. Kupuję nowe okulary. Na szkła muszę poczekać jeszcze kilka dni. Czy nie chcę soczewek? Powiem to panu następnym razem.

– Proszę zadzwonić.

– Dobrze, dziękuję.

W domu na stole w salonie leży wiadomość: żona poszła na wernisaż do muzeum, w którym wcześniej pracowała. Jeśli chcę, to też mogę przyjść. Wyjmuję z zamrażalnika paczkę musaki, rozmrażam w kuchence mikrofalowej, wsadzam do piekarnika, otwieram butelkę rosé, pierwszy kieliszek wypijam jednym haustem, sięgam po gazetę, widzę te same artykuły co w południe, czuję w ustach tłustawy smak sałatki z tuńczykiem i kawy, przeglądam programy telewizyjne.

Wyjmuję pocztę ze skrzynki. Dziesięć kopert, z których tylko dwie zaadresowane do mnie osobiście. *Snail mail is junk mail*. Są na nich dziwne stemple, których nigdy wcześniej nie widziałem; jakieś połączenie cyrylicy z pismem arabskim. Wącham listy. Jeden informuje mnie, że się spóźniam z zapłatą rachunku za telefon. Drugi jest od kolegi po fachu, który obecnie pracuje w Niemczech w wydawnictwie Weh & Klauwer. Wyjmuję musakę z piekarnika, aluminiowa foremka parzy mi palce. Wywalam zawartość na talerz, wyskrobuję foremkę do czysta, parzę sobie język na spalonych na czarno skórkach, wyjmuję chleb z pudełka, rozrywam kromkę na kawałki, nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek rosé. Ten również wypijam duszkiem i zaczynam jeść. Pocałuj mnie w dupę, musako. Nie mogę spokojnie usiedzieć. Przeżuwaszając, strzępię obrus, gazetę, jeszcze raz oglądam pieczętki na listach. Pismo przypomina to z chazarskich monet w prasie. Nonsens. Otwieram gazetę, porównuję, mam nieodparte wrażenie, że na tych starych monetach widnieje mniej więcej to samo co na stemplach na moich listach. Niemożliwe. W obcym piśmie wszystko wydaje mi się takie samo. Wystarczy, że marnuję życie na czytanie maszynopisów pełnych bzdur. Trzy

czwarte tego, co przechodzi przez ręce redaktora, nie nadaje się do publikacji, a tyle gówna się publikuje. *Part of my job*, czytanie bzdur. Wkładam talerz do zmywarki, zabieram ze sobą butelkę rosé i siadam na kanapie, żeby obejrzeć wiadomości. Kiedy się budzę, jest północ, a przede mną stoi moja żona. Przyjemnie pachnie alkoholem, papierosami i przepoconymi perfumami i śmieje się, bo tak gamoniowato się budzę.

Następnego dnia na drugim piętrze Institut du Monde Arabe w Paryżu wybucha potężna bomba. Potem dochodzi do pożaru i puste wyższe piętra zawalają się na niższe. Pięćdziesiąt sześć ofiar śmiertelnych i stu osiemdziesięciu trzech rannych. Kwadrans później olbrzymi wybuch w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Część dachu gigantycznego kościoła zapada się po kilku minutach. Wśród licznych ofiar nie ma papieża.

Stoję właśnie na korytarzu z kubkiem kawy, gdy jedna z redaktorek, ta w czarnych okularach i z czarnymi włosami, ta w letniej sukience z rozcięciem, ta z opalonymi nogami, roztrzęsiona przychodzi nam powiedzieć, że wybuchła trzecia wojna światowa. Początkowo jej nie wierzymy i śmiejemy się z niej. Pretekst, żeby jej na moment dotknąć. Zapalam papierosa. Potem ktoś wybiega z sali konferencyjnej. Telewizja jest ustawiona na CNN; Rita najwyraźniej ma rację. Do piątej wpatrujemy się w obrazy, ciągle widzimy zawalającą się kopułę olbrzymiego kościoła. Dostaję esemesa od żony: czy widziałem. Widziałem, tak. Wpatrywałem się w te sceny z niedowierzaniem. Dałem się skusić na zdumione okrzyki, lecz jednocześnie czuję się całkowicie pusty. Nie rusza mnie to. Dlaczego mnie to nie rusza? – myślę. Szczypię się w ramię, rozglądam dookoła i widzę zaczerwienione twarze innych ludzi, strach w ich oczach.

Kiedy wychodzę z wydawnictwa, przede mną idzie dziewczyna, która wczoraj wpatrywała się we mnie w barze kanapkowym. Nosi czerwone szpilki, które cicho stukają o chodnik. Wyprzedzam ją i przyglądam się jej. Nie odwzajemnia spojrzenia. Ból w łydkach, niejasny, uporczywy, złowieszczy. Sny i toksykologia.

Pierwsza dializa – moje ciało zostawia mnie na lodzie. Wcześniej zrobiono coś z żyłami mojej lewej ręki, chyba połączono dwie ze sobą. Nie chciałem tego widzieć. Zrobiło mi się słabo. Ból w ramieniu; mocno nabrzmiałe żyły. Czuję się jak zwierzę, które jest obracane, sprawdzane, czasem łapię oddech przy ostrych ukłuciach bólu w boku. Potem neonowe światełka w klinice niespodziewanie mnie uspokajają; wszystko odpływa, zapadam w drzemkę, jestem ofiarą maszyny. Zanieczyszczona krew przetacza się przez sztuczną nerkę, z której ma wpływać we mnie czysta już krew. Sole i ich chemia w moim ciele. Wyobrażam to sobie i nie rozumiem. Zapadam się w nieistotność, którą szpital wmawia pacjentom, już choćby za sprawą gładkości chłodnych maszyn, cicho rozmawiających lekarzy i pielęgniarek z ich bezwiednym uśmiechem. Potem idę się napić whisky w kawiarnianym ogródku. Przy pierwszym łyku dolna warga zaczyna mi drżeć tak, że trzęsie się również moja ręka, szklanka się kołysze, mimowolnie zaczynam wydymać wargi i niemalże płakać. W brzuchu czuję gwałtowne skurcze, robi mi się niedobrze. Strasznie się wstydzę, na dodatek przewracam szklankę, wstaję, potykam się o nogę krzesła. Zatrzymuję się kawałek dalej, przy betonowej donicy z kwiatami, żeby złapać oddech.

W domu znowu trzy listy opatrzone dziwnymi stemplami. Odkładam je nieotwarte na bok.

Sięgam po słownik, przy haśle dializa czytam drugie znaczenie: „(med.) spadek sił prowadzący do śmierci”.

Szukam w internecie, trafiam na stronę uniwersytetu w Twente:

Holender Willem Kolff około 1942 roku wynalazł sztuczną nerkę. W pierwszej sztucznej nerce zastosowano płaski wężyk z jelit kielbasianych (celofan lub celuloza). Wężyk ten owijano wokół kręcącego się cylindra zanurzonego w kąpieli solnej. Kąpiel solna to roztwór soli w wodzie. Do wypełnienia wężyka potrzeba paru litrów krwi. Krew jest pompowana przez wężyk, po czym mocznik i inne drobne molekuly przenikają przez celofan do kąpieli solnej. Celofan nie przepuszcza białek ani krwinek. We krwi znajdują się sole, które nie mogą wyciec do sztucznej nerki.

Oglądam zdjęcie pierwszej sztucznej nerki. Żelazna maszyna.

Zaraz potem surfuję po stronie erotycznej, widzę kilka nagich dziewczyn w dziwnych pozach, myślę o ich nerkach, o francuskim szlagierku z lat sześćdziesiątych, zamykam komputer, kręcę się po pokoju.

*Je vais et je viens, entre tes reins.* Wyszukuję słowo *dialysis* w zniszczonym słowniczku greckim z czasów szkolnych. *Dialysis* może oznaczać zarówno rozdzielenie, jak i pojednanie. Z kolei *analisis* znaczy wybawienie, a zarazem umieranie. Słowniki rzadko się do czegoś przydają.

Słoneczna, piękna pogoda, która wywołuje we mnie przygnębienie. Dźwięki brązu wydawane przez kościelne dzwony unoszą się nad miastem, niczym stado akustycznych gołębi prześlizgują się nad pędzącym ulicznym ruchem w alei. Z trudem posuwam się naprzód w korekcie rozwlekłego i nudnego jak flaki z olejem maszynopisu. Mam za sobą trzy niespokojne dni. Przez cały dzień w wydawnictwie włączone jest radio, migawki wiadomości, pojawianie się arabskich nazwisk w każdym zdaniu. Panika na giełdzie. Ból w nerkach, jednocześnie niejasne seksualne podniecenie. W kieszeni marynarki paczka tabletek: bikarbonat. Lepiący się pot, gapienie się w plakat z zezowatą kobietą Picassa naprzeciwko mojego biurka. W południe idę do baru kanapkowego, gdzie wszyscy wpatrują się w duży ekran telewizora. Widzę punkciki wirujące wzdłuż przewracających się, powykrzywianych żelaznych belek wielkiego, pustego budynku. To podobno ludzie. Niektórzy, spadając, trzymają się nawzajem w ramionach. *Ashes to Ashes* Bowiego w tle. Zamawiam piętę, sałatkę i zupę z trybuli. Kiedy przesuwam się z tym do stolika, ktoś mnie popycha i zupa chlusta na moje lniane spodnie. Słyszę za sobą „o, przepraszam”. Kiedy się oglądam, stoję twarzą w twarz z tamtą dziewczyną. Widzi katastrofę na moich spodniach, waha się, czy wybuchnąć śmiechem, czy patrzeć z udawaną rozpaczą. Wzruszam ramionami i robię swoją najbardziej baranią minę. Mimo wszystko więc się śmieje, udając żal, wbija zęby w dolną wargę. Sięga po kilka serwetek i podaje mi. Pyta, czy może zapłacić za czyszczenie i za

nową zupę z trybuli. Spodnie ciepławo kleją mi się do kolan; w kroku czuję spływającą strużkę wilgoci.

– Dziękuję – odpowiadam cierpko. – Najpierw pójdę kupić nowe spodnie.

Wzrusza ramionami, mówi „okej”.

Patrzy wyczekująco; brwi uniesione, a oczy przez kilka sekund nieruchome.

Zauważam, że prawie dyszę. Spoglądam w dół: odraza i wstyd.

– Może znasz tu w pobliżu jakiś dobry sklep z ubraniami?

Powiedziałem to, zanim o tym pomyślałem.

Przez moment mruga oczami, zdaje się zastanawiać, czy to propozycja.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – odzywa się na wpół do siebie.

Jak idiota człapię ulicą handlową z dziewczyną, o której wczoraj marzyłem. Idę takim krokiem, jakbym narobił w spodnie, z bólem w łądźwiach i zbyt wysokim tętnem. Dziewczyna chichocze, widząc spojrzenia przechodniów. Wstyd za nieszczęśnika obok i współczucie dla niego przerastają jej siły. W niejako pocieszającym geście bierze mnie pod ramię. Stężały tłuszcz klei mi się do ud. Wchodzimy do sklepu, w którym styl ubrań jest nieco zbyt młodzieżowy dla takiego bezkształtnego czterdziestolatka jak ja. Kieruje mnie do działu, w którym wiszą dzinsy i wąskie czarne spodnie; czuję ukłucie zazdrości, bo najwyraźniej robiła to już wcześniej. Na pewno modny chłopak, koncerty rockowe i palenie marychy, piercing pępka i kinky seks, co ona tu ze mną robi, nikt już nie jest niewinny. Pogrążam się w biernej, całkowitej śmieszności. Wyciąga gdzieś z półek niebieskie spodnie i trzyma przede mną.

– Przymierzysz?

Nirvana z głośników, ale w wersji muzak.

Idiotyczna propozycja, te lazurowe jajościski. Kiwam głową i kuśtykam do przymierzalni. Zdejmuję zabrudzone lniane spodnie, rzucam tę szmatę w kąt na podłogę, boleśnie uderzam się łokciem o zbyt nisko zamontowany wieszak, klnę, słyszę, jak pyta, czy pasują, mamrocę pod nosem „zaczekaj-

że chwilę”, jeszcze mocniej zasuwa zasłonkę, ale z powrotem się odchyła, widzę, że jasny zielony pasek widnieje nawet na moich białych cerruti 1881, szarpiąc się, wbijam nogi w klaunowskie spodnie, jak najbardziej wciągając brzuch. Tak, te pasują. Staram się nie oddychać głęboko, odsuwam zasłonkę i wychodzę z konfesjonału. Na krzeselku zostawiłem okulary w szylkretowych oprawkach.

Widzę siebie jak rozmazaną plamę.

Chichot obok mnie.

*Angie Stonesów w wersji muzak.*

Niebieska mgła w lustrze; ręka, która sięga mojego ramienia. Ochota na najzwyklejszy atak płaczu, odświeżający deszcz na duszy, biała chmurka z waty za południowym pagórkiem, sześć lat i moja matka, która mówi: „Ależ chłopcze, założyłeś spodnie na lewą stronę!”. Jej przyjaciółki się śmieją. Wolno mi usiąść na kolanach.

– Tak? – Szeroko otwieram bezużyteczne oczy.

– Naprawdę, precudnie wyglądasz w tych spodniach. – Uśmiecha się. – Potrzebny jeszcze ładny pasek, wybrałam go dla ciebie.

Majstruję przy pasku jak chłopiec, któremu po raz pierwszy przyszło rozpiąć biustonosz. Nie radzę już sobie z własnym ciałem. Ból w okolicach żołądka przez wciąganie brzucha.

Pasuje jak ulał, bez dwóch zdań. Mój pępek staje się bolesnym supłem.

Dziewczyna wyjaśnia sprzedawczynie, że chce zostać w tych spodniach. Usuwanie metki, potem jeszcze tego elektronicznego dinksa. Dociera do mnie, że jestem trochę przygarbiony. Kiedy prostuję plecy i wciągając brzuch, czuję przy pasku do spodni twarde kostki ręki sprzedawczynie. Wchodzę do przymierzalni, wykopuję lniane spodnie z zupą do kąta, ponownie zakładam sandały i okulary w szylkretowych oprawkach.

Gdy wychodzę z kabiny, znowu pisk. Spoglądam w lustro: przy tych spodniach, w których wyglądam jak stary napalony pomyleniec, sandały wydają się ironicznym elementem stroju na pochod emerytowanych transwestytów. Dziewczyna chce zapłacić za spodnie, stanowczo odrzucam jej

propozycję, może trochę za szorstko. Unosi brwi i bagatelizuje moje zastrzeżenia.

Już dobrze, już dobrze.

– Proszę pana! Zapomniał pan o swoich drugich spodniach!

Odwracam się, nieśmiało starając się wyglądać na zblazowanego:

– Może je pani podarować swojemu dziadkowi – mówię lekceważąco.

Pierwszy szeroki uśmiech aprobaty obok mnie.

A więc nowe buty.

– Jak długo trwa twoja przerwa? Moja prawie się skończyła.

A, co tam.

Czy ktoś taki poświęca całą energię pierwszemu lepszymu idiotcie, którego oblewa zupą? Pracownica opieki społecznej? Dziwka heroinowa? Odkryła właśnie, że mąż ją zdradza?

Nie zadawać pytań.

Wystawy sklepów z butami znowu dziś pięknie wyglądają, przyjazne smoki śmiejące się wszystkimi zębami w paszczy zza wielkich szyb. Egzotycznie wypindrzona sprzedawczyni musi na mój widok na moment odwrócić głowę, zanim jej uśmiech przybierze neutralny wyraz. Porozumiewawcze spojrzenie z dziewczyną.

Widzę morze przyprawiających o mdłości człapów we wszystkich rozmiarach i kolorach.

W tle muzyka Moby'ego. *Why Does My Heart Feel So Bad*.

Znowu dziewczyna występuje z inicjatywą. Posłusznie podaję swój numer buta, dwie kobiety wybierają, wymownie unoszą brwi, czasem rzucają mi pospieszne spojrzenie.

Nie, lepiej te ostre noski. I te sportowe buty też nie, nie znoszę siwiejących facetów w średnim wieku w niechlujnej marynarce na miarę i adidasach. Czego więc chcę?

Ach, nie tak wiele, ogródka za domem z kwitnącymi lewkoniami, trochę Bacha w otwartym domu, porannego słońca, lnianych spodni i wygodnych



sandałów, dziewczyny kładącej mi ręce na ramionach tak, że czuję mentol w jej ustach i zapach oświetlonej słońcem szyi.

– Czegoś zgrabnego, najchętniej ciemnego – mówię.

Uznają, że to „niezły pomysł”.

Ale najpierw koniec z tymi nieświeżymi skarpetkami, tam wiszą marki Hugo Boss w niebiesko-czarne paski.

Tam widzę świetne tenisówki, granatowe, z białym wzorkiem w grochy, rodzaj sportowego obuwia dla ludzi, którzy nie uprawiają sportu.

– O, spójrz tutaj – mówię do dziewczyny. – Moja matka nazywała to *plumetis*.

Chcę je przymierzyć. Dobrze pasują. Patrzę na swoje stopy w dużym lustrze i trochę poruszam palcami. Obie dziewczyny przestają teraz nad sobą panować; jedna z nich, blondynka obok mnie, zaciska nos, a potem parska śmiechem. Na co druga, ciemnowłosa, na prawo ode mnie, nie może dłużej utrzymać neutralnego wyrazu twarzy sprzedawczyni. Dostaje czkawki, parska, natychmiast udaje, że kaszle, krztusi się, po czym zdecydowanie, z przeproszającym wzrokiem mówi:

– Nie, proszę pana, tego bym nie brała.

Szafirowe tenisówki w białe kropki uważam za najpiękniejszą rzecz na świecie. Letnie poranki, bieganie w stanie nieważkości, do czerwca tak daleko.

– Niech pan weźmie raczej coś bardziej klasycznego – przekonuje blondynka, a ciemnowłosa jej przytakuje.

Pozwalam coś sobie zaproponować, grzecznie przymierzam parę nic niemówiących, modno-klasycznych butów. Trochę uwierają.

– Myślę, że bardzo dobrze pasują.

Jej usta w dziobek.

Przytakuję. Ból należy tylko do mnie.

Przez chwilę przechadzam się tam i z powrotem przed lustrem. Tamte dwie wymieniają spojrzenia. Dziwne, że nie umieram już ze wstydu jak

wcześniej. Mam to gdzieś. Jestem człowiekiem od randek ze sztuczną nerwą. Jestem wolny.

Po zaledwie dziesięciu minutach jest po kłopotcie.

– Za skarpetki ja zapłacę.

Mówi to zdecydowanie, a jednak serdecznie.

Dobrze, na to się zgadzam.

Znowu stoimy na ulicy.

Południowa przerwa minęła. Żegnam się, dziękując sztywno dziewczynie, jakbym kij połknął, i podając bojaźliwą rękę. Zapominam spytać o jej imię.

Kiedy pchnięciem otwieram drzwi do swojego pokoju, słyszę najpierw Paula, który gwizdże przez zęby, a potem chichot Rity. Uśmiecham się usprawiedliwiająco, milczę, siadam. W radiu ogłoszono świętą wojnę z terroryzmem. Wszyscy mówią nagle o Azerbejdżanie. Czuję się jak astmatyk. Boli mnie brzuch. Usiadłszy, natychmiast rozluźniam klamerkę i rozpinam guzik spodni.

Pod koniec popołudnia dzwonię do optyka: że tak zrobimy, z tymi soczewkami. Dane już ma. Pojutrze mogę odebrać.

Wymyślam najidiotyczniejsze wymówki, żeby wytłumaczyć żonie tę zmianę ubrań, tworzę cztery różne wersje, jak najbardziej spójne, po czym decyduję się powiedzieć jej prawdę.

Kiedy wracam do domu i otwieram usta, żeby zacząć, odzywa się:

– No, tego ci było trzeba. Są mniej rozczulające niż ten lniany worek, w którym się włożyłeś przez całe lato.

Patrzę na nią zaskoczony.

– To dlaczego nigdy tego nie powiedziałaś?

Wzrusza ramionami i nalewa sobie rosé do kieliszka na wysokiej nóżce. Pyta, czy też chcę. Mówi coś o Azerbejdżanie i Teksasie. Ściąga usta w ciup przy brzegu kieliszka i sący oszczędny łyk wina. Lustruje mnie z wysoko

uniesionymi brwiami, potrząsa głową, potem wypija duży łyk, a ja słyszę, jak gulgocze jej w gardle.

Na moim stole do pracy leżą trzy nieotwarte koperty. W pierwszej kolejności rzucają mi się w oczy stemple; tym razem zrobione czerwonym tuszem. Pierwszy list zawiera mój rachunek telefoniczny, drugi zaproszenie na odczyt, trzeci został sporządzony w języku, którego nie znam. W nagłówku odkrywam swoje nazwisko, reszty nie potrafię skojarzyć. A może jednak; występuje tam data. O trzy dni późniejsza niż dzisiejsza. Wrzucam listy do pudełka z korespondencją. Opiłowuję sobie paznokcie; włączam radio. Nowojorski Kronos Quartet gra Jimiego Hendriksa. Pół minuty później nie mogę tego znieść. Stoję przed lustrem przy umywalce. Widzę w nim człowieka, którego nie lubię i którego w sobie nie czuję. Mężczyznę z siwymi kłaczkami na skroniach, małą brodawką na lewo od nosa, maleńkimi żyłkami w białku oka powiększonymi przez teleskop na nosie. Moja głowa wygląda jak spuchnięta. Moja o wiele za ładna żona wychodzi z łazienki, otwiera drzwi mojej pracowni. Ma na sobie biały płaszcz kąpielowy, jej włosy są mokre i mocno zaczesane do tyłu. Podchodzi do mnie, kładzie mi od tyłu ręce na biodrach, pyta, dlaczego już jej nie kocham. Kocham. Ale kiedy się do niej odwracam, z mojej krtani nie wydobywa się żaden dźwięk, jak we śnie. Bezsenna noc, podczas której mam nieokreślone lęki. Około czwartej siedzę, patrząc w okno.

Otwieram komputer: Google to Bóg. Wpisuję słowo „Chazarowie”. Surfuję po czterech stronach, zanim znajduję następujący tekst:

#### CZY IZRAEL DYSPONUJE „BOMBĄ ETNICZNĄ”?

W listopadzie w „The Sunday Times” pojawiła się wiadomość, że izraelskie centrum badawcze zajmujące się bronią biologiczną i chemiczną w Nes Cijjonie pracuje nad tak zwaną bombą etniczną. W Holandii artykuł został przedrukowany przez „De Telegraaf”.

Podobno uczyonym w Izraelu udało się odkryć różnice w kodzie DNA między Żydami i Arabami. Według „The Sunday Times” Izrael dzięki temu odkryciu po-

winien być zdolny do wytworzenia zarazka, którego ofiarą padną wyłącznie Arabowie, a dla Żydów nie będzie on niebezpieczny.

Pomysł bomby etnicznej nie jest nowy. Według artykułu opublikowanego w 1993 roku w amerykańskim piśmie „CovertAction Quarterly” również Pentagon eksperymentował z bronią biologiczną ukierunkowaną na specyficzną grupę ludnościową. W tym wypadku celem była ludność afroamerykańska w Stanach Zjednoczonych i dlatego w USA poszukiwano zarazka, który reaguje na pigmentację skóry.

[...]

Bomba etniczna [...] na pewno nie jest nowym zjawiskiem. Amerykańskie projekty w tej dziedzinie trudno jednak porównywać z bronią biologiczną, nad którą według „Sunday Timesa” pracuje się w Izraelu. W przeciwieństwie bowiem do amerykańskich osiągnięć w tym zakresie izraelska bomba etniczna nie bazuje na różnicach w pigmentacji, lecz na różnicach w strukturze DNA, a to wydaje się zdecydowanie bardziej skomplikowane. Ponadto biorąc pod uwagę szereg sprzeczności w artykule na ten temat, który się ukazał w „The Sunday Times”, rodzi się pytanie, czy izraelska bomba etniczna, o której mowa, w ogóle jest możliwa.

Pochodzenie doniesień o bombie etnicznej jest nad wyraz podejrzane. Jako źródło „Sunday Times” wymienia kręgi militarne w Izraelu i europejskie środowisko wywiadowcze, lecz bez podawania jakichkolwiek szczegółów. Najbardziej konkretna jest w zasadzie uwaga członka Knesetu Dediego Zuckera, który dał do zrozumienia, że nie może się pogodzić z badaniami nad bronią tego typu. Zucker: *Morally, based on our history, and our tradition and our experience, such a weapon is monstrous and should be denied.*<sup>[1]</sup> Według *The Thirteenth Tribe* brytyjskiego pisarza Arthura Koestlera wschodnioeuropejscy aszkenazyjczycy (tj. zdecydowana większość Żydów w Izraelu) mają swoje korzenie nie w Izraelitach, lecz w narodzie Chazarów, żyjącym pod koniec pierwszego tysiąclecia na terenach między Morzem Kaspijskim a Morzem Czarnym. Podobno naród ten dopiero w tamtym okresie przeszedł na judaizm i nie miał nic wspólnego z plemionami Izraelitów, które w epoce starotestamentowej żyły w Izraelu.

Według Koestlera Chazarowie przyjęli judaizm, ponieważ ich król uważał religijny system „księgi” za bardziej prestiżowy od pogańskiego systemu wiary, którego wyznawcą do tej pory był jego naród. Wybór króla padł na judaizm przede wszystkim dlatego, że państwo chazarские tylko w ten sposób mogło uniknąć wcielenia przez sąsiednie kraje chrześcijańskie i islamskie. W wyniku różnych zmian władzy wielu żydowskich Chazarów trafiło zdaniem Koestlera do Europy Wschodniej, gdzie ostatecznie przeobrazili się w aszkenazyjczyków.

Z tego wszystkiego wynika, że Koestler (sam pochodzenia żydowsko-węgierskiego) ciągle stawia znaki zapytania przy semickim pochodzeniu większości Żydów. Wychodzi bowiem z założenia, że Chazarowie nie wywodzą się od Sema

(syna Noego, którego uważa się za protoplastę rodu Izraelitów), lecz od Jafeta (innego syna Noego).

Na podstawie swojej teorii o pochodzeniu Żydów aszkenazyjskich od Chazarów Koestler stwierdza, że między samymi Żydami istnieją większe różnice genetyczne niż między Żydami a nie-Żydami.

[...]

Według „The Sunday Times” semickie pochodzenie zarówno Żydów, jak i Arabów stanowi czynnik komplikujący tworzenie bomby etnicznej przez Izrael. Jeśli chodzi o Arabów, z reguły nie wątpi się w ich semickie pochodzenie, pozostaje jednak pytanie, czy sprawa wygląda tak samo w odniesieniu do większości Żydów. Dla niejednego jest to fakt niezaprzeczalny, lecz istnieją wyraźne wskazówki mówiące, że w rzeczywistości nie wszyscy Żydzi wywodzą się z pierwotnych izraelskich plemion. Tym samym niepewna staje się również ich przynależność do rodu Sema.

[...]

© Peter Edel

Następny ranek. W moim życiu nigdy nic się nie dzieje; nastawienie kawy, gazeta wpada do skrzynki. Dokuczliwe drapanie w gardle. Znowu ból w łydkach. Po prysznicu niebieskie spodnie. Śniłem o wzorku w groszki, granatowej sukience w grochy, dziewczynie pod orzechem, kołyszających się liściach i plamach światła na jej twarzy. Gdy obraz pociemniał, granatowe niebo było pełne białych punkcików, z których powodu śmiałem się jak głupek. Niebo jako niebieski grzyb, pod którym śniłem.

W wydawnictwie czytam manuskrypt o dziwnych maszynach, które występują w utworach pewnego stukniętego francuskiego pisarza o nazwisku Constantin Roubert. Doktorant porównuje dzieła tego fantasty z dylematem Fausta: czy człowiek powinien wybierać rozwój, nawet jeśli prowadzi do koszmarów? Jest to napisane gorączkowo i wspaniale, ale mnie irytuje. Pi-szę do młodego naukowca wyniośle odmowną odpowiedź, proszę Ritę o papierosa i palę po raz pierwszy od trzech lat. Tytoń z przytłaczającą rozkoszą przypala mi gardło. Znowu bolą mnie nerki. Moje lazurowe jajościski sprawiają mi ból. Jutro druga dializa. Na pustej kopercie zapisuję jedno pod drugim imiona kobiet, z którymi spałem. Lista intymnych porażek. Również fakt, że to robię, odbieram jako porażkę. Ostatnia jest Marga, to imię mojej żony. Zgniatam liścik i wyrzucam do kosza na papier.

Po miesiącach, kiedy wszystko będzie się ze sobą łączyło w sposób, od którego można zwariować, odnajdę go – zagniecienia wygładzone szorstką ręką – przybitego do tylnych drzwi.

Wstępuję do optyka, po raz pierwszy zakładam soczewki. Podrażnienie oka, rozpacz, niezdarność. Nie poddaję się, próbuję od nowa sam, optyk jest spokojny. Łagodzi mój wstyd i zniecierpliwienie, moje drżące palce, zrzućcie na podłogę zakrętki od płynu prawej soczewki, moje gderliwe próby powiedzenia czegoś sensownego. Okulary, które też zamówiłem, wąskie i czarne, nie podobają mi się. Wsadzam je do modnego, stalowoszarego etui. Nie przepadam za markami, logo łechta jednak moją próżność. Przez zasłonę cieczy łzowej i środka dezynfekującego wychodzę na zewnątrz, widzę płynną ulicę marszczącą się przede mną jak mokra gazeta, szarobiałe niebo nad nią, żalną bliskość miasta. Niepewnym krokiem udaję się do kliniki, po drodze kupuję jeszcze paczkę papierosów i angielską gazetę. Wojna ze złem, czytam jak przez mgłę. Buty mnie gniotą. Mam ochotę osunąć się w bezgraniczną pociechę pijaństwa, ciepło i anonimowość. Wchodzę do pierwszej po drodze knajpy, zamawiam piwo i jenevera, wychylam je szybko, znowu zamawiam, robię tak trzy razy, zanim pojawi się ulga. Od tego momentu piję rozważnie. Grubo po północy wytaczam się na zewnątrz, nie wiem, gdzie jestem. Kilka godzin później, drżąc, budzę się na ławce w parku. Przez pierwsze minuty powieki wydają się sklezione. Z trudem je rozchylam. Potok cieczy łzowej. Na komórce mam trzy wiadomości. Dwie od żony i jedną w niezrozumiałym języku. Kasuję wszystko z pamięci. Dzwonię do żony, budząc ją z porannego snu. Widzę mężczyznę, który mi się przypatruje, stojąc przy stawku z kamiennymi łabędziami. Zauważam, że na ekranie komórki pojawia się dziwne logo. Poniżej tekst, którego nie mogę przeczytać; teraz od razu rozpoznaję pismo. To nie jest cyrylica, nie jest to także arabski. Jest to pismo, które mnie prześladowuje i które nie ma nazwy. Od razu kasuję wiadomość. Moja ręka drży.

Surfuję trochę po internecie. Jestem pacjentem, to znaczy: tym, który jest cierpliwy.

## Przebieg hemodializy

W przypadku hemodializy pacjent jest dializowany dwa do trzech razy tygodniowo. Pacjent siedzi albo leży obok aparatu dializującego. Przez igłę wbitą do żyły krew jest pompowana rurką do dializatora, gdzie napotyka na wpuł przepuszczalne błony, poprzez które następuje oczyszczenie. Następnie inną rurką krew wraca do ciała. Dializa trwa od trzech do pięciu godzin. W tym czasie krew jest bez przerwy pompowana, tak długo, aż usunięta zostanie odpowiednia ilość produktów przemiany materii i płynów. W tym czasie pacjent nie może wstawać z łóżka czy krzesła. Zwykle coś czyta albo ogląda telewizję.

„Witamy w Amgen”, taki tytuł nosi strona internetowa o dializie nerek.  
Google to Bóg.

Moja żona była moją studentką – w dawno minionych czasach, gdy prowadziłem na pół etatu zajęcia na uniwersytecie. Wykładałem historię sztuki. Prace Margi cechowała kapryśność, lecz za każdym razem w idealny sposób dochodziła ona do jakiegoś wniosku. Dziwaczno, nieoczekiwanie jednak zawsze *to the point*. Tak też nauczyłem się na nią patrzeć. Z ciekawością obserwowałem, jak stawia stopy, jak przy niespodziewanie poczynionej uwadze gasi peta w popielniczce, dokąd prowadzą jej wolno wypowiedzane zdania. Lubiłem jej niechlujny, a zarazem plastyczny bezład. W ten czy inny sposób była bardziej konsekwentna w swojej frywolnej nieprzewidywalności niż większość prostolinijnych karierowiczów wokół niej. Żyję z nią już od dziesięciu lat, i to stanowi powód do zazdrości. W międzyczasie dawałem również trochę lekcji w akademii filmowej. Marga czekała na mnie niekiedy przy niebieskiej bramie przy wejściu. Pewnego razu jeden z moich studentów przedłożył projekt scenariusza filmu animowanego, w którym mamroczący stary wariat żyje z atrakcyjną piękną, nie mając świadomości, że ona każdej nocy wymyka się z łóżka, żeby pójść potać i go zdradzać, podczas gdy jego sztuczne zęby kisną w mętnej wodzie w szklance obok niego na nocnej szafce. Zakładam, że studenci tak chcieli myśleć; rzeczywistość była inna. Ponieważ nie chciało mi się doktoryzować, po sześciu latach nadszedł kres mojej pracy w szkolnictwie. Marga pozostała mi wierna w sposób przekraczający wszelkie wyobrażenia i to był prawdziwy powód, dla którego rozpadło się nasze małżeństwo. Nie mogłem znieść tej nieprawdopodobnej wierności.

Główna scena znajdowała się daleko w naszej przeszłości – niedzielne popołudnie, w które wkroczyła w tej swojej niebieskiej sukience, na którą opadały jej jasno lśniące włosy. Od chwili, gdy weszła do środka – mieliśmy się napić kawy i porozmawiać o jej pracy – wiedzieliśmy o tym. Pół godziny później przyciągnęła mnie do siebie, zarzuciła mi ramiona na szy-



ję, uniosłem jej niebieską suknię marzeń i głaskałem wewnętrzną stronę jej ud. Turlaliśmy się po podłodze, mocno uderzyliśmy w stół w salonie. Marmurowy blat potłukł się na kawałki, a my się śmialiśmy, ledwo zwróciliśmy na to uwagę. Opętany jej ciałem, jej oczami, jej drobnymi rękami, wdarłem się w nią, gdy ona szarpała mi włosy na karku, wypowiadając moje imię. Jej kościste ciało w kolorze miodu z biegiem lat stopniowo zamykało się w sobie, akceptowało w końcu już tylko siebie, pozostaliśmy jednak razem i byliśmy monogamiczni. A przynajmniej ona tak sądziła. Warunek jej oddania tkwił w założeniu, że mnie całkowicie posiada, tak jak posiadała wnętrza, zawartość szafy i dostęp do moich kart kredytowych. Kiedy zauważyła, że coś zaniedbała – detal, przypadkowe rozmowy i przerwy na kawę, które spędzałem z małą aktorką, nasze niewinne intelektualne pogaduszki o książkach i filmach, rzeczy, do których nie miała już dostępu, ponieważ przestała je uważać za istotne – nadeszła zemsta. Nasze życie chwilowo stało się piekłem; nie udało się nam omówić banalności takiego scenariusza. W końcu postanowiliśmy się nie rozchodzić i pozostać w „związku niemałżeńskim”, jak się pogardliwie wyrażała. Jak na ironię wydawało się, że uszczypliwe uwagi Margi pod adresem moich niewinnych przerw kawowych z dziewczyną, która więcej słuchała, niż mówiła, jeszcze bardziej mnie rozpałały. Pewnego październikowego popołudnia kochałem się z tą dziewczyną. Mimo że chciałem to ukryć, Marga natychmiast się zorientowała, widząc moje skrępowanie wynikłe z zaskoczenia. Nie miałem nic na swoją obronę; marzyłem o straconej godzinie z tą prawie anonimową dziewczyną, jej prostych majteczkach z głupią białą kokardką, znowu czułem, jak wślizguję się w jej wąską cipkę, słyszałem, jak dziewczyna dyszy mi do ucha. Skutek był katastrofalny. Dobry seks zawsze oznacza pozostawienie kawałka swojej duszy.

Marga i ja zostaliśmy ze sobą, ale najmniejsze kwestie codziennego dnia stały się bez mała nieznośne. Wszystko stanowiło powód do wyrzutów, docinków, raniących uwag o mojej „tak zwanej” krótkowzroczności, mojej poręcznej gamoniowości, perfidnej ociężałości. Znosiłem to, przekonany, że to wszystko moja wina. Po jakimś czasie znużony walką oddałem jednak

cios; stałem się okrutny i raniłem ją intymnymi zarzutami, jakimi partnerzy po prostu mogą się nawzajem zadreczać.

Tamtego wieczoru zastałem ją na kanapie, w ulotnej, niemal filmowej doskonałości, która mogła zniknąć z każdym gestem, czekającą na wyjaśnienie, dlaczego poprzedniej nocy nie wróciłem do domu. Mój nowy głupi strój, soczewki, okulary, słabe tłumaczenie, że przeleżałem noc na ławce w parku, chrapiąc – wszystko świadczyło przeciwko mnie.

– John, wiem, że jesteś zbyt głupi, by zrozumieć, co niszczysz. Ale że jesteś tak tępy, iż myślisz, bym miała zadowolić się twoimi idiotycznymi wymówkami, tego już jednak za wiele.

Wstała, z trzaskiem rzuciła książkę na stół w salonie, poszła do sypialni, z hukiem zamknęła drzwi. Słyszałem obracanie się klucza w zamku. Położyłem się na kanapie i zamknąłem oczy. Następnego dnia traktowała mnie jak powietrze. Nie ruszyła śniadania, wyszła mocno umalowana. Trzaśnięcie drzwi wejściowych, od którego zadrżał cały dom. Jej pogarda do mnie chyba nabrała teraz intensywności obrzydzenia.

Następnego dnia na poczcie wydarzyło się coś, przez co stałem się uważniejszy. Pod pachą miałem czasopismo, na którego okładce widniał brodaty krzykliwy mężczyzna, prorok przepowiadający, że świat atlantycki czeka zagłada, ponieważ w naszych sercach rządzi szatan. Trybunał w Hadze wzywał przed sąd podejrzanych dowódców wojsk, ale się nie stawiali; Waszyngton poinformował, że cierpliwość się skończyła. Miałem przy sobie pięć listów, osobistą korespondencję, lecz dzień wcześniej zabrałem z wydawnictwa także list do młodego naukowca, który tak świetnie potrafił pisać o Fauście. Nie pamiętam, dlaczego chciałem go sam nadać, może po prostu byłem roztargniony. Listy za granicę poleciłem wysłać z nalepką priorytetu. Mężczyzna ułożył stosik, posortował koperty, po czym odłożył je osobno. Zapłaciłem, poprosiłem o paragon i odwróciłem się. Za mną stał olbrzymi facet z krótkimi rudymi włosami, prawie się z nim zderzyłem. Przeprosiłem, mężczyzna popatrzył na mnie wzrokiem tak pozbawionym wyrazu i twardym jak stal, że aż się zląkłem. Wyszedłem na zewnątrz, za-

ciągnąłem za sobą ciężkie drzwi urzędu pocztowego, nie mogłem się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie spojrzeć na mężczyznę, który teraz stał przy okienku, a ja odniosłem druzgoczące wrażenie, że od urzędnika w okienku odebrał stosik moich pięciu listów. Ponieważ oczy nadal nieustannie łzawiły mi od soczewek, doszedłem do wniosku, że przywidziało mi się coś niedorzecznego. Człowiek broni się przed wiarą w rzeczy, które trudno wyrazić słowami.

Kiedy wróciłem do domu, kuchnia była pełna latających mrówek. Czarny rój insektów, które urządzą swego rodzaju doroczny festiwal muzyki pop w ciągle tym samym miejscu i których nie można wytępić, znamy to. Należało do regularnych uciążliwości lata. Ale teraz, wczesną wiosną? Przekroczyłem mrowiącą się masę, ciała zachrzęściły, złapałem spray ze środkiem owadobójczym i spryskałem trucizną całą kuchnię, aż sam siebie niemal zatrąłem. Chemiczna bomba. Kiedy opróżniałem skrzynkę na listy, od razu dostrzegłem ten jeden. Miał dziwny napis, widniał na nim znany już nieczytelny stempel i nabazgrane tłustym ołówkiem oznaczenie „-1”. Z treści listu znowu nic nie rozumiałem, ale zobaczyłem podkreśloną datę wskazującą na następny dzień, a przy niej nazwę gruzińskiej restauracji w centrum z dopiskiem „20.00 EPT”.

Wyrzuciłem list do kosza, razem z pozmiatanymi martwymi mrówkami.

Z CNN dowiedziałem się, że dokonano zamachu na największą synagogę w Nowym Jorku. Ponownie sceny, które stawały się coraz bardziej znajome. Oderwane kończyny, kałuże krwi, gruz, syreny, płacz, polityk z zaciętym wyrazem twarzy, zaproszony do studia głęda ze skłonnością do spekulacji. Gapiłem się i drżałem, nie rozumiałem tego, nie wiem, co kieruje ludźmi, którzy robią coś takiego. Nie udało mi się doznać wrażenia, że ma to coś wspólnego z moim światem. Chciało mi się pić, strasznie mi się chciało pić i bolała mnie głowa.

Najpierw zwykłe życie, najpierw zrobić rzeczy, które zrobić muszę, przez głowę przemykały mi różne chojrackie stwierdzenia, gdy z opuszczonego

po śniadaniu stołu ścierałem okruchy chleba, plamy po dżemie i krople mleka. Myślałem o Mardze, Marga w pracy – mężczyźni wokół niej, jej sondujący, a mimo to nieprzejednany sposób mówienia, jej nagłe spojrzenie, delikatne palce i szopa światła wokół głowy. Nie wiedziałem wtedy, że już się ze mną pożegnała. Mogłem to zauważyć po drobnych rzeczach – że nie zwracała uwagi, kiedy włączałem muzykę zawierającą nasze wspólne wspomnienia (kwartet smyczkowy Debussy’ego); że unikała moich pocałunków, szczypiąc mnie ze śmiechem w policzek, gdy się do niej zbliżałem; że jej ręce niczego już nie szukały, gdy ją obejmowałem. Że nie otwierała już moich listów, by się ze mną droczyć.

Kiedyś ta poniekąd nieprzystępna kobieta była dziewczyną z prowincji, w staroświecki sposób nadmiernie kulturalną, wręcz roztargnioną, kruchą figurką, której miejsce nie jest w hulaszczych okolicach, gdzie szlajała się po piątej rano. Byłem ślepo zakochany, nie uświadamiałem sobie, jak bardzo partnerka stanowi otwartą księgę moich własnych frustracji i złudzeń, odsłania skrywane lęki, które są jawnie widoczne dla innych, a dla mnie samego nie, bombę czasową wypartych myśli, uosobienie tego, co chciało się ukryć – obok mnie szła otwarta księga moich fantazmatów. Niektórzy znajomi pytali mnie czasem: „Czy uważasz, że dobrze robisz?”. Albo: „Czy Margi często nie ma w domu?”. Zbywałem ich pytania śmiechem, odpowiadałem, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. I co najgorsze: myślałem o sobie jako czułym mężczyźnie i po prostu byłem nadopiekuńczy, aż miała tego dość. Z biegiem lat pod jej skrępowaną nietykalnością wyrosła chłodna, nierzeczywista piękność, która już tylko mnie się poddawała – nawet gdy byłem w niej, a ona nieustannie szeptała „ostrożnie, ostrożnie, sprawiasz mi ból”. Jakby jej organ płciowy z latami uległ zwężeniu.

Jej ojciec był słynnym skrzypkiem; sama nigdy nie dotknęła żadnego instrumentu. Kiedy jednak słyszała kwartety smyczkowe, tak mimochodem przez otwarte okno domu latem albo w radiu samochodowym, zaczynała płakać, cichutko, nieelegancko i rozpaczliwie przygryzając do środka dolną wargę, gdy łzy spływały po jej ściągniętej, bezradnej twarzy. Wiem, że

w takich momentach mnie nie znosiła. Należy pozwolić swojemu partnerowi na intymne upokorzenie – myślałem.

Nie byłem z tego świata.

Pragnąłem beztroski – ponownego spotkania z młodą kobietą, która wyłała na mnie zupę i przez to tak niebacznie była odpowiedzialna za mój zmieniony wygląd. Następnego dnia w czasie przerwy w południe wszedłem do baru kanapkowego pozornie opanowany, lecz serce mi waliło. Nie zobaczyłem jej jednak. Zadzwoiłem więc do dziewczyny, która miała czas w trakcie swoich przerw. Tej nie widziałem od chwili, gdy poszliśmy ze sobą do łóżka. Jej głos brzmiał lekko sarkastycznie, jakbym kazał jej czekać. Chciałem od razu przerwać rozmowę, lecz powstrzymała mnie oddychająca cisza po drugiej stronie. Wtedy usłyszałem kliknięcie, szmer, znowu kliknięcie, znowu szmer, trochę trzasków. Jakby przestrzeń w słuchawce się powiększyła, morze uszu, które się wcisnęło między nas.

– Jesteś tam jeszcze?

– Mm.

– Też to słyszałaś?

– Co słyszałam?

– Nic. Nieważne.

– Chcę cię zobaczyć.

– Dziś po południu?

– Będę.

– Zaraz przyjdę.

Po drodze kupuję paczkę papierosów i gazetę, zastanawiam się, czy rozsądnie jest poddawać się pragnieniu ponownego kochania się z dziewczyną. Jestem teraz dwoma różnymi mężczyznami – myślę. Jeden leży przy swojej prawdziwej partnerce, a drugi chce być prawdziwy przy partnerce fikcyjnej. Ta myśl budzi mój sprzeciw. *Secret life*. Nic więcej niż przemijający przebój w radiu. W chwili gdy chcę wejść do brasserie, zatrzymuje mnie olbrzy-

mi człowiek. Natychmiast go rozpoznaję. To mężczyzna z rudymi włosami, który stał za mną na poczcie.

– *It's today* – mówi.

Szybciej, niż zdołam pomyśleć, odpowiadam:

– *Of course. It's always today. Bye.*

Najwyraźniej nie powinienem tego robić. Ręka wielka jak żelazna klamra opina moje prawe ramię. Ze skinieniem głowy i hipnotyzującym spojrzeniem głęboko w moje oczy ciągnie mnie za sobą na chodnik, gdzie czeka samochód z innym mężczyzną za kierownicą.

Zostaję wepchnięty do środka. Auto wolno przejeżdża obok bulwaru, widzę, jak szerokim chodnikiem nadchodzi dziewczyna, z którą się umówiłem. Chcę uchylić szybę i coś do niej krzyknąć. Szyba się nie uchyla. Mężczyzna z rudymi włosami odwraca się do mnie. Wpatruje się we mnie tak nieruchomo, że mam wrażenie, jakbym patrzył w szklane oczy. Potem łamaną angielszczyzną nakazuje mi siedzieć cicho. Wzruszam ramionami i patrzę na niego wyczekująco. Mówię, że nie przepadam za występowaniem w drugorzędnych filmach. Mężczyzna wysoko unosi lewą brew. Znowu patrzy przed siebie. Wyjeżdżamy z miasta. W samochodzie śmierdzi olejem i starymi ubraniami. Jedziemy kawałek autostradą, dużą drogą tranzytową wokół miasta, po dwudziestu kilometrach zjeżdżamy z niej i docieramy do niewielkiej alei z wysokimi sosnami. Auto zatrzymuje się na leśnej dróżce. Mężczyzna wysiada, przesiada się z drugiej strony na tylne siedzenie obok mnie. Ponownie nieruchomo się we mnie wpatruje. Czuję mieszaninę odrazy, pogardy i narastającego strachu. To nie jest zwykły strach. To przerażenie, które tam i z powrotem lata mi po jelitach jak golem. Łapię za klamkę. Drzwi nie otwierają się od środka. Zamek bezpieczeństwa.

– *Look* – mówi mężczyzna.

Tak rozciąga „u”, że przychodzi mi na myśl Lucky Luke. Na tłustym małym palcu z czarnymi włosami lśni ciężki złoty pierścień, turban z metalu, groźna wyniosłość pod postacią zacisku. Przyprawia mnie niemal o mdłości.

Tłumaczy mi, żebym nie stawiał oporu. Że nic mi się nie stanie, jeśli nie będę się przeciwstawiał. Żebym nie zadawał pytań. Że nie wolno mi o tym z nikim rozmawiać. Odpowiadam, że takie banały sam mogę dopowiedzieć. Uderza mnie pierścieniem mocno w usta. Krwawię i krztuszę się. Wściekam się, chcę mu oddać, uświadamiam sobie, że to byłoby bardzo nierozsądne, zamykam oczy, szczypię się we własne ręce, czuję teraz krew spływającą po wardze, załamuję się.

Mężczyzna wysiada, idzie zapalić papierosa i rozmawia z kierowcą. Język, którego nigdy wcześniej nie słyszałem; strzępy sprawiające wrażenie słowiańskich, to znów arabsko brzmiące gardłowe dźwięki. Motyl w burzy. Słomka w wodospadzie. Mijają minuty. Mężczyźni chyba się naradzają, co robić. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że rozmawiają archaicznym wariantem gruzińskiego, językiem starszym niż jakikolwiek inny, tajemniczym, wielokanciastym i nieuchwytnym?

Znowu wsiadają. Jedziemy dalej przez lasy, po półgodzinie widzimy doliny i grzbiety pagórków, których w tym kraju nigdy bym się nie domyślił. Potem mężczyzna ponownie zwraca się do mnie, gestykułuje i mówi w swoim niezrozumiałym języku. Nagle widzę, że po prawej stronie wyłania się coś na kształt białego, prastarego miasta, jak okiem sięgnąć lśniąca szerokie aleje, wysokie, wąskie wieże. Wydaje się, jakby cała ta wizja wypiętrzała się z łąk pod lasem. Słyszę daleką muzykę; od mężczyzny przede mną bije przejmujące zimno, wieje lodowaty wiatr, który przenika mnie do szpiku kości. Czuję, że tracę świadomość. Mężczyzna przechyla się daleko za swój fotel i klepie mnie w policzek. Powoli jedziemy dalej. Miasto się zapada, widzę krowy i drzewa, cienie i chmury. Trochę dalej zwracają mi uwagę na swego rodzaju olbrzymie wieże wiertnicze na prawo od drogi. Wyglądają na zamontowane w krajobrazie jak w symulacji komputerowej i drżą na tle niewyraźnego, białego nieba. Wciąż dochodzą nowe; słyszę kroczące maszyny, trzeszczące koła zębate, głęboko trąbiący sygnał w oddali. Krew na mojej górnej wardze zastyga, ścieram ją, kręci mi się w głowie. Wieże wiertnicze górują wysoko nad nami, zapadam się, wznoszę, lecę w ich stronę, swobodnie przez nie przelatuję. Pod sobą widzę koła zębate,

siatkę, kable i ludzi mrowiących się w wielkim, niekończącym się kanale. Jakby nieskończona ich liczba pracowała przy kopaniu kanału biegnącego po horyzont w zwężającej się, rozpluwającej perspektywie. W oddali dostrzegam wzbijające się wysoko płomienie, niewyraźne i tańczące jak protuberancje w ostrym świetle z naprzeciwka. Znowu ten lodowaty powiew zionący od mężczyzny przede mną w samochodzie. Urabiają mnie, inkantacyjny, niezrozumiały dytyramb, śpiewny, groźny i dudniący jak w staroświeckiej mszy świętej. Odpływam w odurzającą, euforyczną przestrzeń, ponadczasową panoramę pracujących bez ustanku mas na niebie pełnym piasku.

Budzę się na tylnym siedzeniu; zmierzcha. Z trudem się prostuję, znowu czuję, że mam powieki sklezione piaskiem. Usiadłszy prosto, widzę drzwi wejściowe do wydawnictwa, w którym pracuję. Znajduję się we własnym samochodzie. Radio jest włączone. Wiadomości o wpół do ósmej. Może coś mi się śniło. Na mojej komórce esemes od dziewczyny. Gdzie się podziwiam. Od razu do niej dzwonię. Na dźwięk mojego głosu się rozłącza. Słyszę sepleniącego ministra, mówiącego o sojusznikach atlantyckich. Pałący ból w lędźwiach. Otwieram drzwi, chwieję się na nogach. Piekielnie chce mi się jeść. Kupuję pitę w barze za rogiem. Nagle robi mi się niedobrze. Wyrzucam pitę. Idę do auta. Wczołguję się za kierownicę. W ostatniej chwili docieram na dializę. Pielęgniarz podejrzliwie patrzy na skrzep krwi na mojej wardze. Mówię, że musiałem ostro hamować i wylądowałem twarzą na kierownicy. Milczy.

Mój dziadek zachowywał się w czasie pierwszej wojny światowej jak prawdziwy bohater. Kiedy słyszałem z jego ust opowieści – często i zawsze heroicznego rozmiarów – uznawałem je raczej za formę wzniosłego wariactwa, ale przyznaję, że coś nieodpartego było w słuchaniu starego człowieka, opowiadającego, jak w deszczu kul biegał jak kot z pęcherzem przez błoto Flandrii Zachodniej, żeby uratować chłopaka, którego znał jeszcze z czasów szkolnych. Dostał najpierw Krzyż Żelazny, potem Krzyż Kawalerski. Trzy dziury po kulach w prawym udzie. Bohater czy naiwny człowiek? Mój niezłomny, stary, siwy, kochany pomyleniec. Przez jakiś czas przebywał



nad idyllicznym jeziorem w południowej Anglii, żeby wrócić do zdrowia, zakochał się w tej czy innej bogatej księżnej von und zu Windermere, która podarowała mu olbrzymi czerwony szal. Ironiczny prezent, gdy trzeba wrócić do błota w okopach. Za ciekawsze uważałem jego opowieści o chłopaku mówiącym po niemiecku, którego zobaczył siedzącego w błocie, jęczącego, i którego nie zastrzelił – z czystego, głupiego współczucia. Chłopak z małym czarnym wąsikiem pochodził z miasteczka w Austrii i miał skomplikowane nazwisko. Fundgruber, mówił czasem dziadek, a potem znowu: nie, nie tak, ale jakoś podobnie. Ponieważ tak jak dziadek okazał się pejzażystą, trochę się zbratali. Dzielili się manierkami słono-słodkiej wody, dziadek dał wystraszonemu, wyczerpanemu Austriakowi kawałek twardego chleba, rozmawiali o mieszaniu terpentyny, oleju i pigmentu, wymienili się kawałkami papieru z nakreślonymi na nich adresami – dziadek zgubił swój podczas innego bohaterskiego czynu – i obiecali, że do siebie napiszą. Mężczyzna twierdził, że mój dziadek byłby dobrym Niemcem, pod koniec rozmowy nazwał go *mein lieber Flame*. Miał – dodawał stale dziadek – najładniejsze ręce, jakie kiedykolwiek widziałem. Powtarzał tę rozmowę każdemu niewierzącemu słuchaczowi. Nie, to chyba nie był... Schicklgruber? Owszem, odpowiadał wtedy dziadek, sam Hitler, i rozkoszował się ciszą, która otaczała onieśmiałego słuchacza. Nikt mu tak do końca nie wierzył. Czerwony szal w każdej wersji wydłużał się o dziesięć centymetrów. W chwili śmierci dziadka miał siedem metrów.

Pewnego popołudnia przypomniał mi się przeczytany w gazecie tekst o Chazarach. Moją uwagę od zawsze przykuwała opowieść o tym wymarłym narodzie. Pamiętałem nazwisko Arthura Koestlera, który napisał kiedyś książkę na ich temat. Trochę surfowałem po internecie, ku swojemu zdziwieniu trafiłem na parę stron z różnymi antysemitycznymi hasłami, a klikając dalej, znalazłem się na stronie z rewizjonistycznymi bzdurami. Całe tomy o tym, że Holocaust jest kłamstwem wymyślonym przez plugawych Żydów, że niemieckie braterstwo ma się świetnie, artykuły, w których dywaguje się na temat światowego spisku syjonistycznego, hiperłącza do propagandy dla skinheadów i wymachujących flagami, do nagiej blondynki z wy-

tatuowaną na brzuchu swastyką, zachwalającej siebie – Margarete 666, do reklamy *Mein Kampf*, adresu ubrań z lakierowanej skóry i pejczy o nazwie Dominion, do tresury owczarków niemieckich. W końcu, również ku mojemu zdumieniu, natknąłem się na nazwisko i adres człowieka, który, jak się okazało, mieszkał obok mnie za rogiem. Roeland Klossen, mężczyzna, którego widziałem czasem, jak stojąc na podjeździe i paląc wygiętą fajkę, przyjaźnie machał: głupekowata persona w brązowych sztruksach. Zdjęcie było w kolorze sepii i niewyraźne, lecz wystarczająco czytelne, by go natychmiast rozpoznać. Napisał prawdziwą książkę. Tytuł jego dzieła brzmiał *Opowieści spowite dymem*, a traktowało o „wymysłach Holokaustu i o światowym spisku syjonistycznym”. Książkę można było zamówić online po niemiecku, angielsku, flamandzku, arabsku i serbsko-chorwacku. Ponieważ pracowałem na pececie wydawnictwa, mogłem klikać dalej bez obaw, że zostanę zdemaskowany.

W pokoju było ciepło. Rita nastawiała kawę w maleńkiej kuchni obok naszych pokoi i kombinowała coś z filtrem do aparatu do espresso. W drzwiach widziałem jej pośladki napinające się pod lśniącym czarnym, cienkim materiałem. Kliknąłem ikonkę „kupuję” i znalazłem się na stronie, która ku mojemu przerażeniu po dwóch kolejnych kliknięciach w dołączone linki przeniosła mnie na rekrutującą stronę Hamasu, skąd mogłem się przeklikać do Dżama’a al-Islamija, pakistańskich odłamów terrorystycznych i innych takich kwiatków. Przed moimi czytającymi oczami roztaczała się gigantyczna siatka: przesuwwały się arabskie, cyryliczne i inne nieczytelne dla mnie typy liter. Niektóre migotały na czerwono i żółto, żeby mnie zachęcić do kliknięcia. Przeczytałem gdzieś „Makedonski”, kawałek dalej „Xazr”, dalej tekst z urywanymi wersami, a pod nimi nazwisko Petrovič, widziałem zdjęcia zbombardowanych obozów dla uchodźców, pod spodem zaś antyamerykańskie i antysemityczne hasła, reklamę White Power i Front National. Widziałem oferty podejrzanych kursów w Kazachstanie. Światowy spisek był bardziej kolorowy, paradoksalny i dostępny, niż sądziłem. Właśnie dlatego odnosiłem też wrażenie, że nic z tego, co czytam, nie jest realne. W końcu kliknąłem link z napisem smtx, zostałem poproszony o podanie numeru karty kredytowej, jeśli chcę iść dalej, musiałem wypełnić li-

stę danych osobowych (w którą wpisałem same fikcyjne informacje) i ujrzałem spisy materiałów wybuchowych, cen zakupu, nawet przepisy na koktajle Mołotowa. Nacisnąłem *buy now*. Przez chwilę nic się nie działo. Kiwając głową, wpatrywałem się w ekran, gdy nagle wszystko zniknęło, Rita postawiła filiżankę kawy obok mojej klawiatury, pecet zamigotał, po ekranie przepłynęła złota rybka, a za nią nóż, który przeciął wijącą się rybkę na pół, by następnie zniknąć po drugiej stronie ekranu, a w końcu pojawił się tekst *Your log-in has been checked*. Zadławiłem się pierwszym łykiem kawy, zawołałem Ritę, żeby szybko przyszła popatrzeć, co mi się przytrafiło; lecz akurat gdy nadeszła, ekran znowu zamigotał i pojawił się dokument, nad którym pracowałem, zanim zacząłem surfować. Połączenie z internetem zostało zerwane. Ani śladu tekstu czy czegokolwiek. Przyszła Rita, spojrzała na ekran, zapytała, dlaczego wciąż jeszcze nie skończyłem redakcji krótkiego tekstu promocyjnego, a potem przesunęła mi ręką po włosach. Gest pełen nieuwagi, który jednak nappełnił mnie żarem wprawiającym w zakłopotanie. Niemal nadludzkim wysiłkiem musiałem się powstrzymać, żeby delikatnie nie przyłożyć ręki do dolnej części jej pleców. Wracając na swój fotel, przez moment obejrzała się jeszcze na mnie i pokiwała głową. Nie z dezaprobatą, raczej ze śmiechem i brakiem zrozumienia.

Tego samego wieczoru zadzwonił do mnie ojciec. Matka, po wielomiesięcznych przejściach, o których regularnie mi donosił, trafia do domu opieki, gdzieś na trzecie piętro w smętnej dzielnicy, gdzie kiedyś mieszkałem. Demencja osiągnęła taki stopień, że matka nie panowała już za bardzo nad zwieraczami, cierpiała na zwiotczenie mięśni, które prawie uniemożliwiało jej normalne oddychanie. Do tego dostała cukrzycy, przewróciła się i poraniła. Teraz ją pielęgowano. Nie mogła w pełni opróżnić pęcherza i kiedy jej nie cewnikowano, moczem zatrzuwała własną krew. Ojciec płakał jak dziecko, przywołując pusty dom, pusty ogród z letnim namiotem, który kupił, żeby mogła trochę posiedzieć na dworze. Byłem tak wytrącony z równowagi, że obiecałem nazajutrz wziąć wolne i razem z nim pojechać do domu opieki.

Następnego ranka w mżystej pogodzie jechałem do prowincjonalnego miasta, utknąłem w korku spowodowanym wypadkiem z przewróconą ciężarówką, słyszałem w radiu piosenkę, w której ktoś nieprzerwanie mamrotał: *May everyone live, may everyone die, hello my love and my love goodbye*, potem zaczęły się wiadomości o dziesiątej z informacją, że firmy dot.com idą na dno, a kursy giełdowe spadają na łeb na szyję. Pomyślałem o swoich nędznych dziesięciu tysiącach euro, które ulokowałem, a które teraz topniały w oczach. W Kazachstanie żołnierze bez środków do życia tułali się po ośnieżonych równinach. Bomby odłamkowe spadały na prastare miasta, miasta jak ze snu. W tej samej chwili nad miastem się wypogodziło; tęcza pojawiła się nad mostami, po których wolno posuwały się ciężarówki, asfalt lśnił niebieskawo i od razu zaczął parować, korek rozwiązywał się jakby sam z siebie. Wsunąłem CD do odtwarzacza i stukając w kierownicę w takt płyty jednego z moich młodzieńczych bohaterów, jechałem do rodzinnego domu na przedmieściach.

*It's always 1982, the joke we always knew...*

W malutkiej willi panowały półmrok i cisza jak makiem zasiał. Ojciec pospuszczał prawie wszystkie rolety i blady siedział nieruchomo, czekając na mnie. Objąłem go. Zaszlochał krótko i sucho, uścisnął mnie swoimi ramiionami z brązu, po czym nic więcej nie powiedział. Na dworze z całej siły świeciło słońce. Wilgoć, zapach kwiatów, gnijące żółte gruszki na ścieżce w ogrodzie. Odkrycie smaku, zapachu i szczęścia z moich wczesnych lat.

Idziemy korytarzami oświetlonymi neonowym światłem; po słonecznym letnim dniu, w którym jeszcze przed chwilą przebywaliśmy, nic nie pozostało. Grupka staruszków wokół długiego stołu w szerokim holu. Urodziny prawie umierających świętuje się tak, jakby chodziło o dziecięco wesołe wydarzenie. Niestosowne przemówienie przez mikrofon z głuchym pogłosem. Potem muzyka umpapa, przyjmowana z bolesnymi minami przez marcotnie kiwające się wraki. Głęboka odraza zdaje się wisieć nad stołem w chłodnym holu. Wciąż jeszcze nie widzieliśmy matki. Ojciec idzie jej poszukać w bocznym korytarzu z dwuosobowymi pokojami. Z przodu tego

korytarza, osunięta na bok, siedzi kobiecina w swoistych bufiastych spodniach z niebieskawego, przypominające jedwab materiału. Jej głowa, na której ma turban z tego samego materiału, wisi przekrzywiona nad dużym czarnym krzesłem dla niemowlaka niczym oklapnięty balon na sznurku. Nogi ma szeroko rozchylone, kolana wystają niemal nad głowę. Sama skóra na niej i kości, jest blada jak trup. Jej oczy wpatrują się w stojący przed nią kubek z brudnym dzióbkiem, którego nie może dosięgnąć. Ma wspaniałe, ciemnobrązowe oczy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten dotknięty demencją wrak człowieka był kiedyś piękną kobietą. Wciąż jeszcze ma lśniące dziewczęce oczy, lecz osadzone w wykrzywionym grymasie szaleństwa. Mojej matki nigdzie nie można znaleźć; jej pokój też jest pusty. Powoli wszystko się we mnie zaciska. Potem idzie przed nami jedna ze zwawych pielęgniarek, wołając imię mojej matki; kieruje się do ostatniego pokoju, tuż przed zaryglowanym wyjściem. Słyszemy, jak woła matkę, i zastanawiamy się, co ona tam teraz robi. W chwili gdy zbliżamy się do drzwi pokoju, wychodzi z niego matka. Chorobliwie zaczerwieniona, dysząca kupka nieszczęścia z garbem sięgającym aż ponad jej szczurzo wygolony kark, ręce jak bezczynne szpony, paznokcie u stóp szaleńczo krzywo wyrosnięte. Jej wzrok jest pełen paniki. Wszystko, czego nie może powiedzieć, okrutnie i gorączkowo błyszczy jak wyrzut. Rozpoznaje mnie od razu, posłusznie wymawia moje imię, gdy ojciec pyta ją, kim jestem. Biorę ją w ramiona: drży z powodu duszności i jest jej za ciepło. Dyszy. Jak olbrzymia fala wzbiera we mnie coś jęklivego, coś, co może mnie wchłonąć za sprawą swojej ciemnej, nic nieznaczącej mocy. Oto trzymam w ramionach pozostałość tego, co kiedyś należało do mojego świata – ogrodu, domu, w którym byłem jeszcze godzinę temu, wszystkich jej rzeczy, jej tak dumnie kiedyś zamieszkiwanego domu, niezliczonych drobnych przedmiotów należących do mojego i jej intymnego świata. Tu stoi ta niemal odrażająca, nędzna i budząca litość resztką mojej matki – na chłodnym korytarzu, skąd nawet nie widzi, że na zewnątrz świeci słońce. Przełykam ślinę i staram się, żeby moje oczy pozostały suche. Stoi, tępo wpatrując się przed siebie. Żadnego uścisku; żadnego kontaktu; żadnych emocji; żadnej reakcji. Kiedy ją

puszczam, patrzy na ojca tym samym pustym wzrokiem. Ojciec próbuje mówić równie kpiarsko jak pielęgniarzka.

– No, nie cieszysz się, że przyszedłem?

Gapi się w podłogę i kręci głową, że nie. Tydzień wcześniej zapytał ją, czy go poznaje.

– To ja, kochanie.

– Ni.

– Nie? Więc kto?

Matka wymienia jego pełne imię i nazwisko.

– To przecież jestem ja?

– Nie-e. Nie powiedziałaś tego. Ty jesteś Egidius de Vuyst.

– Czy to nie jest moje nazwisko?

– Ni.

Tego nazwiska nie potrafi już teraz nawet wymówić.

Wolno idziemy do jej pokoju. Próbuje usiąść, opada na krzesło i wydaje z siebie przeraźliwy jęk, kręcąc przy tym głową i w panice szeroko otwierając oczy. Coś musi wywoływać przeszywający ból w jej gasnącym ciele. Kurczowo chwyta się oparcia krzesła, jakby tonęła, i patrzy na nas pytająco, bojaźliwie, niepewnie. Potem głęboko oddycha, zamyka oczy, głowa ucieka jej nieco w bok. Następnie znowu otwiera oczy i z powrotem jest w swoim koszmarze na jawie. Tak patrzą zdychające koty w ostatnich dniach życia. Kiedy się ją o coś pyta, piszczy gwałtownie, krótko i z trudem: „ni”.

Wszystko jest ni.

– Nie czujesz się dobrze?

– Ni.

– Chcesz się napić?

– Ni.

– Wszystko dobrze, mamciu?

– Ni.

– Pójdziemy na imprezkę?

– Ni.

– Boli cię coś?

– Ni.

Wszystko w niej jest bólem.

Na półeczce na ścianie stoją trzy fotografie w tanich ramkach. Czarno-białe ślubne zdjęcie moich rodziców zaraz po wojnie; swego rodzaju uroczysty portret w kolorze, na którym matka, dostojna i smukła, w bladuróżowej długiej sukni, z upiętymi blond włosami, dumna jak królowa stoi obok ojca i jest piękniejsza, niż zapamiętałem; w końcu spontaniczne zdjęcie pod drzewem w letni wieczór: on w rozpiętej białej koszuli, mniej więcej w wieku, w którym ja teraz jestem, obejmuje ją ramieniem. Ona ma na sobie lekką letnią sukienkę z głębokim dekoltem. Wyraźnie łączy ich serdeczność, zakochanie i zmysłowość, z ich spojrzeń bije pewność, że jeszcze tej nocy będą się kochali. Odwracam się i widzę siedzącą za mną prawie nierozpoznawalną istotę, szpony zaciśnięte na sztucznej skórze obicia szpitalnego krzesła. Ojciec pomaga jej wstać. Posłusznie idzie z nami do świątecznego stołu na końcu korytarza. Chce jeszcze zrobić zwrot w tył, ale zostaje powstrzymana. Wskazano jej krzesło. Pielęgniarka zachowuje się tak, jakby się czuła zaszczycona, że może jej pomóc. Matka zwała się na krzesło, niewiele brakowało, a ześlizgnęłaby się z niego, trwożliwie chwytając się blatu stołu, pomagamy jej usiąść prosto, siedzi z obiema rękami przy talerzyku, czekając na ciasto i filiżankę kawy. Cały czas dyszy i wpatruje się przed siebie. Odkrawam dla niej kawałek tortu, kleistą masę z czekolady, lepki spód i pudding waniliowy. Wsadza w niego widelczyk, ciasto ześlizguje się jej na sukienkę, podnoszę je, nabieram na widelec, chce go trzymać samodzielnie, unosi do ust, pałaszuje ciasto wręcz sknerowatym mysim pyszczkiem, zawziętym i skwaszonym. Potem od razu następny kawałek i jeszcze jeden. Zawzięcie nakłada i połyka. Dyszy, ma poważne duszności. Pytam jedną z dziewcząt roznoszących kawę i ciasto, czy dostała lekarstwa. Okazuje się, że nie. Każę jej najpierw przynieść. Dziewczyna czuje się dotknięta moją ingerencją. Kiedy po kilku minutach przynosi inhalatory, bezceremo-

nialnie wsadza je matce do ust. Matka musi przez każdy trzy razy głęboko odetchnąć. Ledwo mogąc zamknąć usta wokół dzióbka, zduszonym głosem krzyczy do inhalatora:

– Nie-e, nie-e, nie-e.

Kręci głową, jakby musiała przełykać coś okropnego. Gdy inhalator zostaje wyjęty z jej ust, występuje długie i głębokie „och” i matka na chwilę zamyka oczy. Płaczliwy grymas. Potem zostaje podane drugie lekarstwo. Ten sam scenariusz. Gwałtownie kręci głową i znowu mocno zaciska oczy. Mówię do niej, żeby jej pomóc. Nie reaguje. Jest samotna jak palec w odbijającym się echem, pustym świecie. Dyszy.

– Lepiej ci się teraz oddycha?

– Nie-e.

Mocno drżąca dolna warga. Matka znowu chwyta widelec, żeby z dziecięcą zachłannością sięgnąć po następny kęs, którego zarazem nie cierpi. Podsuwam jej do ust filiżankę kawy. Upija niewidzialny mały łyk, dwa razy z rzędu. Jakby tylko zwilżała drżące, ściągnięte w ciup usta. Nie, najpierw trzeba zjeść tę głupią papkę ciasta. Prostackie umpapa o miłych urodzi-i-i-inach dźwięczy i jęczy ponad przysypiającymi, przełykającymi główkami. Młoda Rosjanka, rosła dziewczyna z rudym warkoczem sięgającym jej zmysłowej pupy, tańczy między staruszkami z dużym dzbankiem do kawy marki Inox w rękach. Dowcipkuje, tu pogłaszcze kępkę siwych włosów, tam położy rękę na kościstym szcząteczku, zachowuje się tak, jakby życie było zabawą. Dla niej najwyraźniej jest.

Dopiero teraz nieco uważniej rozglądam się wokół stołu: mężczyzna, który nie może naturalnie utrzymać głowy, siedzi obok mojego ojca.

– Kontroler podatkowy – szepcze ojciec.

Człowieczyna siedzi nalany i całkowicie wrośnięty w siebie, jego czoło niemal dotyka brzegu stołu. Każdy kęs musi wsuwać w dół, między brzeg stołu a swoją głowę, potem drżącą ręką wciska go w ściągnięte usta, kęs spada mu na spodnie. Siedzi, wpatrując się w niego, ponieważ nie może patrzeć na nic innego niż własny krok. Upuszcza tak na spodnie trzy z trudem odkrojone kawałki. Po kilku minutach przychodzi pielęgniarka, żeby prze-



rwać ten spektakl. Zwraca się do niego po imieniu, jego brwi marszczą się na chwilę.

– Spójrz na mnie, Michel. Spójrz na mnie – mówi pielęgniarka, której on nie może zobaczyć.

Daremnie próbuje wyprostować kark. Staruszek nadal wpatruje się w ciapki waniliowego puddingu na spodniach. Kawa zostaje mu podsunięta do ust; połowa z powrotem wycieka.

– Podobno był okropny – szepcze starzec obok mojej matki, patrząc znacząco.

Okropny, płacząc jak trzyletni chłopczyk, wpatruje się w swój podolek.

– No już, podnieś głowę i spójrz na mnie, Michel.

Nie udaje mu się. Dolna warga się wydyma, fioletowa i gruba. Potem męczyzna mozolnie się podnosi, drepcze do drugiego korytarza, głowa przy samej podłodze. Roztacza się smród nie do zniesienia.

– Ma pełny pampersik – stwierdza pielęgniarka.

Za nim widzę, że również szkielet w bufiastych spodniach i z nieruchomymi pięknymi oczami został przysunięty bliżej. W jej krzywe usta jest wpychana rozgnieciona papka. Kiedy próbuje przeżuwać, wygląda, jakby się szyderczo uśmiechała.

Dużo dalej, w głębi pustego korytarza, widzę przez jedno z niewielu okien przeblysk ostrego letniego słońca, kołyszące się krzewy na tarasie na dachu, wspomnienie czegoś innego, czegoś, co tutaj całkowicie utraciłem w ciągu pół godziny: zwykłego życia. Kiedy kończą się ciasto i kawa, stworzenie obok mnie czegoś się domaga. Wierci się i kołysze, z trudem próbując się wyprostować. Chcę jej pomóc, ale szybko wstając, sam tracę równowagę, ponieważ jest zaskakująco ciężka. Oboje opadamy z powrotem na krzesła. Druga próba. Teraz się udaje.

– Chcesz stąd iść?

– Nie-e.

Tymczasem walczy, żeby przemieścić się naprzód, uciec od nieznośnej muzyki umpapa i obrzydliwych dźwięków z ziewających tu i tam ust. Po-

marszczona dziewczyna w pensjonacie śmierci, zakłopotana, pogubiona, samotna. Jej dzisiejszy strach podaje rękę obawom z nieśmiałych lat dziecięcych. Jej sześćdziesięcioletnie życie erotyczne zostało wycięte. *Same player shoots again*. Żyłś na darmo.

– Do pokoju?

– Nie-e, tak.

Ledwo tam docieramy, z tym samym rozdzierającym serce jęknięciem i rękami, które się zaciskają, opada na skórzany fotel, oczy znowu szeroko otwarte w panice, bezdenne smutek.

– Co jest, kotku? Boli?

– Nie-e. Nic.

Wpatruję się w ślubne zdjęcie.

– Sama siebie już nie rozpoznaje – mówi ojciec.

Wzdycha, wypowiadając jedno ze swoich niezliczonych „no tak”, zaciska ręce na pręcie wysokiego łóżka. Matka spogląda to na mnie, to na niego, chce coś powiedzieć, cała jej twarz wyraża coś, co ją bardzo długo i mocno zajmuje i czego koniecznie chce się pozbyć. Jej ściągnięte usta drżą.

– Co chcesz powiedzieć, kotku? Spróbuj, spróbuj.

– Nie-e. Ni. Nic.

– Muszę już iść, mamó. Wkrótce znowu przyjdę.

Tchórz ze mnie, kłamca.

– Nie-e, nie-e, ni – jęczy przeciągle i rozpaczliwie, płacząc. – Nini. Niii-chrchrchrchr.

Jej dłonie tak mocno zaciskają się na poręczy krzesła, że kostki pobielają.

Ojciec daje mi kod do zamka szyfrowego. Stoi pośrodku korytarza z ręką w powietrzu, gdy jeszcze na moment się odwracam.

– Odwagi, ojczu.

– Do widzenia, synu.

– Do widzenia. Do widzenia.

W tle, z piszczącym wyciem:

– Nie-e. Ni-iiuuuu.

Zamek szyfrowy. Klik. Nanana. Korytarze, wózek ze stosami papkowato białych kanapek pod błyszczącą folią, plastikowa miska ze stertą odrażających beżowych frankfurterek.

Tymczasem w ich ogrodzie pierwsze orzechy spadają na zarośniętą ścieżkę.

Kiedy jadę z powrotem, wszystkie wakacyjnie roześmiane dziewczyny z plakatów wzdłuż drogi patrzą na mnie obscenicznie, banalnie i nieodparcie głupkowato.

Z samochodu dzwonię do żony; czy nie poszlibyśmy może jeszcze raz wspólnie coś zjeść. Wszystko jedno gdzie. Uważa, że to dobry pomysł, ale w najbliższych tygodniach jest niestety zbyt zajęta. Rozstaliśmy się pięć tygodni temu.

Dzwonię do dziewczyny.

– O, to ty.

Parkuję przed jej drzwiami, dzwonię w pośpiechu i rozglądam się, wpuszcza mnie do środka.

Od razu się całujemy. Zanim to do mnie w pełni dociera, leżymy na jej wąskim łóżku, stękając i dysząc. Zdzieram ubranie z jej napiętego ciała, wdzieram się do jej cipki, jakbym chciał ją zadźgać. Jednocześnie gwałtownie do niej przywieram i czuję przewalającą się przeze mnie rozpaczliwą, sentymentalną falę. Dziewczyna mocno zamyka uścisk wokół mojego kutasu, czuję, jak szybciej oddychając, dostaje kurczów. Kiedy już doszła, nadal się całujemy. Wdrapuje się na mnie. Robimy to ponownie. Ni stąd, ni zowąd zaczynam płakać, kiedy mnie liże. Mówię, że to nic takiego, że nic nie znaczy, żeby nie zwracała na to uwagi, że chcę papierosa, kieliszek wina, cokolwiek. Zakłada szlafroczek z czarnej satyny, sięgający tuż za chude pośladki, podaje mi papierosa, wskazującym palcem sprawdza łuk moich brwi, włącza płytę z marokańską raï, przynosi mi kieliszek białego wina.

Ciepło melancholii mnie podnieca. Dziewczyna odpowiada na pocałunki, pobudzona moim smutkiem, którego nie rozumie. Pieścimy się i całujemy do późnej nocy, ale – nigdy mi się to nie przytrafiło, mówię jej – nie mam już erekcji. Nerki przypalają się w moim ciele. Zapadam pod nią w sen, nie chcę u niej zostawać, zmuszam się do niezamykania ciężkich powiek, zwlekam się z łóżka, wkładam ubranie, przykrywam ją, gdy delikatnie protestując, zasypia, opuszczam mieszkanie, uderzam się stopą gdzieś w pusty metalowy przedmiot na gołym betonowym korytarzu.

Kiedy idę do auta, kilka mokrych lip przy parkingu szeleści tak, jakby chciały mi dać do zrozumienia, że po ulicach, na których jest cicho jak makiem zasiał, nie poruszam się niezauważony.

Jadę do domu z muzyką Dawida Bowiego. Remake Pixies. *Make your dress all wet and send it to me.*

Dopiero kiedy docieram do domu, czuję guzek pod pośladkami. Wysiadam z samochodu, pospiesznie sięgam w to miejsce. Trzymam w rękach czerwony plastikowy woreczek wielkości pięciu centymetrów, taki, w jakim sprzedaje się trawkę. W środku są dwie zawinięte w biały papier kulczki, które natychmiast rozpoznaję z czasów, o których już od dawna nie chcę, żeby mi przypominało. Obie są nawleczone na drucik. Załączono też do nich karteczkę. Jest na niej nabazgrane coś pismem nie do rozszyfrowania, które jednak wygląda mi znajomo.

Przez chwilę się w nie wpatruję, wchodzę po schodach do salonu, rzucam woreczek na stolik.

Pusty dom wionie na mnie dusznym zapachem opuszczenia. Wchodzę do wanny, powoli napełniam do pełna letniej wody. Rano dzwoni telefon, który położyłem na brzegu. Odbieram, nie odzywając się. Oddech po drugiej stronie. Rozłączam się. Odkładam telefon na krawędź wanny. Dzwoni ponownie. Chwytam go mokrą ręką, wyslizguje się do wody. Słyszę coś jakby zduszony dzwonek, potem tylko pluskanie moich białych, chudych nóg i rąk.

W chwili gdy wychodzę z wanny, następuje uderzenie. Huk, od którego trzęsie się, drży i trzeszczy cały dom. Wystraszyłem się tak bardzo, że poślizgnąłem się na mokrych kafelkach i ląduję biodrem na brzegu wanny. Słyszę tam też jakiś trzask. Wyję z bólu. Ledwo mogę się poruszyć. Próbuję dosięgnąć telefonu w wannie, z której zeszła woda. Jest bezużyteczny. Już ani drgnie. Po huku panuje ogłuszająca cisza. Słyszę, jak liście starego orzecha klekoczą w ogrodzie. Potem jęczenie jak przez mgłę, w oddali, jakbym śnił. Ustaje. Zaczyna się na nowo. Próbuję się poruszyć i sam jęczę. Wstrzymuję oddech, znowu dyszę z bólu. Ponownie wstrzymuję oddech. Słyszę głośniejsze jęki, tuż obok domu. Potem niewyraźne zbliżanie się syreny.

Musiał minąć ponad kwadrans, kiedy ponownie się obudziłem. Przez moje nagie, obolałe ciało przetoczyła się fala lodowatego zimna. Spojrzałem na okno, ale było zamknięte. Kiedy z trudem się obróciłem, w otwartych drzwiach na korytarzu zobaczyłem jakąś postać. Mężczyznę z rudymi włosami i nieruchomymi oczami. Bił od niego chłód, gdy w białym świetle patrzył na mnie zamyślonym wzrokiem.

Nosił marynarkę w żółto-czerwoną kratkę. Pod nią czarną koszulę z czerwonym krawatem. Na głowie miał staroświecki rodzaj kaszkietu, ciemnoczerwony. Wyglądał jak pomieszanie angielskiego arystokraty z innej epoki z prowincjonalnym dowódcą wojownika z Bałkanów.

– Dyfikult talllk laajk det.

Szeroki, zimny szyderczy uśmiech.

Nie zastanawiam się, jak dostał się tu do środka, myślę o czymś innym, bo czuję kłujący ból.

– Możesz mi wezwać karetkę?

– Iz not nezzeserrie.

– Pomocy – ałł kurw... pomóż mi wstać...

– Kurf is good, yezz.

Szyderczy uśmiech.

Nagle przypominam sobie trzask i niejasne jęki. Mimowolnie przechodzę na angielski.

– *Is, was there an accident?*

– Ow gours – YOU!

Złośliwy tryumfalny śmiech. Powiew zapachu papierosów i na wpół przetrawionej wieprzowiny.

– *No, I mean, I heard a crash against a wall. The whole house...*

– *No-no-no.*

Uśmiecha się współczująco.

– *Help me, damn, help me.*

Wzdycha, syczy przez zęby, kręci głową ze współczuciem, gdy widzi, jak się gramolę. Kiedy się nade mną pochyła, dostrzegam jakiś żółtawy błysk w jego źrenicach. Podaje mi rękę – lodowaty szpon, zimniejszy niż cokolwiek, co w życiu czułem, zimniejszy od zmarłego – gwałtowniej, jakby gryzł moją miękką, jeszcze wilgotną skórę. Jakbym mógł przymarznąć do tego potwora.

Ścisną tak mocno, że aż krzyczę. Również moje biodro zdaje się zamarać. Upadam na posadzkę i czuję nagość własnego chudego tyłka.

Stoi przede mną, sycząc i prychnając, mamrocząc w języku, którego nie rozumiem; potem się zamazuje, zdaje rozpuszczać w powietrzu. Mocno zaciskam powieki, czuję, że kręci mi się w głowie, robi mi się niedobrze i odpływam w mroczne odmęty.

Kiedy odzyskuję świadomość, leżę na kanapie, moje ciało w szlafroku, na mnie pled. Tamten siedzi na krześle, które odwrócił tak, że może się na mnie gapić z rękami wspartymi na oparciu. Nagle jest podobny do młodego Freda Astaire'a, który zawzięcie potrząsa ręką króla Boudewijna.

– Haha. You are beck. Fairy fairy goodde.

– *What do you – what is all this?* (ja, do kurwy nędzy, naprawdę jestem w filmie klasy B).

– Your mu mis ded.

Głęboko wciąga nosem powietrze, pedantycznie unosi górną wargę. Widzę zajęczą wargę, zręcznie ukrytą pod wąsikiem.

– Co mogę...

– *SUCKER!*

Ogarnia mnie takie przerażenie, że prawie zwałam się z kanapy. Stoi nade mną, wymachując pięścią. Ciągnie mnie do góry, niemal dusząc.

Syczy, że cholernie dobrze wiem, co mu mam dać.

Kręci mi się w głowie. Głupkowato przypomina mi się wers, który dziś w południe przeczytałem jeszcze w wydawnictwie:

*Miałem też wrażenie, że wszystko, co powiedział, nosiło piętno bólu...*

Ból w moim biodrze zniknął całkowicie – choć wiedziałem niemal z pewnością, że było złamane. Zamiast tego czuję teraz nerki, które mnie palą, jakby oblano je czystym alkoholem.

Zanosi się na to, że naprawdę złamie mi żebro. Tak łatwo potrząsa mną tam i sam, jakbym był plastikową siatką.

*They have a song for winners,*

*They have a song for those who lose,*

*But baby, they don't have a song for a sucker like you.*

Nuci, jakby był w dobrym humorze.

Mocno zaciskam oczy i czekam.

Otwiera dłoń, a ja po prostu upadam do tyłu. Widzi woreczek leżący na stole w salonie. Parska z ulgą i pogardą. Aha. Jego twarz zupełnie się wypogadza. Odklepuje jakąś łacińską sentencję.

Dopiero teraz wiem, czym pachnie ta bestia: kadzidłem.

Stuka ręką w kaszkiet, szczyrzy zęby w uśmiechu, ogarnięty dobrym nastrojem kiwa głową, mówi:

– Zee you next taime – i znika.

Słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych. Pierwsze ranne ptaki zaczynają niezdecydowaną frazę. W ślad za nimi odzywa się moja komórka, która dzwoni tak, jakby nie leżała w wannie.

Kiedy odbieram, słyszę dziewczynę mówiącą sennym głosem, że za mną tęskni. Że następnym razem mam zostawić przepoconą koszulę, żeby mogła czuć mój zapach. Łapię powietrze, mówię, że spotkało mnie coś dziwnego.

– Niewątpliwie.

Chichocze i lekko dyszy. Wzruszam ramionami, rozłączam się.

Nieco później esemes:

„Przyjedź szybko. X.”

A dalej rysunek, którego nie mogę odczytać. Jakaś buźka, za nią zaś trzy błyskawice i dwa półksiężycy.

Kulejąc, idę do łazienki. Znajduję dwie czerwone kulki w plastikowym woreczku w myjce. Zaczynam tak bardzo drzeć, że muszę usiąść na podłodze.



Zostałem wychowany jako osoba wierząca, jak prawie każdy z mojego pokolenia, ale na tym koniec. Mam niejasne wspomnienia lekcji o duszy – zakonnica, która późnym popołudniem w kościele parafialnym wyświetla na szarym ekranie różne kwadraty, jeden ciemny, kilka ospowatych, potem znowu jakiś jeden bielusieńki.

To była lekcja o duszach i winie. Pojęcie plamy, skażenia, zanieczyszczenia, brudu, które z niej wyniosłem, nigdy więcej nie opuściło mojej świadomości. Od tamtej pory wszystko jest winą, a wszelka czystość stanowi jedynie początkowe stadium plam.

Poranek, kiedy w pośpiechu jechałem do Miry – niechże wyjawię imię dziewczyny, skoro na wszystko jest już za późno – zmienił moje życie. A także wszystko, co uważałem za logiczne, rozsądne czy wiarygodne.

Kiedy wsiadałem do samochodu, zaczęło lekko padać. Byłem zaledwie kilka ulic dalej, gdy pierwsze błyskawice rozjaśniły mroczny jeszcze rząd platanów wzdłuż alei. Jaskrawoniebieskawe światło, pomieszane z niebieską barwą rozmytego, rozrzedzonego poranka. Jechałem szybko, o wiele za szybko, nagle zaczęło padać tak mocno, że zupełnie nic nie widziałem i na jednym z wielu zbyt wysokich progów zwalniających w kolejnej wsi omal nie wypadłem z drogi. Hamowałem, ślizgając się w obficie spływającej wodzie, zatrzymałem się ukosem do jezdni, zobaczyłem, że ktoś szybko uskokczył przed samochodem, ominął go i zniknął. Chciałem od razu odjechać, ale silnik zgasł. Kilka razy próbowałem zastartować. Silnik zalany. Odczekałem parę minut. Na niebie pojawiało się coraz więcej niebieskawego światła, wzmacnianego rozbłyskami błyskawic. Zapaliłem papierosa.

Wtedy to się stało. Olbrzymi nietoperz w mgnieniu oka wyłonił się z lejących się strug wody, leciał na maskę samochodu, zakrył przednią szybę ząbkowanymi skrzydłami, u których tkwiły wielkie szpony, a pyskiem zapikował w dach samochodu. Skrzydła plasnęły o szyby jak olbrzymie gumo-

we płachty. Wokół buchnęły płomienie, zdawało się mnie pochłaniać morze ognia, choć trząsałem się z zimna. Oczywiście to mi się śniło.

*Vier letzte Lieder* Richarda Straussa, czwarta. Głos Jessye Norman. Leżę w ciemności wyciągnięty na kanapie. Widzę tylko świecące czerwone punkciki zestawu muzycznego. Unoszące się i opadające słupki miernika głośności tańczą w swoim zgubnym, wolnym rytmie. Ból w nerkach, ja tymczasem tłumię gwałtowną skłonność do jęczenia. Odraza do siebie samego i słodkiego znieczulenia, które potem następuje. *Dass wir uns nicht verirren in dieser Einsamkeit*. Dzwonię do Margi, słyszę, jak zaspana mówi „tak”, i kładę telefon przy głośnikach.

Szła pospiesznie przez rozpryskujące się krople, które zdawały się tworzyć krótkotrwałe szklane kopułki na błyszczącej powierzchni brudnych kałuż. Przypominało jej to lata dzieciństwa, gdy biegła ze szkoły do domu ile tchu, żeby po obiedzie móc sobie jeszcze popatrzeć na kolekcję szklanych kul. Mała dziewczynka, która bardzo się starała, żeby nikogo nie rozczarować. Teraz ostrożnemu przeskakowaniu nad małymi kałużami towarzyszyła dziwna przyjemność: stringi, które przypięła do kupionych niedawno podwiązek, trochę ją uwierały, łaskocząc między pośladkami za każdym razem, gdy próbowała iść szybciej. Skryte doznanie, które bez trudu mieszało się z młodzieńczymi wspomnieniami biegnącej, pocącej się dziewczynki, pragnącej każdego zadowolić. Po raz pierwszy wystroiła się w tego rodzaju intymne frywolności; co się z nią działo, że obecnie zatracala się w żurnalowej wersji samej siebie?

Ubiegłej nocy śniło się jej, że siedzi w ogrodzie. Przed nią sterczały stare żółte skały piaskowca. Nad nimi w wachlarz układały się parasolowate wydmy, maleńkie, lecz ostro zarysowane na boleśnie wręcz białym niebie. Kiedy spokojnie siedziała, patrząc na to, że strzelistej skały zaczęły opadać olbrzymie fragmenty, zamieniając się w piasek, który zsunął się po stromiznie i z niesłyszalnym szmerem spadł na ziemię, zasypując pojedyncze małe domki. Jeden z nich, wyraźnie to rozpoznała, był domkiem jej dziadków, w którym dawniej spędzała wakacje. Ze szczytu, który wydawał się ogromny, osunęło się jeszcze więcej piasku, kolosalne masy; połowa formacji skalnych się rozpadała i schodziła w dół jak lawina. W okamgnieniu ogromna żółta góra złuszczyła się, rozproszyła w ześlizgującej się na dół

chmurze piasku, która wolno opadała, aż w końcu odsłonił się widok na położone w oddali miasto, skryte za górą. Miasto napawało ją strachem, jednak najwyraźniej koniecznie musiała się do niego udać. W chwili, gdy się przebudziła, przyszły jej na myśl – we śnie – opowieści z dzieciństwa, Biblia obrazkowa, fantazje na temat tego, co w klasie nazywano „ziemią świętą”. Miasto na pustyni, pustynia w mieście. Fatamorgana. Wciąż jeszcze była pod urokiem tęsknoty za ciepłym, beztroskim czasem, wywołanej przez sen. Deszcz zmoczył jej włosy, sprawiając, że lepily się do skroni, wywołując przyjemne letnie wrażenie, które zdawało się przemieszczać ku szyi. Jakby woda głaskała ją w przelocie. Nieco za wysokie obcasy przy każdym kroku szukały sposobu, żeby nie zwichnęła sobie kostki na śliskim bruku z piaskowca. Ona, która zawsze chodziła w trampkach. Śmieszne. Stąpała ostrożnie, starając się nie utknąć w jednym z ukośnie wyciętych rowków.

Nagle przez eteryczny przerębelski pełnego nadziei błękitu zaświeciło słońce. Była trzecia. Pojawiła się tęcza, od szarych magazynów portowych aż ponad jaskrawożółto oświetlone wysokie bloki po drugiej stronie, upiornie odcinające się na tle czarnych chmur. Port do innego kraju, olbrzymi i pusty. Ależ ja ciągle jeszcze jestem dziecinna – przemknęło jej przez głowę. Kurtyny prześwieczonej wody mknęły przez gazony i place. Powietrze zostało błyskawicznie oczyszczone; wydawało się, że rozpoczyna się idealne późnojesienne popołudnie. Nieoczekiwane ciepło, w porywach. Z samochodowych radioodbiorników dobiegały hałaśliwe trajkotanie, wzburzenie, syreny i komentarze, raczej niezrozumiałe i nieważne zamieszanie o nic. Szła dalej, uderzył ją zapach parującej trawy, poczuła intymne łaskotanie stringów – i skrzyła stopę.

Kostka tak gwałtownie się przekrzyła, że poczuła, jak coś trzasnęło. Upadła, zanim się spostrzegła, ze złączonymi kolanami, jak przyzwoita aktorka w staroświeckim filmie. Ból przeszył ją aż po serce i oddech. Na chwilę zamknęła oczy.

Zanim to sobie w pełni uświadomiła, silna ręka pomogła się jej podnieść. Mężczyzna o rudych włosach i jaskrawoniebieskich oczach, który tępo się

w nią wpatrywał. Zapytał, czy ją boli. Wystraszyła się, próbowała trzymać fason, tłumiała ból.

– W porządku – odparła. A potem powściągliwie, ponieważ jego ręka nadal zaciskała się wokół jej ramienia: – Dziękuję panu.

Natychmiast po tym krzyknęła z bólu i ponownie upadła.

– *Too bad* – mruknął mężczyzna, który podtrzymując ją, uważnie wpatrywał się w jej oczy.

Przechodnie odwracali głowy na widok siedzącej na ziemi kobiety. W ich znużonych, pozbawionych wyrazu spojrzeniach było widać, że czują chłodną awersję do kogoś, kto wygląda na pijaną dziwkę.

Mężczyzna odciągnął ją na bok, na krótko przystrzyżony mokry trawnik, kazał jej usiąść na dużej czerwonej chusteczce, którą teatralnie rozłożył. Z lewej kieszeni marynarki wyjął komórkę i zadzwonił. Mówił w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Tęcza zniknęła; przez świeżo wypłukany błękit wiał chłodny wiatr, od którego włoski przy skroniach łaskotały jej skórę. Jeszcze oszołomiona bólem i nie wiedząc, co powiedzieć, siedziała, wspierając się na ręce i czekając.

Po kilku minutach usłyszała sygnał karetki, daleko, a po nim dwa wystrzały z karabinu. Kiedy podniosła wzrok, okazało się, że to dźwięk dochodzący z radia samochodowego w korku tuż obok niej.

Pamięta ten dzień jak dziś; kiedy przegląda magazyn u fryzjera, tamten moment wydaje się początkiem wszystkiego. Znowu jej się to przypomina, gdy niskie czerwone słońce wpada do salonu, a w oddali, nad żałosnymi dachami domów na przedmieściach, leciutko zarysowuje się tęcza.

„Weszłaś kiedyś do mojego domu, a ja pomyślałem: diabeł stworzył bezsensownie perfekcyjne bożki, żeby nas dręczyć wspomnieniem nadziei”.

Nagryzmolił to gorączkowym pismem na kopercie z banku, którą potem niedbale wrzucił do szuflady.

Gdzie zostawił ją po to, żeby ona ją znalazła.

Później: „Pozostawiam cię w niepewności, kim jestem”.

*Drama queen*, ten John, zawsze taki był.

Albo gdy koniecznie chciał być niezmiernie kulturalny: „Widziałem dzisiaj przedstawienie, w którym aktorka naprawdę płakała. To wyglądało bardzo profesjonalnie”. Pozer.

Jakąż odrazę to w niej wywoływało, gdy wracała do tego myślami. I jakąż idiotyczna niepewność odnośnie do siebie samej, wciąż jeszcze.

Fryzjer suszy jej włosy, ona przegląda eleganckie kolorowe pismo, muzyka uspokaja, przyciemnione lustro nieco idealizują, spotyka w lustrze spojrzenie fryzjera. Potem fryzjer kończy i delikatnie rozwiązuje jej węzeł na szyi, ona wstaje, on ma w dłoni miękką szczotkę i wydaje się, jakby lekko głaskał jej ramiona, dziewczyna podaje jej płaszcz. Idzie do małego okrągłego kontuaru. Za drętwym designem czerwonej lady szeroko uśmiecha się żona fryzjera. Stuka w komputer ekscentrycznie pomalowanymi paznokciami, nagle ze zdziwieniem podnosi wzrok: wszystko się zniemacka wyłącza. Szybko przelicza na karteczce, włączając jednocześnie na nowo komputer.

Marga nie od razu znajduje portmonetkę. Wyczuwa coś na dnie torebki, w której grzebie. Dwie małe, zawinięte w czerwoną folię kuleczki. Stoi z nimi w ręce, patrzy na nie przez chwilę, jest zbyt roztargniona, żeby się zastanawiać, jak się tam znalazły. Wacha je, wyrzuca do popielniczki na lądzie. Wyjmuje kartę i podaje kobiecie, która mruczy pod nosem:

– A cóż to się dzieje z tym głupim komputerem?

Jest wiosna, marzec innego roku, kiedy zamieszkała sama, kiedy uwolniła się od mężczyzny, którego kiedyś podziwiała, a z którego życia uczuciowego pozostało teraz już niewiele więcej niż amalgamat zeschniętych iluzji. W pokoju jest ciepło. Marga wie, że musi pójść na firmową imprezę. Robi to z niechęcią, ale cieszą ją przygotowania w łazience, zamglone lustro, intymność, która ją uspokaja. Depiluje nogi starą białą maszynką, goli pachy, wyrywa włosy przy prawym sutku, nakłada maseczkę z glinki, siada w wannie, kładzie ręce wzdłuż ud, siedzi tak, wolno oddychając, po dziesięciu minutach zmywa maseczkę, wychodzi z wanny, wyciera się do sucha, nanosi na skórę olejek, odwraca się o ćwierć obrotu przed lustrem, żeby obejrzeć pośladki, zakłada majtki, naciera twarz, napinając skórę w grymasie. Czesze włosy. Idzie korytarzem do sypialni. Na widok mężczyzny wydaje okrzyk. Jego rude włosy i jaskrawoniebieskie oczy.

Mówi, że po nią przyjechał. Że już czas. Że musi się pospieszyć.

Marga przełyka ślinę, robi się jej słabo, przytrzymuje się chłodnego panelu centralnego ogrzewania. Posłuszna jak we śnie.

Mężczyzna czeka w holu, przy drzwiach wejściowych.

Gdy jest gotowa, prosi ją o kluczyki do samochodu. Wszystko wiruje jej przed oczami.

Otwiera drzwi, przepuszcza ją, ostrożnie zamyka, otwiera auto, pozwala jej wsiąść.

Jedzie pod adres, który podała mu pod przymusem.

Mówi jej, że może być w środku przez kwadrans, ma przynieść myjkę, którą znajdzie we wskazanym miejscu. Że on tu czeka.

W galerii, w której Marga pracowała kiedyś przez kilka miesięcy, trwa wernisaż. Ja już tam jestem. Widzę, jak wchodzi: silna, napięta, zabiegana, szybko rozglądając się dokoła. Podchodzę do niej, kieliszek w ręce. Widzi

siniaka na moim czole. Pyta, co zbroilem. Patrzy na moje obcisłe niebieskie spodnie, moje buty. Znowu coś współczującego w jej spojrzeniu. Potem niejasny przestrch w oczach. Mówię, że jestem uporczywie nękanym. Że mnie pobito. Że przypuszczam, że trafiłem do siatki handlarzy narkotykami albo terrorystów, albo najzwyczajniejszych idiotów, bo ja wiem. Że się boję. Dlaczego ja? Oczekuję, że teraz będzie patrzyła na mnie z jeszcze większym współczuciem, ale jej źrenice rozszerzają się z przerażenia. Rozgląda się nerwowo, ciągnie mnie za sobą do windy, jedziemy z parteru na trzecie. Tymczasem mówi w pośpiechu, że ją też śledzą. Czy coś wiem o myjce. Wysiadamy, idzie do jakichś drzwi, ja za nią. Zamek cyfrowy. Wchodzi przede mną do środka. Na dużym stole leży coś jakby myjka do ciała, ale jest w niej coś niekształtnego. Wygląda na zrobioną z ludzkiej skóry i ma niekształtne palce.

Marga ze strachu dostaje czkawki, patrzy na mnie bezradnie, idzie do toalety, słyszę, że wymiotuje. Staję za nią z ręką na jej plecach. To było dawno temu.

Odwraca się do mnie – duże, wystraszone oczy. Zarzuca mi ramiona na szyję.

Czuję się pusty, czuję się kimś w niewłaściwym życiu, w scenariuszu, do którego żywię pogardę. Chyba zabrakło nam jakichkolwiek rozsądnych wyjaśnień. W tej bezsensownej pustce rozpala się we mnie stare pożądanie. Obejmuję ją również, głaszczę po biodrach, potem po plecach i niżej, oddycha mi do ucha, posłuszniejsza niż kiedykolwiek, i mówi:

– Tak się boję.

Prowadzę ją do biurka, przyciskam pośladkami do brzegu, głaszczę pod sukienką jej gładkie uda.

– Marga – mówię – Marga.

Ścisną mnie za lewe ramię i drży na całym ciele. Im bardziej się boi i jest wytrącona z równowagi, tym bardziej się podniecam. Chcę jej tutaj, teraz, goręcej i pełniej niż kiedykolwiek podczas naszego małżeństwa.

Odpycha mnie, rozgląda się tępo i lękliwie.



Mówi, że musi to – wskazuje na odrażającą rzecz przypominającą myjkę – oddać człowiekowi, który czeka na nią w jej samochodzie.

Odpowiadam, że nie puszczę jej samej.

Zaciska oczy, kręci głową, po czym mówi:

– Dobrze, chodź ze mną, nie zostawiaj mnie samej.

Nie zamykamy drzwi, szybko przemierzamy korytarz, wsiadamy do windy, wychodzimy wyjściem z tyłu na parking. Tam nie widać już jej samochodu. Ale jadąc moim, marząc o tym, co chcę z nią robić, mocno zderzamy się z jej autem, które wypada na nas z bocznej ulicy. Zanim to do nas dociera, szarpnięciem zostają otwarte drzwi, dwóch ludzi wyciąga nas z samochodu, po czym wpychają nas z powrotem, na tylne siedzenie, wymierzają nam parę ciosów (widzę, że Marga krwawi, jej górna warga jest chyba pęknięta). Tampon na nasze nosy. Potem nic więcej.

Budzę się w dużym, zimnym pomieszczeniu; Marga śpi obok mnie, przykryto nas kocem. Zmierzch; w myślach słyszę coś z Brahmsa, wielkiego Brahmsa, dochodzi z oddali i jest niesione przez silny ból głowy. Jesteśmy delikatnie kołysani jak w olbrzymim hamaku. To musi być duży statek.

Na drugą stronę – przebiega mi przez głowę – płyniemy na drugą stronę. Poplamiona krwią twarz Margi jest napuchnięta, lecz piękniejsza i wyrazistsza niż kiedykolwiek. Kołysanie jest regularne, jak w kołysce. Zmierzch, muzyka, coś się we mnie wyzwala. Coś wielkiego, co się unosi i jęczy, śmieje i oddycha. Większy oddech niż mój własny.

„Opętany marzeniami o Tobie, przeprowiam się na drugi brzeg”.

Kiedy Marga się obudzi, będę się z nią kochał.

Nie będę jej jednak przerywał snu. Poczekam, aż podniesie na mnie oczy. Dopiero wtedy dostrzegam, że jej i moje ręce są związane, jest na nich coś jakby myjka z poturbowanej ludzkiej skóry. Przypomina skórę, którą widziałem na rękach matki na dzień przed jej śmiercią.

Chyba mi się to wszystko przyśniło. Nic się nie zgadza.

Dzwonię do Margi. Jej głos ma ciemną barwę, gdy wymienia swoje imię na automatycznej sekretarce.

Gdy tylko usłyszałem od rudowłosego mężczyzny, że moja matka zmarła, zamówiłem taksówkę i kazałem się zawieźć do kliniki. Ale ona siedziała tam, patrząc przed siebie. Ująłem w dłonie jej twarz, która się wyostriżyła. Pognieciony kreci pyszczek, ślepy i szukający. Czas mojej nieobecności zdawał się dla niej nie istnieć.

A może jednak: na cienkiej skórze głowy pojawiła się sinoniebieska plama. „Upadła” – powiedziała duża Rosjanka. Tańczyła po jasnych korytarzach, wpatrując się w coś nieruchomo. Czułem, że pielucha mamy dawno nie była zmieniana. Słodkawy zapach kogoś, kto opuszcza jej ciało. Zrobiło mi się czerwono przed oczami, mieszanka szału i współczucia; przycisk dzwonek, szerokie białe drzwi, biały fartuch, białe życie i biała skóra. Jej dyszące podupadanie w wyniku upokarzającego zapomnienia – przedmiot, który się obraca i do którego się mówi jak do zdychających psów. Czekam na korytarzu, źle się czuję i jestem bezsilny.

Zapachu jej odchodów nie dało się z niczym porównać. Głęboka, stara woń, groźne, paralizujące, ponadczasowo śmierdzące zło w umierającym organizmie, zapach tego, co fatalne: kończącego się czasu. Wielki tchórz, wieczny pasożyt, który przychodzi jak ta kryska. Jednocześnie coś chemicznego, ostrego i gryzącego. Prześladowało mnie to przez kolejne dni. Kiedy sam szedłem do toalety, ku mojej konsternacji czułem identyczny zapach. Wypływała ze mnie przyprawiająca o mdłości zawiesina, a wraz z nią ta odrobina siły, jaką jeszcze miałem. Wzdrygałem się z odrazy do samego siebie. Straciłem apetyt. Dziewczyna zadzwoniła, Marga nagrała się na automatyczną sekretarkę, moja skrzynka mejlowa w wydawnictwie została

opróżniona albo się zawiesiła, bo ja wiem, pozwoliłem się wepchnąć w nurt bezznaczeniowości, nad którym straciłem kontrolę. Co rano, po pierwszej filiżance kawy, biegłem do toalety, wstrząsany skurczami siedziałem nad swoim własnym smrodem. Coś jak wymiotowanie niewłaściwą stroną. Po tygodniu zacząłem chudnąć w oczach. Brałem imodium, potem czarne tabletki węgla, potem jakiś rodzaj gumy do żucia od aptekarza. Piłem wodę ryżową, sok z wygotowanej marchewki, colę. Znowu wszystko zwracałem. Lekarz rodzinny, korpulentna kobieta, która zawsze była zbyt zajęta i co dwie minuty wrzeszczała „haaalo!” do nieustannie dzwoniącego telefonu, tak że nie dało się z nią przeprowadzić sensownej rozmowy, poddała się. Wypisała receptę na lekarstwo, którego nie wykupiłem. Po czterech tygodniach waga mojego ciała oscylowała wokół pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Diabeł chichotał w moich jelitach. Umówiłem się na wizytę u internisty. Pełen godności sześćdziesięciolatek przyjął mnie w fotelu z białej skóry i życzliwie zapytał, jak idzie mi moje studium o waldensach.

– Utknąłem – odparłem. – Badanie utknęło w martwym punkcie.

Spojrzał na mnie poniekąd zatroskany; podczas poprzedniej corocznej wizyty moje badanie na temat waldensów też znajdowało się w martwym punkcie i rok wcześniej także. Waldensi bardzo go interesowali. Mnie kiedyś również, kiedyś, gdy opowiedziałem Mardze o założycielu tej sekty, Piotrze Waldo, urodzonym w dwunastym wieku przy rue Maudite w Lyonie, a Marga uznała mnie za interesującego typa. Zacząłem kiedyś książkę o tej sekcie purystów, ulepszaczy świata, maniaków czystości, moralistów, którzy w dwunastym wieku żyli na południu Francji, byli prześladowani równie intensywnie jak Żydzi, później zostali niemal całkowicie wymordowani przez Franciszka I. Domysły na temat powodów, które wzbudziły taką złość króla, często były sprzeczne. Przypuszczałem, że chodzi o najróżniejsze zapomniane związki z katarami, templariuszami, późniejszymi hugenotami. Widziałem wielki, międzynarodowy sojusz wędrujących purytanów w świecie dżumy, wypraw krzyżowych i klęski głodu. Badanie nadało mojemu życiu strukturę i sens; byliśmy z Margą szczęśliwi; ja

byłem wtedy zdrowy. Tymczasem teraz ledwo sobie przypominam, gdzie się znajdują cztery teczki z notatkami.

– Chodź – odezwał się ciepło specjalista – połów się tu, przyjacielu.

„Przyjacielu” – jakkolwiek rutyniarsko i bezosobowo to zabrzmiało, zdawało się dodawać mi otuchy. Rzeczywiście chciałbym być przyjacielem tego człowieka, bez względu na to, jak niezamierzenie protekcyjny był ten zwrot. Jego życie płało się w pewności, stabilizacji, zawodowej godności, higienicznym optymizmie.

Rozbieram się w małym pomieszczeniu obok gabinetu lekarskiego. W lustrze widzę swoje ciało; zamykam oczy i mam przed sobą kreci pyszczek matki. Nigdy się z niej nie wyleczę – myślę. Jej maska przebija się przez moją twarz, jej zapach trzyma mnie w swoich szponach, jej ciało staje się moim. Błady, chudy i nagi wracam do gabinetu, kładę się na kozetce. Lekarz zakłada te swoje gumowe rękawiczki, które wyglądają jak cienka ludzka skóra. Naciska mój brzuch; odsuwa nieco slipki aż do włosów łonowych, bębni trochę palcami. Mruczy pod nosem, że moja wątroba jest w najlepszym porządku, że najwyraźniej niewiele piję. Patrzę na niego zaskoczony.

– Chyba że masz silną wątrobę. – Śmieje się szeroko.

Moja śledziona jest w porządku, a nerki ciut lepsze, zdaje się, że wyczuwa to po moich łydkach. Białka moich oczu są trochę żółte, czy wiem, co to jest zespół Gilberta? Tak, wiem i mam go, on też wie, tylko zapomniał. Rodzaj łagodnej infekcji wątroby na całe życie. Moje jelita nie są w porządku, niedobrze, no cóż... coś z nimi nie tak. Wygląda teraz jak egzotyczny nakładacz rąk. Po pełnych pięciu minutach dotykania i ugniatania zdejmuję okulary.

– Dobrze.

Słysząc kropkę wymawianą przez niego po „dobrze”.

– Albo, przyjacielu, masz chorobę Crohna. To by nie były dobre wieści, na dokładkę do problemów z nerkami. Sprawdźmy to więc w badaniu krwi, kału, a także jeszcze raz moczu.

Przy ostatnim słowie widzę w swoim wspomnieniu dziewczynę, która przykucnąwszy, sika mi na brzuch, i czuję sentymentalne ukłucie, jakbym nigdy więcej nie miał wrócić do normalnego życia.

– Czy masz krew w stolcu?

(Czy modliłeś się, niegodziwcze?).

– Nie ojcze, przepraszam, doktorze – odpowiadam – nie mam krwi w stolcu. Albo może trochę, bo go nie oglądam. Nie zajmuję się obwąchiwaniem swoich odchodów – mówię. A swoją drogą wyrażenie „odchodzić” jest dość cynicznym skojarzeniem w odniesieniu do brązowawej brei, która co rano ze mnie wypływa.

– Lepiej byłoby, gdybyś to robił, przyjacielu – stwierdza, stukając w blat stołu i życzliwie się uśmiechając.

Nagle wiem, co on myśli: rak jelita. Z zawrotem głowy wpadam do dołu wijących się jelit, niekończących się korytarzy, którymi ześlizguję się jak dziecko na basenowej zjeżdżalni. W oddali widzę zbliżającą się do mnie szlamowatą wodę w niespłukanej toalecie. Kiedy w nią z pluskiem wpadam, słyszę kwotę wymienianą przez lekarza. Płacę bezwiednie, lekarz mówi, że powinienem pracować nad książką o waldensach, że dobrze by mi to zrobiło, że na badania mam się zgłosić do jego kolegi, można się umówić, i powinienem to zrobić jeszcze dzisiaj.

Obiecuję mu to, mam wrażenie, że moja dłoń jest wilgotna i poobijana, gdy wsuwam ją w jego silną, rozpaloną do suchości rękę.

Tydzień później leżę rozebrany na stole młodego rudowłosego wikinga, który zbliża się do mnie, jakby zaczynał bieg na sto metrów przez płotki. Wyjaśnia mi, co będzie robił. Ma w rękach czarny długi wąż. Prosi, żebym się położył na prawym boku. Czuję, jak jedną ręką naciska moje biodro. Wsuwa mi wąż między pośladki. Jego szukający łeppek znika w moim podbrzuszu.

– Jest tam taka kamerka z lampką – mówi monotonnym głosem wiking. W tym samym momencie mocno popycha. Czuję w brzuchu falę bólu. – Może jednak znieczulenie?

– Nie – rzucam krótko.

Wpycha głębiej, jakby się mścił za moją odmowę. Jestem dotykany głęboko w środku, mocno i szorstko, kłuje potwornie i robi mi się niedobrze. Mam nadzieję, że nie będę musiał zwymiotować na ten szybko gniotący się papier. Przy każdym zakręceniu w moich wnętrznościach kłuje coraz bardziej, nagle dostrzegam kilkucentymetrowy guz wychodzący z powłoki brzusznej, zamykam oczy, czuję, jak krew odpływa mi z głowy. Głębiej, głębiej. Na ekraniku obok mojej głowy widzę obrazy mulistych ścian żółtawego koloru, rodzaj macek, białe plamy, niewyraźny pasek, który znika, zawrotny zjazd do piekła we mnie samym. Tracę na moment świadomość albo tak mi się wydaje, sekundę później znowu się budzę, czuję, że mocna ręka mnie przytrzymuje, bo niemal spadam ze stołu, nadal leżę na prawym boku i wolno oddycham, wszystko jest bólem i poniżeniem. Ponownie głębiej wsuwa ten gumowy przedmiot, grzebie nim w mojej najgłębszej wewnętrznej nicości, bezkształtny muł bólu, wydaje się, jakby na ekraniku uskakiwało coś małego srebrnego, co czepia się ścianki jelita. Robię unik, wysuwając brzuch do przodu, lekarz z powrotem przyciąga mnie za biodro. Próbuje odwrócić głowę, żeby na niego spojrzeć, nie mogę. Dyszę, skręcając się z bólu.

Ubrałem się, a on, spokojnie złożony rękę, siedzi, wpatrując się w leżącą przed nim kartkę z diagramami. Słyszę terkotanie drukarki. Chwiejnym krokiem podchodzę do jego biurka, siadam na krześle po drugiej stronie i czekam. Zaczyna pisać. Teraz tylko odrobinę przypomina rudowłosego mężczyznę. Kiedy o tym myślę, niespodziewanie na moment podnosi na mnie wzrok. Chwyta mnie strach, wpatruję się w blat biurka. Następnie wręcza mi receptę, zaklejoną kopertę i rachunek.

Jest piąta po południu i zaczął padać śnieg. Człapię chodnikiem do apteki i spotykam dziewczynę z baru kanapkowego. W pierwszej chwili mnie nie poznaje, potem zdziwiona kiwa głową, bo widzi, co ze mną.

– Dajesz radę?

– Nie, właściwie to nie.

Spontanicznie bierze mnie za rękę i pomaga dojść do drzwi apteki. Wchodzi ze mną do środka i czeka. Wstydzę się potwornie, ciągle jeszcze czuję gmerający we mnie gumowy wąż, do niczego się nie nadaję. Dostaję reklamówkę z sześcioma pudełkami tabletek. Płacę kartą kredytową. Kiedy chcę wyjść, dziewczyna podchodzi do mnie i pyta, co może dla mnie zrobić.

Mówię, że nie wiem, i czuję, że robi mi się słabo.

– Do widzenia! – woła żona aptekarza. Ding-dong.

Dziewczyna pomaga mi wyjść. Jej auto stoi w pobliżu. Wlokę się obok niej, o trzydzieści lat za stary na swój wiek. Otwiera drzwi samochodu, czeka, aż wsiądę. Natychmiast zamykam oczy i ześlizguję się w ciemną letnią kałużę.

Kiedy dochodzę do siebie, widzę, że słucha wiadomości. Pali. Słyszę coś o niespodziewanych atakach, alarmie i zamachach, nic z tego nie rozumiem i dyszę.

Dziewczyna pyta, dokąd mnie zawieźć. Wymieniam nazwę ulicy, przy której mieszkam: Degrellelaan. Avenue Léon Degrelle.

Kiedy czeka na światłach, czuję, że coś we mnie wzbiera. Otwieram okno, kłaczek kleistej piany, bulgocząc, podchodzi do góry, czepia się drzwi jej samochodu. Zwijam się z bólu. Potem czuję ulgę i osuwam się. Wybąkuję przeprosiny. Dziewczyna nic nie mówi, bacznie przypatrując się ruchowi ulicznemu przed sobą.

Parkuje za rogiem Degrellelaan, podpira mnie przez te sto merów do domu. Patrzy poniekąd z obawą, gdy szukam klucza. Wchodzi ze mną do środka, spokojna i uśmiechnięta, jakby to było oczywiste. Ponownie pyta, co może dla mnie zrobić. Opadam na sofę, mówię, że muszę tylko złapać trochę tchu i żeby sobie wzięła z lodówki coś do picia. Siada w fotelu naprzeciwko i ponownie natarczywie mi się przygląda.

– Dlaczego to robisz?



Wydaje się, że pytanie chce się wydostać z moich ust nawet jeszcze nie-  
zupełnie uformowane.

Dziewczyna chyba nie wie, co odpowiedzieć. Wzrusza ramionami.  
Chwyta czubki palców prawej ręki lewą i przygląda się im. Potem mówi:

– Musisz uważać, co robisz.

Pytam, co ma na myśli.

– Po prostu. Musisz być ostrożny i dbać o siebie.

– Co właściwie może cię obchodzić mój los? Nie musisz teraz próbować  
ratować mojego życia tylko dlatego, że mnie oblałaś zupą z trybuli.

Dziwi ją mój nieoczekiwane uszczypliwy ton.

Szuka papierosów, proszę, żeby nie paliła, ponieważ ciągle jeszcze jest  
mi niedobrze.

Przytakuje, zdaje się przyjmować ten sprzeciw z powściągliwością aktor-  
ki. Jest mną wyraźnie zawiedziona. Niczego u mnie nie wskóra. Nawet pa-  
pierosa nie zapali.

Nagle czuję, że nie powinienem z góry psuć tej rozmowy, że po prostu  
muszę się na nią w całości odważyć, że nie powinienem się tak zasklepić  
w swojej skorupie, nie uskarżać, nie odgrywać przez cały czas ofiary, że  
muszę wytrzymać dializy nerek, że może mam dodatkową infekcję jelit, że  
być może powinienem, jak to tutaj mówią, bardziej wszystko olewać, nie  
oszczędzać tak siebie, że nie powinienem sprawić zawodu dziewczynie, ale  
wykazywać się większym szacunkiem dla siebie i odwagą, mieć gdzieś tę  
chorobę nerek, że zostanę członkiem Związku Umierania w Godności, że  
powinienem pojechać w podróż, pragnąć czegoś innego niż siebie, że krót-  
ko mówiąc, muszę zapalić papierosa i zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Poczęstujesz mnie papierosem?

Patrzę na nią bez mrugnięcia okiem (oczy od razu mnie szczypią).

Jej źrenice wydają się rozszerzać, jeden kącik ust układa w ironiczną,  
lekką, ledwie dostrzegalną drwinę. Wyraża też coś ciepłego, zrozumienie,  
niedopowiedzenie, które ona zdaje się wylapywać wzrokiem, tak jak dziec-  
ko łapie niespodziewanie rzuconą piłkę. Czuję, że robi mi się ciepło.

Bierze paczkę, wyciąga na centymetr dwa papierosy i podsuwa mi. Drugą ręką szybko przeczesuje włosy.

Palimy w milczeniu. Mam wrażenie, że przy pierwszym zaciągnięciu zaczynam się unosić. Tytoń działa tak, jakbym był naszprycowany, parę razy dostaję czkawki, gardło wypełnia mi jakieś nieprzyjemne znieczulenie, nieprzewyciężony smak bez smaku, odurzenie tytoniem. Dawno temu – zapomniałem, jak przyjemnie jest zażyć choćby najłżejszy narkotyk. Przez kilka minut w pokoju nie słychać niczego innego niż ledwo słyszalny szelest końcówek papierosów, a po nim wydmuchiwanie dymu.

Ponieważ nie chcę się odzywać, ponieważ czar chwili, tej spiskowej przypadkowości, nie może prysnąć, ponieważ nie chcę znać jej imienia, ponieważ nie mogę uwierzyć, że siedzi tu przy mnie, ponieważ nie wszystko przecież może pójść nie tak, ponieważ jestem tonącym, który chce się czegoś chwycić, ponieważ tego typu uzalanie się nad sobą jest dla mnie odrażające, ponieważ nie udaje mi się wyzwolić ze spirali samowstrętu i żalności, ponieważ chcę, żeby to wszystko tutaj z nią trwało jeszcze chwilę, a jednak coś muszę zrobić, bo jestem zbyt pełen obaw, żeby po prostu nadal siedzieć w milczeniu – pozornie nonszalancko biorę pilota, za sprawą którego wyłania się BBC World.

Wywiad z wysoko postawionym urzędnikiem pakistańskim, który pozwala sobie na kilka uszczypliwości na temat światowego spisku żydowskiego i przysięga, że wytępią wszystkich żydowskich przestępców, do nogi. Łącznie z dziećmi.

Dziewczyna się zrywa, zamyka oczy, gwałtownie potrząsa głową, mówi, żebym to wyłączył. Natychmiast zmieniam kanał. Jest roztrzęsiona. Drżą jej ręce, oczy wydają się zamglone i ciemne, jakby przypominała sobie różne okropności. Z taką pasją zgniata peta w popielniczce, jakby go chciała precyzyjnie przecisnąć na drugą stronę stolika.

– Przepraszam.

Mówię to ot tak, nie wiedząc dlaczego. Jakbym był winny scen z BBC World.

Wstaje, chodzi w kółko, rusza w stronę kuchni, tam stoi, patrząc przez okno. Wiem, co widzi. Prostokątne ogródki między długimi murami, kilka huštawek, gdzieniegdzie przycięte drzewo, kosa skaczącego po trawniku, może srokę na murku. Niejasne odgłosy ulicznego ruchu w biegnącej dalej alei.

Ja także się podnoszę, przez moment kręci mi się w głowie, staję za nią. Kładę jej rękę na ramieniu. Nie rusza się. Oddycha prawie niezauważalnie. Potem wypuszcza tak dużo powietrza, że myślę, że cały tlen ucieknie z niej jak z balonu. Odwraca się, jakby mojej ręki nie było, wraca do pokoju, siada, znów sięga po papierosa i zapala. Nagle jest dla mnie ponownie tak pociągająca jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłem, lecz ten obraz zasnuwa mgła – mgła strachu i zmęczenia. Wydaje się, jakby dziewczyna się zastanawiała, czy będzie rozmawiać. Nie robi tego jednak. Widocznie i ona ma wrażenie, że coś zepsujemy.

– Masz może whisky?

Mam. Niespodziewane pytanie, ale dobrze. Mam. Mam.

Biorę dwie szklanki, wydaję lód z zamrażalnika, z każdą minutą staję się coraz bardziej przytomny i coraz silniejszy. Alkohol po skurczach żołądka przed chwilą? Dlaczego nie?

Ostrożnie upijam ze szklanki i czuję, jak palący trunek wyżera sobie drogę przez moje ciało.

Dziewczyna jednym łykiem wypija niemal połowę szklanki. Zaciska oczy, kręci głową. Jest gotowa, widzę to.

Co próbuje mi powiedzieć? Dlaczego tu siedzimy? Chcę zacząć, nie mogę czekać, lecz milczę. Nie pytając, biorę jeszcze jednego papierosa. Podaje mi swoją zapalniczkę.

– Dostajesz dziwne listy?

Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego.

Sięgam po tygodnik na stoliku. Pod nim leżą dwie koperty z tymi dziwnymi stemplami.

Otwiera usta, patrzy na mnie nieruchomo i głupio, potrząsa głową z niedowierzaniem, zakrywa usta ręką, wpatruje się w koperty, to znowu we mnie, jej wzrok staje się niejasny i pojawia się w nim zaduma, gdy mówi:

– Dranie. Powinnaś wiedzieć.

– Co powinnaś wiedzieć?

Na dworze zaczyna mocniej sypać śnieg.

– Te pieczątki... Co to znaczy, jak myślisz?

– Nie wiem. Sądziłem, że ty wiesz.

– Nie, wiem tylko, że to nie jest arabski, cyrylica ani grecki.

Nagle przypomina mi się artykuł, który czytałem chwilę przedtem, zanim ją spotkałem.

– Słyszałaś o Chazarach? – pytam. – Nie mylić z katarami.

Wzrusza ramionami i wydaje się niezainteresowana.

– Może to znaki zapomnianego języka.

– Zapomniany, ale na kopercie?

Patrzy na mnie, sceptycznie się śmiejąc.

– Nie no, chodzi mi o to, że to może chazarski.

Nigdy o nim nie słyszała. Bierze zapalniczkę i stawia pionowo na stoliku.

– Nigdy nie słyszałaś o chazarskim słowniku? Księżde tego Serba – mówię – jak mu tam? – Wydmuchuję dym nosem. – Pompatyczna poniekąd, ale mistrzowsko napisana księga snów o zaginionym plemieniu, które z własnej woli miało wyznawać judaizm, było też jednak bardzo tolerancyjne względem dwóch innych religii, które je otaczały: chrześcijaństwa i islamu. Unikat w historii świata. Enklawa w świecie nienawiści, niezrozumienia, wyznaniowego obłędu. Byli trochę zbyt przyzwoici jak na ten świat, nie jest jasne, w jaki sposób zostali wymazani. Rzecz na mój gust zdecydowanie zbyt literacka. Arthur Koestler też napisał książkę na ten temat. Bardzo ciekawą.

Z pewnością uważa, że jestem zarozumiały. Skubie skórki przy paznokciu prawego palca środkowego.

– Może celowo wylałam ci tę zupę na spodnie – mówi.

Czeka, jaki efekt wywrą jej słowa.

Szeroko otwieram usta i pytam:

– *What's next?*

– Tamtego dnia w barze kanapkowym miałeś przy sobie stertę listów. Na jednym z nich widniał stempel, który rozpoznałam. Chciałam wiedzieć, kim jesteś, i próbowałam odczytać adres. Podeszłam trochę za blisko twojego stolika. Wtedy się zderzyliśmy. Potem cię jeszcze śledziłam. Nie chciałam cię przestraszyć i dałam sobie czas. Chciałam wiedzieć, czy wobec ciebie też stosują stalking. Wszystko, co wiem, to że wyłowili twoje nazwisko w jakimś celu. Że potem zaczynają cię nękać i napastować.

– Jacy „oni”?

– Tego nie wiem.

Cisza.

Bierze jeszcze jednego papierosa.

Dzwonek. Idę zobaczyć. Widzę, jak dwóch biegnących chłopców znika za rogiem. Wirowanie płatków śniegu. Szybkie schłodzenie się ziemi powoduje, że tworzy się z nich cienka warstwa. Szarość prześwituje jeszcze przez biel, lecz dzięki blaskowi wieczór zdaje się jasny.

Kiedy ponownie wchodzę do salonu, płaszcz dziewczyny leży obok niej na oparciu fotela. Oczywiście już dawno powinienem spytać, odebrać płaszcz, odwiesić na wieszak.

Chcę za to przeprosić, lecz milczę.

Pada coraz mocniej, widzę, jak grube płatki śniegu są nawiewane na kuchenne okno niczym motyle kamikadze.

– Mogę jeszcze jedną whisky?

Wyciągam lód.

Palimy.

Niezręcznie brzmi to, co mówimy.

– Jeśli raz cię wyłowili, już cię nie wypuszczą. Mnie prześladowają, bo mój ojciec ma z nimi coś wspólnego i kiedyś rozmawiałam o tym ze znajomym. Ale nic więcej nie wiem.

Patrzę na nią, nie rozumiejąc.

– Mój ojciec nazywa się Klossen. Roeland. Coś ci to mówi?

– Ten negacjonista? Ten od strony o neonazizmie?

Gapię się z otwartymi ustami.

– Hm.

Ponownie obserwuje swoje paznokcie.

– Chyba nie pozwoliłby własnej córki... to znaczy, jestem, to znaczy, ty i ja jesteśmy śledzeni przez jakichś idiotów z marnej komedii, nasłanych przez twojego ojca?

– Miałeś z nim kiedyś kontakt?

Wydaje się, że próbuje się na czymś skupić.

– Nie albo tak, powiedzmy, trafiłem kiedyś na jego stronę, stamtąd na taką, która podobno albo rzeczywiście była stroną Hamasu, potem na stronę czegoś jakby sekty mudżahedinów, na której reklamowano *Mein Kampf*. Związek między tymi elementami był dla mnie tak szokujący i niedorzeczny, że z nikim o tym nie rozmawiałem. Jestem dość, jak by to powiedzieć, dość tolerancyjnie nastawiony, jeśli chodzi o kwestię palestyńską, rozumiesz. Ale najbardziej zaszokowała mnie następująca po tym informacja, że mój komputer był sprawdzany. Czy to możliwe? Czy komputer może ot tak zostać prześwietlony ze strony, na którą się zalogowałeś?

Uśmiecha się ze współczuciem.

– Jeśli, mówiąc obrazowo, masz non stop otwarte łącze szerokopasmowe, to faktycznie mogą ci prześledzić komputer. Nie masz firewalla? Zamykaj przynajmniej pocztę, kiedy nie wysyłasz mejli. Każdy może ci bez trudu wejść do środka.

– Ale... więc twój ojciec jest...

– Cóż. Nie wiem. Też widziałam tę stronę. Wyświetlił mi się ten sam komunikat. Od tamtej pory ciągle natykam się na mężczyznę...

– O rudych włosach i bladoniebieskich oczach.

Wzdycha, wygląda przez okno. Jej duże, zielone oczy.

– On, zdaje się, nie jest zbyt ważny, ale jednak... cóż. Moim zdaniem pochodzi gdzieś z Kaukazu. Nie wiem, czego oni chcą. Z ojcem nie rozmawiałam od lat. Nie mam takiej potrzeby. Dostałeś już te czerwone saszetki do przetransportowania?

Przytakuję.

– Ktoś, kto handluje narkotykami, nie zachowuje się tak przecież? Nie dość że to nie ma sensu, to jeszcze jest tak nieostrożne, że ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, żeby myśleć o narkotykach. Co właściwie w nich jest? Czy to tylko zastraszanie?

Patrzy na mnie pytającym, szczerym wzrokiem.

– Otworzyłem kiedyś jedną. Następnego dnia sprano mnie we własnym domu na kwaśne jabłko. Jest w nich proszek.

– Dlaczego nie pójdziesz na policję?

– A ty?

– Ja ze względu na ojca. Wyobrażam sobie, że wie, co się dzieje, ale mogę się mylić.

– Wciąż jeszcze myślę, że to pomyłka, jakiś absurd. Nie chcę, żeby mnie skatowali dlatego, że się dowiedzą, że poszedłem na policję. Może to jakoś przejdzie.

– Oni naturalnie na to liczą. Strach.

– No dobrze, boję się. Ty nie? Boję się, bo to jest tak banalne, oczywiste, oklepane jak słaba telewizja. Napędza mi to strachu. Jakby się coś rozpoznawało. Coś takiego jak katastrofy – wiesz już o tym, a kiedy się wydarza, serce ci wali, ponieważ fikcja występuje z brzegów, a ty jesteś częścią niedorzecznego problemu. Coś w tym stylu. Ponieważ wychowałeś się w świecie racjonalnych wyjaśnień.

Patrzy na mnie z ironią.

– Moim zdaniem nie trzeba szukać tak daleko. Kryminaliści i fanatycy są wszędzie i zawsze. Oświeceniowe ideały to zabawa dla mężczyzn, którzy

czytają za dużo książek. Te bydlaki zawsze wiedzą najlepiej.

Ten szyderyczy grymas wokół ust, widzę go po raz pierwszy.

– Jak się czegoś dowiesz, zadzwoń do mnie.

Wyjmuje długopis z płaszcza leżącego obok niej i zapisuje na gazecie numer telefonu. Ani myślę pytać o jej imię. Wszystko jedno, jak się nazywa. Z nazwiskiem Klossen nic z tego nie będzie.

Wstaje, wkłada płaszczy, nie zdążyłem jej pomóc, ale i tak odpycha moją wahającą się rękę.

Na dworze sypie już na całego. Wychodzi, od razu prawie traci równowagę, ściskam ją za ramię mocniej, niż bym chciał.

Mówi „dziękuję” i drepcze dalej. Odchrząkuję, żeby ją zaprosić do pozostania na noc. Mówię głośno:

– Możesz też...

Puszcza moje słowa mimo uszu. Stoję w drzwiach, dopóki nie zniknie w wirującym śniegu. Szmer wielkich płatków jest głośny, głośniejszy, niż można się spodziewać po śniegu.

Śni mi się, że stoję nad rzeką, która rządzi się własnym dniem i własną nocą. Rytm jej dni i nocy nie pokrywa się z dniami i nocami otoczenia. Czasem rzeka ściemnia się w biały dzień, by godzinę później stać się czarna jak smoła. Jeśli włożysz rękę do wody, zostanie połknięta przez mrok. W głębinie jak przez mgłę można dostrzec punkty świetlne, jakby na dnie były gwiazdy. To znowu, w środku nocy, rzeka powoli się rozjaśnia i zaczyna świecić szarawym czystym blaskiem, aż stanie się pasmem intensywnego światła w ciemności. Ta rzeka płynie przez inny wszechświat – myślę. Woda, która na brzegu obija się o moje stopy, napawa mnie grozą. Jakby mogła rozpuszczać ludzkie ciało. Jakby była żrącym kwasem, do którego wrzuca się zwłoki po dokonaniu zabójstwa. Jakby czarna dziura się przebrała, żeby niepostrzeżenie zalać świat. Śnię, że płynę po tej rzece bardzo lekką łodzią, wielkim żółtawym liściem palmowym i że wsadzam rękę w jej czarną jak smoła noc. Nade mną palące słońce. Duża ryba uderza



twardym pyskiem o moje palce; przewracam się i znikam w niezmierzonej czarnej głębinie.

Tonięcie sprawia, że się budzę. Jest noc; wstaję, widzę, że na zewnątrz leży ponad dziesięciocentymetrowa warstwa puchu. Na całej ulicy panuje urzekająca cisza. Każda gałązka jak we śnie ugina się pod ciężarem śniegu. Kilka ostatnich rzadkich płatków wiruje w stożku światła ulicznych latarni. Drżąc, wsuwam się z powrotem do łóżka. Leżę przebudzony do rana, zasypiam o brzasku.

Wstaję około dziesiątej, nastawiam mocną kawę, palę papierosa, czuję wzbierające parcie. Idę do toalety. Stolec można określić jako prawie normalny. Po tygodniach udreki: prawie normalny. Z niedowierzaniem wpatruję się w muszlę klozetową, nagle odzywa się we mnie głód, apetyt na coś, czuję ulgę.

Biorę prysznic, golę się staranniej niż zwykle, zakładam lazururowe jajościski, wybieram T-shirt w kolorze szarego melanżu z nazwą marki, do tego czerwonorudą marynarkę.

Werter u schyłku cywilizacji. Niespodziewanie przypomina mi się ten facet z książką o Fauście, którą odrzuciłem. Czy byłem nieświadomie po prostu zazdrosny dlatego, że swoją własną książkę o waldensach zostawiłem niedokończoną? Czy zamiast tamtą odrzucać, nie powinienem poważniej podejść do swojej pracy redaktora i dokładnie przeczytać tekst, dać człowiekowi szansę na złagodzenie arogancko akademickiego tonu? Nie wiem. Może wzdragałem się przed tą pracą. Swoją drogą, gdzie się podziały te cztery teczki o waldensach? W wydawnictwie czy w domu? Marga ich przecież nie wyrzuciła, kiedy się wyprowadzała i przeszukiwała cały dom w poszukiwaniu rzeczy, które były jej rzeczami? Ta nienawiść w wypluwanym jak trucizna „moje, moje” za każdym razem, gdy wyciągała coś z szaf.

Czy mam się ponownie skontaktować z autorem? Ale czy redaktor może się tak upokarzać? Ten człowiek być może znalazł już innego wydawcę.

Próbuję czytać gazetę, przełączam na chwilę na CNN. Wciąż te same obrazy: wybuch w izraelskiej ambasadzie w Nowym Jorku. Bezsilność obfito-

ści. Znowu próbuję sobie wyobrazić, że spotkałoby to mnie. Zасыpiam przed telewizorem. Tymczasem zrobiło się popołudnie. Co mam robić? Bijąc się z myślami i klnąc w duchu, zły, ponieważ zepsułem już sobie dobry humor z pierwszych godzin, otwieram drzwi. Białe, zimne olśnienie uderza mnie w twarz, jakbym śnił. Chodnikiem człapie kilka postaci. Samochód prześlizguje się wolno i niemal bezgłośnie. Stwardniały śnieg pośrodku ulicy lśni w bladym słońcu. Ostrożnie, od czasu do czasu ślizgając się po pochyłym biegnącym chodniku, idę na róg ulicy. Tam zauważam, że drogowcy są jeszcze zajęci odśnieżaniem torów tramwajowych. Nie ma więc tramwaju. Pół godziny lub dłużej spaceru do wydawnictwa. Tak bardzo chciałem tam wrócić niespodziewanie, zaskoczyć ich poprawą mojego stanu, znowu zobaczyć się z Ritą, wypić z nią filiżankę kawy; ponownie zabrać się do pracy, przygotować wszystko na najbliższe dni, odnaleźć swoje miejsce. Wystarczyłaby godzinka. Muszę tam dziś dotrzeć i dotrę. Chcę po prostu kierować swoim życiem. Nic więcej.

Kuśtykam prostą aleją, mijam park, w którym parę czapli stoi zagubionych w śniegu, gapiąc się przed siebie przy zamarzniętym stawku. Po kilkuset metrach jestem wykończony. W ten sposób nigdy tam nie dojdę. Dowlekam się do osiedlowego kina. Bezwiednie podchodzę do kasy; popołudniowe seanse są idealne na ucieczkę od świata.

Śpię w trakcie reklam. Budzę się w trakcie dziwnej sceny: dwaj mężczyźni siedzą na górze przy olbrzymim znaku Mercedesa na bloku mieszkalnym nad miastem, w którym rozpoznaję Berlin. Patrzą na pędzący daleko pod nimi ruch uliczny. Wszystko jest czarno-białe. Jeden z mężczyzn ma włosy w kucyk; drugi ma zeza. Obaj noszą płaszcze przeciwdeszczowe, jak staroświeccy tajni agenci. Lecz ich spojrzenia są inne. Emanują zrozumieniem, dziwnym zrozumieniem anonimowości w ludziach; zadumane spojrzenia, których prawie nigdy nie widać w filmach. Nagle są na dole pośród tłumu, błądzą między dojeżdżającymi, zdają się przez nich niezauważani. Błądzą po bibliotece, nasłuchują przy ludzkich głowach, okazuje się, że mogą słyszeć ich myśli. Bije z nich współczucie dla strzępów opowieści, które wychwytyują. Opowieści o zwyczajnych rzeczach, codziennym życiu,

rozczarowaniu lub zmartwieniach. Chłopak na motorze zostaje potrącony; jest śmiertelnie ranny. Z jego nosa wypływa strużka krwi. Ktoś podtrzymuje mu głowę, ale on jest daleko. Ekstazyjna scena – umierając na ulicy, motocyklista staje się bezimiennym świętym. Tekst unosi się tak wysoko nad czynami, że wszystko jest skąpane w świetle irrealnej melancholii. Mężczyźni znowu są gdzie indziej. Zmienacka zdają się przenosić samych siebie przez historię, błyskawicznie parę tysiącleci wstecz. Patrzą na krajobraz, w którym nie było jeszcze miasta, na wodę i łąki, kilka starych wierzb, pusty świat w tym samym miejscu, w którym przed chwilą szli w hałasie dużej alei.

– Pamiętasz, jak szliśmy tędy po raz pierwszy? – pyta jeden.

Drugi odpowiada:

– Historia jeszcze się nie zaczęła.

Potem w tym samym błyskawicznym tempie wracają do współczesności, znowu chodzą między ludźmi, jednocześnie roztargnieni i przejęci, chwiejny rodzaj uwagi sprawiający wrażenie, że wszystko staje się magiczne. Dzieli się ze sobą tajemnicą jak biblijnym chlebem. Coś ponadczasowego w wielkim mieście, dzielnice, które rozpoznają, dalej jest coś z dziewczyną z cyrku w cyrkowym namiocie. Tańczy na trapezie, jej włosy rozwiewają się, kiedy szybuje w górę. Cudownie sfilmowane; jakby się śniło z otwartymi oczami. Później jeden z mężczyzn wchodzi z nią do przyczepy. Siada obok niej na łóżku. Obserwuje ją, podczas gdy ona sądzi, że jest sama. Tymczasem wiem, że jest aniołem, bo dziewczyna nie może go zobaczyć. Patrzy jakby z czułą zazdrością na jej zmysłowość, życie w śmiertelnym ciele. Później upadnie, stanie się upadłym aniołem, człowiekiem z raną na głowie przy murze berlińskim. Od tego momentu film będzie kolorowy; jakby pozbawiono nas pewnej zdolności pojmowania. Gwałtownie pragnę czarno-białego świata, wypełnionego tego rodzaju obrazami, ruchem bez dźwięku, jedynie muzyką, która rozbrzmiewa w chmurach, twarzą, która na mnie patrzy i potakuje ze zrozumieniem. Nie wiem, co to takiego, ale przy jednym z niezręcznych ruchów anioła czuję, że więcej nie zniosę. Dlaczego tak mnie to wzrusza? Mrugam, bo pieką mnie oczy, i przetykam ślinę.

W pewnym momencie człowiek, którym stał się anioł – och, ten niezrównanie zezujący aktor – przy Imbissie, niemieckim straganie z kiełbaskami. Wyciąga rękę do niewidzialnej postaci, która wydaje się zazdrościć upadłemu aniołowi. Zamieniają ze sobą kilka słów.

– Nie widzę cię, ale czuję, że tu jesteś. *Compañero*.

Wcześniej spadł obok muru berlińskiego, jego zbroja z brązu spadła mu na głowę. Poszedł napić się kawy z Imbissu i odkrył, co znaczą ciepło i smak.

Film kończy się tym, że dziewczyna z cyrku i dawny anioł umawiają się ze sobą; całemu wydarzeniu towarzyszy dziwny, podniosły język. Nie wiem, co widzę, ale myślę, że łkam. Długo po końcowych napisach nadal tam siedzę, aż w końcu dziewczyna sprzątajaca salę zaczyna hałaśliwie zbierać papierki, zgniata je, wrzuca do plastikowego worka. Dochodzi do rzędu, w którym siedzę, spogląda, ja spoglądam na nią. Nie budzę się z ekstazy, sposobu patrzenia na świat narzuconego przez film. Moje spojrzenie zdaje się jej nie dosięgać; po prostu czeka. To również dotyka mnie w dziwny sposób. Prostota, z jaką przez chwilę czeka, mija mój rząd i w rzędzie przede mną dalej zbiera pozostawione śmieci. Chciałbym móc posłuchać myśli w jej głowie i usłyszeć tam jej głos, słowa, które mówi do siebie, wykonując rutynową pracę. W sali było zaledwie jakieś trzydzieści osób, skąd te wszystkie śmieci? Wstaję z trudem, próbuję się oderwać od baśniowego sposobu patrzenia, który zaszczerpił we mnie film, wychodzę na dwór. Śnieg zaczął topnieć, odwilż pachnie wiosną, choć jeszcze jest jesień.

Postanawiam mimo wszystko udać się do wydawnictwa, choć już się zmierzcha. Przez topniejący śnieg jest jeszcze bardziej ślisko. Źle stawiam stopę, ześlizguję się z chodnika, istnieje ryzyko, że przewrócę się na twarz, jak najszybciej odchyłam się do tyłu, upadam przez to wprost na prawe kolano, które ląduje na brzegu krawężnika. Ból przeszywa mnie aż po pachwinę, zwalam się na ziemię. Głośno przeklinam, leżę przez chwilę, próbuję się podnieść, znowu się ślizgam, czuję, jak kolano zaczyna palić i puchnąć. Kobieta w kasie kina patrzy bez ruchu. Kiedy spoglądam w jej stronę, gapi

się w powietrze, jakby śledziła stado ptaków. Coś dziwnego przelatuje mi przez głowę. Czuję, jak spodnie mokną mi w śniegu. Moje lazurowe jajościski, że też i wy mnie opuszczacie.

Z trudem się podnoszę, tłumię chęć krzyku, ból jest nie do zniesienia. Siadam na stopniach pustej kamienicy i dzwonię pod numer wydawnictwa. Czy mogą przysłać taksówkę. Rita jest zdziwiona moim telefonem; muszę być dzielny, słysząc jej głos. Chłopczyk przestaje być przy mamie dużym chłopcem. Mój głos brzmi bardziej ochryple, niż tego chcę.

Pełny kwadrans później – od bólu robi mi się wręcz niedobrze – przy chodniku zatrzymuje się wolno jadąca taksówka. To znowu on, znów ciągle on. Rude włosy, krótko przystrzyżone do samej czaszki, nadal ten szpanerski zegarek i pusty, a mimo to przeszywający wzrok, oddech pachnący alkoholem i czosnkiem. Nad niczym się nie zastanawiam, pomaga mi wsiąść do auta, jedziemy przez zwały ciemnoszarego błota. Przy wydawnictwie pomaga mi aż do drzwi. „To na koszt firmy” – mówi. Szeroko się uśmiecha. Prosi o podpis. Mam ochotę postawić krzyżyk, kreślę zniekształcone litery mające przedstawiać mój podpis. Nawet dojście do windy kosztuje mnie dużo trudu. Kiedy słaniem się na górze, wychodząc z windy, Rita stoi w drzwiach. Zasłania usta rękami, woła Paula, we dwójkę wciągają mnie do środka i pomagają usiąść na obrotowym fotelu Rity. Jest jeszcze ciepły, a może mi się wydaje?

Kiedy tego wieczoru wracam do domu, dostrzegam w skrzynce list bez znaczka. Czyli dostarczony bezpośrednio. Serce zaczyna mi walić. Słowa córki Klossena tłuką mi się po głowie. Szybko się rozglądam, jakby w mrocznym korytarzu mógł za mną ktoś stać. Gwałtownym ruchem wyciągam list, przez co powstają w nim zagniecenia, widzę, że pochodzi od lekarza, który przedzierał się przez moje jelita swoją miniaturową łodzią podwodną. Już? Sądziłem, że hodowla bakterii zajmie im więcej czasu.

Wskazującym palcem rozrywam kopertę. Przebiegam wzrokiem po kartce.

Zły cholesterol: 185. W miarę normalny. Wysoki dobry cholesterol (chyba dzięki czerwonemu winu). Mocz: historia, którą znam po wszystkiej najboleśniejże szczegóły. Wątroba: zespół Gilberta, poza tym w normie. Śledziona: lekkie odstępstwo od normy. Kilka określeń, których nie rozumiem. Badanie krwi: za dużo białych ciałek. Skłonność do anemii. Raport z dializy, ale z moimi jelitami wszystko w porządku. Gorączkowo czytam dalej.

Żadnej infekcji. Żadnych przesłanek odnośnie do choroby Crohna. Żadnej salmonelli. Poza tym również żadnego HIV-u (widocznie tak czy owak objętego badaniem), chorób wenerycznych, choroby wrzodowej. Noż, cholera, niczego. Nie mam niczego poza zrujnowanymi nerkami. Tygodniami zasrywałem się na śmierć, a zdaje się, nic mi nie dolega. Rzucam list na stół w salonie. Słyszę wiatr wokół domu, porywy śniegu, które wywołują delikatny szmer, uderzając w wolnostojący mur przy wschodniej stronie domu. Biorę whisky. Kładę się spać z dziwną mieszaniną strachu, podniecenia i radości w brzuchu. Jest wpół do jedenastej. Jutro wieczorem dializa. Jakbym jej, kurde, wyczekiwał. Zwyczajne życiowe sprawy.

Hans Mattfersen jest człowiekiem, który nie mówi wszystkiego. Mężczyzną, który wygląda rezolutnie, stylowo, inteligentnie i ciepło, a który w swoim wnętrzu znajduje same wątpliwości, podważa siebie samego, nie znosi niczego, co go męczy. Hans Mattfersen jest życzliwy.

Mimo niemiecko lub duńsko brzmiącego nazwiska rodzina Hansa Mattfersena pochodzi, jak sam twierdzi, z Korsyki. Jego majątni rodzice, którzy z niejasnych powodów uciekli z Belgii na początku lat trzydziestych, mieli się w latach pięćdziesiątych przeprowadzić na Korsykę, gdzie w położonej na południu niewielkiej nadmorskiej miejscowości Bonifacio urodził się Mattfersen. Dorastał wśród zapachów „wonnej wyspy”, jak chętnie powtarza za Francuzami. Już jako dziecko słyszał opowieści o legendarnej żegludze w dawnych wiekach – trudnym lawirowaniu wśród gwałtownych prądów; znana historia mówiąca, że marynarze również w nocy wiedzieli, że zbliżają się do Korsyki, ponieważ z odległości wielu kilometrów czuli zniewalający zapach makii, egzotycznych zatoczek, do których w dawnych czasach zawijały statki z zakazanymi ładunkami. Mattfersen dorastał wśród ekstremalnych wahań temperatur pór roku: niespodziewanie ostre i lodowate zimowe dni w górach wyżej, nagłe ciepło, gdy słońce przebija się przez chmury i na chwilę wszystko ogarnia upał, zanim znowu nastanie mróz. Pamiętał wąskie uliczki, wzdłuż których dzikie świnie i małe brązowe krowy wolno chodziły lub drzemały w upalne letnie popołudnia. Przez pierwszy rok szkolny uczył się w prostej wiejskiej szkółce, gdzie ubóstwiał swojego nauczyciela, człowieka, który każdej wiosny chodził na piechotę z Bonifacio do Ajaccio i z powrotem. Hans Mattfersen, jak stanowczo twierdził, uczył się gry na skrzypcach u wytwornej pięćdziesięcioletniej kobiety.

Mieszkała w małym domu, którego niemal płaski dach znajdował cień pod eukaliptusem. Jej córka była jego pierwszą wielką miłością; zamienił z nią ledwie słowo.

Mattfersen był dobrym uczniem; rodzice posłali go do Ajaccio. Później, choć nie można po tym znaleźć żadnego śladu w administracji uniwersytetu, dzięki stypendium udał się na studia hermeneutyczne do Turynu. Kiedy chciał się rozerwać, ćwiczył transpozycję na skrzypce *Mikrokosmosu* Bartóka. (Twierdził, że przez długi czas studiował muzykę Bartóka, choć inni mówią, że nie potrafi przeczytać ani nuty). Prześledźmy jego opowieść, tak jak ją zanotowano w aktach sprawy 046.HM/JDV.03. Wstąpił do konserwatorium, żeby zobaczyć, czy może się zapisać na lekcje skrzypiec dla zaawansowanych. W kafeterii nawiązał rozmowę z dziewczyną, Césarine (jej imię jest znane z pierwszego śledztwa, wszczętego po jego dziwnej śmierci), sopranem specjalizującym się w muzyce siedemnastego wieku. W tym czasie studiowała *Leçons des morts*, utwór prawie nieznanego osiemnastowiecznego kompozytora Sébastiena de Brossarda. Śpiewała w małym kościele w bocznej ulicy gdzieś na skraju miasta. Ponadczasowe piękno tej muzyki zapierało Hansowi dech. Zapomniał o ekspresjonizmie Bartóka, przepisał dziesiątki barokowych arii, z utworów kameralnych robił wersję na skrzypce i akompaniował młodej kobiecie; w opuszczonym kościele, w którym mieli próby, jej głos brzmiał niezwykle czysto. Tamtego popołudnia, gdy na zewnątrz było gorąco, a oni ćwiczyli w mroku chłodnego kościoła, z Mattfersenem musiało się coś stać. Nie żeby konkretnie dużo z tego pamiętał. Tylko oszołomienie muzyką, czystością jej głosu, lekko narzmiące żyły na jej bladej szyi, to ciche święto piękna stojące wobec znaku śmierci – lekcje śmierci, śmierć entuzjastycznie witana przez młodą kobietę, która śpiewała, podczas gdy on najwidoczniej grał na skrzypcach. To, powiedział później, było wszystko, co jeszcze widział przed sobą – jej twarz z trudem sobie przypominał, choć twierdził, że nadal prawie nieustannie o niej myśli. Może nie udawało mu się już przywołać jej obrazu przed oczy duszy, ponieważ próbował zbyt często i zbyt umyślnie; jakby źródło jego wyobraźni wyschło, podczas gdy tęsknota za tymi popołudniami nie przestała go dręczyć. Nasz wiek, dwudziesty, jest prawdziwym wie-



kiem baroku, powiedział jej kiedyś Hans i przesunął palcem po jej ustach. Chwilę później się objęli. On nucił, ona słuchała echa odbijającego się od kolumn. Patrząc przed siebie, rysowała mu kółko na ramieniu. Wziął do ręki kosmyk jej czarnych włosów; powolny, przeczący ruch głowy, którym się wyswobodziła. Ponownie sięgnęła po partyturę i powiedziała „chodź”. Podjęła arię. Przez otwarte drzwi kościoła przebłyskiwał drżący upał; jakby dzień na zewnątrz roztrzaskiwał się na murze chłodu, nie mogąc wejść do kościoła. Świat zamknięty na zewnątrz. Coś się wydarzyło – coś, co go wewnętrznie złamało przez nadmiar nadziei. Rodzaj nostalgii za czymś nieistniejącym, uczucie, którego nie potrafił pojąć. Lśniąca, słodka trucizna. Trudna do opisanego urzędowym językiem, lecz pewne wersje jego opowieści niejednego każą się domyślać.

Któregoś dnia dziewczyna przyprowadziła kontratenora, poprosiła go o zaśpiewanie drugiej partii wokalne z *Leçons des morts*. Od tamtej chwili muzykowali w trójkę; głos chłopaka, o ile to możliwe, był jeszcze bardziej oszałamiający. Kiedy te dwa głosy zaczęły się przeplatać w *Ego sum pastor bonus*, opuszczał czasem skrzypce i słuchał, a w głowie mu huczało. *Cor contritum et humiliatum nunquam despicio* – kręcąc głową, wyszedł z kościoła. Usiadł pod platanem na placu i włożył rękę w chłodną wodę studni. Wydawało mu się, że woda pociemniała w biały dzień – jakby miała własny rytm, rytm śmierci, w którą on się uwikłał przez uzależnienie od muzyki. Pragnienie śmierci to coś typowego dla młodych ludzi z nadmiarem emocji; ten, kto wie, jak smakuje choćby sam początek przejmującej grozą zimnej lawiny błota, nie chełpi się nim. Być może jeszcze zanim się przekonał, czym jest seksualna namiętność, jego najgłębsze pragnienie splątało się z tym gorzko-słodkim smakiem muzycznej śmierci.

Mattfersen, tak kilkakrotnie stwierdził, musiał powtórzyć pierwszy rok hermeneutyki. Césarine wyjechała na studia do Paryża i trafiła do Chapelle du Prince. Później widział jej zdjęcie na okładkach płyt. Nocami słuchał nagrań, leżąc i paląc, i zniknął w ciemnej studni tęsknoty za idealnymi chwilami, które już nie wróciły. Pragnienie czegoś idealnego jest złym kryterium; życie staje się nieznośne. Mattfersen napisał pracę doktorską o jakiejś kwe-

stii w związku z Faustem w literaturze i zaczął czuć awersję do siebie samego. Pozostał kawalerem, bywał w krótkotrwałych związkach, które stale kończyły się w momencie wyznania, w chwili, kiedy oddychającej mu do ucha kobiecie musiał powiedzieć:

– Nie chcę tego. Nie mogę.

I odchodził.

Podczas golenia patrzył w lustro i zastanawiał się, ile dni jeszcze wytrzyma, nie próbując, jak by to było, gdyby na chwilę przystawił brzytwę w poprzek. Ta myśl dużo mu już dała. Wystarczająco dużo, żeby z życzliwością wyjść z domu, pozdrowić kolegów w instytucie, do południa zagrzebać się w książkach, samotnie zjeść lunch na mieście, a po południu opracowywać notatki. „Ideały są po to, żeby ukrywać prawdziwe powody”. Starannie przepisał to do notatnika moleskine. Żył w języku niemieckim, włoskim i francuskim. O tym, że w najwcześniejszym dzieciństwie rozmawiał kiedyś z rodzicami po niderlandzku, prawie zapomniał. Do chwili, gdy musiał pojechać do Brukseli po kilka dokumentów związanych ze studiami i ze zdumieniem stwierdził, że tu i ówdzie mówi się obcym językiem, który brzmi dla niego znajomo. Nie odbierał go jako języka swojego dzieciństwa – to osobliwe, ale kiedy słyszał ludzi mówiących tak gardłowo i twardo, widział tylko ścieżki południa, czuprynę kołyszącą się za ogrodowym murem, zębatą twarz w górskiej wiosce, a nagle tamtą twarz córki pierwszej nauczycielki muzyki. Stali na pochyłej uliczce nad morzem, rzuciła mu niebieską piłkę. Ujrzał tamten rozdzierający obraz przed sobą, gdy siedział w tramwaju, który ze zgrzytem przecinał mokre od deszczu ulice. Dziewczynka ponownie rzuciła mu piłkę. Początkowo nie rozumiał gry; miał zaledwie cztery lata. Za każdym razem, gdy piłka trafiała w jego ręce, chciał ją zatrzymać.

– Odrzuć ją, odrzuć, to dostaniesz ją z powrotem! – wołała po włosku dziewczynka.

Znienacka przypomniał sobie jej imię:

– Laura – powiedział na głos i przestraszony spojrzął w zamkniętą nieprzystępną twarz starszego mężczyzny naprzeciwko. Ten zaś ujrzał przed

sobą prawie trzydziestoletniego człowieka o rudych włosach, gładko ogolonej twarzy, szeroko otwartych zielononiebieskich oczach, ubranego z odrobiną zbyt staroświeckiej elegancji, kogoś nie stąd. Starszy mężczyzna odwrócił prawy nadgarstek trzymany przed grubym brzuchem, z trudem popatrzył na fluorescencyjny zegarek, a potem na szybę, w której natrafił na własną twarz, po czym zamknął oczy.

Mattfersen wysiadł w pobliżu Simonislein i poszedł w kierunku bazyliki Koekelberg, dziwaczного architektonicznego zlepką stylów: jakby architekt pomieszał ze sobą wpływy prawosławne, wschodnie, a nawet żydowskie. Właśnie to go interesowało; chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tym człowieku. Miał spotkanie na Brukselskim Uniwersytecie Katolickim, małej uczelni, gdzie ku jego zdumieniu miał się znajdować manuskrypt, którego szukał.

Został przyjęty w biurze ze ścianami z niemalowanej cegły. Przewertował zamówiony dokument, zapytał, czy może zrobić parę kopii, wyrwał z niego, gdy był sam, trzy strony, skopiował parę tylko po to, żeby zachować pozory, poszedł się pożegnać z asystentem, który tymczasem znowu siedział pochylony nad stertą egzaminów, i wrócił tramwajem do dzielnicy Elsene, w której przebywał przez kilka tygodni.

– Umrzesz, leżąc – powiedział do lustra w wynajętym pokoju.

Stos książek działał mu na nerwy; zrzucił je ze stołu i poniekąd z przyjemnością słuchał ich łomotu i furkotu na podłodze z desek.

Stypendium przyznano mu na trzy miesiące. Pod koniec tego okresu znowu trochę mówił po niderlandzku, lecz wszystkie strzępy i twarze zniknęły – język utracił boski blask z dzieciństwa, swój staroświecki urok i spokój. Wydawał mu się teraz twardy, chropowaty i pozbawiony smaku. Bał się, że ten surowy akcent naruszy śpiewność jego włoskiego lub francuskiego. Jak najmniej używał języka, który kiedyś był mową jego dzieciństwa. Czy język może utracić swojego ukrytego boga? Koledzy z hermeneutyki ostrzegali go, żeby czytał filozofię mniej inspirowaną mistycyzmem, zwłaszcza nie autorów żydowskich. Czytał dużo tego, co początkowo wydawało się wnikliwe, a potem rozczarowywało. Myślał o rzuceniu studiów i powrocie

do Bonifacio albo jeszcze dalej, do górskiej wioski, w której rodzice spędzali lato (niezapomniane miejsce wysoko na skałach, gdzie przez całe wakacje czytał pod dziką wiśnią). Na uniwersytecie chodził wzdłuż surowych betonowych ścian, graffiti, plakatów i afiszy, przez opary dymu i zwietrzałego piwa, zapach potu w salach wykładowych, nieustannie wyjawiane opinie, szczebioczące cienie, do swojego małego biurka. Tylko raz, pod koniec nocnego przesłuchania, wymknęło mu się coś o gruzińskich krewnych, ale natychmiast uciał temat, a w późniejszych wersjach uparcie się tego wypierał. Kiedy wypłynęło nazwisko Madwaradze, poprosił o adwokata. To musiało być dwa tygodnie po śmierci dziewczyny. Mattfersen nigdy nie został aresztowany, kilkakrotnie zatrzymywano go tylko na długie przesłuchania.

Zadzwoił do matki, która od śmierci ojca mieszkała samotnie w Bonifacio. Powiedział do niej kilka zdań po niderlandzku. Przestraszyła się; nie od razu potrafiła znaleźć słowa.

Odpowiedziała mu po włosku, że nadal jest dziwnym chłopakiem. Wtedy ostatni raz rozmawiał z nią po niderlandzku. Nagle też zrozumiał, dlaczego siebie nie lubi: nie lubił swojej matki. Nie lubił nawet swojego pierwszego ojczystego języka (czyli tego, którym według niektórych źródeł właściwie nie byłby niderlandzki, lecz gruziński; dokumenty nie dają w tej kwestii wyjaśnienia).

Może dlatego, że ludzie po prostu nie są logicznie skonstruowani, następnego dnia zadzwonił do kolegi z Brukseli, aby dać mu znać, że przystaje na jego propozycję przetłumaczenia na niderlandzki swojej prawie już ukończonej dysertacji o Fauście i Constantinie Roubencie. Tłumaczkę już znał; następnego dnia zjadł z nią lunch w pobliżu dworca Zuidstation. Czy powinien najpierw dokończyć książkę jako dysertację, przepisać jako płynny tekst, usunąć z niej przypisy dolne i dopiero potem przedstawić? Czy od razu szukać kontaktu z wydawcą? Kobieta – trochę nieśmiała, z jakąś goryczą w głosie – powiedziała, że lepiej, żeby najpierw spokojnie dopracował całą książkę, ona natomiast chce zrobić próbkę tłumaczenia pierwszego rozdziału, z odroczeniem honorarium. Zna redaktora, któremu może ją

przedłożyć. Na dworze lało, porywy deszczu uderzały w szyby, zimno wniknęło w kości. Ludzie tutaj mieli szarawe piece na gaz ziemny, przy których siadali podczas takiej złej pogody – policzki rozpalone, wieczne papierosy z filtrem i korzenne ciasteczka w zasięgu ręki, źle palona belgijska kawa. Przytulność. To były jego ostatnie dni na północy. Tęsknił do stylowej pustki turyńskiego nieba.

Nikt w Turynie, tak później mówiła Marga, nie zapytał go, jak było w Brukseli; kiedy zaczynał mówić na ten temat, przyjaciele popadali w rozkojarzenie i pytali, czy słyszał ostatnią nowinkę o tym czy tamtym. Lubił anonimowe życie, które w ten sposób stawało się jego udziałem, a mimo to denerwowało go, że nikogo zdaje się nie interesować, co tam robił. Nie dało się tego uniknąć; każdy tkwił w swoim gorsecie – ci, którzy po jednym zakładają drugi, są skazani na melancholię i samotność. Ci, którzy przez całe życie pozostają związani z jakimś miejscem, nawet sobie nie uświadamiają, że mają wokół siebie kolor, zapach, dźwięk, coś, co nie jest oczywiste. Również i to przypomina depresję. Coraz bardziej przytłaczali go ludzie, którzy mieli gdzieś swoje miejsce. Jednocześnie męczyło go, że obce było mu jakiegokolwiek uczucie pobytu w domu. Mimo wszystko nie mógł się już jednak obejść bez tej zmiany atmosfery.

Postanowił, że nie zostanie w Turynie. W trakcie badania na jego biurku leżała szczegółowa mapa Tbilisi z czasów Stalina.

Cały miesiąc spędził u matki w Bonifacio. Postanowił, że woli nie zlecać tłumaczenia dysertacji na niderlandzki; jaki miałoby to sens? Wolałby tłumaczenie na angielski, myślał, to by mu przynajmniej jakoś pomogło dalej. Dalej dokąd? Nie miał pojęcia. W końcu tłumaczka zrobiła próbkę tłumaczenia bez jego zgody i wysłała do wydawnictwa, w którym pracował John de Vuyst.

Kilka lat wcześniej w Turynie. Błahe zdarzenie z poważnymi konsekwencjami.

Kiedy Hans Mattfersen wszedł do małego antykwariatu, od razu dostrzegł dwa obwiązane sznurkiem maszynopisy. Dwie części oprawione w staroświecko poplamioną okładkę, czarny grzbiet z niezdarnymi złożonymi literkami w języku pomiędzy cyrylicą a czymś jak pismo arabskie. Poniżej zwykłymi literami widniało imię i nazwisko: Constantin Roubert. Kiedyś o nim słyszał, nigdy nie czytał. Wziął do ręki związane ze sobą części.

Chciał kupić maszynopisy, ale sprzedawca siedział zakopany w listach bibliograficznych. Krótkowidz, na nosie inteligenckie okulary do czytania. Mattfersen poczuł podekscytowanie, wziął pakunek do ręki, rozejrzał się, zakaszłał, mężczyzna nadal nie podnosił wzroku.

– No dobrze – powiedział Mattfersen i wyszedł.

Tam zatrzymał się zdumiony. Dlaczego to zrobił? Czy kradzież była tak łatwa – coś z innego świata, nie tego porządnego, w którym się wychował, typowego dla gatunku ludzi, co do których nie miał żadnych wyobrażeń? Czy on, Hans Mattfersen, naprawdę dokonał kradzieży? Czy tak łatwo było wyjść poza własną normę, własne wyobrażenie uporządkowanego świata? Pokręcił głową, chciał natychmiast zwrócić pakunek, pomyślał wtedy, że to dość melodramatyczne, stał przez chwilę, patrząc przed siebie, zrobiło mu się zbyt ciepło w słońcu i poszedł dalej. Stopniowo zaczął go wypełniać jakiś rodzaj szczęścia. Doświadczenie wolności, przemożne poczucie, że w jego wnętrzu znajduje się ocean nieoczekiwanych możliwości. Nie tylko książki były jego, również gest, dzięki któremu stały się jego własnością. Żadnej transakcji, lecz akcja. Niezależność wywołała u niego lekki zawrót głowy. Równocześnie poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Od tamtego dnia Mattfersen kradł średnio cztery książki w tygodniu. Najpierw małe dzieła – nigdy dwa razy z rzędu w tym samym sklepie, nigdy nic rzucającego się w oczy, nigdy więcej niż jedną rzecz naraz. Stopniowo musiał podbijać wartość zdobyczy, żeby podtrzymywać napięcie. Zauważył, że kradzież dwóch książek, jednej po drugiej, o mniej więcej tej samej wartości i przy takim samym ryzyku przyłapania przyprawiała go natychmiast o nieznośne uczucie znużenia, odrazę do wszystkiego i wszystkich; aby tego uniknąć, za każdym razem musiało chodzić o coś odrobinę

bardziej emocjonującego, bardziej opłacalnego dla ego Mattfersena. Rodzaj narkotyku, którego dawkę musiał zwiększać, żeby popaść w odurzenie. To odurzenie składało się z różnych dziwnych składników: pogardy dla siebie, niewyraźnego podniecenia erotycznego, drobnych ukłuc zadufania, uczucia posiadania wreszcie czegoś tylko dla siebie, pielęgnowania przykrej i już niezbędnej tajemnicy (tak jak stale przesuwają się językiem po częściowo odłamanym zębie, niemal bezwiednie). Mattfersen ukradł pół biblioteki. W tamtym okresie, w którym powziął zamiar napisania pracy doktorskiej, przeczytał też opublikowane książki Rouberta.

Roubert to osobny przypadek w literaturze; jego bohaterowie projektują i wymyślają najbardziej szalone maszyny, które pozornie do niczego się nie nadają, lecz są nad wyraz przemyślnie skonstruowane. Mattfersen wykonał kilka eksperymentów, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mogły działać; ukradł nawet parę wartościowych starych sztychów, aby, wzorując się na Roubercie, fachowo je, by tak rzec, rozpirzyć. Zachwycała go bezznaczenowość w połączeniu ze skrupulatnością; gama możliwości otworzyła się przed jego wyobraźnią.

Kiedy wrócił do swojego pokoju i przeglądał pocztę, od razu zobaczył widokówkę z ładną głową Bartóka. Zaadresowaną na jego stary studencki adres i przesłaną na obecny.

*Caro Hans, che stiamo facendo ancora? Spero ti vedrò un giorno da qui. Sono a Torino nel maggio. Sono stancissima... Bacio da Césarine.*<sup>[2]</sup> Tel. 5068745.

Tak, co on wyprawiał? Czy chciał ją zobaczyć? Przed chwilą jeszcze tego nie wiedział. Był koniec kwietnia. Według tej wiadomości miała w maju zjawić się w mieście. Wiedział, że przed nią nie ucieknie. I najwyraźniej była śmiertelnie zmęczona. Nie miał ochoty na wysłuchiwanie opowieści o życiu, z którym się rozminął. Nie od niej. Wyszperał jednak starą płytę

winyłową z muzyką de Brossarda. Słuchał z zapartym tchem, spięty, ból w całym ciele.

Próbował mimo wszystko zadzwonić pod ten numer i stwierdził, że jest niewłaściwy.

Pewnego wieczoru, rozmyślając o dziwnym eksperymencie alchemicznym w Kownie, wszedł do księgarni z przecenionymi książkami, będącej zarazem antykwariatem, z aroganckim spojrzeniem wziął dwie części niemieckiego atlasu z 1943 roku i wyszedł. Chwilę później ktoś dorównał mu kroku. Krew uderzyła mu do głowy, serce zaczęło walić. Nie przestawał patrzeć tępo wprost przed siebie i szedł dalej. Po przyspieszonych krokach obok poznał, że śledziła go kobieta.

– Dlaczego to robisz?

Nie spojrzął na nią, uparcie szedł dalej.

Próbowała iść w tym samym tempie co on. Chciała coś powiedzieć, ale dostała zadyszki.

– Giovanni, dlaczego to robisz?

Tym razem nagle spojrzął. Spojrzął w twarz Césarine. Zaczął biec, przy przystanku tramwajowym przebiegł przez zatłoczoną ulicę, slalomem między autami, zniknął w bocznej ulicy. Stał tam, żeby złapać oddech. Książki rzucił na ziemię, odchylił głowę do tyłu i oparł o ścianę za sobą. Zamknął oczy. Przełknął ślinę. Zostawił rozrzucone książki, pobiegł z powrotem na przystanek, zobaczył Césarine wsiadającą do tramwaju, zatrzymał taksówkę, kazał jechać za tramwajem. Kiedy wysiadła sześć przystanków dalej, rzucił na tylne siedzenie dużą kwotę pieniędzy, śledził teraz dziewczynę z pewnej odległości. Szła nudną prostą ulicą prowadzącą na przedmieścia, wzdłuż niewielkiego parku, potem ścieżką przecinającą park. W końcu dotarła do krótkiej przecznicy, pogrzebała w torebce, wyjęła klucz, weszła do trzypiętrowego narożnego budynku. Czekał na skraju parku i próbował zobaczyć, czy dostrzeże jakiś ruch w którymś z okien.

Jasnoszara pogoda; duszna atmosfera, niewyraźne ciepło. Samochód dostawczy zaparkował kawałek dalej pod wysoką robinią. Na trzecim piętrze



rozsunięto do połowy zasłony. Był przekonany, że słyszy jej oddech. Zobaczył cień jej długich czarnych włosów. Muzyka de Brossarda zalała jego wspomnienia; słyszał skrzypce, włączający się alt, chwilę później przejmujący sopran. Czuł się tak, jakby obudził się we śnie. Znowu widział jej kościstą twarz, wyrazisty nos, bladą skórę, matową jak mleczne szkło. Duże, niezapomniane oczy, które prześladowały go przez te wszystkie lata (kiedy mówił o tym w czasie przesłuchania, zasłonił twarz rękami).

Czy jej rysy się zmieniły? Czy było widać, że się postarzała? Czy była sama?

Co miał zrobić?

Przez kradzież książek coś się w nim nieodwołalnie zmieniło. Owładnęło nim coś podstępnego. Również teraz poczuł ukłucie ekscytacji, gdy dotarło do niego, co mógł spróbować zrobić. Człowiek z tajemnicą żyje bardziej świadomie, pomyślał, a zaraz potem: Tracę siebie.

Nacisnął dowolny dzwonek z pierwszego piętra, powiedział do domofonu coś niezrozumiałego, drzwi wydały delikatnie charczący dźwięk. Nacisnął, zamek kliknął. Stał w środku w małym holu. Naprzeciw niego winda. Lepiej nie windą; za nim znajdowały się ciemne schody. Wchodzi na nie bezgłośnie. Dociera na trzecie piętro. Mały korytarz z trojgiem drzwi. Nigdzie żadnej tabliczki z nazwiskiem przy dzwonekach do mieszkań.

Po minucie gaśnie światło. Stoi w ciemności.

Teraz zaczynają do niego docierać odgłosy zza drzwi. Po lewej słyszy szumiący kran; po prawej łoskot. Za drzwiami przed nim nadal jest cicho. Słyszy własny oddech. Lekko naciska kłamkę. Unosi rękę do ust; zamyka oczy.

Siada plecami do środkowych drzwi. Po półgodzinie odchodzi.

Wraca do parku, zajmuje miejsce na ławce, z której może obserwować okno. Popołudnie rozplywa się jakby we mgle.

Kiedy zaczyna się zmierzchać, za na wpół rozsuniętymi zasłonami pali się ciepłe światło ściennej lampy. Wtedy następuje coś, czego się nie spodziewał, a co było nieuniknione: dziewczyna musi ćwiczyć. Słyszy, jak wy-

stukuje na pianinie kilka akordów, potem odzywa się ona sama. Imponujący, zarazem pospolity, pozbawiony wszelkiej magii z młodości, lecz pełen oczywistości, która zapiera dech w piersiach. Jej głos. Przytłumiony, jakby pochodził z bardzo daleka, jakby zbliżała się do niego poprzez te wszystkie lata. Przez chwilę ma wrażenie, że robi mu się niedobrze. Dziewczyna śpiewa coś z *Dydony i Eneasza* Purcella. Kontynuuje po trzydziestu taktach. Ponownie pianino, odlicza wraz z nim, wtedy rozbrzmiewa jej głos. Wprawia go w całkowitą konsternację; uderza się w twarz, walczy z rzewnym wspomnieniem, które go zalewa, klnie pod nosem, przestraszony rozgląda się dokoła. Biegnie przez park, pędzi spokojnymi ulicami do samego centrum. Tam trochę się uspokaja. Wchodzi do baru, wypija na stojąco dwa kieliszki białego wina. W jego wzroku pojawia się coś mrocznego, introwertycznego. Wie, co chce zrobić.

Następnego dnia idzie na zakupy, wszystko wsadza do szarej lnianej torby. Wszystko grzechocze i podzwania. Żelazo o żelazo. Koło południa jest w parku.

Widzi zasunięte zasłony, czeka pół godziny. W tym czasie przychodzą i dochodzą różne wspomnienia; dziewczynka z niebieską piłką; zimny kościół, fontanna pod wysokim drzewem przy placu. Dlaczego tutaj, w Turynie, nigdy nie odwiedził kościoła z całunem? Znajduje się nawet niedaleko stąd. Dobrze, może zrobi to jutro. Najpierw to, co postanowił.

Nie wie, jak długo tam czeka i obserwuje.

Nagle ogarnia go strach: dziewczyna z dużą torbą zakupów mija park, w którym on siedzi. Ma na sobie obcisłe czarne spodnie, obszerny biały T-shirt, brązowe kostki nad perłowoszarymi najkami. Chyba go nie zauważyła. On otwiera usta, patrzy za nią. Mucha siada mu na czole; uderza ją najmocniej, jak potrafi. Przeszywa go ból. Mucha tymczasem jest daleko. Młoda kobieta wchodzi do holu i przepada w budynku. On widzi, jak na górze znowu rozsuwa zasłony i znika w pokoju.

Kiedy po ponad godzinie na nowo zaczyna w mieszkaniu grać i śpiewać, on wykorzystuje szansę.

Za pomocą dłuta otwiera zamek w holu. Na trzecim piętrze idzie mu jeszcze łatwiej: solidnym śrubokrętem podważa drzwi na pół centymetra, jednocześnie wsadzając cienki śrubokręt ukosem do zamka, żeby odskoczył. Dźwięki pianina, które brzmiały dotąd cicho, teraz uderzają go w twarz jak fala. Intonacja arii Purcella. Kobieta siedzi w drugim pokoju, widzi ją przez otwarte drzwi. Przed nią widok na miasto. Siedzi pochylona, grając; prostuje się, żeby rozpocząć partię głosową. On przechodzi na palcach po wyłożonej parkietem podłodze. Światło robi wyłom między nim a nią. Po lewej widzi małą kuchnię, zakupy, które rozpakowała i postawiła na kredensie. Po drugiej stronie zaścielone wąskie łóżko, leży na nim nie dbale rzucona jasna część ubrania.

*Remember me, remember me, but ah – forget my fate.* Śpiewa to wolniej, niż trzeba. Podchodzi do niej, obejmuje dłońmi jej szyję, bierze głęboki oddech. Cisza, która teraz następuje, jest ogłuszająca.

Tamtego wieczoru nagle stanął przede mną mężczyzna, którego sam ściągnąłem sobie na kark. W restauracji, do której poszedłem z Ritą, łudzac się, że ona tego chce. Mięczak, wiem. Zawsze nim byłem. Ale to – to w całości wina Rity. W biurze, żeby mnie trochę zirytować, przypomniała mi o moim projekcie o waldensach.

Waldensi, mój Boże, *I couldn't care less*.

– Nie, Rito, zostaw to, okej?

– Łatwo ci mówić. Już widzę, jak ty tam siedzisz. Mr. No Project.

Jej zachrypnięty głos.

– Ranisz mnie, Rito.

– O, zamierzasz odgrywać rolę wiecznie odrzucanego małżonka, John? Mister Wydęta Wargo...? Przecież to był dobry projekt? Zamartwiasz się dzień po dniu. Nam też przykro patrzeć.

– Rito, moje nerki...

– Tak, wiem, twoje nerki. I twoje mięśnie. A przede wszystkim twoje gruczoły.

– Śmieję się z siebie.

– Nie śmieję się z ciebie. Tylko nie najlepiej znoszę ludzi, którzy się poddają. Zwłaszcza jeśli nie są mi obojętni. Wiesz, Dżońciu?

Wyczarowuje swój uśmiech z *Glamoramy*. W połowie popołudnia maluje sobie usta.

– *Bitch*.

Wzrusza ramionami z opalenizną z solarium.

– Swoją drogą, co zrobiłeś z tym pięknym manuskrypcem o Fauście i tym dziwnym francuskim pisarzu, jakże on się nazywał?

– Constantin Roubert. Odesłałem manuskrypt na anonimową skrytkę pocztową, z której go przysłano. Wiesz o tym.

– Rzeczywiście wiem, John, i to było świństwo z twojej strony. Chciałabym, żebyś to jeszcze raz dobrze usłyszał. Kompletny idiotyzm. To był przecież dob...

– Wiem, Rito, ale wymagał nieskończonej korekty. Drętwy, akademicki język, suchy i pedantyczny, złe tłumaczenie, mnóstwo błędów, zarówno gramatycznych, jak i składniowych... Mam wystarczająco dużo na głowie. Przyjęcie tego tekstu kosztowałoby mnie trzy miesiące pracy, a wiesz, jak u mnie jest.

– No ale teza była bardzo dobra? A historia? John, przecież pierwszą korektę możemy zle-cić-na-zew-nątrz, wiesz o tym. Dlaczego na litość boską go odrzuciłeś? Najwyraźniej nie masz żadnego dobrego powodu. Zawiść, czy tak?

– Nie wiedziałem, że jesteś w wydawnictwie spragniona rozpraw akademickich, skarbie. Sądziłem, że masz inne kompetencje.

– John, do cholery, ależ ty potrafisz być podły. Faktycznie, nie moim, lecz właśnie twoim zadaniem jest pozyskiwanie takich tekstów lub otaczanie ich opieką. To przecież ty zajmujesz się serią *Zacząć czytać inaczej*, nie? I jeśli trzeba tu komuś coś zarzucić, to spójrz w lustro, dobrze?

Rozzłoszczona idzie do swojego pokoju. Słyszę, jak wściekle klika myszką.

Zawsze żałuję. Zawsze żałuję, kiedy się sprzecam z Ritą. Lekka erekcja.

Wpatruję się w swoje ręce. Zmieniły się w ciągu ostatnich miesięcy. Parę brązowych plamek. Żyły wydają się wyżej położone. Palce spuchnięte. Nie wiem.

Mija pięć minut.

– Rito, nie zaklikaj tej myszki na śmierć.

Krótki chichot zza monitora.

Znowu kilka minut ciszy.

– John?

– Tak?

– Skserowałam tę książkę.

Zarozumiałe prychnięcie.

Wzdycham głęboko.

– Chcesz zobaczyć?

Wzdycham jeszcze głębiej.

Myszka komputerowa znowu jest katowana.

– Gdzie jest ta kopia?

Klikanie ustaje.

– Mógłbyś ją jeszcze raz przejrzeć, John?

– Rito, chodzi ci o Fausta czy o co właściwie? Dlaczego tak tego pilnujesz?

– Nie... po prostu. Spotkałam tego człowieka i wydawał się bardzo przekonujący.

– Co takiego?! Ach tak, wyszło szydło, pardon, diabeł z worka! Umówiłaś mnie za moimi plecami z autorem do mojej serii? Co to ma znaczyć?

– Nie, nie, nie, spokojnie. Nie wchodzę w twoje kompetencje, nie śmiałybym nawet. Jakby mnie to cokolwiek interesowało.

Jej ładna głowa wyłania się zza dwudziestopięciocalowego bezowego monitora.

Uśmiech.

– Spotkałam go przypadkiem.

– Jak to przypadkiem? Poznajesz twarz człowieka, jak robisz ksero jego książki?

– Nie, John, przestań w końcu. W zeszłym tygodniu byłam na odczycie o judaizmie i kulturze chazarskiej w klubie Trzy Fontanny. Podszedł do nas, żeby porozmawiać, i się przedstawił.

– No proszę, Rito, skarbie, od tej strony cię nie znałem. Ty na odczycie o Chazarach? Nawet nie sądziłem, że wiesz o ich istnieniu, no cóż, o ich dawnym istnieniu.

– Nie, jasne, macho myślą o kobietach tylko wtedy, gdy w pobliżu nie ma kultury. Zwłaszcza gdy się im podobaaaaają, co Dżońciu?

Przełykam jej słowa i milczę.

– Byłam tam, ponieważ mój obecny chłopak jest Żydem. Te kwestie potrafią go nieźle zirytować, mówię ci.

– Oho, masz chłopaka Żyda? Tego też nie wiedziałem.

Idiotycznie wpatruję się w jej czoło. Czuję, że odpływa ze mnie ta odrobina energii, jaką mam.

– Popatrz w szafie z archiwum pod M, John, leży na samej górze. Dziwne nazwisko, swoją drogą.

– Tak, jak to było?

– Maffersen? Nie, zaczekaj chwilę. Eee... Mattfersen. Hans Mattfersen. Czeka, przyniosę ci to.

Wstaje, jej obcasy wystukują dziury w mojej duszy. Mija mnie, kręci biodrami, wchodząc do przyległego pokoju z archiwum. Słyszę, jak przez moment coś mruczy.

Potem rzuca mi na biurko paczkę papierów.

*Faust i Constantin Roubert:*

*Kwestia chazarska*

*Niewyjaśniona historia*

*I manuskrypt, który zniknął*

*Hans Mattfersen*

Stoi, przyglądając się.

– No i? Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że twoi waldensi mieli coś wspólnego z Chazarami? I że tylko ty jeden to odkryłeś? Pomyślałabym tak: przecież ty się rzucisz na taki manuskrypt? Właśnie dlatego, że tego nie zrobiłeś, stałam się podejrzliwa.

Wzruszam ramionami. Ręce między kolanami, to zwykle pomaga.

– Nie, Rito. Odesłałem go, bo nie chciałem i nie mogłem już dłużej wracać myślami do tych swoich ambicji. Poza tym mówiłem o katarach, nie o Chazarach.

– Mały defetysta.

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– John?

– Tak, Rito.

Westchnienie.

Otwieram manuskrypt i czuję, że robi mi się niedobrze. Nie chcę tego. Nie wiem dlaczego.

– I jakim człowiekiem jest ten Mafftersen?

– Mattfersen, John. Szalenie miłym.

– Nie przypuszczałem.

– Hmm. W moim odczuciu mówił o swojej książce bardzo otwarcie i z entuzjazmem. Swoją drogą, ani odrobiny urazy z powodu odrzucenia. Zaoferował ją już innemu wydawcy. Istnieje też angielska wersja. Napisał ją po włosku, a potem sam przetłumaczył na angielski. Pracuje również nad przekładem niemieckim. Także sam.

– Olala. *Quel génie*. Niderlandzka wersja jest więc kolejnym tłumaczeniem z angielskiego? To dlatego.

– Proszę cię, John, przestań się wygłupiać. Weź to dzisiaj wieczór znowu do domu. Rzuć jeszcze raz okiem, a jutro pójdziemy sobie coś zjeść, dobrze?

– Ty? Pójdiesz ze mną coś zjeść?

– Chyba nie masz choroby zakaźnej albo czegoś w tym rodzaju?



Jakaż ona jest śliczna, kiedy tak patrzy w zamyśleniu z wykrzywionymi ustami.

– Dobra, dobra, wezmę to ze sobą. Ale tylko ze względu na to jedzenie.

– Wiem, John. Wiem.

Poklepanie po plecach. Śmieje się zadowolona. Wraca do swojego pokoju. Mysz komputerowa zdaje się radośnie klikać tak-tak-tak.

Piknięcie esemesa. *Want 2 cu. Call.*

Dziewczyna nagle znowu się pojawia, tańczy przed ekranem mojego komputera, między Ritą a mną, czuję się niezręcznie, a zarazem cieszę się, robi mi się duszno, chcę papierosa.

To nie pomaga. Drżące ręce. Wciąż to samo: kobiety, które się pojawiały akurat wtedy, gdy udawało mi się trochę o nich zapomnieć, ponieważ tęsknota za nimi nie miała sensu.

Kobiety, które w tamtym okresie widziałem wokół siebie, zdawały się jakimś hiperkulturalnymi drapieżnymi zwierzętami. Lubiły mnie przytulać, zwierzać mi się, nawet brać mnie nieoczekiwanie i dawać mi swoje ciało, hojnie, dumnie i wyzywająco, a potem odchodzić z czymś w rodzaju obojętnego zadowolenia. Czasem dostawałem czułego całusa na pożegnanie. Kiedy sam byłem samotny i dzwoniłem do nich, były niedostępne; kiedy okazywałem jakąś czułość, były lekko znudzone, a nawet rozczarowane; gdy jednak nie odzywałem się przez dwa tygodnie, dostawałem aż nazbyt przymilne wiadomości, mejla ze zdjęciem albo wyznaniem, prośbę o spotkanie, zapewnienie, że jestem kimś ważnym w ich życiu. Dużo słuchałem, milczałem i patrzyłem – niektóre chyba nie oczekiwały wiele więcej, zwłaszcza młodsze. Ich cielesne pragnienie płonęło gwałtownie i krótko jak słomiany ogień, wzruszało mnie w danej chwili; potem zdawały się o tym zapominać, nie miały czasu się nad tym zastanawiać, myślami były już gdzie indziej. Nie dopuszczałem do siebie nostalgicznych wspomnień, ale czułem, jak emocjonalnie się przez to spalam. Kobiety przychodziły i odchodziły, zawłaszczały mnie, kiedy miały taką potrzebę, i dawały mi odczuć, że warunek brzmi: tylko wtedy, gdy one mają na to ochotę. Akcepto-

wałem to. W pewnym momencie utrzymywałem cztery związki, cztery kobiety traktowały mnie jako swojego jedyne go powiernika, gdy po nocy z kochankiem, który nie spełnił oczekiwań, chciały przyjść się zwierzyć. Nastawiałem kawę, przytakiwałem, czasem przeczesalem pachnące papierosami włosy, czasem któraś z nich pytała koło południa, czy pójdziemy do łóżka, najpierw spaliśmy kilka godzin, budziliśmy się późnym popołudniem, wtedy dochodziło czasem do czegoś cudownego, intensywnego i niezobowiązującego. Potem leżała obok mnie z czerwonymi policzkami, rysowała mi kółka na piersiach, leżała z nogą na moim brzuchu, słodki oddech tuż przy mnie, nabrzmięte usta, które jeszcze docałowowały, tak jak coś może się jeszcze dopalać, leniwie i z zadowoleniem, powolne trzaskanie dusz. W moim odczuciu były to najpiękniejsze chwile – chwile, w których samotność była taka, jaka była, dzielona z kimś i do przyjęcia, ciepła i ospała. Rozmowy składały się z krótkiego zdania, wymruczanego niskim głosem, to znowu mojego pomruku, czasem prawie niesłyszalnego śmiechu, pogłaskiwania się nawzajem, pocałunku z powodu czegoś, co zostało powiedziane, dzielenia się papierosem. Pod wieczór brała prysznic; z ubolewaniem patrzyłem, jak znika w mroku, pachnąca, gotowa dla innych. Wysłałem esemesa późnym wieczorem, lecz odpowiedź nie nadchodziła.

Teraz to. Czy do niej zadzwonię? Najpierw trzeba załatwić sprawę tego Matolersena, powiedziałem sobie.

Wieczorem ponownie czytam akapit to tu, to tam, i tak wiem swoje. Jest to rzecz, która – jeśli zaangażuję w to wszystkie swoje siły – może dostać entuzjastyczne recenzje, lecz nie będzie się sprzedawać nawet przyzwoicie. Żeby być wiarygodnym, Mattfersen sam musiałby przedstawić zaginiony manuskrypt, a kategorycznie mówi, że nie może tego zrobić z bliżej niewyjaśnionych powodów. Mattfersen utrzymuje, że znalazł księgę uważaną za zaginioną, autorstwa francuskiego pisarza Constantina Rouberta. Księgę, w której Roubert twierdzi, że bazując na kilku starych manuskryptach, odtworzył język chazarski. Opracował podstawy gramatyki i składni. Fikcyjne, jak wszystkie zwariowane projekty Rouberta, czy odkrycie o światowym znaczeniu, które w niewytłumaczalny sposób plątało się gdzieś mię-

dzy fałdami historii? Mattfersen we wstępie wyraża nawet pewien sceptycyzm, lecz w miarę jak zagłębia się w teorie Rouberta, tak dalece ulega ich czarowi, że opowieść brzmi przekonująco. Zastanawiałem się nad tym. Roubert i Chazarowie? To brzmi bardzo nieprawdopodobnie, nie jest jednak zupełnie nie do pomyślenia. Mattfersen podaje przekonujące argumenty, również w odniesieniu do biografii Rouberta. To może być prawda, lecz nie to jest najważniejsze. Do tego, jak Mattfersen wszedł w posiadanie manuskryptu, zawsze jeszcze można się dokopać. Najbardziej jednak ekscytujące rozdziały z książki zarówno Rouberta, jak i Mattfersena próbują udowodnić, że legendarny Johann Faust, samochwała i przekupień z późnego średniowiecza oraz wzorzec późniejszej postaci literackiej u Goethego, był potomkiem Chazarów. Alchemiczne praktyki, które uprawiał, miałyby pochodzić z zaginionych manuskryptów w języku chazarskim. Chazarowie mieli intensywnie poszukiwać sposobu wytwarzania złota, żeby móc konkurować z bogactwem Konstantynopola. Mattfersen, w ślad za Roubertem, zebrał solidne materiały, jeśli chodzi o ten naród, który zniknął z powierzchni ziemi, a po swoim upadku wyroił się w krajach Europy Wschodniej. Późniejsi Chazarowie (nie ci z pierwszych, surowych wieków) byli narodem kupców i rzemieślników; wyznawali wiarę żydowską, nie będąc jednak Semitami. Wybrali tę wiarę po tym, jak jeden z ich kaganów – tak nazywali swoich przywódców – zorganizował obszerne debaty o trzech wielkich systemach wiary. Istnieją różne wersje tych debat. W jednej z nich zaproszony na chazarski dwór przedstawiciel islamu zostaje zamordowany, zanim na ten dwór dotrze, w innej kagan udziela chrześcijańskiemu wysłannikowi i imamowi rozsądnych odpowiedzi, lecz rabina uważa z kolei za mądrzejszego od siebie samego. Ponadto rabin przekonuje go, że nie trzeba być Żydem z urodzenia; można stać się Żydem, przyjmując naukę i tryb życia. Z tego powodu kagan okazuje się gotowy przyjąć żydowską naukę.

Większość historyków odrzuca tę opowieść o chazarskim wyborze religii jako wymysł. Chazarowie mieli być wyznawcami wiary żydowskiej z oportunizmu, żeby z jednej strony uniknąć aneksji przez wyznanie prawosławne państwa, w którym żyli, oraz przez islam z drugiej. Według Mattfersena Roubertowi udało się w tej zaginionej księdze prześledzić rodowód Fausta

aż do jedenastego wieku. Tak czy owak Faust mógłby się rzeczywiście wywodzić z takiego narodu poszukiwaczy, wędrowców, dyskutantów i nerwusów. Tak dowodzi Mattfersen. Doskonała *Spielerei*, lecz nieskładnie napisana.

Ponownie sięgam po sztandarowe dzieło Arthura Koestlera o Chazarach, *The Thirteenth Tribe*<sup>[3]</sup>. Pełno w nim moich uwag i podkreśleń. Mattfersen nie bez powodu z niego cytował; sprawdził źródła Koestlera i wprowadza prowokujące poprawki. Jest czuły na punkcie zarzutu o antysemityzm, którego ryzyko przy tej kwestii zawsze istnieje. Dla wielu Żydów twierdzenie, że aszkenazyjczycy wywodzą się z bliżej nieokreślonego kaukaskiego plemienia, a nie od Abrahama, jest już niewybaczalnym dowodem antysemityzmu.

Podobno Roubert przedstawił konkretne dowody chazarskiej tożsamości historycznego Fausta. Dlaczego więc jego manuskrypt zaginął? Jak Mattfersen zdobył ten egzemplarz? I dlaczego trudno o jakikolwiek list, jakikolwiek dokument, w którym Roubert napomknąłby o tym projekcie? To wszystko Mattfersen sprytnie pozostawia bez odpowiedzi.

Znowu jestem o tym przekonany: wydawca nie powinien się wdawać w takie spekulacje. Mattfersen napisał powieść, to wszystko. W beletrystyce broni się nawet bardziej szalonych twierdzeń. Ale w mojej serii dokumentów historycznych? Nie będę się ośmieszał. Powiedziałem nie, i koniec.

Zasypiam, śnię o Chazarach brodzących w ciemnej wodzie – wodzie, która w ciągu dnia staje się czarna, a nocą się rozjaśnia. Budzę się koło drugiej, wlokę się do łóżka, ponownie budzę się o szóstej, przepływa przeze mnie coś przyjemnego i wywołuje szok, od którego natychmiast trzeźwieję: *It's today*, dziś wieczorem idę z Ritą na obiad.

Dopiero tego wieczoru uświadamiam sobie, w jaką pułapkę wpadłem: Rita czeka już na mnie w restauracji i radośnie oświadcza, że pan Mattfersen również przyjdzie. Protestuję (bardziej dlatego, że jestem urażony tym, że Rita nawet tego jednego nędznego obiadu nie chce ze mną zjeść prywatnie) i mówię, że to działanie niezgodne z zasadami autorytetu zawodowego.

Jednym tchem dodaję, że mimo wszystko pozostaję przy swojej odmowie i że mogę jej to szczegółowo wyjaśnić. Bierze moją rękę, poklepuje ją, jakby głaskała pieska pokojowego, a ja opadam na krzesło. Zamówiony przez nią aperitif zostaje podany, zanim jeszcze łapię oddech.

Mattfersen każe na siebie czekać.

Rita jest poniekąd zdenerwowana, wygląda jednak olśniewająco. Ma na sobie czarną obcisłą sukienkę, włosy upięte. Pali papierosa, wyniośle i swobodnie, z lekko wulgarnym, typowym dla niej urokiem. Pyta, czy spotykam się z kimś teraz. Świadczyłaby o tym moja nagła zmiana stylu ubierania się, prawda? Uniesione brwi, wydepilowane i podmalowane. Nic jej nie mówię o kobietach, które przychodzą i odchodzą. Przytakuje, że rzeczywiście „z kimś” się spotykam, ale że to nic nie znaczy. Akurat kiedy mnie pyta, czy widuję jeszcze Margę, a ja chcę jej odpowiedzieć, że słowo „widuję” zaczyna mi wychodzić bokiem, jej twarz całkiem się wypogadza. Kieruje wzrok w punkt ponad moją głowę. Machinalnie się odwracam. Do naszego stolika podchodzi wysoki rudowłosy mężczyzna, szczerząc zęby w uśmiechu.

Rita się podrywa, całuje szarmanckiego, schylającego się w jej stronę mężczyznę w policzek, jakby go znała od dawna. Przeszywa mnie ukłucie zazdrości. Nie trzeba mi tłumaczyć spojrzenia ludzi, którzy zachowują się tak, jakby ich nic nie łączyło.

– Panie Mattfersen... to jest John de Vuyst...

Podnoszę wzrok i czuję uderzenie obuchem.

To on. Wiem to. To on. Prześladowający mnie rudowłosy potwór. Wszystko wiruje i kręci się, przelękam ślinę i biorę się w garść, i widzę, że Rita zdawkowym gestem zaprasza go, żeby usiadł – po drugiej stronie stołu.

To on. W głowie mi huczy, wiruje i kręci się, i chce mi się rzygać. To on, cholera, to on. Siedzi tu ze stoickim spokojem. Ani śladu wschodnioeuropejskiego akcentu, dystygowana intelektualna salonowa wersja Schwarzeneggera, do której Rita obscenicznie miło się uśmiecha i pyta, jak się miewa. Bez tego odrażającego pierścienia na małym palcu i właściwie też bez grubych wstrętnych włosków na palcach. A jednak. To on. To musi być on.

Serwetki robią się najpierw krwistoczerwone, potem fioletowe, a końcu *electric blue*.

Rita zaczyna dostrzegać, że jestem bliski omdlenia, obrzuca mnie nieprzychylnym spojrzeniem, w którym widać upomnienie, żebym się na litość boską zachowywał.

On tu siedzi, obawa moich nocy i dni, cham, który mnie ścisnął za gardło, i śmieje się, jakby spotkał dalekiego bogatego wujaszka, o którym słyszał dużo dobrego.

Czy mam mu dać kuksańca? Wrzasnąć? Krzyknąć do Rity, że dała się podejść kryminaliście? Zrobić scenę i uciec? Wyjść do toalety i zadzwonić na policję?

Esemes od dziewczyny: *Please, call now.*

W złości naciskam „Odrzuć” i chowam aparat do kieszeni spodni.

Mattfersen pije zaoferowany mu aperitif, cmokając, drań jeden, eleganci, a jednak trochę niezdarny, tak jak lubią kobiety. Jego oczy lśnią niewyraźnie, niczym u drapieżnego zwierzęcia, które gapi się na niedzielnych spacerowiczów przed klatką. Brzydzę się nim do głębi mojej głupiej męskiej duszy.

Wtedy on odwraca się do mnie i mówi, że rozumie moją odmowę. Tonem, jakim się komuś mówi, że zgarbione plecy nie są jeszcze takie złe i że wyjątkowo mu z nimi do twarzy.

Ignoruję jego uwagę i kosztuję z kieliszka.

W swojej bezczelności posuwa się więc dalej. Ma, do cholery, czelność poprosić o papierosa.

Kiwam głową w kierunku paczuszki, z oczami utkwionymi w stół, mruczę pod nosem, żeby się obsłużył. Rozzłoszczona Rita sama sięga po moją paczkę papierosów, proponuje mu jednego, podaje ogień moją zapalniczką, po czym rzuca nią mniej więcej w moją głowę. Mattfersen posyła jej zaraz spojrzenie, który mi przypomina *Ekstazę świętej Teresy z Ávila* Berniniego. Odkasłuję, wzdycham i wpatrując się w sztukce, kładę jedną rękę na drugiej. Aby zachować fason, chucham na nóż i wycieram go serwetką. Uno-

szę go nieco pod światło, żeby sprawdzić pod kątem jakiejś mikroskopijnej plamki. Kiedy mrużę oczy, trzymam nóż akurat na wysokości wyraźnego jabłka Adama Mattfersena. Zadowolony odkładam nóż, przez moment głośno węszę, zamykam oczy, wyobrażam sobie, że sukienka zsuwa się Ricie z ramion, i liczę do pięciu.

Potem spoglądam powoli, jakby mi przyszło patrzeć w twarz samego diabła. To nie on. Jego oczy są idealnie regularne; ten drugi ma szklane oko pod powieką jak zużyta torebka herbaty, ten egzemplarz nie. Dwoje jasnych, spokojnych, szczerych oczu, które chyba szelmowsko chcą mi powiedzieć: nieźle, prawda? Niczego dziś wieczór nie widać.

Brat bliźniak? Klon zesłany mi przez samego szatana? Podła sztuczka, którą urządziły mi przypadek i własne nerwy?

– No – odzywa się serdecznie i wydmuchuje mi dym w twarz.

Zdaje się zastanawiać, czy wypędzić mnie z mojej skorupy, czy jeszcze trochę pozwolić mi się pomęczyć.

Macham ręką przed twarzą i usilnie wyglądam przez okno. Tam zderzam się z naszym odbiciem; stolik z trzema postaciami, które wydają się unosić w przestrzeni nad nim, każda z osobna.

Zostają przyniesione karty menu, niepotrzebnie wielkie teczki w taniej czerwonej skórce, plus czarna z winami. Kelner kładzie kartę win obok talerza Mattfersena, jakby to była rzecz zupełnie oczywista. Ocena moralnej przewagi, znam to. Mój Boże, wyglądająca na kalifornijską pewność siebie tego człowieka w połączeniu ze współwinnym respektem ze strony tego kelnera – jakież wstrętne smaki wywołuje to w moich ustach.

– Coś z curry? – mruczy w stronę Rity Mattfersen.

– Do cholery, rzygi z curry – mówię wolno i z naciskiem, zanim to sobie uświadamiam. Z zadowoleniem uśmiecham się ponad stołem.

Mattfersen odwraca głowę jak nosorożec, któremu przeszkadzono w błotnej kąpieli, szukający pliszki, która podleciała zbyt blisko jego oka. Pokasłuje, zaniepokojony spogląda na Ritę, która z nienawiści do mnie przygryza dolną wargę, i ponownie zagłębia się w kartę.

Macham na kelnera i proszę o podwójną szkocką. Uśmiecham się szyderczo, gdy na mnie patrzą, i mówię, że mi to potrzebne z powodu złego trawienia.

Skoro Mattfersen jest już przekonany, że siedzi przy stole z debilem pierwszej klasy, nadchodzi mój moment. Kiedy z rzekomo zatroskanym spojrzeniem słucha opowieści Rity o wirusie w jej komputerze, stwierdzam nagle:

– To absolutnie niemożliwe, żeby Roubert mógł mieć cokolwiek wspólnego z książką, planem czy jakimkolwiek wyobrażeniem dotyczącym Chazarów. Znam jego biografię na tyle, na ile jest ona dostępna, z bardzo wiarygodnego źródła. Pańskie założenie to bzdura. Szkoda słów. Materiał na powieść. Nie przystaje do arogancji pańskiego studium. Dopóki nie przedłoży nam pan manuskryptu Rouberta, uznaję pana za fantastę.

Zgniatam papierosa na jego pecie i wydmuchuję nosem prawie niekończącą się kolumnę dymu. Wyrwam kelnerowi z ręki podwójną szkocką, upijam łyk i głośno odstawiam szklankę na stół. Mocno wpatruję się w nią, jakby w każdej chwili mogła się oddalić.

Mattfersen chyba to przeżywa, bo nie słyszę żadnej reakcji.

Rita gwałtownie wstaje, mówi, że musi do toalety.

Dobry ruch, Rito, przyznaję. Teraz nie mamy wyjścia.

On jednak pyta mnie, czy lubię médoc, łajdak. Czy mam jakieś preferencje. Wymieniam z głowy najdroższe saint-estèphe, które mają tu w karcie. W przystępnej cenie, za obiad płaci wydawnictwo, szkoda kieliszka z arszenikiem, który wypiję.

– Zna pan pana Klossena? Mieszka po sąsiedzku, o ile się nie mylę.

Krztuszę się drugim łykiem szkockiej i wypluwam z powrotem do szklanki łyk letniego alkoholu, który doszedł mi do gardła.

Po raz pierwszy patrzymy sobie prosto w oczy.

W niebieskich tęczęwkach jest coś żółtego. Kozioł. Cholerny szatański kozioł.

– Wydaje się mianowicie, że ten pan... jak by to powiedzieć...



– Jest faszystą – mówię. – Dwudziestoczerokaratowym antysemickim rewizjonistycznym skurczybykiem.

Przytakuje, uśmiechając się ze znużeniem, jakby usłyszał kiepski dowcip.

– Ale również człowiekiem o własnych odrębnych poglądach na temat semickiego charakteru wschodnioeuropejskich Żydów aszkenazyjskich, czyż nie?

Uśmiecha się szeroko i czeka z takim spojrzeniem w oczach, jakbym teraz dostał dziesięć sekund na zastanowienie.

– A skąd pan zna kogoś takiego?

Opryskliwie wyciągam z paczki nowego papierosa i patrzę na Mattferse-  
na, jakbym go przyłapał na dłubaniu w nosie.

– Spotkałem go w Turynie na sympozjum o Chazarach.

– Niewątpliwie. Na połowie stron o Chazarach są linki do mętów społecznych.

– Przesadza pan, panie de Veest.

Ignoruję go. Rita wraca. Pyta, czy już zdecydowaliśmy, co będziemy je-  
dli. Jej usta są ciemno pomalowane, jak skrzepła krew, tylko tłusta. Na led-  
wo zauważalne skinienie ręką kelner jak szczupak daje susa w jej kierunku,  
zamawiamy. Mattfersen je wyłącznie rybę i nic z curry. Nie znosi tej przy-  
prawy. Żartowniś. Mogłem się domyślić. Usta Rity poruszają się jak dwa  
szybko kopulujące ślimaki.

– Jako danie główne proszę pierdołę, przepraszam, solę z curry.

Szczerzę zęby do Rity, która z grymasem złości na ślicznej buzi dalej stu-  
diuje kartę.

Czy chcę białego wina do ryby. Nie chcę. Jeśli o mnie chodzi, to grzańca,  
skoro Mefisto siedzi przy moim stole. Czy czerwone może być zatem  
w temperaturze piwnicy? Rita prosi o to zjadliwie. Będę musiał za to odpo-  
kutować, to pewne. Mój najbliższy tydzień pracy stanie się piekłem subtel-  
nego dokuczania.

Oboje z Mattfersenem zamawiają pouilly-fuissé, albo nie, najdroższe chablis, tak czy owak, Hans, pardon panie Mattfersen, pan wybiera. Mam całą butelkę pouilly-fuissé dla siebie samego, wino, którego nie znoszę, zwłaszcza gdy piję szkocką.

– Znasz tę opowieść o odcinaniu ręki u Chazarów?

Pyta, jakby zamierzał opowiedzieć świetny dowcip, przenosi wzrok ze mnie na Ritę i z powrotem. Oczekiwanie w tych kozich oczach, mój Boże, co ja tu robię.

Sięgam po wykałaczkę i wsuwam ją między dwa przednie zęby. Oglądając swoje buty pod stołem, mówię:

– Wszyscy wiedzą, że to wymysł.

Z tą wykałaczką brzmi to dość sycząco.

Mattfersen należycie trzyma fason, lecz zwraca się do Rity:

– Podobno ze skóry dłoni wrogów robili swego rodzaju myjki do ciała, które wysyłali do domu. Nie dłużej jednak niż do ósmego wieku. Brutalna faza, powiedzmy. Czasy, w których odgrywali rolę straży granicznej na przemian Konstantynopola i Rusi.

Śmieje się. Zaprawdę, świnia się śmieje.

– Wymysły, czyste bzdury.

Mówię to do mojej serwetki. Rozglądam się znudzony, jakbym nieopatrzenie szukał możliwości ucieczki. Nie uchodzi to uwagi rudego Hansa.

– Mam świadomość, że nie każdy chce słuchać spekulacji tego typu, panie Dfuyst. Na pewno nie wtedy, gdy, jak by to powiedzieć, samemu się kiedyś miało poczucie, że ten temat należy do ciebie. Instynkt terytorialny towarzyszy spekulacjom, czyż nie?

Uśmiecha się bardziej jadowicie, niż uważałem za możliwe w przypadku kogoś z taką głową modnisia.

Dobrze, a więc wojna. Głęboko wciągam powietrze i wtykam zawilgotniałą wykałaczkę, oblepioną żółtawą grudką wydłubaną z zębów do koszyczka z pieczywem. Spośród śnieżnobiałych zębów Rity dobiega mnie jej „o, fuj”.

Mattfersen oszczędnie i uważnie siorbie do dna swój aperitif. Kelner z chablis stoi przy jego krześle, nalewa mu odrobinę. Mattfersen się nie spieszy, odłamuje kawałek chleba, wolno przeżuwa, powoli i zdecydowanie przełyka, po czym wypija łyk wody, a w końcu, w chwili gdy kelner z rozdrażnieniem prostuje plecy, podnosi kieliszek z odrobiną chablis pod światło świecy na stole. Upija, kiwa głową, nie podnosząc wzroku.

Kelner nalewa mi chablis. Potrącam jego rękę, przez co rozlewa wino. Przeprasza, zgrzytając zębami, drugą ręką zabiera kieliszek, nalewa do pełna Ricie, potem Mattfersenowi.

– Nie cierpię na żaden instynkt terytorialny, Mattfersen. Ten temat mnie nie rusza. To ślepa uliczka, zabawa dla amatorów i fantastów, dobra do serbskich powieści pełnych bredni, czego tylko chcesz. Ale nie do badania.

Najwyraźniej musi najpierw powiedzieć Ricie, że chablis jest dobre. Jej ciemnoczerwona ślimacza para wije się we wdzięcznej adoracji.

Dostaję swoje saint-estèphe. W moim odczuciu jest dość ciężkie i odrobinę kwaskowate. Mówię, że jest wstrętne, że smakuje korkiem, że ma osad, ale że je wypiję. Od razu wypijam ostatni duży łyk podwójnej szkockiej. Kelner nalewa mi do połowy kieliszka i szorstko stawia butelkę tuż obok mojej ręki. Celował w moje palce, łajdak, to akurat pewne. Wciskam mu w łapę pustą szklanekę po whisky, pozwalam odejść na dwa kroki, po czym wołam:

– Ej, ej!

Odwraca się rozdrażniony i patrzy na mnie tępym wzrokiem.

– Jeszcze jedna podwójna szkocka, głuchy jesteś?

Kelner szybko przerzuca spojrzenie z Rity na Mattfersena, pochyla głowę, jakby miał iść pod wiatr.

Idealnie pomalowanymi paznokciami Rita dłubie w zębach i nie może się powstrzymać, żeby nie bąknąć pod nosem „cham”. Mattfersen kładzie na moment rękę na jej dłoni, uspokajając ją. Tych dwoje, do cholery, jest parą. Oni, do cholery, robią to ze sobą i siedzą tu, uśmiechając się drwiąco, jakbyśmy mieli rozmawiać na jakiś poważny temat. Tych dwoje wykorzystuje

mnie, żebym grał w te ich gierki wokół tej jego nieudanej książki. Za chwilę w łóżku będą ze mnie boki zrywać. Podczas gdy Rita będzie piszczała jak gniazdo młodych myszy, a on gwałcił ją z uśmiechem, podziękuje mu za jego szczodre dary i pochwali chazarskie niebo.

Jakby ta myśl dodawała mi sił, z kieszeni spodni wyciągam komórkę, włączam, wstukuję kod, czekam, aż karta SIM zostanie aktywowana, dzwonię do dziewczyny. Jest zaskoczona, a w jej głosie brzmi nieufność. Pytam z naciskiem, czy mogę do niej za chwilę przyjechać. Że być może zostanie na noc, dobrze skarbie? Kończę hardo. Napotykam współczujące spojrzenie Rity.

– Wiesz – mówi filozoficznie Mattfersen – ta cała kwestia jest oczywiście żartem, który wymknął się z ręki. Wystarczy pomyśleć choćby o sposobie, w jaki Chazarowie stali się wyznawcami religii żydowskiej...

Rita patrzy teraz wyczekująco, jej rzęsy trzepoczą jak motyle na pokrzywie, on szczegółowo opowiada więc swoją opowieść, zbyt intensywnie wymachując drogocennymi łapskami, błyszcząc złotymi zębami, co niektórych ludzi czyni tak nieznośnymi jak pedofilskiego szansonistę w czasie wojny.

– Jeśli prawdą jest, że Chazarowie, jak twierdzi Arthur Koestler w *The Thirteenth Tribe*, w rzeczywistości są przodkami wschodnioeuropejskich aszkenazyjczyków, i mielibyśmy liczyć się z tym, że większość żyjących dziś Żydów właściwie pochodzi od tych wschodnioeuropejskich ludzi, którzy nie byli Semitami, to ich przodkowie nie są potomkami Abrahama, Izaaka i Jakuba, a ich krew zawiera więcej śladów Hunów i mieszkańców Kaukazu.

– Wiem – mówię znudzony – wiem, też mam Google'a w komputerze.

Mówi dalej, jakby dźwięk po mojej stronie był wyłączony. Szeroko uśmiecha się do Rity.

– Nic dziwnego, że Koestler jest znienawidzony w wojowniczych kręgach żydowskich. Jeszcze niedawno jakiś nowojorski profesor napisał: „Koestlera należy na zawsze postawić pod pręgierzem”. Tolerancyjne to ra-

czej też oczywiście nie jest. Odrobina spekulacji jest dobra dla demokracji, prawda?

Chichocze jak dziecko, które pod stołem zagląda ukradkiem dorosłym między nogi. Rita śmieje się głupawo, patrzy na mnie wzrokiem typu: wszystko będzie jeszcze dobrze, zobacz przecież, jaki mądry jest ten piękny pan. W łóżku na pewno – myślę i odpowiadam jej spojrzeniem pełnym zimnej pogardy. Mattfersen niewzruszenie peroruje dalej:

– Kiedy Koestler pisał swoją książkę, chciał tym twierdzeniem udowodnić, że antysemityzm to nonsens, zważywszy, że prześladowani przez nazistów *Ostjuden* byli w rzeczywistości mieszkańcami Kaukazu lub pół-Euroazjatami, na pewno jednak nie Semitami; w ten sposób waliła się cała teoria przenikająca filmy nienawiści, takie jak *Wieczny Żyd*. Przedstawione tam z taką odrazą semickie cechy Żydów w gettach byłyby więc po prostu cechami pochodzenia euroazjatyckiego... Obecnie sprawa wygląda odwrotnie: wiele arabskich antyżydowskich stron internetowych wykorzystuje książkę Koestlera, żeby wykazać, że Żydzi są w zasadzie wschodnioeuropejskimi oszustami, że nie mogą sobie rościć żadnego prawa do żadnej części dawnej Palestyny, że izraelska tożsamość jest czystą fikcją. Chazarska historia, kiedyś dowód na to, że niesłusznie prześladowano Żydów, staje się teraz instrumentem w rękach antysemitów, którzy w dodatku twierdzą, że znienawidzeni przez nich Semici nie są Semitami... Rozumiesz?

Odbieram drugą szkocką i zachowuję się tak, jakbym się koncentrował na musze. Przypomina mi się film o chłopcu, któremu rodzice paskudnie dokuczali, a któremu udało się w końcu przeciąć nożyczkami na pół muchę w locie. Kiedy film się skończył, a mucha w dwóch kawałkach leżała na czerwonym linoleum, powiększona pięćset razy, publiczność w sali biła brawo. To było, zdaje się, jeszcze w starym Cinema Pathé. Biorę nóż i próbuję trafić w muchę. Macham ze trzy razy, ocierając się niemal o zbyt wielkie ucho pana Mattfersena. Rita wpatruje się w niego, że tak powiem, z uwielbieniem, ale widzę, że usilnie stara się zachowywać tak, jakby mnie nie widziała. Jednocześnie przebiegle kalkuluje swoje szanse na to, żeby mnie jutro definitywnie przekonać.

– Brakuje ci już tylko tego pieprzenia o *Ethnic Bomb* – mówię do Mattfersena i wypijam łyk.

– Właśnie – woła – to jest w tym wszystkim najgorsze!

Wzruszam ramionami i ze złością potrząsam głową.

Rita pyta wielkimi oczami, co to takiego.

Interweniuję zmęczony, tłumacząc jej, jakbym objaśniał bajkę dla dzieci.

– Niektórzy rewizjoniści, droga Rito – wymawiam „r” z takim naciśkiem, jakbym zwariował – twierdzą, że izraelski wywiad, czyli Mosad – przy „s” opluwam Mattfersonowi rękę – od lat pracuje nad... sssprytną chemiczną bombą... – Z całej siły uderzam w stół, kieliszki się chwieją, Rita jakby podskakuje i krztusi się. – Bombą, która miałyby niszczyć tylko określony materiał genetyczny, innymi słowy: działanie chemiczne ukierunkowane tak precyzyjnie, że może zniszczyć wyłącznie określony materiał DNA... – Podrywam się z krzesła, a ludzie przy innych stolikach zaczynają patrzeć w naszą stronę, podnoszę głos o pół oktawy: – Tak żeby dało się stworzyć bombę – ponownie tak mocno uderzam w stół, że sztucce podskakują, mam nadzieję, że Rita puści bąka – która będzie rozróżniała rasy, bombę, która, powiedzmy, zabije Arabów, a oszczędzi Żydów. Co jednak, jeśli sami Żydzi nie są Żydami? Rozumipani? – Niczym zmęczona diwa opadam z powrotem na krzesło i ocieram pot z czoła. Węszę z pogardą, spoglądając na sufit. Bez ogródek i w stylu *back to reality*, negując Mattfersena, dodaję: – Samo się przez się rozumie, Rito, *my dear*, że to bzdury zasługujące na największą pogardę, które można znaleźć w przeklętym internecie.

Zamykam oczy i uśmiecham się z zadowoleniem. Teatralnie je otwieram, patrzę to na niego, to na nią jak pies na pustą miskę. Trzymam paczkę papierosów przed nosem Rity, przesuwam ją tam i z powrotem. Rita jest tak osłupiała, że się częstuje. Zapalam najpierw sobie, a dopiero potem jej. Nawet tego nie zauważa.

– Istotnie, załóżmy – mówi uroczyście ryży Schwarzenegger – że badania nad *Ethnic Bomb* są rzeczywistością i że Mosad jest z nimi na bieżąco: czy nie stoimy wówczas przed czymś niezmiernie absurdalnym? Jeśli bom-

ba potrafi rozróżniać między tak zwanymi Żydami a Arabami, rozróżnia w istocie między materiałem genetycznym Euroazjatów i Arabów. Prawdziwi Semici, którzy niemal zniknęli, musieli bowiem mieć mniej więcej ten sam materiał genetyczny co Arabowie... Bomba zabiłaby więc właściwie prawdziwych Semitów, o ile jeszcze istnieją, wraz z Arabami, a oszczędziłaby tylko wschodnioeuropejskich, bo chazarskich, Żydów, którzy nie są „prawdziwymi” Żydami... Zatem bomba, która mogłaby Chazarów, gdyby istnieli albo gdyby wrócili – dlaczego uśmiecha się teraz tak naiwnie – bardzo interesować w celu zdobycia miejsca w międzynarodowym kalendarzu.

Wzdycha i posyła mi porozumiewawcze spojrzenie.

Patrzę w drugą stronę.

– Żadnych prawdziwych Żydów? Co masz na myśli?

Usta Rity są lekko otwarte ze zdumienia; postkoitalne omdlenie dwóch wyczerpanych winniczków.

Postanawiam jeszcze przez chwilę grać w tę grę, żeby ośmieszyć Mattfersena.

– Cóż... Rito... Jak można przeczytać u profesora Dunlopa z Uniwersytetu Columbia, około siedemset czterdziestego roku Chazarowie z własnej woli przeszli na wiarę żydowską... Przeeeszszszli, rozumiesz, Rito? Geny nie przechodzą, prawda, skarbie? Chazarowie, którzy nazywali siebie Żydami, mieli inną krew. Są, jak mówi Koestler, kaukaskimi synami Jafeta w namiotach Sema... Albo jak mówi inny autor: potomkami Attyli na tronie Dawida.

Śmieję się przenikliwym operowym śmiechem.

Ryży znowu chce przejąć wywód, węszy i prostuje plecy. Macham ręką w jego stronę, jakbym dziękował za aplauz.

– Nie mamy pojęcia – mówi pouczającym tonem – jak interesujący materiał genetyczny, jakie ogromne genetyczne dziedzictwo spłonęło w piecach nazistów... Od tamtej pory genetyka nie potrafi już niczego znaleźć w tej porywającej historii, która w Europie roku osiemsetnego musiała mieć glo-

balne znaczenie... Holocaust, słowo, które właściwie oznacza rytualne spalenie, czystkę – i w tym sensie niestosowne, wręcz skandaliczne słowo oznaczające zagładę Żydów – okazuje się zatem rytualnym spalaniem księgi genów, księgi, w której mogła zostać odczytana historia Semitów i Chazarów... Właśnie naziści, którzy tak bardzo technicznie chcieli myśleć o rasie, spalili niemal cały materiał dowodowy mogący posłużyć jako informacje pozwalające zrozumieć coś więcej z tej udręczonej Europy... Poza tym w świecie arabskim jest pewna liczba muzułmańskich szkół, w których współcześni fundamentaliści wpajają uczniom, że wielka wojna z Chazarami, którą stoczyli tysiąc lat temu, zostaje teraz podjęta na nowo w intyfa-dzie... że ponownie stają przed wrogiem z tamtych czasów, przebiegłym wrogiem, który kiedyś zablokował im drogę do hegemonii i który obecnie czyni to znowu pod płaszczykiem państwa izraelskiego... Również w radykalnych islamistycznych ugrupowaniach na Bałkanach, częściowo rekrutowanych w fanatycznych medresach w Afganistanie, Jemenie i Pakistanie, znajdowało się kilku mrocznych proroków, którzy twierdzili, że Serbowie stanowią w rzeczywistości drugą gałąź potomków wywodzących się od Chazarów. Książkę Arthura Koestlera traktowali – zupełnie niesłusznie, ale to nie ma tu teraz nic do rzeczy – jako punkt wyjścia do twierdzenia, że zabijanie muzułmanów było właściwie odwetem za cierpienie, które im zadano w ósmym wieku... Cóż, w tym internecie można coś znaleźć...

Mattfersen z rozmarzeniem patrzył na lśniące czernią szyby, po których strużkami spływał deszcz.

Przyniesiono przekąski. Dostał mózdzek z czarnym pieprzem, Rita sałatkę z tuńczykiem.

Siorbiąc, jadłem zupę z makaronem, następnie w obie ręce wziąłem mi-sieczkę i głośno wypiełem resztkę. Potem zadowolony otarłem wąsy rękawem.

Rita zrobiła taką minę, jakby jadła truciznę.

Machnąłem na kelnera i poprosiłem o jeszcze jedną podwójną szkocką. Zamierzając zrobić niewinny żart, rzuciłem pustą szklanką. Złapał ją nie-



zręcznie, a wtedy o mało się na mnie nie przewrócił. Burknął gderliwe przeprosiny i zniknął. Krzyknąłem za kelnerem, że pełny kieliszek powinien traktować z nieco większym szacunkiem.

– W każdym razie – powiedziałem – moje doświadczenie z internetem jest następujące: być może Chazarowie stanowią najbardziej tolerancyjny naród świata, jeśli chodzi o ich postawę wobec religii, lecz połowa stron na ich temat jest agresywnie zabezpieczona, prześwietlają ci komputer, powodują jego zawieszenie, nie można tych stron ściągać na dysk ani przetwarzać, uniemożliwiają zapisanie twoich własnych dokumentów, dopóki taka strona jest otwarta... Ostatnio mój komputer znowu całkowicie się wyłączył po tym, jak na kilka minut został zablokowany... W czasie takiej blokady ekran migocze, słychać, że komputer intensywnie pracuje, dzieje się coś, nad czym nie masz kontroli, jakby twój firewall się nie liczył... Zaglądają do środka? Swoją drogą to ryzykowne i głupie, żeby akurat w tej fazie światowej polityki twierdzić, że dzisiejsi Żydzi pochodzą w większości od Chazarów; oznaczałoby to, jak pan Maffetterrzen przed chwilą udowadniał, że historyczno-terytorialne roszczenia do izraelskiego obszaru państwowego stają się bezpodstawne. Dlatego każda dyskusja na ten temat natychmiast uchodzi za przejaw antysemityzmu, droga Rito. Moim zdaniem wiele osób, które weszły na wyspecjalizowane strony, jest prześladowana. Nie pytaj mnie, przez kogo. Czy w ten sposób odkryli moją tożsamość? Nie wiem, odczuwam jednak pewną obawę, co zrozumiałe.

Mattfersen jakby nagle zrobił się senny i ze znużeniem przeżuwał mózdek z pieprzem. Najwyraźniej nie miał na to ochoty. Moja nadzieja na wyciągnięcie z niego czegoś o stalkingu i dziwnych praktykach spełzła na niczym. Musiałbym być bardziej precyzyjny.

Upił chablis i znacząco spojrzał na Ritę. Grzebała w lśniącej od oleju sałacie w poszukiwaniu kawałka łososia.

Wziąłem jeszcze jednego papierosa, od razu zapaliłem, dym wydmuchałem Mattfersenowi w twarz, kiedy ten wsuwał kęs mózdzku do swojej kwadratowej głowy.

Zdawał się na tym skupiony. Dobrze więc, draniu w przebraniu – pomyślałem – masz pierwszorzędne nerwy.

Spojrzał na mnie i zrozumiał, że to pomyślałem. Uśmiechnął się, po czym z lekko ironicznym westchnieniem podjął rozmowę.

– Pamiętam tę dziwną opowieść z Koestlera... – odezwał się – o ludziach mających ponadprzeciętną inteligencję... Wiesz, o czym mówię?

Znałem ten fragment aż nazbyt dobrze. Ibn Fadlan, arabski kronikarz, opowiada następująco: „Kiedy oni (Bułgarzy, bratni naród Chazarów) widzą człowieka, który wyróżnia się szybkością umysłu i wiedzy, mówią: «Dla kogoś takiego odpowiedniejsza będzie służba Panu». Łapią go, zarzucają mu powróż na szyję i wieszają na drzewie, gdzie zostawiają, żeby zbutwiał...”. W komentarzu do tego ustępu turkolog Zeki Velidi Togan – Zeki jest bez dyskusji największym autorytetem, jeśli chodzi o Ibn Fadlana i jego czasy – zauważył: „W tym okrutnym traktowaniu zbyt mądrych ludzi przez Bułgarów nie ma niczego tajemniczego. Opierało się ono na prostym, rozsądnym rozumowaniu przeciętnego obywatela, który chce jedynie prowadzić zwykłe życie i uniknąć wszelkiego ryzyka czy przygody, na które «geniusz» mógłby ich skusić”.

Zacytowałem Koestlera niemal dosłownie. Po raz pierwszy popatrzyliśmy z Mattfersenem na siebie z uśmiechem. Wiedziałem, że twierdził w swojej książce, że Constantin Roubert opisał ten sam rytuał u Chazarów.

– Swoją drogą, wiesz, jak Koestler przedstawił wygląd Chazarów?

Zapytałem o to, żeby sprawdzić poczucie ironii Mattfersena.

W tym względzie Koestler cytował Ibn-Saida al Maghribiego: Chazarowie – przynajmniej „biali” Chazarowie, jak ich nazywano – wyglądali dokładnie tak jak ten ryży bydlak, który mnie dopadł: „Ich cera jest blada, oczy niebieskie, włosy długie i luźne, głównie rude, ich ciała duże, a charakterzy oziębłe”.

– Tak, wiem.

Chrząknięcie.

Siedział tu, wierne odbicie takiego Chazara, i wolno przeżuwając, głęboko spojrzął w wystraszone oczy Rity.

W tym momencie, a widok ten mnie zaszokował, do restauracji weszła córka Klossena. Włosy, w które wsunęła okulary przeciwsłoneczne, miała ufarbowane na jaśniejszy kolor, była w butach na obcasach i początkowo nie zauważyła naszego stolika. Nagle zwróciła na nas wzrok, ponieważ zobaczyła moją twarz w lustrze. Po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy; zaszokowany stwierdziłem, że ma lekkiego zęza, a w jej ciemnobrązowych oczach jest coś melancholijnego, o wiele delikatniejszego niż wszystko, co mi się z nią kojarzyło. W tym spojrzeniu było coś neodpartego; poczułem lekki zawrót głowy, przełknąłem ślinę, spojrzałem jeszcze raz, to było tak, jakby przeszło mnie ukłucie zakochania. Patrzyła ostrożnie, jakby musiała błyskawicznie ocenić sytuację, a potem poszła dalej. Otworzyłem usta, jakbym chciał jej coś powiedzieć, ale Rita to dostrzegła. Obejrzała się za dziewczyną, wysoko uniosła brwi, posyłając mi zarazem jedno ze swoich ironicznych spojrzeń. Po raz pierwszy też błysnęło w nim jakieś zaskoczenie.

Zachowywałem się najbardziej obojętnie, jak to było możliwe, i wziąłem trzecią szkocką, którą właśnie mi podano.

Teraz Mattfersen wytoczył swoją najcięższą artylerię. Wziął rozbieg, długimi palcami pokręcił kieliszkiem i powiedział:

– Wiedział pan, że Constantin Roubert w tej uważanej za zaginioną księdze, której jedyna kopia znajduje się w moim posiadaniu, twierdzi, że również Mahomet należał do narodu Chazarów? To sprowadza obecną biegunowość światowej polityki do urojenia, kiepskiego żartu, walki – przynajmniej z chazarskiego punktu widzenia, gdyby to dzisiaj jeszcze było możliwe – dwóch starochazarskich duchów w lustrze, obu gotowych do czegoś, co właściwie byłoby tylko... bratobójstwem. Tym aspektem sprawy nie zajmowałem się w mojej obecnej książce, ponieważ chcę mu poświęcić osobną pracę.

To było mocne. Przez chwilę siedziałem w milczeniu, czekając, i pomyślałem: Nie doceniłem go. A może to zwyczajnie jedynie bluff?

Mattfersen stwierdził, że zapadła cisza, pedantycznie przełknął ślinę i zrećźnie zбочzył z tematu.

– Cóż... W tym szokującym na niemal światową skalę ustępie Roubert mimochodem mówi również, że Chazarowie mieli w zwyczaju odcinanie ręki cudzołożnikowi, obdzieranie jej ze skóry, wypełnianie tej skóry wnętrznościami kurczaka i podrzucanie tak przygotowanej na progu cudzołożnicy. Czasem przekłuwano też palce długą mocną drzazgą dębową, żeby paznokcie odszedł... w tamtych czasach bez antybiotyków zwykle oznaczało to zastrzał, ropiejący palec do odjęcia, i koniec. Poturbowany, odcięty palec, podobnie jak wypchaną skórę, kładziono także pod drzwiami cudzołożnika... Krótko mówiąc, najbardziej ironiczne jest oczywiście to, że Mahomet i wielu wschodnioeuropejskich Żydów miałoby pochodzić od tych samych chazarskich przodków... – Wyraźnie cieszyła go pełna zdumienia cisza przy stole. Niczym zaprawiony strateg, który wykorzystuje pauzy na zebranie sił, mówił dalej: – Sama księga musiała zostać napisana w trakcie, a także po jego osobliwych *Impressions Caucasianes*, ponieważ jednak krewni najwyraźniej obawiali się politycznych trudności, sprawili, że księga zniknęła.

– A ty nie zadałeś sobie trudu odnalezienia tych krewnych? – Zachichotałem lekceważąco.

– O ile mogłem to ustalić, już ich nie ma.

– Ach, jaka szkoda. Jak w takim razie dotarłeś do tego egzemplarza?

– Nie wiem, kto sporządził kopię. Ani jak trafiła ona do Turynu. Że miałem wiele szczęścia, trafiając na nią przypadkiem w antykwariacie, z tego absolutnie zdaję sobie sprawę. Jak się tam znalazła, nie wiem. Antykwariusza nie mogłem o to spytać.

– Nie? Dlaczego?

– Cóż, proszę pana, tego nie mogę panu powiedzieć.

Wzruszyłem ramionami i współczująco pokiwałem głową.

Kelner uprzątnął talerze po przystawkach. Milczeliśmy. Mattfersen bębnił palcami w adamaszek. Jak najbardziej niepostrzeżenie zlustrowałem restaurację. Nie mogłem usiedzieć na miejscu, gwałtownie wstałem, trochę pociągając za sobą obrus, a Mattfersen ledwo mógł złapać kołyszący się kieliszek. Dużym łukiem poszedłem do toalety, tak żeby obejrzeć całą restaurację, ale nie mogłem znaleźć córki Klossena.

Kiedy wszedłem do toalety, o mało się ze sobą nie zderzyliśmy. Wyglądała na zdenerwowaną i nie zamierzała strzepić sobie na mnie języka. Skinieliśmy sobie głowami, wyciągnąłem rękę, uśmiechnęła się niewyraźnie, odsunęła rękę z wyrazem, który miał mi dać do zrozumienia, że to zbyt formalne, wzruszyła ramionami, przepuściłem ją przed sobą, popatrzyłem za nią. Jej ładne proste plecy poruszały się pod białą bluzką. Między bluzką a czarną spódniczką, tuż nad zbyt ciężkim paskiem z Moschino, dostrzegłem fragment miodowej skóry, a na nim bardzo dużą, a jednak jasną bliznę w postaci półksiężyca. Zamrugąłem oczami, postąpiłem kilka kroków za nią. Dobrze widziałem: w dolnej części pleców ta dziewczyna miała dużą, piękną bliznę, coś imponującego, tajemnicę z historią, którą powinienem kiedyś z niej wyciągnąć. „Blizna nadaje wartość temu, co nieskazitelne, ponieważ stanowi zagęszczenie materii przez ból”, jak przeczytałem kiedyś u jakiegoś debiutanta odrzuconego przez nasze wydawnictwo. Kołysząc biodrami, dziewczyna weszła na salę. Zobaczyłem, że jeden z kelnerów ma mnie na oku. Zniknąłem na chwilę w toalecie, zwilżyłem wodą rozpaloną twarz, dokładnie umyłem ręce. Wtedy nagle zachciało mi się jednak sikać, i to jak. Mruczałem z zadowolenia.

Kiedy wróciłem do stolika – znowu nie dostrzegłem dziewczyny na sali – Mattfersen wygłaszał przed Ritą przemowę o, na litość boską, Kaukazie i górze, do której według legendy został przykuty Prometeusz. Mówił coś w związku z górą i chazarską świętością lub czymś takim. Według niego góra nazywała się Mons Jove, Mons Io, góra Jowisza albo jakoś tak. Nadstawiłem uszu, bo wiedziałem, że jego zemsta dopiero nadejdzie.

Talerze z głównym daniem już były, udawałem, że koncentruję się na soli z curry.

– Sola z curry to naprawdę coś obrzydliwego, co? – stwierdziłem. – Powinna być zakazana. To coś takiego jak banan z pieprzem, no wiesz, ten od głupiej blondynki.

Zrobiłem małą minę. Rita pokazała mi język.

– Niedawno natknąłem się na nazwę miejscowości Chazaradwili, zdaje się, że to wioska w Gruzji. Rzeczywiście mieszkają tam też jeszcze ludzie, którzy się nazywają Chazar, Chazaradwili i tym podobnie. Najwyższy czas, żebym tam zasięgnął informacji. Może to i dobrze, że odrzucił pan moją książkę, panie de Puyst; z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiam, że ta praca nie jest skończona. Imię Chazar okazuje się zresztą dość popularne wśród miłośników jeździectwa. Zwłaszcza konie pełnej krwi z topowych programów często nazywają się Chazar. To oczywiście może wskazywać na ich stare tradycje i legendarną hodowlę koni, elementy, które przeniknęły do innych kultur. Na gruzińskiej stronie internetowej z drzewami genealogicznymi znalazłem człowieka o nazwisku Fausto Khazar. Coś miłszego trudno sobie wyobrazić, czyż nie? Sprawdziłem miejsce jego zamieszkania i w końcu pewnego razu, choć z daleka, nawet go zobaczyłem. Żyje w tej chwili tu, w Brukseli, chyba gdzieś za bazyliką Koekelberg. Ku mojemu zdumieniu jest bardzo do mnie podobny.

Pałiłem papierosa, wodziłem wzrokiem od lampy ściennej do tapety i twarzy Mattfersena, która wciąż jeszcze napawała mnie odrazą przez podobieństwo z nękającym mnie mężczyzną. Czy to możliwe, że przed chwilą zdradził nazwisko tego potwora? Że faktycznie miał sobowtóra o tak złowieszczym nazwisku? Dlaczego miałby to robić? Czy naprawdę nie znał tego człowieka, czy w zawołanych słowach dawał mi do zrozumienia, żebym lepiej uważał i że to on pociąga za sznurki? Różne rzeczy chodziły mi po głowie. Miałem wrażenie, że dostałem o wiele za dużo informacji naraz, że nie mogę dojrzeć, co kryje się za i pod opowieściami serwowanymi przez tego pochlebcę. Czy chodziło o wprowadzenie mnie w zakłopotanie,

rozsierdzenie, sfrustrowanie w obecności Rity, którą tak bez reszty chciał pozyskać dla siebie?

Jutro w wydawnictwie – pomyślałem – pierwsze zadanie: wpisać Fausta Khazara w Google’a.

– A ta... ta Góra Jowisza – odezwałem się, żeby trzymać fason. – Ach, jest mnóstwo szczytów i gór o tej nazwie, jeśli by ją wpisać do eeh... wyszukiwarki... Google’a albo co. Góra Jowisza: to może być wszędzie, nawet w Gruzji, jeśli o mnie chodzi, nawet gdzieś w pobliżu tej słynnej góry, na której torturowano kiedyś Prometeusza... To jednak nie wnosi przecież zupełnie nic poza spekulacjami.

– Milcz na temat Google’a, de Veust, to diabelska, wymyślona przez CIA maszyna, która tylko sprowadza cię na manowce, a twój komputer naraża na hmm... stalking...

Przestraszony zamilkłem, słysząc ostatnie słowo. Starąłem się nie patrzeć jak ktoś zraniony.

Długa cisza. Wtedy odchrząknął.

– Możemy tam pojechać, jeśli chcesz.

– Dokąd?

Sam sobie wydałem się teraz zmęczonym merdającym ogonem psem.

– Na Mons Iove, proszę pana! – Zdawało się, że stracił cierpliwość. – Pierwsza wzmianka o tej górze pochodzi z krótkiego listu żydowskiej, jednym słowem, chazarskiej kobiety z czasów wypraw krzyżowych. Donosi ona swojemu ukochanemu, że uciekła na Mons Joie czy Jove, pismo jest niewyraźne, i radzi mu zrobić to samo, ponieważ tam będą bezpieczni... A zatem ta kobieta nosiła niewątpliwie chazarskie imię, nazywała się Chasarine lub Césarine... Rozumie pan, że imię Cezar, a od niego derywacja cesarz, właściwie oznacza Chazara?

Mattfersen dostał nagle ataku kaszlu, jakby ość wbiła mu się w gardło, pisnął i zacharczał, zawstydzził się, Rita go wyratowała, dolewając mu trochę wina i robiąc uwagę, że ma ono bardzo owocowy smak.

Mattfersen zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał, z wdzięcznością jednak skorzystał z pauzy, by ukryć swoją nagłą niezręczność.

– Może przez Mons Iove miała na myśli Mons Joie, górę radości, ponieważ była tam bezpieczna... niektórzy myśleli o Mons Io, czyli górze bogini Io, to oczywiście same domysły... Jeśli dla tej kobiety Jowisz oznaczałby również radość, mamy interesujący drobiazg... To imię znalazłem na chazarских monetach, przekręcenie imion Zeusa, Joie i Jahwe... Trzy religie więc, rozumiesz?

To ostatnie zdanie wypowiedział z tryumfem w oczach. Osłabiały mnie już te bzdury.

Zdesperowanym wzrokiem patrzyłem na nisko zawieszony w sali lampy.

Rozmowa zdawała się do niczego nie prowadzić.

Swoją drogą wrzuciłem później Mons Io w Google'a; wyskoczył tylko Jo, satelita Jowisza.

To w każdym razie przyniósł ten bezsensowny wieczór: byłem teraz całkowicie pewien, że ten Mattfersen jest szarlatanem. Jego książka się u nas nie ukáže. Nagle poczułem, że jestem silny i potrafię się oprzeć naciskom Rity. Fakt, że zadawała się z tym jegomościem, na nowo wywoływał moje moralne oburzenie. Właściwie chciałem stąd jak najszybciej wyjść. Przez chwilę przy stole panowała cisza.

Po jakimś czasie Rita chciała znowu trochę ożywić rozmowę; jedzenie chyba jej nie smakowało, marnowała danie, bezładnie je siekając i dziobiąc w nie, w końcu rzuciła widelec i nóż w poprzek talerza i zamówiła butelkę san pellegrino.

Mattfersen jadł, nieznacznie się uśmiechając, kawałkiem chleba wytarł brązową papkę z talerza. Rita wystudiowanym gestem wytwornie umieściła prawą rękę pod brodą i mimochodem powiedziała:

– A czy Chazarowie mają też coś wspólnego z kwestią palestyńską, Hans?



Nie powinna tego robić. Kena rozpierała szczerząca w uśmiechu zęby atrakcyjność, przytaknął Ricie, jakby pani w szkole nagle usłyszała dziecko mówiące, że cztery plus cztery jest siedem, i zaczął mowę.

Wygrzebałem kawałek ryby spomiędzy zębów, strzepnąłem. Spadł na podstawkę jego kieliszka do wina. Wyrocznia chyba się zastanawiała, jakim wspaniałym zdaniem najlepiej będzie rozpocząć tę kwestię.

– Najgłupsze w nazistach i antysemityzmie było to – odezwał się nagle pouczająco – że Żydów, którzy przeżyli Holocaust, pchnęli z powrotem w religię i fundamentalizm; w pierwszej połowie dwudziestego wieku większa część mieszczańskich Żydów była zintegrowana, zupełnie świecka, nie mówiła już w jidysz, czuła się Niemcami i Polakami razem z Niemcami i Polakami, krótko mówiąc: lepiej sytuowani Żydzi zamierzali właśnie tak cicho i zapładniająco wtopić się w europejską kulturę, że nastąpił cud: naród został niczym środek homeopatyczny wchłonięty przez kulturę, którą dogłębnie zapłodnił. Nazizm położył kres właśnie tej homeopatii kultury europejskiej i semickiej; zradykalizował ludzi, którzy mieli na imię Jan czy Paweł, nakładając na nich piętno Izraela jako drugiego imienia, przypinając im żółtą gwiazdę, wmawiając przez nieustanne dręczenie, że są inni niż reszta, że noszą w sobie getto i że należy to znowu pokazać światu; że wszelkie wnikanie w europejską kulturę było manewrem zwodniczym, a naturalnemu „mieszaniu się”, które dokonywało się w wyniku dwóch tysięcy lat wspólnego życia, należy przeciwdziałać chemią nienawiści i różnicy. Z demograficznej homeopatii uczyniono w ten sposób demoniczną chirurgię – to, co prawie bez reszty wniknęło w europejskie ciało, zostało z niego ponownie wycięte. Leżało, drgając i pulsując, początkowo nie do odróżnienia od europejskiego ciała, lecz stopniowo zabarwiane fantazmatami nienawiści i rasizmu – krwawiący i mrużący oczy pod światło duch, fantomowy organ, coś, co było przeznaczone do funkcjonowania w dużym ciele, a nagle zostało wycięte. Skatowany żydowski organ zradykalizował się w ten sposób, stając się paranoicznym ciałem widmem; zasklepił się, żeby przeżyć, wynalazł siebie na nowo jako wypędzonego, tego, którego odrzuciono, uciekł do nowego państwa, ponownie trafił tam na przymusową auto-

nomię jak koszmar starej historii, którą trzeba było naładować nową, absurdalną pozytywną mitologią, znalazł solidarny szew w traumie nowych gett na okupowanych terenach, traumie nigdy niekończącego się państwa przeciwko własnemu państwu, krótko mówiąc – stając się dzisiejszym Izraelem, własnoręcznie wybraną parodystyczną pozostałością getta warszawskiego pośrodku arabskiego kontekstu... przypominającym wyprawy krzyżowe organem widmo, który przekształcił się w supergetto i teraz własnoręcznie buduje mury obozu koncentracyjnego, żeby pierwotnej palestyńskiej ludności wbić do głowy, czym jest getto. Ale nie tylko Gaza i Brzeg Jordanu stają się gettami – całe państwo, cały biedny, torturowany żydowski organ widmo, który w Europie idealnie funkcjonował, leży w ostrym świetle własnej historycznej parodii, bojaźliwie łomocząc na sali operacyjnej wypełnionej wspomnieniem śmierci, którą sam podtrzymuje...

– Co za wstyd! – wykrzyknąłem rozdrażniony. – Getta są wymysłem tych, którzy nastawali na życie Żydów. To tak jakby wmawiać ofierze, że sama wymyśliła katowski topór.

– Żydzi nie są ofiarami, de Vurst – powiedział Mattfersen.

Urażony położył nóż i widelec w poprzek talerza.

– To karygodne – stwierdziłem ochryplym głosem. – Nie będę tego więcej znosił. Jesteś tego samego odrażającego pokroju co ten Klossen.

Zacząłem się zbierać, żeby wstać i wyjść.

– Siadaj – warknęła Rita.

Przestraszony z powrotem opadłem na krzesło.

– Hans – powiedziała z wyrazem, który świadczył, że ona również się zammatwała – tym całym stwierdzeniem oskarżasz przecież swoich własnych rzekomych Chazarów? Czy może źle cię zrozumiałam?

Po raz pierwszy tego wieczoru posłała mi pytające, sympatyzujące spojrzenie, żeby zobaczyć, czy przyznaję jej rację. Skinąłem głową na znak aprobaty, wysoko unosząc brwi, i pozwoliłem, by mój sceptyczny wzrok powoli ześliznął się na talerz w oczekiwaniu, jakie bzdury jeszcze usłyszymy.

Oczy Rity były z powrotem skierowane na samozwańcą wyrocznię.

Sam Mattfersen patrzył w stronę Rity z lekko złowrogą uwagą; czułem, jak pod stołem nieznacznie zmienił ułożenie swoich olbrzymich stóp, trącając moją prawą kostkę, na co maksymalnie zirytowany wykrzyknąłem:

– Auu, szlag by to, kurwa!

Mattfersen uznał to za znak, że ma kontynuować. Rozpaczliwie wzniosłem oczy do nieba.

– To wystarczająco tragiczne; dzisiejsze Państwo Izrael wciąż jeszcze stanowi chirurgiczny rezultat demoniczności Hitlera, dlatego nie będzie dobrze. A tym, kto dostrzega tę prawdę, jest dzisiejsza konstelacja, w której organ widmo, od razu sam podejrzany i zakwalifikowany do antysemityzmu, nadal cierpi z powodu wycięcia i sztucznego wstawienia. Dlatego też nie będzie dobrze: obecnie Żydzi sami nie dopuszczają żadnego homeopatycznego uzdrowienia z sąsiadami, ponieważ wierzą, że całkowicie stracili zaufanie do „wymieszania”: sami byli największą ofiarą nieudanej demograficznej homeopatii. Dlatego nie wierzą w tolerancyjny sposób na przeżycie; nie wierzą, że Palestyńczycy mogą bez reszty wniknąć w demograficzne ciało ich własnego narodu. Dlatego parodiują nacjonalistyczne teorie, które kiedyś wykończyły ich samych. Dlatego kultywują na nowo, z konieczności, teorie rozróżniające między Żydem a gojem. Dlatego we wszystkim, co robią, myślą szablonami podziału, już nie obrazami mieszania. Utracili wszelką wiarę w asymilację, a więc w to, co kiedyś stanowiło ich największą siłę. Z tego powodu każda sugestia demograficznego „mieszania” działa jak czerwona płachta na starotestamentowego lub, jeśli o mnie chodzi, trzymanego na powrozie przez Waszyngton byka. Dlatego na granicy Państwa Izrael dochodzi do scen wołających o pomstę do nieba, podczas których ludzie codziennie doznają dokładnie tych samych upokorzeń i impertynencji, jakich kiedyś doznawali Żydzi w Niemczech, tak żenujących i szaleńczych. Dlatego teraz każdy Palestyńczyk jest demograficzną pozostałością, którą należy chirurgicznie usunąć, i każdy Palestyńczyk rzeczywiście staje się niebezpieczny przez nieskończone wmawianie, że wtopienie się w państwo Izrael jest niemożliwe. W ten sposób żydowscy

nacjonaliści zachowują się z jednej strony jak niegdysiejsi Protoeuropejczy-  
cy, lecz zarazem jak parodia znienawidzonych fundamentalistycznych rasi-  
stów arabskich. I tak Żyd wypiera się własnej homeopatycznej historii, wy-  
ciętej i traumatycznej, i nawraca się na rasistowską chirurgię. A jak to robi?  
Przemocą, budowaniem muru berlińskiego na terytorium arabskim. Naród,  
który wypiera się swojej największej siły i talentu – co ma z tego wyjść?  
Być może w perspektywie takiego rozwoju spraw nie można im tego nawet  
brać za złe, lecz skutki polityczne są nader paskudne, i to nawet w skali glo-  
balnej. Odrobina chazarskiej dyplomacji dobrze by im zrobiła... Dopóki  
jednak nie rozwiążemy kwestii genetycznej...

Zdawał się poważnie zastanawiać.

Syknąłem do niego, że palestyńscy samobójcy bez wątpienia dokonywali  
chirurgicznej interwencji w dzielnicach bezbronnych żydowskich obywateli.

Kelner przyniósł karty deserów. Powiedziałem, że chcę tylko whisky.  
Mattfersen posłał mi zatroskane spojrzenie, po czym zdecydował się na  
profiterolki bez bitej śmietany. Rita poprosiła o herbatę miętową i powie-  
działa:

– John, przecież wiesz, że picie takich ilości w twoim stanie jest kom-  
pletnie nieodpowiedzialne?

Wzruszyłem ramionami, bąkając:

– *Freedom's just another word for nothing left to lose.*

Uśmiechnęła się drwiąco.

– Tak, tak. Pewnie dopóki znowu nie zaczniesz się mazać, Bobby  
McGee.

Obrzuciłem ją szpetnym spojrzeniem, ponieważ znowu poniżyła mnie  
w obecności tego pyszałka.

– A co mu jest? – zapytał, skubiąc jej bluzkę, co jeszcze bardziej mnie  
rozzłościło.

– John ma chore nerki – wyjaśniła Rita.

Od razu posłała mi przepaszające spojrzenie, z którego miałem odczytać, że okoliczności zmusiły ją do pogwałcenia prawa do prywatności.

Zachowywałem się, jakby była powietrzem.

– Opowiedz no jeszcze jakieś bzdury o Chazarach, panie Pattfersen – zwróciłem się do Hansa. – Przyznaję, że pańskie twierdzenie w związku z tą homeopatią i chirurgią jest oryginalne. W swojej książce science fiction niedostatecznie moim zdaniem rozwija pan ten temat. Nie żeby to miało dla nas jeszcze jakieś znaczenie, oczywiście. Lepiej, żeby zaproponował ją pan działowi thrillerów u naszej konkurencji.

– Cóż – odpowiedział, jakby niespodziewanie stał się najbardziej zgodną istotą na ziemi. – To też są tylko spekulacje, prawda?

Zabębnił palcami w stół, rozgniatając przy tym drobinę ryby, którą wystrzeliłem palcami na nóżkę jego kieliszka do wina.

– Spekulacje? To wszystko przecież tezy z pańskiej książki? – Uśmiechałem się czarująco. – Zresztą jeśli chodzi o tę twoją demograficzną homeopatię, można równie dobrze twierdzić coś zupełnie odwrotnego – skwitowałem, zapalając papierosa.

Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

Wzruszyłem ramionami i westchnąłem. Właściwie nie miałem na to ochoty, no ale dobrze.

– Być może Żydzi biorą kurs na ironiczną i dość niezamierzoną politykę integracyjną – powiedziałem. – Zachowują się już niemal równie segregacyjnie jak ich arabscy sąsiedzi, których nienawistny obraz propagują. Piękna integracja na Bliskim Wschodzie, prawda? Z aszkenazyjczykami, miłością do literatury i piszcącym mysim narodem Kafki ma to wszystko bardzo mało wspólnego. Czy to mają być te chazarskie wpływy?

Ku mojemu zdziwieniu poważnie zareagował na moją nieskoordynowaną prowokację.

– Hm. Może masz rację. Może dzisiejsi Żydzi na nowo prowadzą skazaną na niepowodzenie formę polityki integracyjnej, ale tym razem w postaci parodii świata arabskiego, a mianowicie zachowując się nietolerancyjnie

i defensywnie w typowy bliskowschodni sposób w celu rozwiązania typowo bliskowschodnich problemów?

Mattfersen uśmiechnął się sardonicznie, nieruchomo patrząc przed siebie, jakby naprawdę był pod wrażeniem takich absurdalnych urojeń.

– Dość łatwo wpada pan w pułapkę – zadrwiłem. – Najwyraźniej mało pan wie o arabskim świecie. W wielu medinach maghrebskich miast nadal można znaleźć żydowskie sklepiki sefardyjczyków, stare ślady wielowiekowej pokojowej kohabitacji, która w Europie nigdy nie istniała. Marokańscy na przykład mają o wiele dłuższą i bardziej pokojową tradycję współżycia z żydowskimi sąsiadami, niż kiedykolwiek miała Europa. Przedstawianie Arabów jako kultury politycznej chirurgii jest nonsensem. To właśnie Arabowie o wiele lepiej wiedzą, czym jest integracja. Nieustannie pan sobie zaprzecza. Równie dobrze bowiem można tę kwestię odwrócić: tak jak żydowsko-europejska kultura wciąż jest postrzegana jako wynik europejskiego kontekstu, tak można by powiedzieć, że nietolerancyjni Arabowie są właściwie wynikiem zachodniej polityki. Idea antyświęceniowa powstała zresztą w samej Europie doby romantyzmu.

Powiedziałem cokolwiek, żeby mu zrobić na przekór.

Obaj czuliśmy, że rozmowa grzęźnie. Również Mattfersen wyraźnie nie miał już na nią ochoty. Delikatnie pogłaskał czubek palca Rity. Dałem mu do zrozumienia, że to widziałem. Z czymś w rodzaju żalu natychmiast odsunął rękę i skupił się na profiterolce, którą przed nim postawiono.

Rita sączyła herbatę, oparzyła wargi, dmuchała nad filiżanką. Winniczki, które wypłowiwały, obudziły się, wydeły w zdziwieniu i uformowały coś, co przypominało usta ściągnięte do całusa. Poczułem wręcz nieodpartą chęć polizania jej warg, tak teraz zmęczonych i uległych.

– Ostatecznie – odezwał się Mattfersen, patrząc na Ritę żółtym okiem – są tylko dwie opcje, jeśli chodzi o ruchy demograficzne.

Rita właśnie znowu chciała się napić herbaty. Trzymała filiżankę nieruchomo przed rozchyłonymi ustami, z wyczekiwaniem wpatrując się w Mattfersena.

W restauracji rozbrzmiewała *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta w wersji na kobzę i róg alpejski.

– *Köchelverzeichnis* 525 – powiedziałem wysokim głosem i włożyłem sobie palec głęboko do prawej dziurki nosa, nerwowo mrugając przy tym oczami.

– Dwa sposoby na wychwycenie zmian demograficznych – powtórzył niewzruszenie Mattfersen. – Albo droga homeopatyczna, stopniowa, tak Chazarowie wniknęli do Europy, albo chirurgiczna. – A po wystudiowanej krótkiej ciszy: – Być może w ten sposób Chazarowie kiedyś wrócą, kto wie?

Miałem wrażenie, że teraz przez moment patrzył zezem. Szeroko się uśmiechnął.

Rita sięgnęła po ciastko z miseczki przed sobą i wytwornie je żuła, to znaczy tak, jakby jej kości szczęk nie za bardzo do siebie pasowały.

Monotonnie kręciłem obrączką na prawej ręce; już czas, żebym ją zdjął z palca. Dlaczego moje ręce są ostatnio tak często nabrzmiące? Ciągnąłem i szarpałem, lizałem palec, znowu ciągnąłem i nagle obrączka przeskoczyła przez kostkę, pozostawiając za sobą kawałek startej skóry. Wyślizgnęła mi się z ręki, przeleciała tuż obok głowy Mattfersena i z ostrym brzękiem uderzyła w ścianę za nim.

Mattfersen zerwał się na równe nogi.

– Człowieku, co ty wyprawiasz?

Zdawało się, że jego ręka wystrzeli w kierunku mojej twarzy.

Śmiertelnie się przeraziłem, jego oczy zdawały się nabierać żółtawego spojrzenia rudego mężczyzny, który tak bardzo napędził mi strachu. Patrzyłem najgłupiej, jak umiałem, czując wzbierający potworny ból pod czaszką. Mattfersen potrząsnął głową, wstał i poszedł do toalety.

Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, Rita powiedziała:

– Brzydę się tobą.

Uśmiechnąłem się do niej, puszczając oko.

– Fausto Khazzarr – syknąłem, pokazując palcami nad głową dwa diabelskie różki.

Fuknęła z dezaprobatą i spojrzała w inną stronę.

Wstałem, poszukałem obrączki i wsadziłem ją do kieszeni, po czym chciałem z powrotem usiąść.

W tym momencie w restauracji rozległ się potworny huk. Po drugiej stronie sali wyleciało w powietrze kilka stołów, żółtobiały spiczasty płomień wystrzelił pod sufit, ludzie zostali odrzuceni pod ściany, potem z trzaskiem spadali na podłogę, wielkie okna poszły w drobny mak, rozległy się wrzaski i krzyki, ktoś ryczał „do tyłu, do tyłu!”, niemal od razu wybuchł pożar. Fragment sufitu spadł na podłogę, ludzie znowu krzyczeli jedni przez drugich, dwóch kelnerów zabarykadowało się za barem, zgasło światło, w toalecie ktoś krzyczał „mam go, mam go!”, znowu dał się słyszeć trzask drewna, siedzieliśmy tymczasem z Ritą pod najdalszym stołem w kącie, zamknęła oczy i miała krótki dyszący oddech. W słabym świetle ulicznych latarni, które wpadało przez okno, widziałem, jak siedzi obok mnie z podciągniętymi kolanami. Potem zrobiło się ciszej i słyszeliśmy tylko pojękiwanie, zawodzenie i płacz, tryskanie wody z rozerwanej instalacji. Wtedy ktoś sforsował drzwi, do środka weszli ludzie, na ulicy wyła już policyjna syrena, ktoś krzyczał rozciągnięte „nie, nie, nie”. Siedzieliśmy dalej, objąłem Ritę ramieniem, poczułem jej perfumy, przywarła do mnie, szlochała, nie miała odwagi otworzyć oczu. Czuję zapach spalonego drewna i plastiku; ktoś użył dużej gaśnicy, brudnobiała piana pryskała na ściany, coś huknęło gdzieś w drzwi, ktoś z trudem się podniósł i znowu upadł. Gdzieś była widoczna krew, duże plamy rozchodzące się promieniście po zasłonach. Z głową skierowaną w naszą stronę leżał ktoś z roztrzaskaną czaszką, białe i czerwone kipiało z niej jak choroba, nagły guz.

Próbowałem wyrwać się z uścisku Rity, kurczowo uczepliła się palcami mojego rękawa, nie puszczała mnie, z zamkniętymi oczami kręciła głową, powiedziałem:

– Rito, Rito, daj mi tylko sprawdzić, co się stało.



Nadal kręciła głową i zaciskała oczy, ja jednak chciałem zobaczyć, czy dziewczyna leży tam gdzieś w krwawiącym chaosie, myślałem o jej bliznach, o okaleczonych plecach w kolorze miodu, i dopiero potem nagle: gdzie jest Mattfersen?

Jest wieczór, siedzę przy whisky, po południu miałem dializę. Stale czuję się po niej trochę lepiej. Na dworze pada, słucham *Wariacji Goldbergowskich* w wykonaniu Glenna Goulda, dzwoni telefon. Nie, nie telefon domowy, tylko ten w mojej kieszeni, z którego tymczasem wysłałem kilka wiadomości do dziewczyny. I na które nie odpowiedziała.

Aparat piszczy i wibruje mi w spodniach, siedzę na wpół zapadnięty, muszę się odwrócić na drugi bok, a potem palcami wysupłać komórkę z materiału, który mi przeszkadza. S-h-i-t, jakie to wszystko uciążliwe. A gdyby mnie tak na przykład zostawili teraz w spokoju? Zanim nacisnę klawisz, żeby odpowiedzieć, druga strona się rozłącza. Ukłucie w boku. Emocje źle na mnie działają, kiedy już się raz wygodnie usadowiłem z pewną dawką alkoholu w mózgu. Żadna tańcząca na rurze diwa nie mogłaby mnie w takiej chwili ruszyć z miejsca. Patrzę na nieodebrane połączenia i widzę, że ojciec próbował się dodzwonić. Natychmiast wybieram jego numer. Płacze i jest zupełnie roztrzęsiony.

Moja matka umiera.

Zrywam się, dławię własną śliną, potykam o zrzucone z nóg buty, mówię mu, że zaraz będę, z powrotem wciskam aparat do kieszeni, nie wyłączając go, zderzam się z na wpół otwartymi drzwiami, głowę przeszywa mi kłujący ból, łuk brwiowy zdaje się krwawić, ponownie zakładam buty, ciężko to idzie, kiedy się nie chce rozwiązywać sznurówek, ale musi się, kurde, udać, co za głupie buty, cholera, wpychanie, szarpanie i tupanie, zdzieram sobie piętę, czuję lekki zawrót głowy od nieco zbyt długiego pochylania się, biorę głęboki oddech, szukam klucza, po zrobieniu trzech rundek po domu znaj-

duję go zwyczajnie na kredensie, sprawdzam, czy mam przy sobie portfel, biegnę przez korytarz, z hukiem zatrzaskuję za sobą drzwi, daję nura do samochodu. Dopiero po wielu kilometrach na autostradzie uświadamiam sobie, co robię. Jadę zobaczyć, jak dziś wieczorem ktoś umrze. Ta, z której się urodziłem. Jadę na spotkanie z zagładą mojego źródła. Życie zatacza koła, które trudno zrozumieć, z których niczego się nie wynosi, z których nie wynika żadne poczucie sensowności, korzyści, zrozumienia ani czegokolwiek. Kręcenie kółek, dopóki ziemia nie usunie się spod nóg.

Po drodze mijam kontrolę policyjną. Gdy powoli przejeżdżam obok paru barierek, jestem lustrowany: policjanci świecą mi w twarz latarką. Staram się patrzeć jak najbardziej trzeźwo i bez zainteresowania. Mogę jechać dalej. Ponownie na drodze, przyspieszam tak ogłuszająco mocno, że przez moment spodziewam się, że kombi ruszy za mną. Droga pozostaje pusta.

Docieram do domu rodziców. Na ogrodowej ścieżce jest ciemno; tam gdzie jako dziecko w oślepiającym blasku śniegu siedziałem kiedyś na sankach ciągniętych siłą ojca, która wydawała się nieskończona, trochę wody deszczowej kapie teraz żałośnie po prętach. Furtka, która krzywo opadła, jest otwarta. Kiedy zbliżam się do drzwi, stoi już gotowy. Jest błydy jak trup, drży na całym ciele, ma spuchnięte oczy. Biorę go w ramiona. Wybucha nieuniknionym szlochem, gwałtownym i burzliwym. Czuję, że doświadcza również dosłownego, cielesnego bólu.

Jedziemy przedmieściami opuszczonego miasta, mijamy portowe doki, gdy zaczyna wpadać w stan hiperwentylacji. Oddycha ze świstem i o wiele za szybko, nieco zapada się w fotelu, zdaje się tracić przytomność. Podpieram go prawą ręką, jak najszybciej kierując lewą na zakrętach. Opony szorują i piszczą jak w przeciętnym filmie akcji.

– Tato – mówię – tato. – A to brzmi, jakbym sam nie rozumiał tego słowa. – Spokojnie, już prawie jesteśmy.

Wydaje z siebie świszczące dźwięki, płacze i dyszy. Przez moment myślę, że jest bliski zawału serca. Na ostatnim zakręcie między żółtymi latarniami i rozkołysanymi koronami drzew wyłania się szpital. Łódź podczas sztormu – myślę. W następnej chwili uznaję siebie samego za szaleńca, ha-

muje, zjeżdżam na bok. Na chybił trafił parkuję na wpół na chodniku, idziemy szybko przez pełny parking, obrotowe drzwi niełatwo się poddają. Ojciec przystaje, sięga w okolice serca, zamyka oczy. Trochę go podtrzymuję, wyrywa się, szybko idziemy do windy, naciskam przycisk, nie da się opisać wieczności, którą takie czynności trwają.

Matka leży na OIOM-ie, na samym końcu długiego korytarza. Trzy łóżka stoją obok siebie, wysokie, dziwne łóżka, jakich jeszcze nie widziałem, wyglądają jak maszyny, w każdej leży pakunek, patrzący robak w ludzkiej postaci. Trzy puste spojrzenia śledzą nas, gdy wchodzimy, kulejąc. Z tyłu dużego pokoju znajduje się przeszklone pomieszczenie o wielkich ciemnych szybach. Przy jego drzwiach czeka na nas pielęgniarka, kiwa głową, podpierając ojca. Wchodzimy do środka. Nagle zachwianiu ulega wszelkie poczucie czasu, pośpiech znika, ponadczasowy szorujący dźwięk wypełnia to szklane pudełko jak we śnie. Jakby odebrano nam nasz własny oddech. Czuję skurcz posuwający się do góry wzdłuż przełyku, który rozchodzi się na całą klatkę piersiową. Ojciec wydaje długi jęk, otrząsa się z początkowego odrętwienia, rzuca się na łóżko z siłą, która budzi we mnie obawy, że udusi matkę. Ta leży z zamkniętymi oczami. Oddycha ciężko, lecz regularnie. Wciągając powietrze, za każdym razem w dziwny sposób nieco wysuwa do przodu brodę, jakby jej to pomagało pozyskać dodatkową porcję tlenu. Ma suche i spękane wargi. Gestem nakazuję ojcu, żeby usiadł kawałek dalej na łóżku, biorę chusteczkę, którą moczę w pustej do połowy szklance wody obok, i delikatnie przykładam jej do ust.

– Chce ci się pić?

Odpowiedzią jest tak nagle otwarcie oczu, spojrzenie, które zdaje się pochodzić z bardzo daleka, że mam ochotę zrobić krok do tyłu. To spojrzenie się mnie uczepliło; widzi mnie po raz ostatni, potem powieki wolno się zamykają i otwierają, żeby mi odpowiedzieć „tak”. Jeszcze raz naciskam chusteczkę do jej ust. Strużka wody spływa jej na brodę. Ocieram ją. Skóra zdaje się wszędzie poddawać, odchodzić; na szerniałych rękach, sinych plamach na szyi, wokół znów zamkniętych oczu, które nigdy więcej się nie

otworzą. Patrzymy i milczymy. Oddech spowalnia, kosztuje ją dużo wysiłku. Ciśnienie ma poniżej siedemdziesięciu, o wiele za niskie, żeby dostarczać tlenu, którego potrzebują jej astmatyczne płuca. Ciśnienie sto mogłoby jeszcze dawać jakąś nadzieję, lecz ten zwodniczy spokój jest śmiertelny mimo paplania pielęgniarki, że matka jest spokojna i przetrwa noc.

Kroplówka sączy się jak deszcz z dziurawej rynny. Brązowe jest wszystko – jej skóra, płyn, niewyraźne światło w ciemnej szybie, plamy na szyi, szybko schnąca wilgoć wokół jej ust. Zapach jest przenikliwy; dopiero teraz do mnie dociera i od tego momentu uważam, że jest nie do zniesienia. Będzie się latami do mnie kleił, wiem to z pewnością, która wprawia mnie w przygnębienie. Kładę rękę na jej czole – jest już zimne, podczas gdy jej wargi jeszcze płoną. Jej ręce już do niej nie należą. Stały się zimnymi, obcymi przedmiotami, leżącymi tam bez celu, już żaden mięsień nie zdoła ich poruszyć. Zaciskam swoje własne, zbyt rozgrzane od picia whisky dłonie na jej sztywnych palcach. Wydaje się, jakby wszelkie ciepło było z nich natychmiast wysysane. Niekończące się drenowanie, które nagle nie tylko coś zabiera, lecz także zaczyna się wspinać do góry, do moich żył, wyziębiamy moje przedramię, potem ramię, w końcu moje serce. Patrę i nic nie czuję, może jedynie nieskończone zdziwienie. Ojciec, który przez cały czas delikatnie głaszcze jej splątane włosy i szepcze niezrozumiałe czułości, całuje ją w chorobliwie rozpalony lewy policzek. Siadam na krześle. Patrę na zażyłość tych dwojga kochanków, którzy mnie stworzyli, w ich ostatniej scenie miłosnej. On głaszcze, całuje, szepcze, czasem się uśmiechnie, potem znowu płacze. Czasem słyszę słabe, jakby z bardzo daleka, mrużane swego rodzaju „tak”; okres „ni” mamy już za sobą. To „tak”, jakby ostatnia pozostałość życia, niejasny ślad jak na skorupie garnka sprzed tysiąca lat, wisi w przestrzeni nad nimi jak nieczytelny znak na tajemniczym obrazku. Czy mam wyjść, żeby zostawić ich samych w tej intymności? Siedzę na krześle sparaliżowany i patrzę.

Teraz rozpoczyna się rytuał, który wprawia mnie w osłupienie. On zaczyna ją głaskać, jakby chciał jej zrobić masaż twarzy, zaczyna od włosów, przez kark do szyi i z powrotem.

– No – mówi ojciec – odejź teraz, już wystarczy.

– Aa... – odpowiada.

Oddech na chwilę ustaje. Potem znowu rusza, jak błoto w strumyku przepływa obok pieńka drzewa.

– No, kochanie, daj już spokój.

Płacze, aż się serce kraje, mocno się zaciągając, lecz jednocześnie w skupieniu kontynuuje swój wręcz szamański rytuał. Tak, mój ojciec, ten kruchy, śmiertelnie przerażony płaczący człowiek, wyrasta nagle na ponadczasowego szamana wypowiadającego słowa i wykonującego czynności, które mają coś z prastarego rytuału.

– No, kochanie, zaśnij już teraz.

Ona ponownie zgadza się ledwo dostrzegalnym ruchem głowy i leciutkim uniesieniem powieki. Jest zupełnie wyczerpana, niczego już nie ma, nie ma, nie ma. Jej ciśnienie spada do pięćdziesięciu ośmiu. Przy każdym bodźcu leci na łeb na szyję; zanim to sobie uświadamiam, na ekranie przy łóżku wyświetla się migoczące trzydzieści cztery.

– No, idź już.

Płacze, głośno się zanosząc, jego łzy kapią na jej ręce, smarki spływają mu po twarzy.

– Tak – raz jeszcze odzywa się ona, niespodziewanie wyraźnie.

Nagle na ekranie migocze krzyżyk. Jakbym dostał obuchem w głowę. Z niedowierzaniem wpatruję się w ten iks, który przeskakuje, pojawia się i znika. Przelykam ślinę, ale nie mogę jej przełknąć. Ojciec płacze na całe gardło, wykrzykuje najbardziej absurdalne pieszczotliwe imiona, ona cichym krokiem znika w mrocznym korytarzu, prowadzona przez obcego boga wąską ścieżką ku ciemności, nie ogląda się już na niego, już jej nie ma, nie ma, nie ma. Jakże lekki jest jej krok po ciężkich ostatnich oddechach.

Podchodzę do drżącego ojca, zrywa się, czepia się mnie mocno, ma ochrypy głos. Wyrzywa się, pochyla mocno do przodu, jakby się miał prze-

wrócić, myślę, że będzie wymiotował, ale z jego ust ponownie wydobywa się seria tak dziwnych, ezoterycznych, intymnych czułości, że muszę się złapać chromowanych prętów łóżka. Byłem świadkiem sceny miłosnej. Mnie samemu robi się naraz niedobrze, chcę wyjść, najpierw pomagam mu usiąść przy niej na łóżku. Kładzie się, zamyka oczy, wstrząsa nim płacz, gdy obejmuje ją ramionami. Do pielęgniarki, która teraz wchodzi, która włącza światło, która o wiele za głośno zaczyna coś mówić, krzyczę:

– Wyjdź stąd, cholerna biała dziwko, wyjdź!

Przerażona, patrzy z oburzeniem, odwraca się, wychodzi, zatrząskuje za sobą drzwi.

To jest ta scena, którą znacznie później, w opuszczonej grocie ze starymi religijnymi freskami na granicy między Azerbejdżanem a Gruzją, pod złuszczonego Aniołem Zwiastowania, kiedy nie będę już wiedział, co mnie czeka, zobaczę ponownie jak na odtwarzanej w kółko, zniszczonej taśmie wideo; to pocieszenie, którego nie ma, posłuszeństwo tej kobiety, to wzruszające posłuszeństwo, żeby umrzeć, kiedy on ją o to poprosił. Na razie mogę tylko siedzieć i patrzeć, na moich rękach wystąpił zimny pot, mam przemożną ochotę na papierosa; a noc zamyka się wokół tych dwojga, jakby włożonych do sarkofagu z taniego chromu, kiedy wychodzę na zewnątrz, w ostre światło, na koniec korytarza, gdzie znajduje się mały balkonik, zardzewiałe metalowe drzwi, które niechętnie ustępują; na przemoczo-nym balkonie akurat tyle miejsca, żeby wypalić papierosa mimo wiatru i zacinającego deszczu, na ulicy poniżej mój samochód niedbale zaparko-wany, a we mnie dziwna, pełna ciekawości pokusa, coś, co mnie ciągnie w dół, blisko bezpiecznej ziemi, czarnego jak noc asfaltu, w tamtą stronę, żeby zobaczyć, co by to dało, gdybym spadł na dół i się roztrzaskał. Jakby po tym, co zobaczyłem, można jeszcze być czegoś ciekawym.

Dopiero teraz, bezwiednie dotykając łzawiących oczu, zauważam, że na czubkach palców lepi mi się krew. Rzeczywiście rozbiłem sobie łuk brwiowy, krew zakrzepła, a teraz w wyniku pocierania znowu na całego popłynęła po mojej twarzy wraz ze łzami i deszczem.

Kiedy opowiedziałem tę historię dziewczynie, wstała z łóżka, na moment położyła rękę na moim ramieniu, wzięła czarny jedwabny szlafroczek leżący w nogach łóżka, udrapowała go na ramionach, po czym wsunęła ręce w cienkie rurki, poszła do toalety, patrzyłem, jak jej białe, małe pośladki nadal lekko wystawały, gdy przechodziła przez drzwi, słyszałem pluskanie jej wody w ustępie, zamknąłem oczy, czułem, że się zapadam w ciepłym sennym mroku, słyszałem splukiwanie wody i gulgotanie w rurach.

Rano byłem na pogrzebie matki, lało jak z cebra, czarne samochody wolno podpełzały do ziejącej paszczy kościoła. Wygramoliliśmy się z nich, mężczyźni o skwaszonych minach przypominający pomocników stangreta, trzymali nad naszymi głowami parasole. Pod murami kościoła roznosił się zapach moczu, ale w samym kościele ogarnął mnie spokój, jakiego dawno nie zaznałem. Siedziałem obok ojca, który dzielnie się trzymał, wypłakany do cna, obok mojego starszego brata, który w pośpiechu przyleciał z Singapuru (zrobił się grubszy i mniej sympatyczny), siostry, z którą nie rozmawiałem od dwudziestu lat, paru dalekich kuzynów o aparycji przestępców, z seksownymi córkami. Kiedy mieliśmy postąpić naprzód (zapomniałem te wszystkie rytuały i zachowywałem się jak ktoś, kto nigdy nie oglądał kościoła od środka), potknąłem się o wytarty czerwony dywanik i wylądowałem twarzą na podniesionej przez bladego księdza czarze, czy jak tam też nazywano ten przedmiot: czara, prawda, mamó? Nie mogę cię o to zapytać, leżysz milcząca pod kwiatami i udajesz, że mnie nie słyszysz, ksiądz szarobiałą szmatką wyciera ten wypukły przedmiot, by oszczędzić nam śliny i smarków naszych poprzedników, matka uświęcona świątynia, moja matka, mała i ślepa, i martwa w tej trumnie, i wszystko, co to oznacza, kiedy ona znika z twojego życia, kawałek, odłamek ciebie samego, coś, co może nie powinno sprawiać bólu, a jednak cię gryzie, nie wiesz, co to takiego, a kiedy po nabożeństwie musieliśmy stanąć obok siebie, żeby przyjmować kondolencje, nieoczekiwanie podeszła Rita. Nawet nie wiedziałem, że była w kościele, i fakt, że zobaczyłem ją tutaj, tak zupełnie niespodziewanie w moim prywatnym życiu, był dla mnie jak uderzenie obuchem. Wziąłem ją w ramiona i ku własnej konsternacji zacząłem ryczeć, głośno się zano-



sząc, co wywołało przestraszone spojrzenia innych ludzi w szeregu. Starszy brat ze zdziwieniem wysunął głowę i spojrzał w moją stronę z wyrazem twarzy mówiącym, że dobrze zrobił, emigrując dwanaście lat temu, siostra pocierała nos, ojciec pozostał jak skała w kipieli, ścisnął dłonie, uprzejmie dziękował, a ja, który najmniej ze wszystkich miałem do czynienia z tą całą rodziną, ja, który wyniośle się odwróciłem, ja, który odrzuciwszy wszystko, samotnie poszedłem swoją własną dróżką, stałem tu teraz, mażąc się jak pierwsze lepsze mamine dziecko. Dla Rity było to żenujące, wiedziałem o tym, z tego powodu jeszcze bardziej się popłakałem.

– Rito, wszystko, co robię, jest żenujące – powiedziałem z twarzą głęboko w jej ciepłej szyi, tak że zostawiłem na niej smarki i łzy, a zawsze tego chciałem, ścisnęła moją rękę, jej spojrzenie było miłe i pełne zrozumienia, czułem, że jeszcze bardziej tonę we łzach, zabrakło mi tchu, brzydząc się litością dla siebie samego, uciekłem za nią do kościoła. – Rito, nie zostawiaj mnie samego – powiedziałem – nie zostawiaj mnie samego, proszę, nie dzisiaj.

Wzięła mnie pod ramię, i tak zobaczyli mnie członkowie mojej rodziny, w ich oczach zupełnie nie na miejscu: upolować kobietę dzięki smutkowi z powodu zmarłej matki, którą czterech obojętnie patrzących mężczyzn wynosi właśnie na zewnątrz. Podeszliśmy do dwóch czarnych samochodów, Rita usiadła obok mnie, dałem znak kierowcy, że to całkowicie w porządku, wsiadł jeszcze mój daleki kuzyn, nie odezwał się słowem, samochód poczekał, aż ojciec, siostra i brat zajmą miejsca w pierwszym aucie. Mocno ścisnąłem rękę Rity i ponownie zapłakałem, zagryzłem górną wargę, trochę się przejaśniło, ukośne światło przemknęło nad starym placem kościelnym, na którym bawiłem się w dzieciństwie kostkami i kulkami, wolno jechaliśmy ulicami, gdzie jako dziesięciolatek jeździłem na rowerze, film przesunął się przed moimi załzawionymi oczami, coś niewyobrażalnie pocieszającego było w tym, żeby tam po prostu płakać.

Na cmentarzu znowu lało, tak jak nie lało od lat – gówniana pogoda, powiedziałyby moja pobożna matka – ojciec kuśtykał teraz przed nami, płacząc, błoto chlapało na nasze wyczyszczone buty. Co za sterta idiotów z nas

wszystkich – myślałem, ale właściwie to wiedziałem, że jestem jedynym idiotą w tym towarzystwie. Rita miała przy sobie różową parasolkę, trzymała ją w całości nad moją głową, a sama mokła, na jej gustownym ciemnobrązowym płaszczku było już pełno plam, na nogach ciapki błota, chciałem się położyć na ziemi i zawołać: „Rito, pozwól mi to zlizać, zatrzymaj się!”. Widziałem, że brat robi to, co w takiej chwili należało robić: w milczeniu podtrzymuje silnym ramieniem ogarniętego smutkiem ojca, siostra z drugiej strony, a ja za nimi, otumaniony tym wspólnym występowaniem ciepła i śmiertelnego zimna. Kiedy doszliśmy do najbardziej oddalonych, nowych terenów na wielkim cmentarzu, gdzie ścieżki nie były już wysadzone płytkami, lecz porośnięte przyciętą trawą, dotarła do mnie atmosfera, cały świat, którego od dziesięcioleci nie widziałem – ten cmentarz, alejka, przy której leżeli pochowani dziadkowie, grób z dużym aniołem z brązu na jej początku, potem dalej, w głębi, otwarta mogiła, gdzie miała spocząć matka, ciemna dziura szybko napełniająca się wodą, kubły wody, które strużkami i na łeb na szyję pędziły do otwartego dołu, żeby ten skandal się dokonał. Matka miała zostać pochowana w wodzie, to było pewne, miała zostać spuszczone do małego czarnego stawu, do rzeki zapomnienia, która zaczęła wyciekać gdzieś nad naszymi głowami i teraz spływała na ziemię, cały dostępny grunt stanie się błotem i bagnem, wszystko zostanie spłukane. Obcasy Rity zapadały się w mule, który zasysał i połykał ziemię wokół naszych stóp. Nie mogliśmy tu zostać nawet przez dwie minuty, woda lodowato uderzała w nasze twarze, ksiądz w białej koronkowej szacie na ciemnoszarym garniturze trzymał w górze swoją czarną szczotkę ze srebrną rączką, żeby nas pokropić w smagającym deszczu, coś do komedii pomyłek w niedzielne popołudnie. Wtedy jakieś dziecko zaczęło śpiewać, któreś z tych prawnucząt, których nie znałem, chłopczyk w wieku około sześciu lat coś sobie nucił, piosenkę o spódnicy podwiewanej w maju, miał odwagę ten mały facet albo sobie tego nie uświadamiał, śpiewał, a wszyscy w głośnym szumie deszczu niewyraźnie słyszeli ten dziecięcy głos i zdawało się, jakby deszcz emanował światłem, to znowu stawał się czarny jak smoła, absurdalne przedstawienie, gdzie się podziała trumna, auto utknęło na ścieżce, trawa miękka i koła ślizgały się po błocie; trzeba było wyjąć

trumnę z samochodu i znowu nieść przez ostatnie sto metrów. Tymczasem byliśmy tak przemoczeni, że tu i ówdzie dawał się słyszeć odgłos szczękających zębów, dziecko, które śpiewało, teraz dawało głośno do zrozumienia, że się trzęsie, motyw d-d-d-d-d-d, przesadnie gromko i niemal obscenicznie, a kiedy trumna się zbliżała, mężczyźni się poślizgnęli, jeden z nich niespodziewanie omal jej nie upuścił, przez co – wzdłuż sterty piachu przed dołem, która zmieniała się w błoto – samoistnie osunęła się na wpół do bajora, mężczyźni ciągnęli i klęli, trumna utkwiła w kupie błota, popychali ją i walili w nią, nic nie pomagało, mokre powrozy wyslizgiwały się z ich skostniałych rąk, popchnięto ją jeszcze raz i plusnęła w wodę pochłaniającej, łapczywej ziemi, i zatoneła. Zatoneła jak stateczek u wybrzeża wyspy umarłych. Ojciec się odwrócił – podtrzymywany przez mojego brata i siostrę – szlochając i chwiejąc się, ruszył z powrotem, zupełnie sam, pozostawiwszy rodzinę, a ja pociągnąłem za sobą Ritę aż do wejścia, przez całą drogę, którą jako dziecko tak często przemierzałem w podskokach w niedzielne popołudnie, mijając wielkie mauzolea, długie proste uliczki, w których widziałem kiedyś jaszczurki, cyprysy przy dużej mogile poległych żołnierzy, aż do zardzewiałego starego wysokiego ogrodzenia, chciałem ją wciągnąć do samochodu. Potrząsnęła gwałtownie głową, strzepnęła błoto z czółenek, jej włosy były kompletnie mokre, jakby stała pod prysznicem, była przemoknięta i piękna, bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem ją pogłaskać, natrzeć, żeby ją rozgrzać, poczułem się w środku nagle czysty i suchy, choć tak przemoknięty, doświadczyłem głębokiego, ciepłego doznania suchości i czystości. Widziałem, jak Rita przechodzi przez ulicę, obejrzałem się i dostrzegłem ojca siedzącego z zamkniętymi oczami w pierwszym samochodzie, z odchyłoną do tyłu głową na oparciu, i ganiące spojrzenie mojego singapurskiego brata menedżera, który odniósł sukces. Ja sam nie wsiadłem, uciekłem do kawiarni po drugiej stronie, zamówiłem rosół, wyjąłem z kieszeni zawilgotniałą komórkę i wybrałem numer dziewczyny. Cieszył mnie muzak, brzydkie meble, zapach niedobrej filtrowanej kawy, zbyt słony rosół, źle spalany olej opałowy i odrażający zapach mokrego psa.

To zarazem był dzień, w którym po raz pierwszy znalazłem te obrzydliwe odcięte rączki. To coś tkwiło za wycieraczkami, gdy około drugiej w nocy wyszedłem od dziewczyny. Przemoczony, wstrętny, tłustawy jak udko kurczaka, lśniący kawałek czegoś wstrętnego w ciemnych strugach deszczu przykleił się do przedniej szyby mojej starej toyoty. Z odrazą odrzuciłem to daleko od siebie, przekląłem, włączyłem silnik samochodu i stanowczo za szybko pojechałem do domu z *Hallelujah* Jeffa Buckleya w odtwarzaczu CD. Ugryzienie w wargę, gdy usłyszałem, jak śpiewa: *And every breath we drew was hallelujah*. Pomyślałem wtedy, że ten chłopak też już nie żyje, i znowu się wzburzyłem.

Kiedy pewnego dnia pracowałem w wydawnictwie, Rita poprosiła mnie o informacje o pewnym autorze. Okazało się, że wykłada na Katolickim Uniwersytecie Brukselskim. Na pasku adresu w „Ulubionych” kliknąłem Google’a, wpisałem KUB i po naciśnięciu klawisza enter trafiłem na stronę internetową o inicjałach KUB. Okazała się jednak stroną Uniwersytetu Chazarskiego w Baku. Najpierw pomyślałem, że to jakiś żart, lecz instytucja ta przechwalała się, że jest uznaną pedagogiczną ostoją wiedzy. Uniwersytet ten, na którym wykładano między innymi filologię azerską, prezentował się jako prestiżowy instytut z prawdziwymi profesorami i ambitnym programem; mimo że Azerbejdżanowi daleko do demokratycznego społeczeństwa, ten KUB chciał prowadzić politykę otwartości i według własnego elektronicznego folderu werbunkowego głosić postępową wizję świata. Chodziło o instytucję prywatną, założoną w 1991 roku. Żadne słowo nie zdradzało, co tu się rzeczywiście mogło rozgrywać. Na pierwszy rzut oka

wyglądało to na zaimplantowanego przez Amerykanów satelitę, pierwszą anglojęzyczną placówkę oświatową tego kraju z konferencjami na temat na przykład islamu w Ameryce.

Chciałem klikać dalej, ale program się zawiesił, następnie powiadomił mnie, że muszę go zamknąć „ponieważ wystąpił błąd”, potem wyskoczyło znane okienko z tekstem „poinformuj Microsoft o tym problemie”. Jakby Microsoft chciał mnie słuchać, znam ja już te małe cholerne programy, które nigdy nie dają odpowiedzi ani rozwiązania.

Ponownie włączam komputer, pojawia się ostrzeżenie przed wirusami. Jakiś robak, tyle wiadomo. Wchodzę na stronę antywirusową, ściągam stosowny *fixtool*, uruchamiam go. Podczas screenowania widzę, jak w okienku z żółtym paskiem zadań przelatują moje niezliczone dokumenty; jakby cały twój dobytek został wyrzucony na ulicę i grzebały w nim chciwe ręce. Po jakichś siedmiu minutach *fixtool* melduje, że musi zakończyć sprawdzanie. Dopiero teraz na dobre się zaczyna, ten robak osłania siebie samego przed *fixtools* i firewallami.

Od tamtego dnia mój komputer działa coraz gorzej; cokolwiek robię, żeby się pozbyć tego robaka, coś w tym cholernym programiku zawsze jest szybsze ode mnie. Budzę się przez to w nocy, leżę, przewracając się z boku na bok i rozmyślając, czasem przychodzi mi do głowy jakieś rozwiązanie, wypróbuję je od razu następnego dnia po przyjściu do biura, ściągam inne wersje różnych firewalli, wszystko na darmo. Wcześniejsze zainfekowania brały się zawsze z mejli od włoskich wydawców (widocznie mają tam patent na nonszalanckie używanie komputerów bez zabezpieczenia); teraz jednak od miesiący nie korespondowałem z żadnym włoskim redaktorem. Przeglądam skrzynkę pocztową, nie znajduję niczego, co choć trochę wyglądałoby na podejrzany załącznik. Czy to może pochodzić z KUB? Przez zwykłe surfowanie – mało prawdopodobne. Muszę się wystrzegać paranoi. Muszę sobie obciąć paznokcie. Pilnie muszę do fryzjera. Nad biurkiem znowu wieszam sobie tabliczkę NO CATS: *no coffee, alcohol, tobacco, sex*. Oczyszczyć się trochę. Bardzo tego potrzebuję po całym zamieszaniu ostatnich miesięcy. Piję więc sok owocowy i przez tydzień próbuję nic nie

jeść. Pierwszego dnia robię się od tego śmiertelnie zmęczony, drugiego przygnębiony, trzeciego kręci mi się w głowie, czwartego dopada mnie rozdrażnienie, piątego senność i ospałość, a szóstego doznaję euforii i jasności. Siódmego dnia odpoczywam. Pewnego dnia Rita mówi:

– *No cats?* Jeden *cat* chyba by ci wystarczył? Wyrzuć je, Dzońciu-słońciu.

To jedyny raz, kiedy odważyłem się dać jej klapsa w tyłek, a ona zagruchała, suka.

Wtedy uznałem, że najwyższy czas znowu wpaść do dziewczyny. Początkowo chciałem zadzwonić, potem z tego zrezygnowałem, postanowiłem zajrzeć do niej bez zapowiedzi, żeby jej zrobić niespodziankę. To też dobry test – pomyślałem – żeby zobaczyć, czy naprawdę nie ma nikogo innego, nie żebym jej tego zabraniał, ale jednak dobrze wiedzieć... Tak rozważając, zaparkowałem samochód. Chodziłem po niedzielnym targu kwiatowym wśród zadowolonych ludzi, mijając kolorowe stragany z uprawiającymi handel sprzedawcami, którzy od czasu do czasu zachwalali swoje towary sloganem niemającym nic do rzeczy; cieszyła mnie radośnie beztroska paplanina, spokój bijący od młodych małżeństw z głupio modnymi dziecięcymi wózkami. W starym kiosku muzycznym rozbrzmiewało zwyczajowe niedzielne trąbienie fanfary. Przy stoisku z dachem ze złotej trzciny stało kilku ekstrawagancko wystrojonych czterdziestolatków, spożywających ostrygi z szampanem, dobrze widocznych dla każdego, kto akurat nie miał na to ochoty. Mnie, z moim pustym żołądkiem i oczyszczonymi jelitami, na samą myśl robiło się niedobrze. Kupiłem mieszany bukiet z dużą ilością białego i jasnoniebieskiego, takie tam lwie paszczki i małe lilie, jedna róża w bardzo osobliwym kolorze ciemnej czerwieni, wydawała się prawie aksamitnoczarna, kazałem dołożyć trochę gipsówki i asparagusa. Poszedłem do samochodu, wystraszyłem się sroki, która ot tak w środku miasta pokazała się na chodniku i skakała przede mną. Wsiadłem do auta, chciałem ruszyć, moja ręka się zawahała. Od zamachu w restauracji, już prawie pół roku temu, stale się bałem, gdy miałem włączyć silnik; nigdy przecież nie wiado-

mo. „Dlaczego sądzisz – tak dawniej zawsze pytała Rita, kiedy mówiłem o swoich obawach – że mieliby mierzyć akurat w ciebie?”. Strach, że coś ci się stanie, jest tylko jednym z wielu wariantów narcyzmu: sam robisz z siebie kogoś zbyt ważnego.

– *Nobody’s after you, kid* – stwierdzała wtedy, drocząc się.

Od tamtego wieczoru w restauracji inaczej się o tym wypowiadała. Staliśmy się niemal *collateral damage* w zamachu, z którym nie mieliśmy nic do czynienia. A tak, sprawę tymczasem wyjaśniono, policja nie miała z tym też większych trudności: jeden ze sprawców był na tyle głupi, żeby spowodować wypadek drogowy samochodem, którym uciekał. Chodziło o kretyńsko idiotyczną akcję odwetową: dwóch mężczyzna chciało się zemścić na właścicielu restauracji, ponieważ ich bez pardonu zwolnił. Takich szajbusów, którzy publicznie okaleczają ludzi, żeby uregulować swoje sprawy, powiedziała Rita, mogą, jeśli o nią chodzi, postawić „pod ścianą”.

– Czyżby, Rito? A niby pod jaką ścianą?

– Jakąkolwiek – rzuciła.

– Pociągnęłabyś sama za spust?

Nie wahając się ani chwili, odparła:

– Natychmiast.

Jeszcze raz dobrze się jej przyjrzałem z boku. Tamtego dnia jej nos błyszczał trochę bardziej niż zwykle.

Kiedy zaparkowałem przed apartamentowcem, w którym mieszka dziewczyna, zobaczyłem, że zasłony na czwartym piętrze są jeszcze zasunięte. Poczułem ukłucie w sercu. Czyżby z innym...? Postanowiłem nie korzystać z windy, tylko jak najciszej zakraść się schodami na górę. Czułem się idiotycznie z tym bukietem w ręce. Co to za porządki, żeby iść przyłapywać kogoś, do kogo się też w końcu ma prawo? Przyłapałem w każdym razie siebie samego: stałem się podejrzliwym łajdakiem, kimś, kto ciągle wybiera najgorsze scenariusze, żeby się zadreć. Może sobie po prostu spokojnie spała i mogłem ją zaskoczyć, ciepłą i chętną, w jej pachnącym snem łóżku.

Zadzwoiłem do drzwi, chociaż już jakiś czas temu dała mi dorobiony klucz. Nic się nie wydarzyło; słyszałem bicie własnego serca. Potem niewyraźnie usłyszałem muzykę. Odczekałem ponad pół minuty. W tym czasie czułem, jak wszystko we mnie zaczyna się zapadać. Jakby moje ręce chciały się odłączyć od ciała, ciężko opadły obok mnie, a kwiaty niemal wlokłem za sobą. Tak głupkowato stoi człowiek, który zbyt uważnie próbuje usłyszeć to, czego nie słychać. Co miałem robić? Ponownie zadzwonić, podczas gdy ona, wstrzymując oddech, leżała z innym i czekała na moment, w którym sobie pójdę? Zanim to do mnie dotarło, zawołałem jej imię – jeszcze nigdy tego nie zrobiłem (oprócz pierwszego razu, kiedy się w nią wdarłem, a ona, ze swoimi niezrównanymi oczami głęboko w moich, poprosiła trochę ochryple: „Powiedz moje imię”).

– Mira!

Zabrzmiało jak wystrzał z karabinu w pustym korytarzu. Nagle przez okienko wślizgnął się do środka promień słońca i lśnił na wyszorowanych szarych płytkach. Wciąż jeszcze słyszałem muzykę – wysoki głos jak przez mgłę, coś jak muzyka barokowa, najwyraźniej. Może powinienem najpierw pójść po croissanty? Dać jej czas, żeby się spokojnie obudziła? W łazience jej nie było – zakładałem, że w przeciwnym razie usłyszałbym plusk wody. Moja niecierpliwość zwyciężyła. W kieszeni marynarki poszukałem klucza, jak najciszej włożyłem go do zamka i otworzyłem drzwi. Dziwne: światło w niewielkim holu jeszcze się świeciło. Wróciła do domu pijana? A może jednak był kochanek, przez którego nawet nie miała czasu, żeby spokojnie – zostawmy to. Zrobiłem krok do przodu i pchnięciem otworzyłem drzwi do salonu. Przeżyłem szok: w łagodnie migoczącym świetle siedziała prosto przy stole, plecami do mnie. Mogłem bez trudu podejść do niej tak, żeby mnie nie słyszała; muzyka (która nagle zabrzmiała niebiańsko pięknie i delikatnie) dawała mi wystarczającą akustyczną osłonę. Położyłem kwiaty na półokrągłym stoliku na prawo od siebie w holu i na palcach ruszyłem po dywanie. Dopiero wtedy zauważyłem, że coś się nie zgadza; siedziała skrupowana szalikiem na wysokości ramion. Jej głowa była odgięta do tyłu. Doskoczyłem do niej. Na jej szyi widniały ciemnofioletowe plamy; duże oczy



były szeroko otwarte, a z ust wystawał niebieski, spuchnięty język. Nie krzychałem, szeptałem jej imię, podczas gdy robiło mi się niedobrze. Łagodnie wiwatujące barokowe głosy za mną nadawały temu obrazowi efekt sceny filmowej.

– *Responde mihi* – śpiewały sopran i tenor w duecie.

W bladuróżowym sweterku, z rękami leżącymi na poręczy krzesła, z tą szaloną otwartością martwych oczu, tym obscenicznym językiem i przejrzałą skórą na szyi przypominała gorszą wersję portretu Warhola.

Nie dowierzając, ponownie wyszeptałem jej imię, jakbym miał nadzieję, że się jeszcze obudzi, na moment zamknie oczy, zamruga pod migoczące światło i powie:

– O, to ty, zasnęłam tutaj.

Kiedy powoli sobie uświadomiłem, że patrzę na zamordowaną, wezbrała we mnie niezrozumiała mieszanina strachu i opanowania. Dopiero teraz w napływie żalości zdałem sobie sprawę, jak ją tymczasem pokochałem. A może był to typowy fałszywy sentyment, który ogarnia ludzi w takich chwilach? Żal, ponieważ masz przed sobą coś nieodwracalnego? Nie wiem, może wymyślam to po czasie. W tamtym momencie niczego nie wymyślałem, dyszałem z rozpaczy i chwiejąc się, podszedłem do niej; dotknąłem jej czubkiem palca, a zimna odraza jak szybka i śmiertelna trucizna przelała się przez moje żyły. Ktoś ją udusił, a potem tak spętał. Wszelkie bezsensowne domysły przelatywały mi przez głowę jak spanikowane ptaki. Miała kogoś innego, zazdrosnego maniaka, który w jakiś sposób dowiedział się o moim istnieniu. Została napadnięta dla pieniędzy. Kto właściwie jest jej sąsiadem? Nie znałem żadnego z jej kolegów z pracy. Do kogo powinienem zadzwonić? Kiedy pomyślałem o policji, uświadomiłem sobie, że moje własne odciski palców znajdowały się już na jej szyi, oparciu krzesła, stole; że spadły drobinki łupieżu, nawet włosy z moich ramion, wszelkie mikroskopijne drobiazgi, z jakimi wiąże się normalna ludzka obecność, a które mogły udokumentować moją winę. Kiedy zrozumiałem, w jakiej pułapce się znalazłem, zrobiło mi się wszystko jedno. Patrzyłem na jej twarz, chciałem zamknąć jej oczy, które wpatrywały się w jakiś punkt gdzieś na tapecie. Czy

to była ostatnia rzecz, którą widziała? Co jest ostatnią rzeczą, którą człowiek widzi ze swojego życia pełnego światła, oczekiwań, wiary, nadziei i miłości oraz wszelkich bzdur sprawiających, że tak pragniemy wzniosłych doświadczeń? Nieokreślona plamka na ścianie? W jej postawie nie można było odnaleźć żadnych śladów oporu ani żadnych zranień. Musiała zostać uduszona z wielką siłą i szybko; ktoś o dużych, mocnych rękach. Ktoś, kto w zupełnej ciszy zakradł się do niej z korytarza. Powstrzymałem się, żeby jeszcze raz jej dotknąć. Rozejrzałem się, podszedłem do odtwarzacza CD i wyłączyłem przycisk *repeat*. Wyjąłem płytę. *Leçons des morts*, Sébastien de Brossard. Nigdy o nim nie słyszałem. Na pudełku piękna głowa, ciemnowłosa piosenkarka, jakby młodsza wersja Callas, jej imię wywołało we mnie szok: Césarine.

Dopiero wtedy, nie wiem dlaczego, zacząłem ochryple płakać, trzęsąc się na całym ciele. Wołałem jej imię, mówiłem, że tak nie można, jak szaleniec zacząłem do niej przemawiać, przeczesywałem palcami jej włosy, zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, potykając się, poszedłem do łazienki, zwymiotowałem do umywalki, gdzie leżały jej biżuteria i zestaw do makijażu. W małym koszu na śmieci obok umywalki leżała zużyta prezerwatywa. Puściłem wodę, aż breja została spłukana, zwilżyłem twarz, łkałem jak dziecko, wyjąłem komórkę i zadzwoniłem na policję.

Przesłuchanie trwało wiele dni; tak jak się obawiałem, zostałem pierwszym podejrzanym. Można było sprawdzić, że poprzedniego wieczoru dzwoniłem jeszcze do ojca ze stacjonarnego telefonu w swoim domu; że zjadłem w restauracji u siebie za rogiem (od dnia, w którym to sprawdzono, właściciel restauracji patrzył na mnie nieufnym wzrokiem); że na własnym komputerze napisałem i wysłałem mejle między jedenastą a wpół do trzeciej w nocy; że do wpół do czwartej ściągałem *fixtools*, nawet że po drugiej w nocy zainfekowałem jeszcze dwóch znajomych wirusem, którego nie można było wyłączyć na moim komputerze. Ponieważ moje zeznania pozostały zgodne i szczegółowe, wszelkie detale dotyczące zakupu kwiatów i tym podobne okazały się przekonujące, a ja się niczego ze swojej wersji nie wyparłem, nawet o dotykaniu w pierwszych chwilach rozpaczliwej nie-

wiary mogłem nadal opowiadać różnym policjantom, w końcu oczyszczono mnie z podejrzeń. Tych kilka dni tymczasowego aresztu nie kosztowało mnie wiele wysiłku umysłowego. Mogłem zadzwonić do swojego lekarza, otrzymać zaświadczenie o leczeniu nerek, to wszystko widocznie czyniło moją sytuację mniej podejrzaną. Tygodniami widziałem jednak, jak tuż za terenem niewielkiego parku miejskiego, gdzie mieszkałem, regularnie parkowały ciemne samochody z dwoma mężczyznami, którzy zdawali się ot tak tam sobie siedzieć. Wiedziałem, że nadal jestem śledzony. Policja nie odniosła większego sukcesu w wytropieniu prawdziwego sprawcy; do dziś pozostaję jedyną osobą, która rzeczywiście coś podejrzewa. W trakcie jednego z przesłuchań podałem nazwisko Hansa Mattfersena. Już po pierwszej rozmowie został usunięty z kręgu podejrzanych.

Sekcja zwłok wykazała to, o czym już wiedziałem: szybkie niespodziewane uduszenie, wyjątkowo mocne, chrząstka krtaniowa zmiażdżona, silne skrzywienie kręgosłupa szyjnego, gardło bardzo wysoko zaciśnięte, początkowo tuż nad krtanią, a dopiero potem cała szyja, ruch łamiący, od którego kręgi szyjne zostały przesunięte, nastąpił jako ostatni. Człowiek znajdujący się na swoim fachu. Nigdzie nie znaleziono odcisków palców. Po wzorze znalezionych śladów można jednak było ustalić, że Mirę zamordowano w gumowych rękawiczkach, takich jak te chirurgiczne, cienkie, przypominające skórę paskudztwa, które nigdy się nie rozrywają.

No i jeszcze to, w pamięci na długo pozostał detal w sprawozdaniach ze śledztwa, które mogłem przejrzeć: kiedy sprawdzono w jej komputerze, co robiła w wieczór morderstwa, okazało się, że ostatnim hasłem, które wyszukiwała w Google'u, było *Ethnic Bomb*.

Wydruk z osobliwym tekstem jako ostatnia strona:

Пожалуйста, обратитесь к вашему системному администратору.<sup>[4]</sup>

*The scanned document was QUARANTINED.*<sup>[5]</sup>



*Nie można równocześnie kochać prawdy i świata.*

*Lecz ty już wybrałeś.*

MICHEL HOUELLEBECQ

Święty – pomyślała Marga. Ten dzień jest święty. Nie wiedziała, dlaczego tak pomyślała. Czy z powodu jesiennego światła, które jasnymi, ukośnymi promieniami oświetlało ogród? Czy dlatego, że włączyła muzykę fado, a w obszernej kuchni unosił się zapach kawy? Czy przez to, że odkąd mieszkała sama, czuła w sobie lekkość, której nigdy nie zaznała, gdy była jeszcze z Johnem?

Wszystko jest tym, co z tego zrobimy, niczym więcej. Właśnie dlatego – pomyślała Marga. Właśnie dlatego.

Pierwsze tygodnie bez Johna były trudniejsze, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. Głupek – niejasne pozostałości czułości w tym wyrzucie. Nalała sobie drugą filiżankę kawy. Sięgnęła po grubą książkę, którą czytała. Rozprawę o sferach – autor twierdził, że od pierwszych wspólnot ludzie stale myśleli okrągłymi kształtami. Kuliste kształty, które utworzyły wspólnotę; od macic po rodziny, od wsi po miasta, aż po obsesję globu, który musiał być odbierany jako macica. Obszerne wywody historyczne, które ją nudziły, ale gdzieś tam jednak trafiało się zdanie, które mimo wszystko podkreślała.

Podniosła głowę, ponieważ usłyszała w ogrodzie krakanie wrony, która skakała po zmarniałej trawie, przepędziła tam kolorowego dzięcioła pstrego i kilka zięb. Ptaszek w nauczycielskim fraku. Marga znowu pomyślała o Johnie; niezręcznym sposobie, w jaki ją głaskał. O tym, że nie wyczuwał, jak powinien ją całować. Przez te lata, kiedy byli razem, żadne z nich nie czerpało przyjemności z siebie nawzajem. Małżonkowie, małż w okowie, jak drwił John. W kółko ten sam kiepski żart.

Kobięcy głos śpiewał fado o opuszczonym młodym mężczyźnie, który chciał popełnić samobójstwo. Pieśń emanowała ciepłem i przychylnością; wprawiła Margę w stan spokojnego, bujającego w powietrzu roztargnienia. Wspominała noce z Johnem, kiedy nie zdołał się z nią kochać; o braku zbliżenia. Atmosfera bezpieczeństwa – w ich przypadku nigdy nie miała w sobie niczego z aureoli, które autor opisywał w książce: jak u rodziców świętego Józefa, którzy się ponownie spotykają. Kobieta, o której mowa, przyszła matka Józefa, jest w ciąży. Ojciec Józefa widzi ją jednak po długiej nieobecności; dziecko nie jest więc jego. Muszą dalej żyć ze sobą i z dzieckiem trzeciego, czy może zostało im ono podarowane przez Boga, jak dziecko w Betlejem? „Urodzisz je dla mnie, ze mnie”, przypomniała sobie Marga z pewnego wiersza. Uścisk można zobaczyć na jednym z fresków Giotta w kaplicy Scrovegnich. Dwoje małżonków trzyma głowy blisko siebie. Dziwnym sposobem powstaje trzecia twarz przez to, jak nos mężczyzny łączy się z jednym z oczu ich obojga; w ten sposób trzecia twarz zdaje się na ciebie patrzeć, prefiguracja czegoś, co jest zupełnie inne i jeszcze nie do pomyślenia, kogoś, kto ich dzieli i łączy, a kogo oni sami nie mogą zobaczyć. Lecz widz to zauważa zatrwając wyrażnie, jeśli się dobrze przyjrzy. Marga obejrzała ilustrację, zmrużyła jedno oko, długo patrzyła, westchnęła. Wzięła jabłko z półmiska przed sobą na długim stole.

Przez pierwsze tygodnie, gdy mieszkała sama, brakowało jej jakiegokolwiek poczucia własnej wartości; zamglone spojrzenie męża, który latami był o nią zazdrosny, a mimo to nie mógł jej już kochać, wyniszczyło ją wewnątrz.

Zgoda, miesiące, które potem nastąpiły, spędziła na przypodobywaniu się dowolnemu mężczyźnie, który miał pecha stanąć na jej drodze. Za każdym razem doprowadzała sprawę do momentu, w której naiwnie zakochany błagał ją, żeby się z nim przespała. Kiedy to słyszała lub przeczuwała, natychmiast zrywała związek z niejasną mieszaniną niechęci i melancholii.

Wtedy nastąpił dzień, w którym na ulicy skrzyła kostkę. Dzień wielkiego ataku terrorystycznego na trzy miejsca w Europie. Gdzie byłaś, kiedy się o tym dowiedziałaś? Była na ulicy, załamana, z zerwanym więzadłem pięto-

wo-skokowym, pomógł się jej podnieść mężczyzna o rudych włosach, który się jej usilnie przyglądał zimnymi niebieskozielonymi oczami. W radiach samochodowych w korku obok słyszała syreny, wzburzone głosy. Nie miała pojęcia, jak pomógł jej wsiąść do auta. Pojechał z nią na pogotowie, trzymał ją pod pachę i podpierał. Jego silny, ciepły uchwyt. Bezwzględny i uspokajający zarazem. Po wszystkim odwiózł ją do domu; przy drzwiach trochę się wahał, kiedy ona szukała kluczy i kulejąc, sama próbowała wejść do środka. Ból przeszył jej stopę i sięgnął aż po łydkę. Nieznajomy pomógł jej wejść. Znowu spojrzał jej w oczy tak, że prawie ją to przeraziło.

Opadła na sofę. Kiedy leżała na niej z obandażowaną stopą, mężczyzna nadal się jej przyglądał. Marga powiedziała z naciskiem:

– Dziękuję, już sobie poradzę.

Zrozumiał wskazówkę, skinął formalnie głową, a zanim wyszedł, na niskim stoliku w salonie położył swoją wizytówkę. Dziwne, mężczyzna, który nosi czarne jedwabne rękawiczki.

Wizytówkę obejrzała dopiero następnego dnia, po długiej nocy bezsenne-go leżenia i tłumienia bólu. Nazwisko było dla niej dziwaczne; pomyślała, że to coś skandynawskiego. Znowu ujrzała jego lodowate oczy, w których było jednak coś żarliwego. Kostka nadal była opuchnięta; starała się jak najmniej poruszać. Do biura jeszcze tego samego wieczoru wysłała mejla. Żeby nie liczyli na nią przez co najmniej tydzień.

Sfery. Fado uderzyło ją ciepłą falą melancholii. Kawa była odrobinę za mocna. W ogrodzie słyszała sroki droczące się z wronami.

Na wizytówce widniał numer jego telefonu komórkowego. Pod wieczór drugiego dnia wysłała mu esemesa: „Dziękuję. Marga de Vuyst”. Dlaczego czerpała przekorną przyjemność z podpisania się nazwiskiem Johna zamiast swoim, sama nie wiedziała. Jej panieńskie nazwisko mógł usłyszeć w rejestracji pogotowia.

Chwilę później dostała zwrotną wiadomość: „Boli cię jeszcze?”.

Uznała to za niestosowność; była dla niego zupełnie obca i właściwie to już nie jego sprawa, co się z nią działo. „Ujdzie”.

Od razu potem jego reakcja: „Zadzwoń, jakbyś czegoś potrzebowała”. Ma tupet – pomyślała. Powściągliwie odpisała: „Tx”.

Na co on nie odpuścił, tylko wysłał jej buźkę, a po niej krzyżyk. Właśnie dlatego, że to było tak impertynenckie, wybuchnęła śmiechem. A więc ten też – pomyślała. Jakaś pogarda i blady kolor policzków. Potem o tym zapomniała.

Dni spędzała, czytając, z bolącą stopą na podnóżku przed kanapą.

Wtedy pocztą nadeszła paczuszka: CD z muzyką fado. „Na długie godziny z uniesioną stopą. Pozdrowienia od Hansa”.

Utykając, weszła do salonu z niewyraźnym, zadumany uśmiechem na twarzy.

– No, no, kolego – mruknęła do siebie. – No, no, chłopcze, do tego zmierzamy?

Niby dlaczego nie? Przez ostatnie miesiące zachowywała się z dużą rezerwą; flirtowanie stanowiło całą jej przyjemność. Kiedy o tym pomyślała, w podbrzuszu poczuła ciepło, którego się przestraszyła. Na chwilę zamknęła oczy. Od tęsknoty za solidnym seksem zakręciło jej się w głowie.

Wysłała mu dwa słowa: „Ładna muzyka”.

Rezultatem będzie mały wybuch intymności, wiedziała to aż nazbyt dobrze. Mógł to zrozumieć jako otwarte zaproszenie. Tak też się stało.

„Jak się lepiej czujesz, zaproszę Cię na kolację”.

No i się zaczęło – pomyślała. To takie przewidywalne i banalne. Kiwnę palcem, a będzie się ze mną pieprzył w pierwszej lepszej imprezowni dla cudzołożników z podwójnym dochodem. Trochę rozczarowana rzuciła komórkę na kuchenny stół, zaczęła masować bolącą kostkę, rozmyślała, czuła, jak mięknie, kiedy wspomina jego surowe oczy, pod nosem nazwała siebie samą głupią pipą, poczuła się niezręcznie.

Sprawdźmy jego upór – pomyślała. Nie odezwała się więcej. Czekala tydzień, aż sama przestała nad sobą panować i przyłapała się na tym, że znowu obgryza paznokcie, jak dawno temu. Trzy razy pisała wiadomość i ją kasowała. Jednego z takich wieczorów, kiedy z nikim nie rozmawiała ani



się nie widziała, wypła nagle ponad pół butelki czerwonego wina. Jakby to wyczuł, zadzwonił. Piętnaście po jedenastej. Sama godzina była już wiadomością: przyjdę do ciebie o godzinie, o której dzwonią kochankowie.

– Mówi Hans.

Ona:

– Wiem.

On:

– Mm. Dodałaś mój numer do listy w telefonie?

Ona do siebie: „Ależ kretynka, ależ pipa ze mnie. Niech ten bubek spada”.

Do niego:

– A jak myślałeś?

Czuła odrazę do siebie samej.

– Możesz znów chodzić?

– Ujdzie.

– Na tyle, żeby od drzwi przejść do samochodu i od samochodu do restauracji?

Co za natręt. Westchnęła. Pozwoliła, żeby sam zdecydował, jak to dalej ugryźć.

Odczekał chwilę. Potem powiedział:

– Jutro o siódmej. Przyniosę ze sobą aperitif.

A-pe-ritif! Co za bezczelność! Fuknęła pogardliwie i poczuła, jak wypełnia się ciepłem, które daremnie próbuje zignorować. Ciepło? To było podniecenie, pierwotna żądza przeszywająca jej ciało.

– Jesteś śmiały jak na kogoś, kogo kompletnie nie znam.

– Jakoś temu zaradzimy, prawda?

– Posłuchaj, drogi panie, jak ty się nazywasz...

– Mattfersen, pani de Vuyst, nazywam się Hans Mattfersen.

– Niech pan posłucha, panie Matverzen, jest pan dość nachalny, muszę powiedzieć.

Rechot po drugiej stronie.

– A jakich słów pani zatem oczekuje? Po prostu mam ochotę pójść z panią na kolację.

– Nie ma pan nic lepszego do roboty niż nękanie kobiet ze skreconą kostką?

Ponownie ten rechot. Dopiero teraz się rozkręcił.

– Coś w tym stylu. Przyznaję, że jestem histerycznym altruistą. A więc do jutra wieczorem?

Tamtego wieczoru spadł obfity śnieg, nagle, między ósmą a północą. Wcześniej jak na tę porę roku.

Musiał ją podtrzymywać. Znowu te ciepłe palce zaciskające się na jej ramieniu; płomień na szyi, rumieniec, o którym myślała, że zabarwia jej skórę mniej więcej na purpurowo. Od czego jeszcze bardziej się zarumieniała. Głupia krowa. Przecież chyba nie dla takiego szpanera?

Najpierw zamówił jej crémant de bourgogne. Małe zaskoczenie; po takim macho spodziewała się czegoś banalnego w rodzaju mumm. Następnie znowu wręczył jej prezent, ponownie CD. *Leçons des morts*, Sébastien de Brossard. Nic jej to nie mówiło.

– Barok?

– Tak, francuski barok. Oszłamiający. Niemal zapomniany przez wieki. Teraz w świetnym wykonaniu. Przedwcześnie zmarłą sopranistkę jeszcze znałem. Zeszły wiek uczynił z baroku doznanie tłumy. Sferę uczuć, w której dajemy upust swojej subiektywności, mentalną kopułę, przestrzeń pozwalającą odczuwać bezimienną solidarność. W pewnym sensie zastąpił wcześniejsze bezpieczeństwo w świecie, który stał się anonimowy. Barok to coś, w czymś się mieszka. Daje poczucie jasności, która właściwie nie jest nam pisana.

Ona:

– Olala. Nieźle, proszę pana.

On, niewzruszenie:

– Wiek dwudziesty był nie tylko wiekiem nazizmu; również baroku. Kto wie, może to idzie ze sobą w parze.

Arogancki uśmiech.

– Jesteś bardzo zadowolony z siebie samego, prawda?

Celowo była podła. Przydawało jej to trochę pewności siebie; nienawidziła banalności swoich pragnień.

Przeróżnymi okrężnymi drogami i specjalnie (wiedziała o tym, wiedziała, ale co mogła poradzić) – specjalnie rozstawiwszy puste bramki, osiągnęła to, że rozmowa w restauracji stawała się coraz bardziej intymna. Zanim się obejrzała, wyjawiała mu zdecydowanie za dużo na temat swoich oplakanych ostatnich lat z Johnem de Vuystem.

Akurat przy ostatnim kęsie głównego dania – risotto z raczkami rzeczynymi – okazywana przez niego niemal przytłaczająca ją wyrozumiałość, niemal groźna cierpliwość, z jaką jej słuchał, sprawiły, że ścisnęło ją w gardle. Od razu też łzy napłynęły jej do oczu, a kiedy to sobie uświadomiła, wybuchnęła płaczem. Nie spuszczał z niej wzroku, drapieżne zwierzę, które widzi, jak zdobycz przemyka mu między łapami. Przez chwilę miała wrażenie, że jego źrenice tak bardzo się rozszerzyły, jakby w oczach nie miał już tęczówek. Odsunął na bok talerz i położył ręce na stole, między sobą a nią. Zacisnęła zęby, wytarła nos w serwetkę, zmięła ją, rzuciła na swój talerz, popatrzyła w inną stronę. Nagle znowu zaszlochała, gwałtowniej i wręcz boleśnie, spojrzała mu w oczy, położyła rękę na jego ręce.

Natychmiast wziął jej dłoń w swoją i gładził, jakby ją powoli masował. Nie patrzył na nią przy tym; jego wzrok zdawał się skierowany na coś na talerzu, co badał, odrobinę przechyliwszy głowę.

– Hans, spójrz na mnie.

Odczekał kilka prowokacyjnych chwil. Kiedy w końcu zrobił, o co prosiła, od dawna było już po niej. Wiedziała, co nastąpi.

– Masz ostre kciuki, Margo.

Patrzył, jakby trzymał w rękach odkryty właśnie gatunek rośliny. Potarła kciukiem o palec wskazujący. Próbowwała trzymać rękę nieruchomo. Przy-

gryzła wargę. Pociągnęła nosem. Przełknęła i czekała. Całą wieczność w pustej przestrzeni, coś nieprzewidywalnego i dobrze znanego.

*Va banque* – pomyślała. – *Let it all hang out.*

Kiedy wracali, objął ją ramieniem, jakby to było oczywiste. Bo i było. W drodze do domu obcas utknął jej między płytkami chodnika. Omal znowu nie skręciła kostki. Czekał, kilkoma ruchami stopy wyjęła but. Mocniej ją objął. Miała przez to ściśnięte ramiona jak dziecko w ojcowskim uścisku; było w tym coś pocieszającego, co zarazem odbierała jako skradające się źródło smutku.

Nie pamiętała już, co było potem; w domu włączył tę muzykę, to sprawiło, że poczuła się melancholijnie, a jednocześnie jasno myślała. Nie chciała o tym wiedzieć. Zanim to sobie jednak w pełni uświadomiła, zdjął jej T-shirt i całował po szyi i piersiach. Odchyliła głowę do tyłu, poczuła zawroty. Łapała go za włosy, za szyję, głaskała, potem odepchnęła go od siebie i niespodziewanie wstała. Widziała, że się przestraszył i czekał. Poszła do toalety, wróciła po minucie, wzięła go za rękę (rozpuściła włosy) i weszła na schody. On za nią i na wpół obok niej, jego skórzane buty skrzypiały trzeszczącym odgłosem stopni. Na górze sięgnął po otwartą butelkę wody z nocnej szafki i zanim się zorientowała, poczuła, że po jej plecach spływa zimna struga. Złapała oddech, objął ją, jego oddech na jej szyi. Szybka zmiana z zimnego na ciepłe odprężyła ją; teraz ciągle było nie dość szybko. Ostryimi paznokciami zadrapała mu brzuch, gdy chciała odpiąć pasek. Zrobił to sam, patrząc na nią. Starannie powiesił ubranie na krześle. Patrzyła na jego plecy i pośladki. Płomień, kiedy się w nią wdarł ponad pół godziny później. Najpierw ją pieścił, przyglądał się jej – bezwstydnie i z uśmiechem, również między nogami. Potem ją całował; majtki zdejmował jej kilka razy z rzędu, potem znowu zakładał, mówił, że chciałby to robić bez końca, tylko to. Długo całował ją między nogami, głaszcząc w tym czasie jej brzuch. Ciało Margi słuchało, jak dotknięcia szukają swojej drogi, i pogrążyło się w swego rodzaju ciemnym ukojeniu.

Ustawił odtwarzacz CD na *replay*. Łajdak, jak on nią manipulował. Stale ta muzyka, która ją później tak opęta, wszystko zaszczepił nią w jej głowie niczym chorobę, nałóg. Pieprzyli się powoli. Czekala na niego za każdym razem, gdy chciał się na chwilę powstrzymać. Potem się wycofywał, wypijał łyk wody, przyglądał się jej, ponownie długo pieścił, dopóki go nie poprosiła, żeby znowu w nią wszedł.

– Bydlak – powiedziała – bydlak.

Głaskała jego włosy i patrzyła w niebieskozielone oczy z fioletowymi iskierkami. Uśmiechał się i stale powtarzał (co było dla niej okropne):

– Kotku, kotku.

– Bydlak – mówiła – bydlak, bydlak.

Nad ranem, kiedy byli wyczerpani, a ona znowu płakała, poprosiła, żeby wypowiedział jej imię i spojrzał jej w oczy.

– Marga – powiedział i popatrzył z czymś pijanym, czymś ciemnym we wzroku, co sprawiło, że zadrżała. Szczytowała, potem się odwróciła, oczy zamknięte.

– *Ego sum pastor bonus* – rozbrzmiewała muzyka, był ranek, a z oddali dochodziły przytłumione dźwięki; leżało dziesięć centymetrów śniegu.

– Święty dzień, ponieważ nic się nie dzieje – powiedziała do siebie Marga. Okulary do czytania miała na czubku nosa i skubała wargę. Po spokojnym ogrodzie zuchwale przechadzał się dzięcioł pstry, jego jaskrawozielona pierś kołysała się przy każdym kroku, a wyraźnie widoczna głowa za każdym razem przeskakiwała to do przodu, to do tyłu. Co dziesięć kroków zatrzymywał się, świdrując oczami. Rzucił się na coś w trawie przed sobą. Orzech włoski – pomyślała – taki orzech w kształcie ludzkiego mózgu. Rzucił się na niego. Lekka odraza. Żółte światło przenikające przez coraz bardziej nagie gałęzie brzoź, wiązów i jesionów. Jaskrawy błękit i żółte liście kontrastujące z nim jak płomień. Święty dzień, dlaczego tak uważała? Ponieważ wspomnienie jest lepsze niż doświadczenie?

*The time is out of joint* – pomyślała Marga. Coś się nie zgadza w moim poczuciu czasu, wszystko się miesza. Czy zima była przed jesienią? Czy minął już rok, w którym nie robiłam nic innego, tylko dzwoniłam do niego, wysyłałam mu wiadomości, pragnęłam go, czekałam na niego nocami, żeby mnie przeleciał, rozpalił, rozszarpał, zaspokoił, żeby potem zostawił mnie umierającą z głodu? Moje poczucie czasu jest w rozsypce, niczego już nie wiem, wszystko mi się miesza.

Język zakochanych nazywa się zamęt. Nazywają ten zamęt świętym. Kapryśny bóg przeczesuje im włosy, kiedy śpią samotnie i pragną. Rano ze snu popiół. Nie ma żadnego boga. Czas się zagmatwał.

Wydawało się to lata temu. Bajki się zdarzają. Dyktator z wąsem, o którym sądzono, że zabarykadował się w marmurowym pałacu między katuszami a kałasznikowami, wyczołgał się drżący i zdziczały z górskiej jaskini, gdy rzucił się na niego oddział wojska liczący sześciuset uzbrojonych po zęby ludzi – chleb i jedzenie z puszki jeszcze na wpół niezjedzone i prawie milion dolarów w błocie obok niego. Marga oglądała telewizję, przełączyła na CNN, ziewnęła, zapatrzyła się w *special* o odżywcze do włosów i cierpieniu zwierząt. Zadzwoiła do Mattfersena.

– Bydlaku – powiedziała – bydlaku, jestem w ciąży, wiesz o tym?

Ale automatyczne sekretarki nie odpowiadają.

Tak było za każdym razem: przy *American Life* Madonny w samochodzie. A dokładniej przy numerze Hollywood. Najpierw lekki pot drażniący górną wargę. Potem ciepło pod pachami, które się rozchodziło na piersi. Przyspieszone bicie serca. Uczucie euforii, po którym następowały brak tchu, nerwowość, strach przed nieznanym, podziw wzbudzany powtarzanym *Push the button, don't push the button, trip the station, change the channel*. Głos kobiety przechodził wówczas stopniowo w głos męski, który za czwartym razem brzmiał negroidalnie i rozkazująco. Zanim się zaczęło *I'm so stupid*, była wyczerpana i czuła się tak *stupid*, jak ze zjadliwą ironią śpiewała jej to boska Madge. Zaraz potem, przy *Love profusion*, rozplýwała

się we wspomnieniach o spoconym, ciepłym ciele, które poruszało się pod nią, czekając na jej znak. *I've got you under my skin.*

W tym czasie chyba miliony kobiet skrycie, słuchając muzyki na autostradzie, identyfikowały się czasem z superkobietą i jej pozami bez ogródek wystawianymi na pokaz; może nawet wielu mężczyzn, w małych pełnych trwogi zakątkach ich zajętych dusz. W przypadku Margi stanowiło to z niczym nieporównywalne rozszerzenie. Uderzała rękami w kierownicę, potrząsała czasem głową, głośno śpiewała razem z piosenkarką, wsadzała rękę między nogi, na kilka sekund zamykała oczy, żeby ze zdumieniem stwierdzić, że wyprzedzono ją z prawej strony, bo zdecydowanie za długo jechała środkowym pasem. *I've got you under my skin.* Bydlak. Cóż za tani sentyment. Dlaczego się od tego nie odetnie?

Wysłała mu esemesa, kierując jedną ręką i stale odwracając wzrok od drogi przed sobą. Kiedy zakochanie przeminie? Znała siebie: gdy uda się jej zrezygnować z tych samotnych momentów upojenia, w które sama się wkręcała. W chwili, gdy całkowicie wciągnie narkotyk tej myśli, tak że nic po nim nie zostanie. Wtedy miseczka zostanie opróżniona, emocje wyczerpane, postać pokruszona, obraz zniszczony. Sam mężczyzna nie będzie niczym więcej niż odpadkiem jej własnego uzależnienia. Marga miała bzika na punkcie takich samotnych, platonicznych wspomnień swojego najlepszego seksu. Rodzaj obrazu, który pielęgnowała, odkurzała, z którym nieodwołalnie była i chciała być sama. Nieodpowiedni do rzeczywistej miłości – mruzczała czasem pod nosem, kiedy czasem całkowicie pochłonięta przez własną wyobraźnię, reagowała rozdrażnieniem na jego prawdziwy głos w telefonie. Może to dobrze, że przez ostatnie miesiące tak mało go widziała; że zdawał się jej unikać. Dawało jej to przestrzeń do oddawania się ulubionemu zajęciu: abstrakcyjnym, idealnym momentom w jej głowie. Wspominaniu tego, co było, czym się rozkoszowała w tak lśniącym kokonie doskonałości, że sama nie miała już do tego dostępu. Nic nie mogło temu dorównać; nawet jego obecność. Ta przede wszystkim – szkodziła temu obrazowi. Chyba nieprzypadkowo z takim zapalem pochłaniała w czasie studiów rozprawy ikonograficzne; nieprzypadkowo wołała uściski świętych na

fresku Giotto w Padwie niż własne. Nieprzypadkowo madonny na niezliczonych obrazach tak ją poruszały jako młodą kobietę.

Kiedy malowała usta w lusterku klapki przeciwsłonecznej, zobaczyła przez tylną szybę, że auto zbliżające się do jej samochodu z dużą szybkością ostro skręciło w bok w chwili, gdy zamykała oczy, ponieważ zderzenie było nieuniknione.

– *Nothing fails* – śpiewała Madonna. – *Nothing fails. I'm not religious, but I feel so moved.*

Marga pomalowała usta na ciemnoczerwono, czerwoną kredką poprawiła linię górnej wargi. W tym momencie usłyszała, że muzykę przerwało coś, co wydawało jej się znajome: automatyczny *Traffic Announcement*. Nie mniej głosu, który usłyszała, nie mogła zrozumieć; język, którego żadną miarą nie mogła określić, głęboki baryton, śpiewna, niezrozumiała wiadomość wydobywała się z radia jak ciepły powiew.

Od razu ogarnęło ją przytłaczające wrażenie, że nad jej głową zawisło nieszczęście. Rozejrzała się dokoła; parking był prawie opuszczony o tej martwej popołudniowej porze. Z samochodu, który o mało w nią nie uderzył, wysiadł mężczyzna. Wolno zlustrował cały parking. Przystojny mężczyzna z ciemnobrązowymi włosami spiętymi w kucyk. Tweedowa marynarka, elegancka i nonszalancka zarazem. Niezrozumiały głos zniknął.

– *Jesus Christ will you look at me* – śpiewała Madonna.

Mężczyzna jej nie widział, ale jego wzrok zdawał się szukać kogoś, kogo tam oczekiwał. Marga nie miała odwagi wysiąść. Po kilku minutach, w czasie których spięta i coraz bardziej wystraszona siedziała bez ruchu, mężczyzna z powrotem wsiadł i odjechał równie gwałtownie, jak się pojawił.

Esemes: „Margo, natychmiast stamtąd odjedź. Hans”.

Natychmiast dzwoni. Jego telefon jest zajęty. Nie zostawia żadnej wiadomości na poczcie głosowej; nie wysyła też esemesa.

Odjeżdża z bijącym sercem.

– *There was a time that I believed I lived forever.*



Rozzłoszczona wyłącza odtwarzacz CD. Na światłach nagle widzi, w samochodzie obok, mężczyznę jak dwie krople wody podobnego do Hansa Mattfersena. A może to też tylko jej się zdawało? Czy widzi go wszędzie, jak nastolatka wyobcowana z rzeczywistości? Przeżywa jednak szok, uświadomiwszy sobie, kogo widzi obok niego, nie ma wątpliwości: to jej własny eks, niezdara większa niż zwykle, błazeński John de Vuyst. Tu wygląda, jakby się źle czuł, i jest blady, patrzy tępo, jakby beczał. Przez chwilę się waha, potem wolno podnosi rękę, ponieważ myśli, że on patrzy w jej stronę, tymczasem światło zmieniło się jednak na zielone i auto, w którym siedzą te dwie postaci ze złego snu, gwałtownie rusza i z piskiem opon znika w szerokiej alei wiodącej do centrum.

Kiedy parkuje przed blokiem, w którym mieszka, brnie w półwysokich butach w topniejącym śniegu, na który zaczyna padać światło późnego zimowego słońca. Ukośne, ślizgające się, oślepiające promienie wywołują coś wzniosłego, co zna z obrazów ze scenami zwiastowania. Promienie wychodzące spod grubych szarych chmur, rozpalające krawędzie, jakby świat odgrywał istotną rolę.

Bydlaku – myśli – bydlaku, jestem w ciąży.

Na progu znajduje list. Na kopercie widnieją trzy krwistoczerwone pieczątki z nieczytelnymi znaczkami, język przypominający wręcz makramę. Otwiera ją ostrym paznokciem palca wskazującego, w połowie wsuwa palec do koperty i szarpiąc, otwiera, rozrywa ją wzdłuż. Rozkojarzona niecierpliwość sprawia, że wyciąga list poniekąd pomięty. Nie ma w nim niczego poza datą i nazwą miejsca w mieście. Data przypada za trzy dni. Miejsce zna: Brouckèreplein w Brukseli. Hotel Metropole, lounge. Godzina została podana w sposób angielski, z tym głupim EPT na końcu, jakby nie znajdowała się tu, gdzie się znajduje. Kim jest ten półgłówek, który kazał to dostarczyć na jej adres?

Dwa razy odwraca list, wzrusza ramionami, jakby wdała się w dyskusję z samą sobą, ogląda się za siebie, wchodzi po schodach, wacha list. Tusz drukarski. Nic więcej, ani śladu czegoś innego, to jednak wywołuje w niej jeszcze większy niesmak, ta nieobecność czegokolwiek, co miałyby sens.

Nie idzie na spotkanie, lecz wchodzi do kina po drugiej stronie Brouckèreplein. Ogląda tam czarno-biały film, w którym dwóch mężczyzn błąka się po Berlinie niczym jakieś zagubione anioły. Jeden z nich przypomina tego, którego niedawno widziała na parkingu. Niespieszny film, niemiecki z francuskimi napisami. Nie podoba się jej, złości ją górnolotny ton, zamierzona symbolika. Uderza ją obraz umierającego chłopaka, który miał wypadek na motorze. Gdy potem film staje się jeszcze bardziej pompatyczny, znudzona opuszcza salę.

Kiedy wychodzi na zewnątrz, Hans Mattfersen chwytą ją za ramię i bez słowa siłą ciągnie za sobą w boczną ulicę. Gdy się wzbrania, ponieważ robi to tak brutalnie, z przerażeniem zauważa, że ten człowiek tylko zatrważająco przypomina Mattfersena. Ma owłosione, grube palce. Kciuk prawej ręki jest owinięty przekrwionym bandażem. Ma lekkiego zęza. To ten sam, którego widziała w samochodzie obok Johna. Serce zaczyna jej walić, ze strachu dostaje czkawki. Mężczyzna odzywa się do niej łamanym angielskim. Chce go zapytać, co to ma znaczyć. Ledwo powie trzy słowa, mężczyzna każe jej się zamknąć. Popycha ją przed sobą aż do samochodu. Otwiera go lewą ręką, prawą niczym szpon nadal zaciskając na jej ramieniu.

Popycha ją na tylne siedzenie. Marga czuje, że dyszy. Mężczyzna wsiada, uruchamia silnik, wolno jedzie ulicami w stronę większego bulwaru. Drzwi mają zamek bezpieczeństwa. Mężczyzna widzi w lustrze, co ona zamierza. Kręci głową i się uśmiecha. Marga się poci i lekko drży. Ze strachu wydaje się jej, że buja w powietrzu. Czuje, że robi się jej trochę niedobrze. Wjeżdżają do tuneli w kierunku południowej części miasta, wyjeżdżają przy ruchliwym, dużym zakręcie.

Wydaje się, jakby w auto uderzył niespodziewany, brutalny podmuch wiatru, niczym cios olbrzymiej dłoni. Mężczyzna musi mocno zaciskać ręce na kierownicy, żeby utrzymać się na pasie. Obok nich pędzi wielka ciężarówka. Na wysokości oczu Marga widzi niewiele więcej niż okopcone felgi i trzęsącą się rurę wydechową. Olbrzym trzeszczy, sapie i dyszy ogłuszająco, pompując wzdłuż zamkniętych okien czarne chmury dieslowego dymu.

Mężczyzna otwiera na chwilę szybę krótkim pociągnięciem za rączkę. Ogłuszający hałas wdziera się do środka razem z ostrym zapachem. Mężczyzna bierze głęboki oddech i uśmiecha się do lusterka. Chce jej doku- czyć? Marga stara się nie wdychać zanieczyszczonego powietrza zbyt głę- boko. Wszystkie samochody pędzą ku następnemu czerwonemu światłu jak lemingi ku linii przypływu. W tej samej chwili widzi sierp księżyca nad ciemniejszą aleją przed nimi, jakby stał się olbrzymią reklamą. Bazylika wygląda w tym świetle jak nadęty, egzotyczny meczet. Kiedy Marga patrzy na krzepką rękę na kierownicy i myśli o Mattfersenie, mężczyzna włącza radio. Słyszy Leonarda Cohena mrużącogo:

– *May everyone live, may everyone die.*

Auto znowu rusza, zanurza się w krętym tunelu, mężczyzna rzuca je w szybszy strumień po lewej, nieważko płynie kilkoma tunelami pod odle- głymi dzielnicami miasta, ponownie zjeżdża na prawy pas, wyjeżdża przy szeregu wysokich biurowców, jakby wylot tunelu wypłuł go na górę. Marga widzi odległe światła neonowe na najwyższych piętrach, atmosferę opusz- czonych biur, gdzie nocne oświetlenie jeszcze rzuca swoje zimne światło na nudne stoły. Srebrzysty pył, który brwi i rzęsy farbuje czułą warstwą lat.

W radiu męski głos powiedział do dziewczyny, że kochał się z Dziewicą Marią. Ukazała mu się w poranek Bożego Narodzenia, rozsunała swoje dłu- gie szaty i położyła się na nim. Pieścił ją, była młoda i miała rudobrazowe, kręcone włosy. Zdjął jej długą koszulę, całował ją. Usiadła na nim i wzięła go. Tak to określił. Dziewica Maria go wzięła. Pozwolił jej, tak to określił, zaspokoić się swoim ciałem. Następnie sam doszedł. W Dziewicy Marii. W poranek Bożego Narodzenia. Potem jeszcze go pieściła i całowała. Kie- dy się obudził, zauważył, że...

Marga nadstawiła uszu. Zbliżała się karetka, minęła ich. Wtedy mężczy- zna wyłączył radio.

Półtora kilometra dalej auto zjeżdża na czteropasmową drogę między la- sami, których się tu nie spodziewała. Jadą nią dziesięć kilometrów. Nagle Marga dostrzega, że między niekończącymi się pniami drzew wyłania się coś niewyraźnego i wielkiego, nie wie, co to jest, jakaś masa skalna albo

ogromny statek, jakby krążownik pancerny, który utknął dziobem w ziemi. Mężczyzna skręca w prawo, autem trzęsie na polnej drodze, lecz groźna masa nie staje się wyraźniejsza. Kiedy znajdują się w jej niebieskoszarym cieniu, mężczyzna zatrzymuje samochód. Wysiada, otwiera drzwi, daje jej znak, że ma wysiąść. Marga drży. Odruchowo łapie za telefon w torebce. Mężczyzna to widzi, wyrywa go jej z ręki, szerokim ruchem rzuca w odległe paprocie. Przed nimi znajduje się coś jakby wejście do grotu. Stoi tam kruszący się posąg mężczyzny w antycznej tunice i z wieńcem laurowym na głowie. Obok niego rzeźba lwa.

Popycha Margę do środka. Zapach wilgoci, dźwięk kapiących kropli; w oddali widzi żółte światło. Słyszy barokową muzykę, podobną do pieśni, które kiedyś przyniósł jej Mattfersen. Mężczyzna za nią popycha ją szorstko w plecy. Marga przewraca się na śliskiej jak lód krawędzi i traci przytomność.

Kiedy się budzi, leży w szpitalnym łóżku. Siedzi przy niej Mattfersen. Ogarnia ją strach, bo sądzi, że rozpoznaje mężczyznę z samochodu. Lecz Hans kładzie rękę na jej dłoniach, mówi:

– Spokojnie.

Oraz:

– Wszystko dobrze, Margo, spokojnie.

Ona jednak czuje, jak wali jej serce, a głowę przeszywa ostry ból. Mruży oczy, znowu je otwiera, patrzy na niego. Czuje, że nie może poruszyć nogami. Chce coś powiedzieć, lecz usta nie są jej posłuszne. Zapada w głuchy sen.

Kiedy po kilku godzinach ponownie się budzi, jest sama w pokoju. Na krześle przy łóżku coś leży, wygląda jak czerwone kulki. Chce wyciągnąć po nie rękę, ale nie może nią poruszyć. Ma sucho w ustach. Płacze. Czuje, że jej wargi są spuchnięte. Czuje napięcie pod prawym okiem. Do pokoju wchodzi pielęgniarka, głaszcząc ją po czole, pyta, czy ją boli, sprawdza rękę, która zaczyna się gdzieś nad jej głową, a kończy w ramieniu, mimochodem bierze z krzesła czerwone kulki i bezszelestnie znika w otoczonych

światłem drzwiach, drodze do życia, która wydaje się nierzeczywiście daleka. Margą wstrząsają mdłości i uczucie niesmaku. Z jednej strony widzi okno, a za nim śnieżycę na ciemnym niebie; z drugiej strony korytarz, otwarte drzwi, niskie lśniące światło, które wszystko przeświecila, sprawiając, że ściany stają w płomieniach. Czy ona śni? Potyka się o krawędź i krzyczy. Nie wydobywa się jednak żaden dźwięk.

Potem znowu budzi się w środku nocy, ciągle pyta: „gdzie jest moja komórka, gdzie jest moja komórka”, to brzmi jak „komka, komka, gdzie jest moja komka”. Ale niczego nie słychać. Lampa słabo miga na dalekiej ścianie, włącza się i wyłącza, włącza i wyłącza, przez całą noc.

Przy łóżku stoi lekarz i patrzy na nią. Marga powoli otwiera oczy, jej wzrok zdaje się ociężale sięgać do nóg łóżka.

– Nie najlepiej było, prawda?

Patrzy na niego, nie rozumiejąc.

– Najważniejsze, żeby pani dużo odpoczywała. Będzie dobrze. Miała pani szczęście.

Czuje, jak wargi się jej skleją. Dostaje coś do picia, jakby cienki, letni rosół. Ma problemy z przełykaniem.

Kiedy po paru dniach jest zdolna do mniej więcej spójnej rozmowy z pielęgniarką, słyszy głos Mattfersena na korytarzu. Wchodzi. Przyniósł jej owoce. Winogrona i gruszki. Pielęgniarka odbiera od niego siatki i wychodzi z nimi na korytarz. Po chwili wraca z owocami w szklanej misie. Stawia ją na stoliku na zawiasach przy łóżku.

Mattfersen się w nią wpatruje.

– Boli cię jeszcze?

– Nie – odpowiada Marga – nie – ale to brzmi jak ni, ni. – Nie boli. Co się stało?

– Znaleźli cię na polnej drodze – mówi Mattfersen. – Byłaś paskudnie poturbowana. Co się stało, Margo?

– Nic nie wiem, Hans. Nic.

Mówi z trudem, jakby miała coś w ustach. Własny spuchnięty język.

– Ktoś mnie zabrał do samochodu. Ktoś się kochał z Marią Dziewicą.

Patrzy na nią zatroskany.

– Jak się tam znalazłaś?

– Gdzie się znalazłam?

Odwraca głowę, nadal opuchnięta szczęka i ściągnięta nieszczęściem twarz sprawiają, że jest brzydka.

Mattfersen przełyka ślinę i czeka.

– Leżałaś na polnej drodze blisko starej hałdy.

– Czego?

– Sterty odpadów górniczych, Marga, co tam, na Boga, robiłaś?

– Nie wiem Hans, przecież ci mówię.

To brzmi jak: pszcziesz ci móóóowie.

– Co ci zrobili, Margo? Będziesz sobie musiała przypomnieć.

Kręci głową i zaczyna płakać. Bezgłośnie, z twarzą wykrzywioną żalonym grymasem, kąciki ust opadnięte. Hans odwraca wzrok, ten widok jest dla niego nie do zniesienia.

Tej nocy Marga budzi się w panice, ponieważ myśli, że być może została zgwałcona. Dopiero teraz przypomina sobie, że była w ciąży. W ciąży z Hansem. Prostuje rękę, która mniej boli, z trudem dotyka się między nogami, ale tam jest taka jak zawsze, dobrze sobie znana i ciepła, nagle wybuch głośnym płaczem, boli ją od tego w piersiach. Trzyma tam rękę przez całą noc, chyba daje jej to też coś na podobieństwo pociechy. Szlocha jednak na nowo i zasypia. Śni, że spada do piekła, a zmarli obwąchują ją jak opętane bestie, charczą „żyć, żyć” i szarpią ją za tunikę, parskają i chichoczą, szczypią i charczą „żyć, żyć, chcemy żyć”. Ślina lepi się do surowego materiału jej prostej szaty. Budzi się i pluje flegmą.

– Kto mnie tak obnażył? – pyta rano pielęgniarza.

– Kto panią co? – mówi.

– Obnażył – powtarza. – Jestem taka obnażona.

I znowu cicho płacze, wzbierający z głębi szloch, nie do powstrzymania, czuje się jak zwierzątko.

– Jestem zwierzęciem – mówi do pielęgniarki. – Jestem zwierzęciem, niczym więcej. Straciłam samą siebie.

Pielęgniarka mierzy jej temperaturę i mówi, że teraz szybko wróci do zdrowia.

– Jestem w ciąży, prawda? – pyta.

Ale jest przede wszystkim brzemienna nieszczęściem i przerażeniem.

– Już nie – odpowiada pielęgniarka. Patrzy na nią z czymś w rodzaju profesjonalnego współczucia i kładzie rękę na jej głowie. – Śpij.

Marga klnie i przygryza wargę, kręci się jej w głowie, boli ją, kładzie rękę na brzuchu, poddaje się spazmom, które wzbierają w niej jak fale.

Dwa dni później, kiedy budzi się z głębokiego popołudniowego snu, do pokoju wchodzi policjant. Spała na siedząco, głowa musiała jej opaść na piersi, czuje ślinę w kąciku ust i się wstydzi. Sięga po zmiętą chusteczkę, którą już od wielu dni ścisza w prawej ręce, i wyciera usta do sucha. W kąciku prawego oka zrobił się jej strupek. Kłuje. Usuwa go chusteczką.

Policjant chce odebrać zeznanie.

Mówi, że nic nie wie. Potem nagle jej się przypomina, że był jakiś list z datą. Wyrzuciła go. Nie opowiada o nim, ale agent widzi, że przypomniała sobie coś, o czym nie chce powiedzieć.

Policjant mówi, że musi wszystko opowiedzieć, jeśli chce, żeby jej oprawców ukarano. Tych słów używa: jej oprawców. Ma dobroduszną twarz, banalną i wzbudzającą zaufanie, twarz, która zwyczajnie wywoływałaby w niej odrazę, a w której teraz znajduje pocieszenie, tak namacalne pocieszenie, że nie przestaje się w niego wpatrywać. Przez chwilę wyobraża go sobie w jego salonie. Tapeta w pomarańczowe kwiatuszki, pantofle z brązowej sztucznej skóry.

– Podaj mi lustro – prosi policjanta.

Ten patrzy zdziwiony i lekko skonsternowany. Odwraca głowę to w jedną, to w drugą stronę. Mówi, że w pokoju nie ma przenośnych luster. Żeby później poprosiła pielęgniarkę.

Teraz Marga opowiada dziwną historię. Policjantowi trudno ją zrozumieć, zapisuje strzępy, od czasu do czasu prosi, żeby coś powtórzyła, nie może niczego ze sobą powiązać.

– A gdzie stał ten statek? W lesie? I pani sądzi, że widziała wejście do piekła?

– Co takiego? Ciężarówka z Matką Boską obok kierowcy? Pani de Vuyst, proszę zrozumieć...

– Nie nazywam się de Vuyst. Jestem w separacji. Nazywam się Marga van Riet.

W separacji – myśli policjant. Śledzi linię jej brzucha i nóg pod kołdrą.

– Muszę się wysikać – odzywa się Marga.

Policjant się czerwieni, naciska guzik przy łóżku. Wchodzi pielęgniarz. Prosi policjanta o opuszczenie pokoju. Podsuwa basen. Mówi, że jutro powinna spróbować się przejść.

Marga puszcza bąka i wstydzi się, bezgranicznie się wstydzi swojej bezradności, złego stanu, utraconego czucia. Pielęgniarz wychodzi z pokoju. Słyszy, jak mówi do policjanta, żeby przyszedł następnego dnia. Marga przeklina, ścisza chusteczkę, naciska dzwonek, prosi o usunięcie basenu. Nie patrzy na pielęgniarza. Wygląda przez okno, gdzie parę gołębi kręci się nad dachami. Najpierw są szare, potem białe, a potem czarne.

Dopiero gdy wiele tygodni później chwiejnym krokiem opuszcza szpital u boku Mattfersena, dowiaduje się, że matka Johna de Vuysta umierała piętro wyżej. Wtedy jednak jest w niej pełno urazy, jest jej wszystko jedno, a Hans zawozi ją do domu, robi jej jedzenie, otwiera torby i wrzuca wszystkie ubrania do pralki, zaparza kawę dla siebie i herbatę dla niej, Marga nie chce, żeby został na noc, bezmyślnie gapi się w ścianę, kiedy Hans około dziesiątej wieczorem zatrzaskuje za sobą drzwi, wpada wtedy w panikę,



dzwoni do niego z nowej czerwonej komórki, którą jej kupił, żeby natychmiast, bezzwłocznie wrócił, że słyszała coś przy drzwiach, że okno się nie zamyka, krzyczy, że powinien tu teraz być, bydlak, bydlaku, wracaj.

Mattfersen słyszy w telefonie jej szloch i pociąganie nosem, zawraca samochodem, jedzie z powrotem, na progu przed budynkiem widzi jakąś bezkształtną rączkę, niemal ją nadeptuje, kopniakiem odrzuca ją daleko, pędzi na górę i bierze w ramiona Margę, która łka i chowa głowę w jego marynarkę, pachnącą deszczem i świeżym powietrzem.

– Przypominasz Marię Dziewicę w tym niebieskim szaliku na głowie – mówi, głaszcząc ją.

Jest przestraszona, uderza go w twarz, całuje. Mówi, żeby milczał, bydlak, znowu go całuje. Mattfersen czeka na to, co będzie, i zapala papierosa.

Jest wigilia Bożego Narodzenia.

– Chcę usłyszeć Madonnę – mówi Marga. – Szósty kawałek. To było dawno temu.

Ale muzyka od razu przyprawia ją o ból głowy, a cisza, która potem następuje, sprawia, że jej ciało powoli taje przytulone do twardego, ciepłego ciała Mattfersena. Myśli o uprawiającej seks Marii Dziewicy, kładzie się na Hansie, czuje, że jej sutki twardnieją w zaroście na jego piersiach, ale na nic więcej jej nie stać.

Trzy dni później policjant dostarcza Mardze paczuszkę, w której znajduje się jej stara komórka.

Żadnych odcisków palców poza jej własnymi. Mniej więcej godzinę później wpada do niej Hans Mattfersen. Ma dla niej prezent. Książkę. Marga nonszalancko rozdziera papier. W ręce trzyma książkę. *A History of the Khazars*.

– O czym to jest? – pyta, marszcząc czoło.

– Och, o czymś, czym zajmuję się w wolnym czasie. Nic poważnego. Ale przyjemna rzecz.

Jego teraz prawie niebieskie oczy patrzą na nią przyjaźnie.

Widzi ładnie oprawiony tom, ilustrowany dość naiwnymi rysunkami przedstawiającymi zaginioną cywilizację, na której temat najwyraźniej można tylko fantazjować.

Apatycznie go wertuje, dziękuje ze zmęczonym uśmiechem, mówi, że jest kochany. Kładzie książkę na stole w salonie. Stwierdza, że nie chce iść do restauracji, że sushi ma gdzieś, że ma ochotę na purée ziemniaczane z kiełbaskami, takie jak robiła jej matka.

Hans wstaje, idzie po zakupy, wraca z kilkoma reklamówkami, które stawia na kredensie. Wyjmuje dwie butelki, otwiera jedną z nich, nalewa sobie kieliszek, obiera ziemniaki, nieco później Marga czuje kuchenne zapachy, słyszy uspokajające bulgotanie gotującej się wody, para unosi się prosto do góry pod szerokim, aluminiowym okapem.

Od zbyt łapczywego jedzenia robi się jej niedobrze; kładzie się na sofie i zasypia.

Kiedy się budzi, mówi Mattfersenowi, że wie, co widziała wtedy w lesie, w jego całej szarej, masywnej ponurej okazałości: skamieniałą arkę Noego.

– Jestem tego pewna, Hans, to była arka. Zaparło mi dech; widziałam, jak ten prastary statek zapada się w leśnym obszarze. Szary, wielki. Wyglądał jak kolos z betonu, ale wiedziałam, że to drewno w trakcie fosylizacji. Rzuciło olbrzymi cień, który zdawał się rozciągać na wiele kilometrów.

Hans wsadza jej pod pachę termometr. Przyciska go ramieniem bez świadomości, że to robi.

– W środku były martwe zwierzęta, nigdy niewidziane zwierzęta, które patrzyły na mnie żółtymi oczami – dodaje.

Jej skóra jest ziemista i błyszcząca. Mattfersen gładzi ją po głowie, mówi, że lepiej będzie, jeśli pójdzie do łóżka i tam będzie dalej spała.

Kiedy śpi, Mattfersen ostrożnie opuszcza jej pokój. Wychodzi na chwilę na dwór, do samochodu, wyjmuje z niego torebkę, zabiera ze sobą do środ-

ka. Przez kilka chwil chodzi po chodniku z pochyloną głową, wpatrując się w ziemię, jakby czegoś szukał. W dużym pokoju włącza telewizor, z torebki wyjmując kasetę, wsuwa ją do magnetowidu, zapala papierosa, sięga po pilota, puszcza taśmę i siada, żeby ją obejrzeć. Odgłosy, które Marga słyszy w półśnie, są niewyraźne; od wybuchów przez arabską muzykę do przemówień w obcym, twardo brzmiącym języku, którego również w swoim śnie nie może rozpoznać ani zrozumieć. Nagle siada na łóżku, słucha, znowu się kładzie, ponownie zasypia. Zaraz potem widzi ośnieżony stromy szczyt bardzo wysokiej góry, a ktoś mówi:

– Do niej przykuli kiedyś pewnego boga. To ta góra.

Marga stoi na jakimś placu w obcym kraju, widać pożółkłe topole, kilka starych zastaw jest zaparkowanych w szeregu, a warstwa mgły z szybkością pociągu zsuwa się do wysoko położonej doliny i po kilku chwilach nic już nie widać. Ani góry, ani drzew, ani płaskowyżu. Chyba się dusi, znowu się budzi. Schodzi po schodach, z korytarza widzi Mattfersena klęczącego przed telewizorem, odprawiającego chyba jakiś modlitewny rytuał. Kołysze się tam i z powrotem z zamkniętymi oczami. Ręce skrzyżował na piersiach. Dech jej zapiera. Mattfersen wypowiada zupełnie niezrozumiałe słowa, najwyraźniej jest w transie. Kiedy ponownie otwiera oczy, Marga widzi tylko białka. Z walącym sercem wraca na górę, bierze komórkę, dzwoni na komórkę Mattfersena. Dzwoni trzykrotnie. Wtedy odbiera, mówi:

– Tak, skarbie, co się dzieje? – A słysząc jego miło brzmiący, uspokajający głos, wie, że sam nigdy, przenigdy nie zdradzi niczego, co tam niechcący widziała.

– Nic – odpowiada. – Co robisz?

– Oglądam kryminał – mówi.

– O czym? – pyta.

– O – odpowiada – jakaś afera szpiegowska w Tel Awiwie.

Słyszy, że szyderczo się śmieje. Milczy i wyłącza aparat.

W wieczór sylwestrowy odmawia spotkania się z nim. Kładzie się spać o dziewiątej.

– Kto pomieszał moje teczki?

Bardziej wykrzykuje to, niż wypowiada, nie żeby tak zamierzała, lecz wyrywa się jej, zanim to sobie uświadamia. Jest w tym też więcej oburzenia, niżby chciała. Ale kto wrzucił jej akta na te półki, nie sprawdzając nawet, co się znajduje na tak starannie przez nią za każdym razem naklejanej etykietce? Kto przekręcił jej komputer o pół obrotu, przez co szufladka na korespondencję niemal chwieje się na brzegu stołu, i kto pchnął kosz na śmieci prawie pod samą ścianę?

Nie wie dlaczego, ale kompletnie wyprowadza ją to z równowagi. Miesiąc poza biurem i wydaje się, że przestajesz się liczyć, być członkiem grupy, rozumieć żarty, te zdają się dotyczyć ciebie, a taka mentalność budzi twój sprzeciw. Ale to nie wszystko – kto ma cholerne prawo...

– Margooo, nie denerwuj się tak.

Zna człowieka, który teraz stoi za nią i to mówi. Wie, ile jest wart; porządny niekonwencjonalny młody ojciec ze swoimi głupimi zdjętkami ukochanej żony i dzieciaków na biurku.

Odwraca się jednym ruchem i patrzy na niego.

– Tom, to nie twoja wina, że ja...

– Spokojnie, Margo, przykro mi.

– Tobie jest przykro? Czy to ty...

– Mieliśmy tu kogoś, kto potrzebował informacji o...

– Co takiego? Czy ktoś na moim biurku...

– Ach, Margo, ten człowiek poprosił tylko o kilka teczek do przejżenia, przecież to się zdarza. Uspokój się już.

Marga czuje, że traci panowanie nad sobą. Krzyczy, że natychmiast chce numer tego sukinsyna, który przetrząsał jej papiery. Tak mocno odpycha Toma, nieznośnego idealnego zięcia, że ten uderza o stół za nim i się zatacza. Marga wychodzi z pokoju, wrzeszcząc do wątlęgo szefa, że nie z nią te numery. Zachowuje się tak bez reszty paskudnie, że robi się jej od tego przyjemnie ciepło. Również stopa znowu zaczyna ją piec.

Kiedy widzi tylko uprzejmie wyciągnięte do góry ręce na znak względnego stosunku do sprawy i niezręcznego zakłopotania, łapie powietrze, wraca do pokoju, z hukiem zamyka drzwi i ogarnięta wściekłością zasiada do komputera. Nadchodzą trzy mejle; spodziewała się setki. Kiedy jednak dokładnie sprawdza, widzi, że ma co najmniej sto nowych mejli, których jeszcze nie czytała. Tylko że zostały rzetelnie odznaczone jako przeczytane – ale nie przez nią.

Blednie. Do szefa, w przyległym pokoju, wysyła mejla z żądaniem pi-semnego wyjaśnienia faktu, że cała jej korespondencja została przez kogoś przeczytana. Natychmiast dostaje odpowiedź, że o ile mu wiadomo, nikt nie włączał jej komputera.

Zabiera się do pracy jak opętana. Bierze wsadzone do szuflad teczki i z hukiem kładzie je dokładnie tam, gdzie leżały, zanim skręciła stopę. Na ulicach pod nią coraz bardziej ogłuszający hałas karetki. Zatrzymuje się przed budynkiem, w którym ona, na trzecim piętrze, się złości. Wygląda przez okno z wygiętym metalowym fryzem i widzi leżącego na środku ulicy mężczyznę, kawałek dalej motor z wolno się jeszcze kręcącym przednim kołem, auto w poprzek drogi dwadzieścia metrów dalej. Za nim karetka, która właśnie nadjechała; spieszący ludzie. Krąg gromadzi się wokół mężczyzny, na wpół siedzącego, opartego o ramię innego, który do niego podbiegł. Widzi, jak głowa mężczyzny się kiwa.

Nie wie dlaczego, może ze zdenerwowania z powodu teczek i komputera, ale wybiega z pokoju, zbiega krętymi schodami na dół, szarpnięciem

otwiera ciężkie drzwi wejściowe i zatrzymuje się oniemiała. Przed nią siedzi umierający, widzi to od razu. Ten młody jeszcze mężczyzna krwawi z nosa i uszu, ktoś trzyma mu prosto głowę. Jego oczy są już szkliste; wydaje się przebywać daleko, gdzieś w ulatujących myślach, w których coraz bardziej się pograża. Ten zamglony wzrok muska ją, gdy jak we śnie podchodzi bliżej. Kuca przy nim i mówi:

– O Boże, nie, o Boże, nie.

Patrzy na siwiejącego mężczyznę, który podtrzymuje chłopakowi głowę. Widzi łagodną, spokojną twarz, jakąś żałobę, coś pokornego i cierpliwego w jego oczach. Widzi, że ten mężczyzna walczy z czymś w sobie, z jakimś wzruszeniem, podczas gdy trzyma głowę chłopaka prosto i możliwie jak najbardziej nieruchomo. Chłopak mówi do siebie, to nie jest mówienie, ale mruczenie, mamrotanie, szept czekającego na brzegu rzeki, do którego pod pływa łódź, powoli, cicho, łódź prześlizgująca się do brzegu, do niego, a na niej stoi cień, który po niego przybywa. Wygląda, jakby wpadł w ekstazę; przez moment jego oczy przesuwają się po twarzy Margi, a w jednym z nich pojawia się woda.

Z karetki wysiada dwóch pielęgniarzy, podchodzą do niego z noszami.

– Nie – mówi Marga. – Zostawcie go tutaj, nie róbcie mu już tego. Pozwólcie mu odejść w spokoju.

Czuje, że łzy spływają jej po policzkach. Mężczyźni odpychają ją na bok. Siwy mężczyzna również kręci głową, mówi delikatnym głosem:

– Posłuchajcie, co mówi ta kobieta. Pozwólcie temu chłopakowi spokojnie umrzeć. Jest za późno.

Klatka piersiowa pod kurtką wygląda jak pęknięta; przez lekko rozpięty zamek widać wnętrze. Jak mogła nie usłyszeć huk, który zwykle towarzyszy takiemu wypadkowi! Jakże była zajęta sobą, swoim własnym małym oburzeniem! Przygryza dolną wargę, przepełniona uczuciem żalu i pretensjami do samej siebie. Pielęgniarze chcą podnieść chłopaka. Marga krzyczy, że zadadzą mu ból, żeby mu zajrzeli pod kurtkę.

Jeden z nich dostrzega, co ma na myśli, i zdejmuje go strach.

– Zostaw, niech ten chłopak tu chwilę poleży – mówi do drugiego.

Tamten spogląda na niego, rozumie, kieruje wzrok na umierającego.

Chłopak jest już prawie całkowicie po drugiej stronie. Wydaje się, że chce odchrząknąć, z jego ust wypływa strumień ciemnej krwi. Zamyka oczy, znowu je otwiera, potem patrzy już tylko nieruchomo. Marga czuje, że nie może powstrzymać krzyku, lecz nie wydaje żadnego dźwięku. Siwy mężczyzna, który trzyma głowę chłopaka prosto, teraz przytakuje. Wolnym skinieniem głowy przywołuje jednego z pielęgniarzy. Pielęgniarz podchodzi, kładzie ręce obok rąk starszego mężczyzny. Mężczyzna ostrożnie wysuwa swoje, teraz pielęgniarz jeszcze przez chwilę trzyma prosto głowę zmarłego. Potem przychodzi drugi; kładą chłopaka na całą długość na asfalcie. Spod kurtki wypływa krew, obficie, z czymś zmieszana, czymś żółtawym i gęstym.

Chwiejnym krokiem Marga idzie chodnikiem. Siada na krawężniku i obejmuje się rękami. Kołysze się tam i z powrotem.

Siwy mężczyzna stoi za nią, gdy próbuje się podnieść. Patrzy na nią otwarcie, wręcz bezmyślnie. Odwzajemnia spojrzenie. Oboje nie przestają patrzeć. Potem Marga się odwraca, wchodzi do środka. Na drugim piętrze jest stara toaleta; siada w niej, gapiąc się na światło padające przez mleczną szybę. Siedzi tam, aż robi się jej zupełnie zimno, aż drży, trzęsie się i dygotuje, jakby przespała chłodną noc na dworze.

Kiedy znowu pojawia się w biurze na trzecim piętrze, nikt na nią nie patrzy. Nikt o nic nie pyta; nikt nic nie mówi. Siada do komputera i patrzy, patrzy, patrzy, na nic konkretnego, jakby to mogło ją uleczyć z tego, co widziała.

W końcu uświadamia sobie, że wpatruje się w dwie małe czerwone kulczki, skąd się tam wzięły? Bierze jedną do ręki, cienki plastik, rodzaj folii, a w środku jakiś proszek, czy ma otworzyć? Nie otwiera. Wyrzuca kulczki do kosza na śmieci i myśli o nieprzytomnych oczach umierającego chłopaka.

Ależ on jest w dobrej formie, Hans uwodziciel, Hans showman, Hans erotyczny erudyta.

Żydowska tożsamość, o niej mówił. Hmm. Jego czerwona serwetka leży obok na wpół opróżnionego talerza, ręka spoczywa na złożonej na pół serwetce, blada, wrażliwa ręka, namacalna i realna jak na starym flamandzkim obrazie. Tak medytuje Marga posiadająca zmysł artystyczny.

Żydowska tożsamość jest wyborem kulturowym, nie sprawą genetyczną, o tym mówił. Mardze było ciepło, mousseline do muszli świętego Jakuba był trochę za ciężki jej zdaniem i czy koniecznie musiała zjeść potem jeszcze miskę owoców morza?

Hans dolał sobie szampana, kelner doskoczył do niego z lodowato uprzejmą irytacją, natychmiast przejął od niego butelkę, gdy tylko Hans ją odstawił. Chciał nalać Mardze, ta jednak przechyliwszy nieco głowę i słuchając Mattfersena, lekko jak motyl opuściła rękę na kieliszek na znak, że nie chce więcej.

Miał przyjaciela, opowiadał Hans, który był tak owładnięty kulturą żydowską, że chciał o niej wszystko przeczytać; czytał więc nie tylko wszystko, co mógł znaleźć na temat żydowskiej historii i zwyczajów, nie tylko o okropnościach Holocaustu, zaginionej kulturze *Ostjuden*, lecz także mniej więcej wszystkich żydowskich autorów, jakich udało mu się znaleźć – od Heiko Haumanna przez Williego Glasera po Chaima Franka, a potem Martina Bubera. Po jakimś czasie stał się nawet trochę sławny jako specjalista znający się na rzeczy; pisał bystre eseje o jidysz, o aszkenazyjczykach i chasydach, o żydowskich przypowieściach w modernizmie, nawet o marańskich śladach we współczesnej filozofii. Wygłaszał odczyty na ten temat, przeprowadzał długie wywody o żydowskim charakterze intertekstualnych teorii.



(– Ach tak, ten – powiedziała Marga i kichnęła, wytarła nos w krwisto-czerwoną serwetkę.)

Pewnego dnia został nawet zaproszony do Tel Awiwu, żeby wygłosić kilka odczytów o europejskiej literaturze żydowskiej. Tam w czasie zwyczajowej półgodziny na pytania spotkał się ze sprzeciwem ze strony wysokiego mężczyzny o siwych włosach. Tenże powiedział, że chętnie wyprowadzi go z błędu. Że przez tych, którzy tak jak on przeżyli Holocaust, którzy tymczasem – nie będąc z tego powodu syjonistami – mimo wszystko pokładali nadzieję w pokojowym Państwie Izrael, jako nieznośnie kokieteryjne były odbierane tyrady ludzi takich jak on na temat żydowskiej diaspory i literackiego oczarowania, kulturowych uroków narodu bez ojczyzny, Holocaustu, o którym przerobili zaledwie parę albumowych książek, wydarzeniu, które zachodni intelektualiści właściwie uważali przede wszystkim za wspaniały temat literacki; że przede wszystkim nie w smak było mu wysłuchiwanie tego rodzaju nostalgicznych gadek o jidysz, języku bez ojczyzny i tego całego bla, bla o nomadyzmie, podczas gdy jidysz po prostu stanowił językoznawczy kod, żeby nie być rozumianym przez potencjalnych oprawców, bliźnię po zaginionym, wytrzebionym narodzie; i że nieprzyzwoitością było zwłaszcza to, że trzeba było wysłuchiwać kogoś, kto, jak obecnie większość postępowych ludzi w Europie Zachodniej, sądził, że dzisiejszym mieszkańcom Izraela trzeba zwracać uwagę na, by tak rzec, anielskiego Kafkę jako wzniosły przykład pokory. Że przy całej swojej podniosłej argumentacji chyba sobie nie uświadamia, że szerzy uśpioną antysemitką gadaninę: o narodzie predestynowanym podobno do nieustannej wzniosłości i cierpienia ze względu na eurocentryczną *idée fixe* w odniesieniu do literackiego wzruszenia – wampiryzm – to było to, w sam raz dla praskich ciemności, nie dla kraju, w którym kwitną cytryny. Stwierdził z pogardą, że ten rodzaj żydowskiego mrocznego romantyzmu idealnie pasuje do postkolonialnego schematu. Prawą ręką, ostentacyjnie przy tym sapiąc, przeczesał długie siwe włosy i ponownie usiadł.

– Mój przyjaciel – powiedział Mattfersen, szyderczo się śmiejąc – był oczywiście kompletnie wytrącony z równowagi. Kiedy sądził, że może się

bronić, bełkocząc coś o tym, że czuje się jak Chazarowie, naród, który miał istnieć między szóstym a dziesiątym wiekiem – mniej więcej tam, gdzie teraz leży Kazachstan – naród, który przecież z własnej inicjatywy przyjął wiarę żydowską, wszelkie granice zostały przekroczone. Kilku ludzi zaczęło wściekle krzyczeć jeden przez drugiego, że to czysto antysemityczne uroje-  
nia; że oszczerstwem jest, że taki goj jak on zajmuje się sprawami, o których nie ma pojęcia; że nie mają nic wspólnego z dziedzictwem Attyli, jak sugerowali pewni antysemita; że lepiej byłoby, gdyby spakował manatki i zniknął; że w czasach nazizmu mógł miło i niezobowiązująco sympatyzować z Żydami, jak wielu nostalgików, lecz tak czy inaczej nie musiałby nosić żółtej gwiazdy, ponieważ genetycznie nie jest przecież Żydem, a tylko kulturalnym pozerem, i że dlatego wszystkie jego gadki są irytującym snobizmem. To, że skądinąd mógł pozować na Chazara, naziści uznaliby za pewne za wyborny żart! Został niemal ściągnięty z podium.

– Mój przyjaciel, wyobraź sobie, droga Margo – powiedział Mattfersen – własnym uszom nie wierzył. Ktoś krzyknął, że książkę Koestlera należałoby w końcu publicznie spalić; że obecnie europejska lewica ze swoją ciele-  
cą miłością do palestyńskich terrorystów demonstruje najpodlejszy antysemityzm, jaki kiedykolwiek istniał; żeby sobie zabrał cały swój Kafkowski handel tam, gdzie jego miejsce: do mroku środkowoeuropejskiego koszmaru o golemach i innym tałatajstwie. Mój przyjaciel chciał im przeczytać wiersz żydowsko-rumuńskiego poety Paula Celana, lecz nie miał już ku temu okazji.

Uśmiechając się, Mattfersen upił z kieliszka, nie, napił się tak potężnie, przez co jego kieliszek – kryształowy szeroki kielich z rzeźbionymi różnymi motywami – od razu się opróżnił, odstawił go na stół z łoskotem i powiedział:

– Wiesz, co powiedział mój przyjaciel po powrocie z Tel Awiwu do domu? – Musiał nieco stłumić śmiech. – Mój przyjaciel powiedział: „Hans, wtedy, tam, w tamtej chwili zrozumiałem, co to znaczy być Żydem”. „No proszę – odparłem, a co to znaczy, przyjacielu?”. „Że jest się straconym – odrzekł – cała tożsamość, którą, jak sądziłem, przyjąłem w czasie tych

dwudziestu pełnych oddania lat, została mi odebrana w miejscu, które traktowałem jako grunt, jako mój dom. A więc – powiedział – że nad niczym nie panuję, że to wszystko było fikcją, że tam ludzie zaczęli krzyczeć, że jestem urojonym Żydem, nie posiadam argumentów genetycznych, a więc, dosadnie mówiąc, z rasistowskich powodów zostałem wykluczony z kultury, do której tak bardzo chciałem należeć, to było przecież dokładnie to, czego doświadczyli intelektualni żydowscy Niemcy i Polacy?”. Odpowiedziałem mu: „Nie, mój chłopcze, poczułeś esencję tego, jak to jest uświadomić sobie dzisiaj, że wywodzisz się od Chazarów”. Bo od nich się wywodzę, Margo.

Zadowolony z siebie Mattfersen uśmiechał się z powodu swojej opowieści i zastanawiał się, kiedy w końcu podadzą owoce morza.

Marga czuła się senna; grzebała wykałaczką w zębach i powoli zaczynała uważać Hansa za pretensjonalnego fanfarona. Przeprosiła, zniknęła na chwilę w toalecie i zderzyła się tam z dziewczyną, którą widziała kiedyś w towarzystwie Johna de Vuysta.

– Hej, znam cię – wyrwało jej się bezwiednie.

Dziewczyna odparła:

– Pewnie tak, jem kolację z pani byłym na drugim końcu sali – i zniknęła ze zdecydowanym nieprzychylnym uśmiechem na opalonej w solarium twarzy.

Kiedy Marga wróciła do sali, zobaczyła, że John, przekonując dziewczynę do czegoś, wychodzi na dwór i nawet ciągnie ją za rękaw. Dziewucha, lekko protestując, dała się wyprowadzić na zewnątrz, na wilgotne, brudne powietrze miasta, coś, czego Marga miała tak serdecznie dosyć, że gdy z powrotem usiadła, poprosiła Mattfersena:

– Hans, pójdziemy następnym razem... No, powiedz, Hans, dokąd pójdziemy, chodźmy w jakieś słoneczne miejsce, dobrze?

On, osłupiały, najpierw przyjrzał się jej badawczo, przyłożył obie ręce do nosa, szeroko otworzył oczy (znana sztuczka z niebieskimi oczami, bydlak) i powiedział:

– Może do Budapesztu? Albo Odessy? Albo może Tbilisi? Lub Baku, skarbie? Bagdad to nie najlepszy pomysł, Bejrut też nie, Isfahan, tam dawniej udawała się śmierć<sup>[6]</sup>, co wybierasz, Margo?

Rzuciła w jego stronę serwetką, złapał ją. Właśnie postawiono między nimi miskę z owocami morza, więc przyszło im na siebie patrzeć pośród czerwonych szczypców raków i otwartych muszli ostryg, gotowanych czułków langust i nieprzyzwoicie wijących się wokół siebie macek kalmarów.

– Mattfersen – odezwała się Marga – jesteś draniem.

– Kelner – powiedział Mattfersen przez ramię – jeszcze jedną taką butelczkę veuve clicquot, dobrze?

– Pełnia; nie mogę spać. Margo, jesteś tam? Dziś w nocy jest we mnie coś z wilka, to idiotyczne, wiem. Pełnia; nie znoszę jej. Wszystko miesza mi się w głowie. Dlaczego nie odpowiadasz, gdy do ciebie dzwonię? Piąta wiadomość na twojej poczcie głosowej. Wiesz o tym. Odsłuchałaś. Wiesz, że za mną chodzą. Mam wrażenie, że nie jestem już sobą. Zakradam się po schodach na górę i na dół. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Co się dzieje? Wstydzę się. Śmiertelnie się wstydzę. Musieć żyć pod presją i być zbyt głupim, żeby cokolwiek zmaistrować. Jakby wstyd miał mnie przeżyć. Co mnie spotyka, Margo? Siedziałaś w naszej restauracji z tym Mattfersenem. Margo, co ty robisz? Wiesz coś o nim? Śpisz z tym potworem? Isabel powiedziała mi, że widziałaś ją tamtego wieczoru w toalecie. Margo, jesteś jednym z nich? Knujesz razem z nimi przeciwko mnie? Wypiłem pół butelki koniaku, Margo, drzę z zimna, a przełyk mnie pali. Czuję się tak, jakby chory wąż wiercił się w moim ciele. Dializa mnie wykańcza. Nie odpowiadasz. Ojciec wręczył mi list, w którym matka wyznała mu pięćdziesiąt pięć lat temu, że jej ojciec był Żydem. Że też tak długo nic mi o tym nie powiedział... Jestem w jednej czwartej Żydem, Margo, a przez cały ten czas o tym nie wiedziałem, jakkolwiek nieprawdopodobnie, nie, jakkolwiek głupkowiato to brzmi! Nawet nie żyłem własnym życiem, nie, nawet teraz nie żyję własnym życiem, siedzę gdzieś w okolicy, w pustej sali kinowej po ciemnej, drugiej stronie. Tak czasem myślę. Nie wiem tego. Wszystko jest takie zagmatwane. Powiedz coś.

*Pip.*

Teraz, gdy dziwna książka Mattfersena zostanie jednak opublikowana przez wydawnictwo Hanson & Bruggen, w którym od jakiegoś czasu pracuje Marga (scheda po służbowych kontaktach Johna), wydaje się, że jego zachowanie definitywnie się zmieniło. O ile wcześniej był sztywny i arogancki, teraz często jest obcesowy i agresywny.

Przestał już prawie reagować, kiedy Marga wysyła mu esemesa lub mejla.

Ponieważ Marga nie rozumie, o co chodzi, postanawia pewnego deszczowego wiosennego wieczoru, że zaczeka na niego na parkingu przed biurem, w którym pracuje.

W samochodzie jest podekscytowana; słucha *Speedway at Nazareth* Marka Knopflera i wjeżdżając na zbocze zjazdu na autostradę, patrzy na spektakularne chmury nad miastem. Rock gitarowy prawie zawsze przyprawia ją o łzy; widzi wtedy przed sobą młodszego brata, tak jak go znaleziono na poboczu drogi, jego motor dziesięć metrów dalej na słupie. Jego gitary jeszcze stoją u rodziców, w pokoju na poddaszu, którego nigdy nie otwierają. Mija ją pędząca ciężarówka, tak że prawie nie ma miejsca, żeby się włączyć do ruchu. Pod wpływem impulsu całkowicie dociska pedał; jej fiat wystrzeliwuje do przodu jak kula, śmiga na autostradę tuż między olbrzymim zde-rzakim a końcówką pasa do włączania się, obok barierki mostu, przesuwa się od razu na trzeci pas, jedzie do Lowanium z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kiedy jest już na obwodnicy miasta, złości ją ruch stojący niemal w miejscu. Gdy dociera do biura Mattfersena, widzi jego audi A4 odjeżdżające właśnie z parkingu. Jej pierwszą reakcją jest: za-

dzwonić do niego; potem się rozmyśla i zdecydowawszy się go śledzić, czuje, jak emocje sprawiają, że jej policzki płoną.

Mattfersen zmierza do autostrady, a tam kieruje się na Luik. Marga podąża za nim, ani na moment nie spuszczaając jego samochodu z oczu.

Zbliżając się do Luik wzdłuż Mozy, Mattfersen jedzie spokojnie, wręcz zbyt wolno, jakby coś obserwował. Parkuje auto gdzieś w bocznej uliczce dzielnicy, w której Marga nigdy nie była. Sama nie znajduje miejsca; musi wyjechać z tej ulicy, a więc musi go minąć. Krew napływa jej do twarzy; Mattfersen właśnie wysiada i zamierza przejść na drugą stronę. Patrzy w jej kierunku, widzi jej nadjeżdżający samochód. Mardze kręci się w głowie; Mattfersen wyjmuje z kieszeni komórkę i ogląda ją, kiedy Marga przetacza się półtora metra od niego, ukrywając twarz za postawionym kołnierzem. Jej komórka się odzywa. Podnosi ją, widzi, że to on dzwoni. Przeżywa szok, rzuca aparat na fotel obok, jakby parzył ją w palce. Próbuje objechać kwartał, parkuje w ulicy prostopadłej do tej, na której stanął Mattfersen. Wysiąda, biegnie do rogu, potem ostrożnie zza niego wygląda. Ulica jest pusta. Klnie. Poci się. Sapie. Przęłyka ślinę. Przeciera oczy, kręci głową. Kiedy znowu podnosi wzrok, widzi Mattfersena ponownie wysiadającego z samochodu. Szybko wycofuje się za róg, czuje, jak bardzo się boi, boi się tego niewrażliwca, którego tak dobrze zna, którego pot zawsze czuje w swoich wspomnieniach, lecz którego myśli w żaden sposób nie potrafi odgadnąć. Bardziej niż kiedykolwiek przeczuwa, że Mattfersen prowadzi podwójne życie; że ona musi doprowadzić sprawę do końca.

Bierze głęboki oddech, ponownie się wychyla. Mattfersen znika akurat za rogiem po drugiej stronie ulicy. Marga rzuca się biegiem. Jej modne płaskie buty są niemal bezszelestne. Kiedy dociera do następnego rogu, ulica przed nią ponownie jest pusta. Marga czuje, jak uchodzi z niej cała energia; w nagłym przypływie paniki odwraca się do tyłu, ponieważ ma wrażenie, że Mattfersen zaraz złapie ją za kark. Chce wrócić tą samą drogą, niespodziewanie dostrzega go jednak za samochodem. Patrzy w górę, w okno na pierwszym piętrze. Tam pojawia się głowa młodej kobiety, którą Marga od razu rozpoznaje: to Isabel Klossen, dziewczyna, która spotyka się z Joh-

nem. Marga staje za zaparkowanym samochodem dostawczym i przez szybę śledzi Mattfersena. Dziewczyna coś mówi, Marga widzi tylko gesty, które wyglądają na zaprzeczanie; Mattfersen gestykułuje, a potem przytakuje co kiwa głową. Nagle rusza w stronę Margi; ta czuje się bezsilna i przyłapana, chce się ujawnić i poprosić go o przebaczenie, stoi zdrętwiała za furgonetką. Mattfersen przechodzi tuż obok niej, skręca za róg, chwilę później Marga słyszy, jak zatrzaskuje drzwi swojego auta, uruchamia silnik, rusza w jej stronę. Marga obchodzi samochód dostawczy i ukrywa się teraz za nim na chodniku. Mattfersen wolno przejeżdża obok (jak to możliwe, że nie zauważył mnie trzy razy z rzędu? – zastanawia się). Z włączonym silnikiem zatrzymuje się przed domem, dziewczyna wychodzi na zewnątrz, wsiada do samochodu Mattfersena. Marga widzi, jak całuje go w policzek. On cicho odjeżdża. Marga ponownie jest zagubiona; co ma teraz zrobić? Samochód skręca w prawo, przejedzie więc ulicą, na której stoi zaparkowane auto Margi. Pod osłoną zaparkowanych samochodów Marga biegnie za znikającym audi, szybko wsiada, włącza silnik fiata, rusza trochę zbyt gwałtownie, zarysowuje auto przed sobą, które lekko podskakuje, jakby dostało kopniaka. Mężczyzna idący po drugiej stronie ulicy zaczyna przeklinać i krzyczeć, Marga szybko odjeżdża. Dociera do skrzyżowania, nie wie, co robić, patrzy w lewo, potem w prawo i widzi tam, sto metrów dalej, stojące na światłach audi Mattfersena. Czuje radosną ulgę, skręca za Mattfersenem w ulicę, tymczasem starszy mężczyzna jest już prawie przy niej, woła, że jest kryminalistką, zagrożeniem dla społeczeństwa, oszustką, że ma podać swoje nazwisko, bo zawiadomi prokuratora. Marga modli się i błaga, żeby światło zmieniło się na zielone. Zmienia się w ostatniej chwili, mężczyzna stuka już twardymi kostkami w jej szybę, Marga wjeżdża za Mattfersenem w szeroką aleję. We wstecznym lusterku widzi niewyraźnie, że mężczyzna notuje jej numer rejestracyjny. W coraz bardziej teraz napiętym ruchu musi się ogromnie starać, żeby nie zgubić samochodu Mattfersena; w ciemności deszcz uderza o jej przednią szybę. Kiedy nagle uświadamia sobie absurdalność sytuacji, wzbiera w niej smutek. Jej oczy muszą pozostać suche; radio nadaje dawną muzykę kościelną, a brzmienie chóru cienkich głosów zmienia cały świat.



– Clemens non Papa – spokojnie powiedział zachrypnięty dziewczęcy głos.

Jest tak, jakby Marga nagle zaczęła dostrzegać tragiczną bezużyteczność wszystkiego, co ulotne, wzruszające, jakby pojawiło się to w filmie w jej głowie. Starsza kobieta na chodniku, kapanie wody deszczowej z zużytego daszka, rząd mokrych pni drzew na środkowym pasie, sposób, w jaki przechodnie czekają na światłach, wszystko nagle potrafi wywołać w niej dziwne, pełne zadumy wzruszenie. Wszystko zdaje się zanurzone w nieuleczalnej samotności, niezrozumiałej *tristesse*, która jest wieczna, która składa lata na jedną stertę, nie zwracając na nie uwagi, wielkie sprzyświenie czegoś niepojętego, przez co rzeczy i ludzie wydają się obojętni i bezradni, przejmujący i nędzni. Na chwilę traci jednak audi z oczu, ale przy następnych światłach widzi, że znajduje się cztery samochody przed nią i zjechało na prawo, gotowe do skrętu. Czując się osłaniana przez całkowitą ciemność, jaka tymczasem zapadła, Marga podjeżdża prawie pod jego zderzak, pod światło widzi sylwetki ich głów i to, że Mattfersen prawą ręką przeczesuje włosy dziewczyny. Stwierdza to; coś w niej ten fakt rejestruje, lecz ona nie wie co – jakby zapisała dokument w pliku komputerowym, którego nigdy już nie znajdzie.

Samochód jedzie do podmiejskiej dzielnicy, Marga za nim. Kiedy nagle skręca w ulicę po lewej, szybko mijając skrzyżowanie, przebiega jej przez myśl, że jednak ją zobaczył. Na komórce podświetla się ekran. Następnie pojawia się tekst „odebrano 1 wiadomość”. W radiu słyszy *Kyrie eleison*, chwilę później dziewczęcy głos mówi, że chodziło o muzykę gruzińską.

Marga zapala papierosa; podczas gdy Mattfersen parkuje przed zamkniętym domem, ona cofa i parkuje trzydzieści metrów za nim. Nie wysiada z samochodu; tych dwoje w audi podobnie. Ze swojego miejsca nie może niczego zobaczyć; znowu ogarnia ją taka niepewność, że krew pulsuje jej w skroniach. Czyta wiadomość w komórce: „Chcę z tobą porozmawiać. Masz teraz czas? John”.

Odpisuje jednym słowem: „Później”. Słowem, którego później pożałuje.

Dzwoni jej komórka. Na wyświetlaczu imię Johna. Naciska przycisk u góry aparatu i go wyłącza. Mattfersen wysiada akurat z samochodu; dziewczyna nie. Mattfersen potrząsa pękiem kluczy, wsadza jeden z nich do zamka w drzwiach domu, trochę się mociuje, ramieniem popycha wysokie drzwi, które powoli się poddają. Macha na młodą kobietę, ta szybko wysiada, rozgląda się, znika w budynku. Jeszcze przez moment widać rękę Mattfersena, gdy pilotem zamyka samochód. Potem drzwi się zatrząskują. Marga ponownie włącza komórkę, wystukuje numer Johna, ten nie odbiera. Nagrywa wiadomość na sekretarkę: „John? Tu Marga. Widziałam, że przed chwilą próbowałeś dzwonić. Prowadziłam i nie mogłam rozmawiać. Możesz zadzwonić, jeśli chcesz. Do usłyszenia, mam nadzieję. Marga”.

Wysiada, ostrożnie przechodzi obok domu. Parter jest położony nad poziomem ulicy. Okna znajdują się ponad półtora metra wyżej; do wysokości co najmniej dwóch metrów jest matowe szkło, ale u sufitu Marga widzi palący się staroświecki żyrandol. Nad drzwiami, w portyku ozdobionym kutym żelazem, widnieje tekst – w języku, którego ani jednej litery nie potrafi odcyfrować. Jedyne, co jej przychodzi na myśl, to dziwne zakrętaszy na kopcach tuż przed uprowadzeniem. Znowu zaczyna padać. Robi się jej słabo i jest pełna obaw.

Niezdecydowana chodzi w kółko, staje na palcach po drugiej stronie ulicy, starając się coś dostrzec. Widzi tył głowy, lecz nie należy ona do Mattfersena. Głowa znika. Marga próbuje ponownie zadzwonić do Johna. Nic.

Nagle widzi jednak coś, co zapiera jej dech w piersiach: głowę tej flądry, która pracowała w biurze Johna, jakże ona się nazywa, cholera. No już, przypomnij sobie, właśnie, Rita; cholera, jak to możliwe? Co, na Boga, robi tutaj ta Rita? Ona z Mattfersenem: nawet nie chce o tym myśleć. Robi się jej od tego niedobrze. Odgryza kawałek skórki prawego kciuka i żuje ją.

Patrzy z otwartymi ustami, zapomina, że jest coraz bardziej przemoknięta, przełyka ślinę, znowu spogląda z niedowierzaniem, Rita jakby coś wyczuła, jej wzrok prześlizguje się na moment ku ciemności na dworze, gdzie z oświetlonego pokoju niczego nie może dojrzeć. Potem głowa znowu znika. Marga stoi jeszcze przez chwilę, wypatrując, ale nic się nie dzieje. My-

śli: Muszę zadzwonić do Johna, muszę mu o tym powiedzieć. Odczekuje jeszcze chwilę, lecz jednolite światło nadal się pali i w tym świetle widzi padający deszcz, pod kątem, zawiewany na wschód, ukośne strumienie deszczu na wietrze.

Wsiada z powrotem do samochodu, przez całą drogę powrotną jedzie w ulewie autostradą, która bardziej przypomina płytką rzekę.

Słucha po kolei 10,000 Maniacs, Steely Dan, Jeffa Buckleya (płacze, słysząc *Hallelujah*) Elvisa Costello (przygryza drżącą dolną wargę i klnie, gdy rozlega się *I want you*), Tori Amos (dwa razy z rzędu *Bonnie and Clyde*), coś niewyraźnego Eltona Johna, wyłącza Red Hot Chili Peppers. Kiedy skręca na parking przed blokiem, natychmiast dostrzega w świetle reflektorów, że ktoś leży na progu budynku. Czuje tak duże parcie w jelitach, że musi się powstrzymywać wszystkimi siłami świata, wyskakuje z samochodu, odwraca mężczyznę leżącego twarzą do zalanego deszczem chodnika i krzyczy:

– John!

Że to był John, domyśliła się raczej po tym, co zawsze nazywał swoimi „lazurowymi jajościskami”, niż po twarzy. Ta była zakrwawiona, nos wyglądał na złamany, oczy posklejane, usta miał na wpół otwarte, a spuchniętą górną wargę chyba rozerwaną.

Najpierw, używając wszystkich sił, odwróciła go z boku na plecy. Potem rozpaczliwie szarpała ciało w nadziei, że posadzi go prosto. Kiedy ponownie zwałił się jak wiotka lalka, zaszlochała sucho. Z powrotem uklękła, próbowała do niego mówić, odsunęła mu włosy z twarzy. Deszcz nadal lał jak z cebra. W ciągu pół minuty była przemoczona. Drżała i błagała go:

– John, John, słuchaj, co się stało, odezwij się John, co się stało, John, odezwij się.

Pozostał nieruchomy. Miała wrażenie, że nie oddycha. Zaczęła się zanosić płaczem. Nie wiedziała, dlaczego ogarnęło ją tak ogromne współczucie, dlaczego sprawiało jej to ból nie do zniesienia. Czowała jego zapach: ten niejasny zapach amoniaku osoby chorej na nerki. Spojrzała na jego twarz. Pogłaskała grubą, krwawiącą górną wargę, czoło, policzki. Jakby to ona była temu winna. Płakała, głośno się zanosząc, a jej płacz ginął w odgłosie strumieni wody. Nie mogła go zostawić samego, lecz jednocześnie chciała wezwać pomoc. Pierwsze, co zrobiła, to po prostu zawołała „Ratunku!”.

– Ratunku, ratunku! – Nikt nie mógł tego usłyszeć.

W blasku ulicznej lampy wysoko nad nimi widziała lejące się strugi, poruszane wiatrem zasłony zimnego, nieskończonego deszczu. Kiedy do niej dotarło, że wołanie nic nie da, zrozpaczona znowu zaczęła szarpać niepodające się tej czynności ciało. Znowu dopadła ją bezsilność. Biła pięścią w jego piersi, wołając jego imię, od razu przeraziło ją to, co robi, całowała jego zamknięte oczy. Jej ociekające wodą włosy spadały mu na twarz. Powoli otworzył spuchnięte oczy. Marga się poderwała; poczuła na policzku ruch mokrych rzęs Johna. Jego oczy trochę uciekały, jakby zaraz ponownie

miał stracić przytomność. Ponieważ krople deszczu wpadały mu do oczu, natychmiast zacisnął powieki i skrzywił się z bólu.

– John – powiedziała, śmiejąc się i płacząc równocześnie – kto cię tak...

Zakaszła, trząsał się na całym ciele. Próbował się podnieść, udało się to dopiero za trzecim razem. Wtedy zaczął obficie krwawić z nosa. Ciemna i gęsta wydzielina spłynęła po jego przemoczonym poło. Marga szukała chusteczki, nie znalazła w torebce, poszukała w kieszeni marynarki Johna, wyjęła z niej coś obwisłego i zimnego, co miało kształt ręki, a w dotyku przypominało gęsią skórkę. Trzymała w ręce coś, co wyglądało jak odcięta dłoń. Wrzasnęła i w ataku paniki odrzuciła ją w zalane deszczem krzaki obok chodnika.

Kiedy udało się jej pomóc Johnowi na tyle, że zdołał podczołgać się do drzwi wejściowych budynku, nieporadnie przez nią podpierany, pchnęła drzwi nogą, wciągnęła pełznącego mężczyznę za marynarkę dalej do środka, pomogła mu usiąść pod ścianą ze skrzynkami na listy i znów zapytała, kolejny raz odgarniając mu włosy z czoła:

– Och, chłopcze, chłopcze, kto...

– Vadverzen – powiedział, bełkocząc, z wykrzywioną z bólu twarzą, a potem, z większym bólem i wyraźniej: – Ten bydlak Mattfersen.

– John, to niemożliwe – zawołała oburzona Marga. – Dopiero co go widziałam, jest w Luik z twoją przyjaciółką...

Zamarła i od razu odniosła wrażenie, że zrobiła wielkie głupstwo. John zdawał się jej jednak nie słyszeć. Zamknął oczy, zwymiotował krwią i flegmą.

Mimo słabego sprzeciwu Johna po kolejnych dwóch minutach w zimnym holu zadzwoniła po lekarza. John zdawał się cicho płakać z zamkniętymi oczami; możliwe też, że to woda kapała mu z włosów, nie wiedziała, ale sama znów zaczęła płakać, gdy na niego spojrzała. Dlaczego ludzie płaczą na widok innych płaczących ludzi i śmieją się na widok innych śmiejących się? „To zagadka naszego gatunku zwierząt” – powiedział jej kiedyś John, dawno temu. Wtedy ćwiczył się, jak twierdził, w czymś odwrotnym: płakaniu, gdy inni się śmiali, i śmianiu się, gdy inni płakali. Dlaczego myślała

o jego zuchwałości tamtego wieczoru, dawno temu? Załkała, znowu go pocałowała, powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Jego twarz była zimna jak twarz zmarłego. Jej twarz płonęła jak ogień. Wygrzebała z torebki paczkę papierosów, zapaliła jednego, John otworzył oczy i słabym gestem złapał ją za rękę, wolno poruszając głową.

– Chcesz...?

Przytaknął. Podsunęła papierosa do poranionych ust, najostrożniej jak potrafiła, ssał jak ślepe niemowlę, łapczywie. Od razu dostał ataku kaszlu i zawył z bólu. Siedział, dysząc.

Marga paliła i obgryzała skórki przy paznokciach. Deszcz nadal ogłuszająco walił w szyby, w połączeniu z porywami wiatru, które jak płaska dłoń zdawały się uderzać w budynek. Lekarz przyjechał po kwadransie z asystentem, jak sugerowała Marga. Obaj mężczyźni wbiegli do budynku z marynarkami naciągniętymi na głowę, zatrzymali się gwałtownie, gdy zobaczyli tych dwoje pod ścianą w holu; obejrzel i obmacali Johna, wykonali kilka rutynowych czynności, stwierdzili, że ma dwa złamane żebra, krwotoki wewnętrzne, dwa złamane zęby, rozerwaną górną wargę, zwichniętą szczękę, zobaczyli, że jego szyja nosi ślady duszenia oraz że go kopano albo bito twardym przedmiotem w okolicy pachwin. Obawiali się ciężkich obrażeń jąder.

– Sadyści – syknął asystent. – Zmiażdżone przyjądrze, co najmniej.

Nagle doktor zaczął węszyć, poczuł niewyraźny zapach amoniaku, spojrział na asystenta znad swoich modnych okularów i wieloznacznie pokiwał głową.

Wspólnie ułożyli Johna na małych noszach, po czym z trudem zanieśli po schodach do mieszkania Margi.

Na schodach nagle poczuli mdły zapach.

– Będzie pani musiała natychmiast zdjąć mu ubranie i oddać do pralni – powiedział lekarz.

Teraz Marga też to poczuła. Bezradna głowa Johna kołysała się z jednej strony na drugą. Oczy miał zamknięte.

Półtorej godziny później John, przebrany i z obcisłym bandażem wokół pasa, leżał w jej łóżku. Również głowę miał obandażowaną; na wardze został przyklejony gruby plaster, na genitaliach położono ciepły kompres. Spał z odgłosem rwanego oddechu.

Marga dopiero teraz zobaczyła, że dostała esemesa.

„Pracowałem do późna. Mogę jeszcze wpaść, jeśli chcesz. Hans”.

Wiadomość została wysłana ponad godzinę wcześniej. Poczula, jakby jej oczy przesłonił obłęd. Chciała tak szybko odpisać „nie”, że aparat dwa razy wysłiznął się jej z drżących rąk. Wtedy usłyszała jego auto na parkingu, a chwilę później zadzwonił dzwonek przy drzwiach w holu na dole.

Ciężkie kotary były zasunięte. Mogła udawać, że śpi. Zakradła się do drzwi mieszkania, zamknęła trzy zamki, założyła łańcuszek na haczyk, przygasiała wszystkie światła i z wyczekiwaniem usiadła w ciemności przy śpiącym Johnie. Zadzwonił jej telefon. Zobaczyła wyświetlające się imię Hansa. Wyłączyła komórkę. Czekwała z zapartym tchem. Ponownie dzwonek. Po chwili usłyszała otwierające się drzwi windy, dobrze znany głuchy odgłos ich ponownego zamykania. Zbliżające się kroki. Delikatne stukanie do drzwi. Poczula się słabo. Dysząc, czekała, oczy zamknięte. Głośniejsze stukanie.

– Margo...

Dostała czkawki.

– Margo, jesteś tam...?

Znowu podwójne stukanie tymi jego twardymi kostkami palców. Widziała przed sobą jego ręce. Niemal czuła ich zapach. Płyn po goleniu i dym papierosowy. Nieokreślone podniecenie i sentyment mieszały się w niej z odrazą i strachem. Wtedy usłyszała niewyraźne człapanie, chrząknięcie, jakieś pomruki, coś chyba płasko plasnęło o kafelki korytarza, jakby coś mięsistego. Cisza. Potem oddalające się kroki. Drzwi windy. Przesuwanie się kabli, niewyraźnie. Winda pojechała na dół.

Usłyszała zatraskujące się drzwi wejściowe w holu, wydawało się, że deszcz pada ciszej.

W rzadkiej nocnej ciszy słyszała człapiące kroki. Potem znowu dobrze znany silnik diesla jego audi i uspokajające zanikanie odgłosu, coraz dalej w alei, wzdłuż placyku z tyłu, w stronę wąskiej ulicy. Zdawało się, jakby dźwięk został wessany. Potem nie słyszała już niczego poza lżejszym, niemal wiosennym deszczem i szczekaniem gdzieś psa, ostrym i krótkim. John poruszał się w czasie snu. Świeża pościel chrzęściła. Trochę charczał, jakby w gardle tkwiła mu flegma.

Potem znowu oddychał spokojnie.

Marga szła do łazienki na wyczucie, zapaliła słabą lampkę przy szafce z lustrem, rozebrała się, długo stała, wpatrując się w swoją twarz w lustrze. Miała wrażenie, jakby z jej twarzy coś zniknęło – jakby nabrała gorszego kształtu niż wcześniej. Nie wzięła prysznicza z obawy, że Mattfersen wróci i to usłyszy. Włożyła długi biały T-shirt z tekstem IN4U2. Usiadła na sedesie i znowu zaczęła płakać, cicho, lekko drząc. Bąknęła coś jakby „wulgar-na suka”. Przygryzła wargę, skarciła samą siebie, oderwała z rolki dwa listki papieru, wytarła w nie nos, wrzuciła między nogami do sedesu, nagle znowu dostała czkawki, długo sikała, ponownie oderwała dwa listki papieru, wytarła się do sucha, opuściła długi T-shirt na pośladki, nie splukała, zgasiła światło, zanim otworzyła drzwi, teraz ogarnęła ją nagła ślepotą. Odczekała, aż znowu zacznie rozróżniać w ciemności kształty i nikłe plamy, po czym skulona i rękami wyczuwając brzeg łóżka, na którym spał John, minęła go i wyszła z pokoju. W salonie, gdzie nieco rozchyliła zasłony, żeby do środka wpadało trochę światła z ulicznych latarni, rozłożyła sofę, otrzymując w ten sposób łóżko dla gości, wróciła do pokoju, w którym spał John, wyjęła koc z jednej z szuflad w wysokiej szafie, poszła z nim do salonu, położyła się na sofie, wzięła jedną z poduszek z sofy, przykryła się kocem, zadrżała i zaczęła się tak bardzo trząść, że łóżko delikatnie skrzypiało. Trzęsła się ponad pół godziny. Bolały ją od tego wszystkie mięśnie kręgosłupa. Zasnęła dopiero wtedy, gdy zaczęło się rozwidniać.



Święty – pomyślała Marga – ten poranek jest święty. Miała wrażenie, że obudziła się nieważka. Niebo było przejrzyste błękitne, wiosenna bryza wpadała do środka przez rozsunięte kotary, jej mieszkanie jeszcze nigdy nie wyglądało tak nowo, świeżo i zaskakująco. Wydawało się też o wiele większe niż zwykle. Na horyzoncie płynęło kilka ciemnych, burzowych chmur. Nadciągająca wilgoć sprawiała, że niebo było jeszcze czystsze, wyrazistsze. Założyła szlafrok na nagie ciało, wyszła na korytarz, otworzyła drzwi, żeby wziąć gazetę z wycieraczki, i zobaczyła leżącą tam swego rodzaju odciętą rączkę, a wokół niej pięć czerwonych kulek. Wydała okrzyk, swoim włoskim pantoflem kopnęła ten przedmiot. Niechętnie ustąpił i pół metra dalej przywarł do posadzki. Wydawało się, jakby palce poruszyły się na schodach. Zacisnęła oczy, zasłoniła je rękami, pokręciła głową, znowu otworzyła. Przedmiot nadal tam leżał. Zatrzasnęła drzwi, poszła do salonu i wtedy dostrzegła, jak z nieba spada za oknem podobna obrzydliwa rączka. Najpierw pomyślała, że to przywidzenie, lecz zaraz potem usłyszała wyraźny dźwięk plaśnięcia o płytę chodnika. Otworzyła okno i wyjrzała: leżała tam dokładnie taka sama rączka. W chwili gdy z powrotem wsunęła głowę do środka, kolejna przeleciała tuż obok niej. Marga wrzasnęła, z trzaskiem zamknęła okno i zobaczyła, że z szybko nadpływających teraz ciemnych chmur to tu, to tam zlatują rączki, które z odrażającym odgłosem plaśnięcia spadają na ulicę, na gałęzie magnolii, na parking, czasem któraś ukosem uderzała w okno, pozostawiając rzadki, tłustawy ślad. Stopniowo rozpętała się prawdziwa ulewa z licznymi tłustymi, bladymi rączkami, z których w trakcie spadania wytaczały się dodatkowo czerwone kulki, odbijając się i zderzając niczym wielkie bryły gradu między mnóstwem rączek, które jak

martwe kraby zaczęły pokrywać chodniki i asfalt. Na ulicy słyszała mężczyznę wołającego w panice coś niezrozumiałego. Dźwięk się wzmacniał, słyszała nieustanny łomot i plaskanie coraz większej liczby martwych rączek, wiotkich palców, czerwonych kulek, wizja w nisko padającym z naprzeciwka świetle, oberwanie chmury rąk, które plaskały i dudniły, uderzały i bębniły, ześlizgiwały się i rozbijały, zdawały się czepiać gałęzi, między którymi się osuwały, gromadziły się w rynnach, zsuwały po dachówkach, uderzały w drzwi i okna, piekielnie nieznośny hałas martwego mięsa, które powoli wszystko przykrywa i wszystko zagłusza. Kierowca samochodu próbował w panice przejechać wśród tej rosnącej masy i wpadł w poślizg, zatrzymał się ukosem do chodnika. Chciał wysiąść z auta, natychmiast na głowę spadł mu deszcz plaskających rąk, wrzasnął, szybko wsiadł z powrotem, nie mógł już zamknąć drzwi, ponieważ zablokowało je kilka rączek. W śladzie, jaki zostawił, przejechawszy przez tę martwą masę, nie było ani kropli krwi. Rozjechane rączki zdawały się ponownie pęcznieć, niektóre pękały, ukazując biały proszek. Marga zatkała uszy dłońmi, zacisnęła oczy, bezradnie chodziła po mieszkaniu, w łazience słyszała ogłuszające dudnienie o płaski dach, przez chwilę się obawiała, że sufit nie wytrzyma nadmiernego ciężaru. Zeszła na dół, szarpnięciem otworzyła drzwi holu, zobaczyła tam leżącą na progu starszą kobietę, chciała się pochylić, żeby jej pomóc, ale na głowę spadło jej tyle rąk, że pod wpływem siły, która ją przytłoczyła i zgięła w pół, przewróciła się do przodu, otrzymała nieskończenie wiele uderzeń i nieprzytomna zapadła w głęboki sen, z którego obudziła się w swoim pokoju, na sofie, w szarym porannym świetle cichego wiosennego dnia.

Jeszcze dyszała, przez chwilę nieświadoma, że koszmar się skończył, ponownie zacisnęła powieki, naciągnęła na siebie koc, wtedy zobaczyła, że wszystko jest spokojne, zmieszana i ogłuszona wysunęła głowę i powoli dochodziła do siebie. Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę z powodu, dla którego leżała na sofie w salonie, przykryta wyłącznie kocem, bez prześcieradła. Kiedy uświadomiła sobie prawdziwą przyczynę, odniosła wrażenie, że to tylko inny koszmar, w którym się obudziła. Wyskoczyła z łóżka i pobiegła sprawdzić, czy również to się jej nie śniło. Ale John jak najbar-

dziej leżał w jej łóżku, potwornie poturbowany, z głową niemal za krawędzią. Z ust ciekła mu ślina, a oczy zdawały się na wpół otwarte. Oddychał ciężko, prawie chrapiąc, wydawał się intensywnie o czymś śnić. Marga wzięła głęboki oddech i ręką poszukała wsparcia na poręczy fotela.

Kiedy pomyślała, raczej z przyzwyczajenia, żeby zabrać gazetę z wycieraczki, serce tak mocno jej zabiło, że zakręciło się jej w głowie. Usiadła na skraju łóżka, zobaczyła bladą, zwisającą prawą rękę Johna. Zadrżała. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć. Ręka wydawała się istnieć odrębnie. Bez prawdziwego człowieka przy niej. To było dawno temu, kiedy dotykała zawsze trochę wilgotnych dłoni Johna. Zwisająca z łóżka ręka okazała się zimna w dotyku. Jej pierwszym odczuciem była odraza; sen trwał w niej jeszcze zbyt mocno. Jakby jedna z tysięcy obrzydliwych rączek trafiła tutaj i przyssała się do tego ciała. Cofnęła dłoń i przygryzła dolną wargę. Kiedy ostrożnie dotknęła ręki Johna po raz drugi, palce lekko, powoli się poruszyły. Czuła, jak ciepło jej własnej, nieco nabrzmiałej od snu dłoni przez moment wchłania zimno czubków jego palców sprawiających wrażenie martwych. Wzruszyła się do głębi. Współczucie, które miała dla tego nieszczęsnego, na wskroś znanego jej mężczyzny, mieszało się z żalem i poczuciem winy.

Nie zamierzała go budzić. Zamknęła drzwi łazienki, przypomniał się jej sen i mimowolnie nasłuchiwała, czy usłyszy na płaskim dachu jakiś ruch; czy na wąskiej krawędzi małego uchylnego okna nie leżą żadne rączki? Wyrzała przez szpary okienka. Rudzik dreptał po murku ciosowym, zerwał się, gdy zauważył jej niewyraźną sylwetkę za karbowanym szkłem okna. Ulicą szedł mężczyzna w ciężkich desantach na nogach i z owczarkiem niemieckim na naprężonej smyczy.

Nastawiła kawę, usiadła z gazetą przy stole. Od razu przeszła na ostatnią stronę, przeczytała komiks i prognozę pogody, odwróciła gazetę z powrotem, przebiegła oczami tytuły na pierwszej stronie, otworzyła gazetę, przeczytała felieton na drugiej stronie, wstała, napełniła filiżankę, gdy kawa się przelała przez ekspres, wróciła do stołu, usiadła, wertowała dalej. Jej wzrok

padł na artykuł z nagłówkiem *Dręczyciel na przedmieściach*. Przeczytała tekst o mężczyźnie, który prześladował kobiety i zmuszał je do seksu, po czym im dziękował i zniknął. Ofiary mówiły o nim wyrazem oficjalnym, uprzejmym mężczyźnie, który najwyraźniej długo badał ich zwyczaje. Chodził elegancko ubrany, całkiem na czarno, w drogich markowych rzeczach, zawsze nieskazitelnie biała koszula, której dwa guziki były rozpięte. Palił lucy strike. Miał doskonały francuski akcent. Skupiał się na samotnych kobietach z wyższym wykształceniem, między dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia. Z reguły był już w ich mieszkaniu, kiedy wracały do domu. Chował się w holu albo korytarzu, czekał, aż wejdą i zamkną za sobą drzwi, fachowo chwycił je ręką za usta i zaczynał cicho mówić, drugą ręką głaszcząc po szyi lub włosach. Trwało to, dopóki nie ustąpił pierwszy atak paniki, łagodził uścisk, gdy się rozluźniały, prosił, żeby szły przed nim do salonu. Żądał ich torebki, wyłączał komórkę i wsadzał do swojej kieszeni, wyjmował wtyczki telefonów stacjonarnych. W salonie siadał na kanapie. Prosił o coś do picia; wszystko bacznie obserwował i uprzejmie prosił, żeby niczego nie próbować i zachować spokój. Starał się prowadzić z nimi rozmowę; pytał o rzeczy, z których wynikało, że wszystko o nich już dokładnie wie. Dlaczego ich szef zawsze nosi te idiotyczne krawaty? Czy to nie nudne, zawsze tak długo jechać metrem, czy i ona tak lubi bułeczki z piekarni cztery ulice dalej? Czasem przynosił jakiś prezent, perfumy albo szminkę, które dana kobieta zwykle kupowała. Wyglądał miło, był uprzejmy, miał poczucie humoru i czasem mówił coś pochlebnego o ich włosach, sukience, oczach albo rękach. Kiedy widział, że zaczynają okazywać jakieś wątpliwości lub zaciekawienie, wypijał swoją szklankę i prosił, żeby poszły przed nim do sypialni. Tam często się okazywało, że już o coś zadbał: zazwyczaj przygotowywał butelkę szampana i miseczkę malin. Prosił, żeby się rozebrały, a jeśli mają na to ochotę, zrobiły striptiz. Na to się najczęściej nie decydowały (albo nie wyznawały tego policji). Następnie on się rozbięrał, wieszał marynarkę na krzesło, starannie składał spodnie i przychodził do nich do łóżka. Zostawiał sobie jedynie czarne jedwabne rękawiczki. Zakładał prezerwatywę. Nie spieszył się, starał się kobiecie dogodzić. Czasem stanowczo mówił, że nie wyjdzie, dopóki ona nie osiągnie orgazmu. (Wię-

szość później twierdziła, że udawały, żeby się go jak najszybciej pozbyć z domu albo dlatego, że myślały, że je zabije; miał przy sobie niewielki srebrny pistolet, który kładł na nocnej szafce). Dolewał im, gdy upiły – ponieważ im kazał – łyk szampana. Był, jak niektóre z kobiet wyznały, dobrym kochankiem, który zapewne mógł mieć bardzo dużo kobiet z nieprzymuszonej woli. Pytany, dlaczego to robi, stosując przymus, odpowiadał, żeby milczały. Jedyne, co zakłócało jego perfekcyjną prezencję, to lewe oko. Wyglądało jak szklane i nieruchome, twierdziły kobiety bez wyjątku. Po wszystkim związywał im ręce i nogi sznurkiem, który miał w kieszeni, przepraszał, przeczesywał im jeszcze włosy, szedł do łazienki, splukiwał prezerwatywę w toalecie, przez cały czas miał je na oku, co rusz wysuwając na chwilę głowę przez drzwi, ubierał się, starannie mył kieliszki, wycierał wszelkie możliwe ślady, sprawdzał łóżko pod kątem włosów, te, które znalazł, wsadzał do plastikowego woreczka, wyrywał im jeszcze dwa włosy z głowy (i przepraszał z uprzejmym uśmiechem), wsadzał je do innego plastikowego woreczka, oficjalnie dziękował, po czym znikał. Nigdy nie działał dwa razy w tej samej okolicy, wydawało się jednak, że nakreślił niejako aureolę nad całym miastem. Śledczy powiedział, że ma wrażenie, jakby wzór miejsc przestępstwa tworzył jakiś znak albo kod. Narysował ten wzór; obok artykułu widniały dwa znaki przypominające pismo, którego nikt nigdy nie widział, coś między cyrylicą a arabskim, a może wyglądało to jak hebrajski? Zamieszczono rysopis mężczyzny. Wysoki, szczupły, lecz mocno zbudowany, wysportowane ciało, rude włosy i jaskrawoniebieskie oczy. Podczas wymuszonego seksu włączał czasem muzykę barokową. Piękną muzykę, powiedziała jedna z ofiar; widziała wzruszenie w jego oczach.

Mardze zakręciło się w głowie.

Marga poczuła, jak wali jej serce.

Margę zaczęło wszystko swędzieć.

Marga zapytała, czy teraz wreszcie na tym koniec.

Marga próbowała normalnie oddychać.

Marga próbowała wydrapać strupek z lewej dziurki w nosie.

Marga zapytała tego, kto to wszystko wymyślił, co ma teraz robić.

Odpowiedział, że nie wie.

Marga powiedziała, że Mattfersen nie istnieje. Że rozmawiała sama ze sobą.

Marga powiedziała, że się boi, że zwariuje.

Marga przeczesła prawą ręką włosy.

Marga poczuła niejasną ekscytację, czytając artykuł w gazecie.

Marga zapytała, dlaczego nikt nigdy nie udzielał jej odpowiedzi na pytania.

Mardze zrobiło się niedobrze.

Marga wstała i natychmiast z powrotem usiadła.

Marga powiedziała:

– Nie istnieje.

Marga zgasiła papierosa w dłoni i powiedziała:

– Niech to szlag.

Marga zgmiotła peta w popielniczce.

Marga niczego nie zrobiła.

Marga powiedziała:

– Cisza gwiazd napawa mnie strachem.

Marga skubała wargi.

Piękne palce Margi drżały.

Marga usłyszała coś, lecz nie wiedziała co.

Marga zostawiła gazetę, podniosła się, trochę się zachwiała.

– Tak – powiedziała Marga – tak.

Nie wiedziała dlaczego.

W tym momencie usłyszała posapywanie w sypialni. John obudził się, postępując, zamrugał oczami, głośno jęknął, powoli złapał się za głowę, otworzył oczy, zobaczył wchodzącą do pokoju Margę. W jego spojrzeniu było zdziwienie, które potem stopniowo ustępowało obojętnemu pogrąża-

niu się w sobie. Ponownie zamknął oczy, otworzył, zamlaskał suchymi wargami, westchnął, chyba znowu chciał zasnąć. Marga usiadła przy nim i wzięła tę wiotką, zimną rękę leżącą na kołdrze obok jej pośladka. John nie zareagował. Znow usłyszała deszcz uderzający o duże okno w salonie.

Kwartet smyczkowy Debussy'ego. Marga biorąca prysznic. Miodowy kolor jej włosów łonowych. Smak croissantów. Smak jej szminki. Firanki w oknie wiosną podwiewane przez wiatr. Frezje i jabłka. Zapach trawy nocą, podgrzany jej ciałem, jego ręka pod jej plecami. Gołębie nad morzem. Zapach sushi i papierosów na jej palcach. Wanilia. Zapach zakochania, jaki on jest.

Kiedy John się obudził, co rusz krzywił się z bólu.

Późnym popołudniem Marga zrobiła zakupy. Po powrocie do domu ugotowała zupę pomidorową ze świeżych pomidorów. Próbowwała odkleić plaster na górnej wardze Johna. Wrzasnął z bólu.

– W takim razie zupa z plastrem – powiedziała.

Pomogła mu usiąść prosto. Pomogła mu z basenem (John się wstydził). Karmiła go, podając zupę łyżką. Kręcił głową z bólu.

Po trzech łyżkach zrobiło mu się niedobrze. Pomogła mu się z powrotem położyć.

Natychmiast zasnął.

Marga zjadła sama w kuchni, potem oglądała telewizję, około jedenastej zajrzała jeszcze do sypialni, znowu poczuła mdły zapach z poprzedniego dnia, westchnęła, obudziła Johna i nie zważając na jego uzalanie się nad sobą, umyła go jak najbardziej mechanicznie (tak jak się szoruje ławki, stwierdził z wyrzutem John), odwróciła go na bok, zdjęła pościel, włożyła mu inną, własną górę od piżamy, cuchnące rzeczy wrzuciła do pralki, włączyła ją na sześćdziesiąt stopni, wyjęła z szafy drugie czyste prześcieradło, poszła z nim do sofy w salonie, gdzie było słyhać niewyraźne porywy wiatru uderzające w duże, czarne jak smoła szyby. Zarzuciła prześcieradło na

sofę, na to kołdrę, położyła się, naciągnęła kołdrę na siebie, drżała, zapadła w sen, w czasie którego nic jej się nie śniło.

Następnego dnia John wyglądał na trochę silniejszego. Przez kilka godzin potrafił prosto siedzieć. Znowu przyjechał lekarz, zbadał go, powiedział, że być może wszystko szybko wróci do normy, jeśli będzie odpoczywał, zapytał, czy dzwonił na policję. Górna warga była mniej spuchnięta, widocznie rozdarcie szybko się zraszało. Mówienie wciąż jeszcze było zbyt bolesne. Jedzenie szło drobnymi porcjami, wolno, połączone z jękami i westchnieniami. Połamane siódme żebra sprawiały mu dużo bólu. Następnego dnia musiał się stawić w klinice na dializę. Podano mu silne lekarstwa, znowu zrobił się senny. Marga umyła mu twarz i ręce, uczesała włosy.

Kolejnego dnia rano jako tako go ubrała. Przyjechało po niego dwóch pielęgniarzy, którzy ułożyli go na noszach, po czym nie mogli przejść z nimi przez drzwi wejściowe. John (jęczący i wzdychający) został położony na sofie, nosze wystawiono na korytarz, pielęgniarze przenieśli tam Johna, ponownie ułożyli go na noszach i sapiąc, zniknęli na schodach.

– Nie – powiedział lekarz prowadzący, kiedy zobaczył, jak John wygląda po dializie – ten człowiek nie pójdzie do domu.

Po pracy Marga weszła do jego pokoju i zobaczyła leżący skurczony, szary i trzęsący się strzępek człowieka. John się nie ruszał. W południe dość nerwowo zjadła lunch z Mattfersenem, dlatego że czekał na nią pod biurem. W pracy miała irytujące dyskusje o tej części działalności wydawnictwa, która znajduje się pod jej nadzorem. Tom, idealny zięć, znowu na nią warczał, że nie powinna tak wyniośle rozmawiać z innymi; że zraniła uczucia młodszych kolegów, wskazując na to, że pewne elementy planu wydawniczego zostały całkowicie zaniedbane z powodu kilku tak zwanych bestsellerów, które trzy miesiące po wydaniu wylądowały w taniej książce. Że nie powinna przez cały czas myśleć wyłącznie o własnych ambicjach. Że być może miała rację, jeśli chodzi o krytykę merytoryczną, ale że nie życzy sobie, aby się do niego zwracano w ten sposób. Marga włożyła płaszcz, powiedziała, że to nie pora na takie bzdury, że wróci w ciągu pół godziny



i żeby wszyscy dobrze się zastanowili, jak sobie wyobrażają dalsze losy wydawnictwa, jeśli chcą, żeby została. Jedna z młodszych koleżanek zaczęła na to pochlipywać i powiedziała, że tego już dla niej za wiele, tego rodzaju argusowego spojrzenia i tych poniżeń. Marga odparła, że to wszystko nie ma nic do rzeczy, że odbiera to jako szantaż emocjonalny i dopóki nie będzie można otwarcie i racjonalnie porozmawiać o tak istotnych sprawach jak kwestie merytoryczne, będzie musiała nadal czynić uwagi na temat rzeczy, które idą nie tak z powodu błędnych ocen. Tom fuknął na nią, że przecież już można, na co Marga tak głośno zatrzasnęła za sobą drzwi pokoju, że usłyszała, jak Tom podskoczył ze złości, a dziewczyna krzyknęła. Kiedy Tom otworzył drzwi, żeby jej nawymyślać, ile wlezie, powiedziała, że zastanawia się nad poszukaniem innej pracy. Żeby się lepiej rozejrzył za kimś bardziej służalczym do kompletowania serii *Studiów kulturalnych*. Kiedy otwierały się przed nią drzwi windy, usłyszała, że Tom za jej plecami nagle zmienia ton. Żeby nie brała tego tak do siebie. Że przecież pracuje tu właściwie dopiero od niedawna, że powinna się nauczyć dopasowywać. Czy mogą o tym porozmawiać. Weszła do windy, nie odpowiadając, usłyszała, jak drzwi biura ponownie zamykają się z trzaskiem, a Tom woła za nią „cholerna franca!”. Na zewnątrz wpadła na Mattfersena, który akurat parkował samochód przed biurem. Złapała się za głowę, Mattfersen wysiadł z auta i podszedł do niej, powiedział, że właśnie chciał ją odwiedzić w związku z ostatnią korektą jego książki. Chwycił ją za ramię. Wyrwała się, rzuciła mu, żeby zjeżdżał. Mattfersen popatrzył na nią, nie rozumiejąc, zapytał, co się stało. Spojrzała na niego i odparła:

– Pilnuj swoich własnych brudnych sprawek.

Słyszając to, uszczypnął ją w ramię:

– Hej, Marga, o co ci chodzi?

Wbiła wzrok w jego lodowate oczy i zobaczyła, że w każdym razie lewe nie jest nieruchome; w tęczęwkach równie intensywnie, budząc zaufanie, mieniły się błękit z fioletem. Patrzył ze zdziwieniem, szczerze i przyjaźnie, ze zrozumieniem, tak jak go zawsze znała. Mimo wszystko wydawało się jej, jakby nie widziała go od lat.

– John został pobity – oznajmiła, czując ku własnemu zdumieniu, że oczy zaczęły ją piec i zrobiły się wilgotne.

– Widziałaś się z Johnem? – spytał z taką prostodusznością, że miała ochotę dać mu w twarz.

– Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję. Mam dość kawy na dzisiaj. I tytoniu też.

– Margo, wyglądasz na przemęczoną.

– Możesz temu zaradzić, Hans, schodząc mi z oczu.

Ponownie wziął ją za ramię, uderzyła go w twarz.

Hans stanął, pocierając w zaskoczeniu policzek.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze, Margo. Nie rozumiem, ale jeśli chcesz, możesz do mnie zadzwonić. Wiesz o tym. Możesz na mnie liczyć.

Przejechała ręką włosy i minawszy go, ruszyła ulicą. Weszła do księgarni, przejrzała tam książkę, z której po minucie niczego już nie pamiętała. Kupiła gazetę, paczkę papierosów, było prawie południe. Postanowiła zjeść gazpacho z bułką w niewielkim barze za biurem.

Oczywiście, jak mogła być tak głupia, czyhał tam na nią Mattfersen. Była wściekła na siebie. Drzwi się tymczasem zamknęły, nawet nie miała już siły, żeby wyjść z powrotem na zewnątrz. Usiadła więc przy jego stoliku i wybuchnęła płaczem, nad którym straciła kontrolę. Czkała i szlochała tak gwałtownie, że rozboleło ją od tego gardło.

Mattfersen głaskał ją po włosach i powtarzał:

– Ależ dziecino, ależ dziecino.

– Przestań z tym głupim gładzeniem – syknęła, dokładnie wycierając nos w serwetkę. – Nie jesteś moim dziadkiem. Nie jestem twoją dzieciną. Jeśli żywisz ojcowskie uczucia, to się lepiej zakręć wokół tej cizi Johna, okej?

Mattfersen zrobił markotną minę i nic nie odpowiedział.

– Hans, w co ty się wdałeś? Co to wszystko ma znaczyć?

– Nie wiem, co masz na myśli. Przyszedłem porozmawiać z tobą o mojej książce.

Jego twarz się napięła. W oczach znowu zdawała się pojawiać iskierka zieleni.

– Hans, jeśli natychmiast nie wyjaśnisz wszystkiego, co o tobie wiem, zaraz dzwonię z tej komórki na policję.

Trzymała ją w powietrzu. Widział, jak tam siedzi, trochę komiczna i z czerwonymi od płaczu oczami.

– Dobrze, jeśli ty tego nie chcesz zrobić: co to za idiotyzm z tymi listami? Dlaczego mnie, Johnowi i Bóg wie komu jeszcze grozi się, zastrasza się nas, doprowadza do furii, nęka, bije? Co robiłeś z tą cizią od Klossena w tym dziwnym domu w Luik? Mam z tym iść do jakiegoś dziennikarza? Mam skutecznie złamać twoją karierę pseudoautora, jeszcze zanim się zaczęła, ogłaszając wszystkim, jakim jesteś draniem, hipokrytą i przestępcą? Jeśli zaświadczę, że widziałam cię w pobliżu Johna, kiedy się okazało, że został bezlitośnie pobity? Zachowałam listy, które dostał, mam zeznania Johna na temat komputera zamordowanej dziewczyny. Mogę cię zniszczyć, Hans, jednym telefonem. I czy przypadkiem zakładasz też czarne rękawiczki, kiedy nękasz i gwałcisz samotne kobiety?

– Margo, jesteś chora – odparł Hans. – Bredzisz. Pozwól, że zawiozę cię do domu, jesteś roztrzęsiona. Dziecino, jak...

Przy ostatnim „dziecino” Marga zaczęła krzyczeć na całe gardło, na cały bar, tak że wszyscy patrzyli w ich stronę przestraszeni, a kelner od razu podszedł do ich stolika. Czy państwo może sobie czegoś życzą. Czy w przeciwnym razie może prosić, żeby państwo opuścili lokal.

Marga zerwała się, wyszła z baru. Ponieważ Hans musiał zapłacić, miała czas, żeby zniknąć. Zrobiła to, wbiegając do starego kościoła znajdującego się kawałek dalej, między kinem a salonem z tatuażami. Uderzyła ją chłodna mroczna atmosfera, wywołując jednocześnie pewną ulgę i zwątpienie. Kiedy usłyszała skrzypnięcie kościelnych drzwi, ukryła się w konfesjonale. Jak to możliwe, że ten diabeł odgadł, że uciekła tutaj? Słyszała jego kroki, wyjrzała przez szparę w zasłonce, zobaczyła, jak moczy palce w święconej wodzie, robi znak krzyża, podchodzi do ołtarza i tam przykłęka. Ku wielkiemu zdziwieniu usłyszała, że szlocha i mówi do siebie.

W tym momencie ktoś zaczął grać na organach na górze. Pierwszy akord był jak grom z jasnego nieba. Marga się skuliła, zamknęła oczy. Muzyka przetaczała się między kolumnami, wypełniając starą przestrzeń. Hans robił znaki krzyża, wytarł oczy, wstał, ruszył do wyjścia. Mówił do siebie i kręcił głową. Widziała, że po policzkach toczą mu się łzy.

Czuła się jak szczur, przyczajona w tej obleśnej budce, trzęsąca się i niezdecydowana.

Potem zrobiła coś, czego sama nie rozumiała: wybiegła z konfesjonału wprost do zdumionego Mattfersena, wołała jego imię, objęła go i obsypała pocałunkami.

Głaskał ją, stale wypowiadał tylko jej imię. Scałowała jego łzy, wsunęła mu język do ust, całowała po szyi. On głaskał ją pod płaszczem. Zalała ją fala roztopiającego wszystko zadowolenia. Czuła jego płyn po goleniu i miała wrażenie, jakby wpłynęła do raj. Kiedy organista gdzieś tam, w swoim ciemnym kącie na górze, grał partitę Buxtehudego, stała, płacząc i przytulając się do Hansa. Wsadziła mu pod koszulę dwa spiczaste palce. Oddychał na jej szyi.

– Chodź – powiedział.

– Nie – odparła Marga – zostaw mnie teraz samą. Dobrze?

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc, ujął jej ręce w swoje, długo je oglądał, potem spojrzął jej w oczy i powiedział:

– Dobrze, jak chcesz. Idź odpocząć, Margo, i zadzwoń do mnie, okej? I przestań obgryzać paznokcie, dobrze?

– Nie mogę odpocząć. Pokłóciłam się w biurze. Między innymi z powodu twojej książki.

Czekał, czy jeszcze coś doda. Uwolniła swoje ręce, posłała mu melancholijne spojrzenie i wyszła z kościoła. Słyszała, że nie idzie za nią. Włóczyła się po mieście, na wyprzedazy kupiła torebkę, której nie potrzebowała, parę kozaczków i skórzaną kurtkę.

Późnym popołudniem wróciła do biura, ponieważ wiedziała, że będzie tam sama. Przejrzała mejle, wykonała kilka krótkich rozmów telefonicz-

nych, ułożyła na stosiku teczek na następny dzień.

Potem zamknęła biuro, zeszła schodami, zamiast pojechać windą, trochę się ociągała na obszernej, głucho brzmiącej klatce schodowej z wytartymi marmurowymi płytkami. Widziała ulicę ze zwyczajowym hałasem, pomalowaną jak nocne niebo fasadę *peep show* po drugiej stronie ulicy i wałęsających się mężczyzn. Wyszła na zewnątrz. Wzrokiem przebiegła cały parking. Potem podeszła do samochodu, włączyła silnik i pojechała do szpitala, w którym pielęgnowano Johna.

Kiedy weszła do pokoju, zobaczyła leżący skurczony, szary i trzęsący się strzępek człowieka.

Rozkleiła się z powodu sprzeczności targających nią w ciągu tego dnia i ogarnęło ją współczucie. Postanowiła dalej zajmować się Johnem u niego w domu, gdy tylko mu się poprawi. Z westchnieniem usiadła przy łóżku, przesunęła ręką po jego rozpalonym czole, stłumiła emocje, rozzłoszczona pomyślała, że takie współczucie to nic innego niż uzalanie się nad sobą. Poddawanie się narcystycznej empatii.

– Niech będzie franca, cholerny Tomie – mruknęła. – Lepsza już ta franca.

Do pokoju wszedł pielęgniarz, obudził Johna, krzyżąc mu do ucha, przetrzepał poduszki, pomógł mu usiąść, tak żeby mógł się napić herbaty i zjeść wiotką kanapkę z białego chleba z tanim dżemem. Twarz Johna była żółta i napuchnięta, brudnożółta jak weneckie domy. Uśmiechnął się do niej, skinął głową, jakby się musiał głęboko zastanowić, kim ona jest. Ponownie położyła mu rękę na czole.

– Słyszę muzykę – odezwał się John. – Ciągłe słyszę muzykę, którą dobrze znam, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to jest. Wysokie głosy jeden przez drugi w kościele. Męczy mnie to już całą noc.

– Jest piąta po południu, John. Spokojnie.

– O. Naprawdę?

Na szafce obok łóżka zobaczyła tabletki kortyzonu i pudełko bikarbonatu. Siedzieli w milczeniu. Niespodziewanie słońce przebiło się przez ostatnie chmury tuż przed zmierzchem. Widok na szare miasto, światło z naprzeciwka przydające dachom czegoś filmowego i samochody tam w dole, jadące już w mroku z włączonymi światłami, ponad tym ukośnie padające słońce jak na obrazie z sądem bożym.

– John, w ciągu tygodnia wrócisz do domu. Zamieszkać u ciebie na jakiś czas, żeby się tobą opiekować. Nic więcej. Okej?

John popatrzył na nią, jakby musiał sobie dobrze zapamiętać każdy szczegół jej twarzy, zanim na zawsze ją utraci. Nic nie powiedział, przytaknął tylko.

– Mogę tej herbaty?

– Możesz. Proszę.

Filizanka drży na talerzyku. John rozlewa herbatę, która spływa mu po brodzie na wykrochmalony kołnierzyk szpitalnej koszuli.

Włącza się telewizor. Wiadomość ze szpitala w związku z wieczornymi odwiedzinami. Potem strzępy uduchowionej muzyki. John sięga po pilota, z iskierką zawiści wyłącza obraz i dźwięk.

– Mam już dosyć wszelkiej religijności.

Dyszy z wysiłku.

Dawno nie widziała u nikogo takiego uporu i zaciętości. Wywołuje to jej uśmiech, coś jak szczęście, gdy stało się ono zbyt cenne.

– Dobrze wyryczane, lwie – mówi, głaszcząc go po spoconym czole.

Marga siada w nogach łóżka. John widzi, jaka jest elegancka i uwodzicielska.

– Masz kochanka, Margo.

Krew uderza jej do głowy.

– Zostaw mnie w spokoju, John. O nic nie pytaj, bo stare problemy zaczną się na nowo.

– Gdybym wiedział, że się jeszcze spotykasz z tym skurwysynem, to...

Bez siły opada na poduszki, Marga musi w pośpiechu zabrać mu z ręki filiżankę z herbatą.

– Spokojnie, John, spokojnie.

Nie rozmawiają więcej. Wspólnie obserwują, jak zapada zmierzch, John prosi, żeby przygasiła światło. Okno stanowi ekran, na którym jest wyświetlana idea rzeczywistości, coś, na co patrzą jak na migoczący ogień w kominku.

– Słyszysz tę muzykę?

– Nie, John, ona jest w twojej głowie.

– Marga.

– Tak, John.

– Czy możesz mnie... czy możesz mnie dotknąć?

– Nie, John, nie proś o to.

– Marga, proszę. Na moment.

– Ależ chłopcze. W twoim stanie?

Śmieje się drwiąco, a zarazem czule.

Zanim zdecyduje, co zrobić, jej ręka wsuwa się pod kołdrę. Złoty uścisk, coś samoczynnego, co następuje z oczywistością ludzi, którzy żyli ze sobą przez lata. Jego członek jest mały i gorący. Luźno leży w jej dłoni. Odrobinę sztywnieje.

Marga czuje, jak spuchnięta i twarda jest nadal jego moszna z powodu razów, jakie dostał. Wyczuwa bliznę na jego brzuchu. Widzi jego blade ręce, które są sine od ukłuć. Brązowawy plaster na przedramieniu, w którym tkwiła kroplówka.

– Mężczyźni. – Marga ze śmiechem potrząsa głową.

John coś przełyka i stara się, żeby jego oczy pozostały suche.

– Masz dobre ręce, Margo. Bezpieczne ręce.

Naciska przez moment, uśmiechając się i zastanawiając, patrzy jak na dziecko w gorączce. Jego członek odrobinę się unosi. Powoli wyciąga rękę.

– Muszę iść, John.

Powiew perfum, kiedy wstaje. Rażący kontrast ze szpitalnymi zapachami, które go spowijają. Erotyczne przelewanie się materiału po jej pośladkach; jedwabnej podszewki jej spódnicy po bieliźnie. I po skórze pośladków, bo Marga nosi obecnie tylko stringi. Dobrze się temu przyjrzał, gdy u niej nocował.

Wyłączony z życia – myśli. Jestem wyłączony. We wspomnieniach czuje jej intymne zapachy.

– Co chcesz, żeby ci jutro przynieść?

– Chcę muzyki, Margo. Przynieś mi muzykę. Mojego discmana i z dzieśnięć CD. Tylko sam barok, dobrze? Tartiniego, Couperina, Marais’go, takie rzeczy.

– Nie potrzebujesz już Bowiego ani Moby’ego, *my boy*?

– Drwij sobie.

– Cześć, John.

– Cześć, Marga.

A kiedy zamyka drzwi, w ostatniej chwili:

– Marga? Jesteś piękna.

Udaje, że nie usłyszała.

Wychodzi na dwór, możliwość zobaczenia się z Mattfersenem niczym fala niepokoju zalewa jej myśli.

Trzy dni później wydaje się, że John jest w znacznie lepszym stanie, lecz dzień przed dializą za każdym razem stanowi dla niego cios, po którym dochodzi do siebie przez pół dnia. Nękają go wtedy nudności, wymioty, wygląda zastraszająco żółto i szaro. Jest to ten moment, w którym mocz zaczyna zatruwać mu krew, coś, co za sprawą dializy zostaje zniwelowane. Nabiera jednak sił, jego spojrzenie znowu staje się klarowne. Pyta ją, czy przyniesie książki.

Ku swojemu zdziwieniu następnego dnia Marga widzi dwa maszynopisy na stoliczku obok łóżka.

– No proszę, znowu pracujesz? Dostarczyli ci pakiecik?



John uśmiecha się melancholijnie.

– Trochę tak. Poprosiłem o to. Chciałem dla odmiany przeczytać raz kilka debiutów prozatorskich. Zastanawiałem się, czy to poprawi mi humor.

– Nadają się?

Rozśmieszyło ich to rutynowe pytanie.

– Nie wiem. Młoda pisarka, która próbuje coś zrobić ze starymi mitami wymieszanymi z zuchwałymi opowieściami. Nie udaje się jej wszystkiego tak poukładać, żeby brzmiało wiarygodnie. Nie czuję się związany z jej bohaterami.

Jest tak, jakby to mogło odbudować małżeństwo. Tak rozmawiali wcześniej.

Marga z niedowierzaniem kręci głową.

– Niezły z ciebie numer, John.

Wykorzystuje okazję.

– Książka tego kryminalisty ukaże się teraz u was?

– On nie jest kryminalistą, John. Długo też łamałam sobie nad tym głowę. Nie uwierzysz mi: on ma sobowtóra. Nie znajduję innego wytłumaczenia. Mężczyzna, który jest do niego podobny jak dwie krople wody. Różniący się jednym detalem: ten drugi najwyraźniej ma jedno oko nieruchome, szklane oko albo coś takiego.

John patrzy na nią, marszcząc czoło i zdaje się zastanawiać. Po czym mówi:

– Odbyłem kiedyś rozmowę z Mattfersenem, w której wspominał o niejakim Fauście Khazarze. Nie mogłem znaleźć żadnego śladu tego człowieka.

– Jakkolwiek ten drugi się nazywa, John, jest w jakiejś sekcji, o której wie też coś twoja poprzednia przyjaciółka. Śledziłam go do Luik, skąd ją zabrał. Weszli do domu, na którym widniały takie litery jak na tych głupich kopertach.

John blednie.

– Margo... jeśli to prawda... Muszę ci dużo opowiedzieć, że ja... Na własną rękę chciałem się dowiedzieć, czy Isabel...

To zdaje się go wyczerpywać.

– Na razie odpoczywaj, John. Jak będziesz się lepiej czuł. Jutro cię wypuszczą. Będziesz każdorazowo zawożony na dializy i przywożony z powrotem.

Chyba tego nie słyszy. Ledwie zauważa, że Marga mówi „do jutra” i wychodzi.

Ze szpitala jedzie prosto do domu Mattfersena. Hans otwiera drzwi, od razu się całują. Głaszcząc ją pod bluzką, jedną stopą zamyka drzwi. Marga natychmiast bardzo się poci. Przyciskają do siebie dolne partie ciała, ocierają się i całują, ona ściska go w kroku, rozpiną mu spodnie. On podciąga do góry jej spódnicę, zsuwa majtki, wchodzi w nią. Pieprzą się pod ścianą w korytarzu. Wysoki hol odbija ich dyszenie i postękiwanie. Marga jest kompletnie mokra i w euforii. Mruczy mu do ucha, kiedy głęboko ją posuwa i nieruchomieje. Jego napięte uda przy jej udach.

– Nikt nie ma takiego kutasa jak ty.

– Mmm.

– Powiedz moje imię, Hans.

– Mmm.

Przeczesuje palcami włosy na jej szyi. Przesuwa wargami po jej uchu, policzku i z powrotem. Jego oddech, tytoń i coś, co jest tylko jego, jakby niebo się otwierało.

Może to jest piekło – myśli Marga i ociera się o jego brzuch.

Czuje, że szybko dojdzie. Gryzie go w szyję. Czuje, jak w niej wytryskuje. Pulsująca, twarda sztanga w niej. Ociera się, żeby osiągnąć orgazm.

Marga zdaje się wybuchać; gorąco, gorąco bijące z jego twarzy i członka. I przez moment, kiedy on dochodzi, to wrażenie, że jedno jego oko staje się żółte i szkliste, po czym nieruchomieje.

Przez całą marną chwilę myśli, że straci przytomność.

Zaciska oczy, serce jej wali tak mocno, że robi się jej niedobrze. Jej cipkę przeszywają jeszcze ostatnie skurcze; kiedy on się wysuwa, ona czuje, że po wewnętrznej stronie ud spływa gorąca struga.

Gdy ponownie otwiera oczy, widzi jego zatroskane spojrzenie. Czuje, że doświadcza jeszcze drobnych wstrząsów, czegoś, co przechodzi przez jej brzuch i wprawia ją w drzenie.

Hans podciąga spodnie, niestarannie zapina pasek, podnosi ją, jakby nic nie ważyła, zanoszą na kanapę w salonie i tam kładzie.

Daje jej całusa w czoło, puszcza oko i znika w kuchni, skąd dochodzi ją brzęk kieliszków i sztućców. Potem regularny delikatny stukot tasaka o deskę do krojenia.

Marga szuka chusteczki i wyciera się do czysta. Widzi czerwone ślady. Rzuca mokrą chusteczkę po prostu obok siebie na podłogę. Przygryza dolną wargę. Grzebie w torebce, znajduje papierosy, pali łąpczywie z zamkniętymi oczami.

Kiedy godzinę później siedzą przy stole w świetle starej menory, prosi go, żeby opowiedział o swojej młodości. Słyszy opowieść w strzępach, która staje się coraz bardziej abstrakcyjna, w miarę jak piją więcej wina. Wioska gdzieś w Gruzji, Chazaradwili, o ile dobrze usłyszała. Rodzice, którzy w czasach komunizmu pozostali wierzący, tajne rytuały, wizyta w stolicy, Tbilisi, kiedy miał jedenaście lat, niezapomniane wrażenie na wpół zalanego karawanseraju nad brzegiem rzeki Mechta. Cerkiew, w której jego kuzynka brała ślub. Wyprawa, gdy miał piętnaście lat, na górę, do której według legendy przykuto Prometeusza. Kaukaska przestrzeń – teraz wydawała mu się pusta i pierwotna. Żółknące topole w październiku. Mgła sunąca doliną jak podmuch białego snu i ponownie znikająca, jakby ulatywała w mrozącym krew w żyłach błękicie. Szalona jazda na górę rozklekotaną zastawą z gruzińskim chłopem, który wyglądał jak dziki, mijanie chudych krów uciekających mulistymi drogami na wzgórze, na którym stał opuszczony klasztor. Tam była już wysokość prawie dwóch tysięcy metrów. Stamtąd wyrastał ośnieżony szczyt jeszcze tysiąc metrów wyżej.

– Można było sobie wyobrazić, jak wielki musiał być taki bóg – powiedział rozmarzony.

O tym, że bogowie wybrali ten szczyt na tortury, świadczyło, że świat nie został stworzony dla dobra i ideałów. Bogowie karzący półboga dlatego, że niesie światło ludziom. Wysublimowana pustka tego wysokiego, niedostępnego szczytu. Jak wielki był orzeł? A wątroba Prometeusza: tak duża jak oświetlana wieczornym słońcem na czerwono tamta górską łąka, na której pasło się kilka mizernych kóz? Przez godzinę stał, wpatrując się w nie, aż kark mu zeszywniał. Zjechał na dół w nagłym, zabójczym zimnym wietrze, który targał liśćmi żółtych topoli, a jemu dawał poczucie, że nic już nie jest ważne. Blisko, za tymi szczytami po drugiej stronie, granica z Czechenią.

– Sen, życie we śnie – powiedział.

Zapach biedy i późnego lata. Nierealnie piękna cygańska dziewczyna na skraju drogi, kiedy zjeżdżają dalej nad zalew ze starą bazyliką po drugiej stronie. Pierwsze zakochanie. Milczy, wpatrując się w kieliszek.

Czy chciałby wrócić.

Łapie ustami powietrze, żeby coś powiedzieć, zacina się, długo się jej przygląda (jakże ona się boi, że w bladoniebieskich teraz oczach znowu pojawi się iskierka żółci). Ponownie próbuje coś powiedzieć. Wstaje, znika w toalecie.

Wraca po kilku minutach, w czasie których Marga przy stole czyta esemesa od Johna i odpowiada na niego, Hans, wróciwszy do kuchni, otwiera nową butelkę wina, stawia ją na stole, dokłada do kominka, włącza muzykę. Pieśni gruzińskie.

Marga słucha w milczeniu.

Siada mu na kolanach. Rozpina dwa guziki jego koszuli.

– Nigdy cię nie poznam, prawda?

– Mmm.

– Chcę, żebyś robił ze mną, co zechcesz. Jestem głupią pipą. Jestem od ciebie uzależniona.

– Mmm.

– Hans?

– Twoja książka nie może się u nas ukazać. Seria zostaje zamknięta.

Odpycha ją od siebie. Patrzy na nią lodowatym wzrokiem.

Marga sięga po żakiet i torebkę, zbiera się do wyjścia.

Hans się zrywa, łapie ją za włosy. Teraz się zacznie – myśli Marga. Teraz się zacznie.

Trzy dni później Johna odwozi do domu wolno jadąca karetka. Godzinę wcześniej szpital dzwonił do Margi van Riet na usilną prośbę pana Johna de Vuysta, pokój 223, sądzącego, że może liczyć na panią van Riet, która obiecała w dużej mierze wziąć na siebie opiekę w domu, lecz która się więcej nie odezwała.

Rzeczona Marga van Riet nie odbierała telefonu. Na poczcie głosowej zostawiono jej wiadomość, podając umówioną godzinę, o której rzeczony John de Vuyst, pacjent z pokoju 223, mógłby zostać odwieziony do domu. Godzinę później rzeczona Marga van Riet jednak oddzwoniła, żeby nieco drżącym głosem poinformować, że to żaden problem, że będzie na miejscu i ma nadzieję, że pacjent de Vuyst ma przy sobie klucz od domu, ponieważ ona sama nie może wejść do mmie-mieszkania. Głos pani van Riet brzmiał dość słabiutko, wiadomość była jednak uspokajająca. Szpital niezbyt chętnie udostępnia ambulans, który musiałby wracać, nie załatwiwszy sprawy.

Pani van Riet była na miejscu, co oznacza, że czekała na pacjenta de Vuysta w holu mmie-mieszkania, jakkolwiek drżąca i niezbyt przekonująca w roli przyszłej pielęgniarki chorego na nerki z potłuczonymi żebrami, pękniętą górną wargą i siną, spuchniętą moszną.

Niemniej rzeczona Marga van Riet była w gotowości, okazała się pomocna, przytrzymując nogą (w eleganckim nowym kozaczku) drzwi z ogranicznikiem, dopóki nosze nie znalazły się w środku, otwierając drzwi mieszkania kluczem wręczonym jej przez jednego z pielęgniarzy, słowem, sytuacja wyglądała na prawie normalną.

Rzeczony de Vuyst kilkakrotnie wysunął wychudzoną szyję w powietrze jak kurczak na stole przed zaszlachtowaniem i zobaczył, że jest dobrze.

Gdy tylko pielęgniarze wychodzą, Marga przeczesuje ręką włosy, a John zaczyna jęczeć i stękać, jakby mu się z miejsca znacznie pogorszyło. Mi-

nione małżeństwo staje się wyczuwalne. Marga wzdycha, stwierdzając, że tu jest pobożowisko. Szarpnięciem otwiera okna, podczas gdy John narzeka, że to nieostrożność przy pacjencie, który właśnie wrócił ze szpitala. Marga mówi, że kuchnia śmierdzi. John odpowiada, żeby sobie od razu poszła do domu, skoro nie rozumie, że został pobity i nie mógł już pozmywać.

Następnie pacjent de Vuyst zauważa siniaki na szyi Margi van Riet i o nic nie pyta. Wystraszył się i patrzy odpowiednio do tego wystraszonym wzrokiem. Zawsze wiedział, że jej w nim czegoś brakuje, ale że o to chodziło, tego sam by nie wymyślił. Chryste Panie, *fuck* – myśli pacjent de Vuyst. Marga ma siniaki na szyi. Trudno określić, czy powstały w wyniku przemocy, czy miłości. Nie było jej trzy dni, nie odzywała się, nie przyniosła mu też obiecanej barokowej muzyki i discmana. Zapomina o zaplanowanych pełnych urazy uwagach i czeka. Marga biega tam i z powrotem po pokojach, jakby ścigał ją rój złośliwych os. Rozpakowuje różne produkty żywnościowe, od oberżyn po pomarańcze i od żółtych papryczek po mleczną czekoladę, kawę i gofry leodyjskie.

Żeby coś powiedzieć, mówi jej, że wygląda na zmęczoną. Marga stwierdza, że to jest pierwszorzędna uwaga i czy ma takich więcej.

Odpowiada, że nic a nic się nie zmieniła i że najchętniej dochodziłby do zdrowia sam, bo tego typu rzeczy kosztują go o wiele za dużo stresu, i czy może chce, żeby jednak przedwcześnie zszedł z tego świata.

Marga stwierdza, że zawsze, przez całe życie, wstrętnie się nad sobą uzał, i usilnie go prosi, żeby raz wymyślił uwagę, która by ją jeszcze zaskoczyła.

On na to, że bolą go nerki, a od takiego cyrku pęka mu głowa.

Ona mówi, że znowu strasznie dramatyzuje i że ona tymczasem też już wie, że dostał kopa w jaja.

On próbuje krzyczeć, ale jego głos tylko przechodzi w pisk, jak u świnki morskiej w tarapatach. Słyszając to, Marga van Riet patrzy na niego z uniesionymi brwiami, kręci głową i znika w kuchni, gdzie surowo karze garnki i patelnie, objając je o siebie przez kwadrans w letniej wodzie, w której je zmywa.

Następnie Marga van Riet otwiera butelkę liraca, ciemnoczerwonego i mocnego w smaku, trochę korzennego, czerwone porzeczki i delikatna nuta podstawowa, i pyta Johna, czy może już siedzieć prosto w fotelu, na co ten odpowiada twierdząco, używając niezbyt dosadnego określenia.

Gdy John siedzi w fotelu, Marga przypomina sobie, że miał kiedyś pantofle w kratkę i z szyderczym uśmiechem pyta, gdzie się podziały. John odpowiada, żeby spadała, i pyta, czy i on może teraz prosić o kieliszek wina. John de Vuyst dostaje od Magi de Vuyst kieliszek liraca, mocnego w smaku, czerwone porzeczki i delikatny „smak gliny”, poprawia ją. Ona mówi, że w tamtej okolicy nie ma gliny.

– W jakiej okolicy? – pyta John.

– Langwedocji.

– Lirac nie jest przecież z Langwedocji – rzuca.

Sapie i niepytany mówi, że znowu bolą go łydki.

Marga odpowiada, że lirac, do cholery, jest z Langwedocji. John wzrusza ramionami i stwierdza, że to glina i że Dolina Rodanu, i że jeśli o niego chodzi, może ją szlag trafić.

Znużona patrzy w sufit i pyta, czy chce jeść. Odpowiada, że nie. I nagle mówi to, czego nie chciał powiedzieć.

– Marga, skąd masz te wszystkie siniaki? – Milczy i przełyka wino, i ku własnemu zdziwieniu dodaje: – Na szyi. Na szyi, którą całowałem o wiele za mało.

Ze złością przygryza dolną wargę i próbuje powstrzymać łzy.

Marga jest zaskoczona, rozgląda się bezradnie, jakby szukała ucieczki, potem spogląda mu prosto w oczy, podchodzi do niego i przeczesuje mu włosy.

– To nie twoja sprawa, John.

Mówi to cicho. Uśmiecha się. Puszczą oko.

John czuje nagle, że ogarnia go ciężka jak ołów senność. Zamyka oczy i budzi się po kwadransie, ale wydaje mu się, jakby minęła cała noc.



Pierwszej nocy śpi na jego kanapie. Udręka. Gdzieś głęboko w tym cholerstwie znajduje się wybrzuszenie, zepsuta sprężyna, która nie daje jej zasnąć przez całą noc. Przed czwartą wstaje, widzi zachodzącą za horyzontem Wenus, wypala papierosa, kładzie się z powrotem. Znowu ból.

Nie wytrzymuje, około wpół do piątej wsuwa się obok śpiącego Johna de Vuysta, natychmiast zasypia i budzi go chrapaniem nie z tej ziemi.

Pacjent de Vuyst zostaje około piątej nagle wyrwany ze snu i zauważa obok siebie śpiącą byłą żonę, głośno chrapiącą. Emanuje ona swoim dobrze znanym nocnym gorącem, które bucha jak ogień, a zaczyna się od jej krągłego ponętnego tyłeczka, i John de Vuyst stwierdza, że chciałby zaskomleć, lecz to mu się nie udaje.

Drży na całym ciele, ciepło śpiącej ekszony sprawia, że się trzęsie, drga i dygocze, jakby leżąc w lodzie, umierał.

Wyciąga rękę spod kołdry i czuje oddychanie dobrze znanego ciała. Linia jej lędźwi, linia falowania jej brzucha tuż nad pępkiem. Teraz John de Vuyst znowu musi ogryzać wąsy, żeby powstrzymać łzy.

Po prostu przypomina mu to ten żart o Gruzynie, Azerze i Rosjaninie. Widzą biegnącą drogą lochę, która przez płot ucieka przed ich samochodem. Wysiadają i widzą, że utknęła w dziurze w płocie. Patrzą na okrągły tyłek lochy.

- Szkoda, że to nie Sophia Loren – mówi Rosjanin.
- Szkoda, że to nie moja sąsiadka – mówi Gruzin.
- Szkoda, że nie jest ciemno – chichocze Azer.

Przeczytał to u Andreïa Makine'a – przypomniał sobie. Nie kupili praw do tej książki. Szkoda.

Jak głupi jest człowiek, który w ciemności próbuje powstrzymać łzy? John de Vuyst oddycha z trudem. Bola go jądra. Czuje, jaki jest słaby, a jak silne to śpiące ciało obok niego. Znowu trochę przysypia. Jego nieszczęście potyka się o niewidzialny próg, staje się lekkie jak piórko i zmienia w swoje przeciwieństwo. Staje się całkowitym spokojem, zadowoleniem, chicho-

taniem, głupkowatością, pustką w głowie, John się zapada, jakby był wciągany w głębinę nieskończonego leja.

Kiedy się budzi, kobiecego ciała już nie ma.

Ciało w postaci ładnego człowieka stoi w kuchni, nucąc, i kroi na czworo południowoafrykańskie jabłko. To osobliwe i nie do pojęcia, przyprawia to Johna de Vuysta o ból w nerkach i dziecięce szczęście zarazem.

Ciało włączyło też muzykę, tę muzykę, której go pozbawiło, nie pojawiając się. Nie zna jej, lecz to bezspornie coś z baroku. Później ją o to zapyta. Teraz wie, że każde słowo byłoby jednym słowem za wiele.

Pielęgniarka Marga, której brakuje tylko białego czepka i prześwitującego białego fartucha, w szlafroku wchodzi do sypialni z tacą, a na niej herbata, sok pomarańczowy, bułka i talerzyk z łyżką serka śmietankowego. Nie żeby miała przyjazne spojrzenie, tylko pedant zwróciłby na to uwagę.

– No, John, czas się wzmocnić.

W jej dobrym humorze zdaje się pobrzmiwać coś groźnego.

Nieufnie patrzy, jak pochyla się nad łóżkiem, poprawia mu poduszkę, umieszcza na brzuchu składany stolik, po czym rozstawia na jego blacie śniadanie i siada przy nim z rękami wokół ciepłej filiżanki herbaty. Ustami w ciup zdmuchuje parę.

W oknie kos lata nad dachem ze starej czerwonej dachówki.

– Marga. Dlaczego...

– Chodź, John, napij się trochę.

– Nienawidzę tego pół-Korsykanina.

– Kogo nienawidzisz?

– Twojego niewydarzonego Korsykanina, dobrze wiesz.

– John, nie znam żadnych Korsykanów i nie zamierzam poznawać.

– Nie zachowuj się jak dziecko, Margo.

Patrzy na niego z mieszaniną znudzenia i uwagi.

– Przecież wiesz, że dzieciństwo spędził na Korsyce, a potem wyjechał na studia do Turynu?

Marga mruży oczy do szparek. Zdaje się zastanawiać.

– John, jesteś stuknięty. Mattfersen ma gruzińskie pochodzenie. Niedawno szczegółowo mi o tym opowiedział.

John patrzy na nią odrobinę zawistnie.

– Bzdury mówisz. Mattfersen, mogę ci to udowodnić czarno na białym, spędził dzieciństwo w Bonifacio.

Przez chwilę przerzucają się „tak!”, „nie!”, by w końcu równocześnie przestać w tej samej chwili.

John pije herbatę, Marga idzie po papierosa.

– Margo, co ty wiesz o Chazarach?

Marga od razu staje się czujna.

– Ja? Dlaczego?

– Bo mam idiotyczne wrażenie, że Mattfersen sobie ubzdurał, że jest Chazarem, albo naprawdę nim jest.

Marga tępo i nieruchomo patrzy przez okno. Ściąga usta, jakby chciała pocałować powietrze. Na dachu czarny gołąb ugania się za siwą gołębicą. Marga milczy i dalej się gapi. Słyszy, jak John opowiada o stronach internetowych, rewizjonistach, Chazarach, bombie etnicznej.

Przerywa mu zniecierpliwiona.

– Wszystko to już wiem, John. Pytanie, czy Mattfersen naprawdę ma z tym coś wspólnego.

– Jak możesz dalej być tak uparcie naiwna, Margo.

– O, jestem naiwna, tak? Co w takim razie chcesz z tym zrobić, mój supermanie?

– A ty? Pójść do łóżka z tym terrorystą? Margo, posłuchaj. Wiesz, co to jest KUB?

– Hmm. Pewnie ta dziwna katolicka instytucja tam z tyłu za bazyliką Kockelberg?

– Nie, Margo. To Khazar Universal Brotherhood. Zbiorowisko stukniętych absolwentów i dyzmów fanatyków, którzy gdzieś na granicy między Azerbejdżanem a Gruzją snują sobie fajniutki plan genetycznego odróżniania Chazarów od innych domniemanych Żydów w celu stworzenia nowego państwa chazarskiego. Zamordowana dziewczyna zgromadziła na ten temat mnóstwo informacji w swoim komputerze. Po czym, jak wiesz, została fachowo uduszona. Są szczególnie zainteresowani plotkami o bombie etnicznej i mają kontakt ze stronami internetowymi zarówno Mosadu, jak i Hamasu, z wybitnymi członkami pakistańskich madras. Rozumiesz, że interesy tych ostatnich są teraz tu i ówdzie zbieżne z interesami naszych miłych Braci. A co do Koekelbergu masz o tyle rację, że nasz dziwny przyjaciel Klossen regularnie wychwala eklektyczny styl tego budynku jako przykład stylu... bazyliki chazarskiej. Według pewnego znikowanego autora budowla ta została przez drugiego architekta, van Huffela, wręcz celowo tak pomyślana, sam zaś ten człowiek należał do sekty, którą traktują jako prekursorkę swojego Universal Brotherhood. Kto wie, może ten skrót, tak łatwo kojarzący się z Koekelbergiem, stanowi wskazówkę i powinniśmy się temu przytulnemu uniwersytecikowi dokładnie przyjrzeć. Jak już ci mówiłem, istnieje też Khazar University of Baku. Znalazłem gdzieś nawet Key University of Babel. *KUB makes the world go round!*

– Ha, ha! No proszę! Będziesz się bawił w Sherlocka Holmesa, mój ty potłuczony wróbelku? Czy mania prześladowcza to też objaw niewydolności nerek? Bazylika Koekelberg chazarską budowlą? Jakby istniał choćby najbliższy dokument o stylu architektonicznym Chazarów! To przecież ty oskarżałeś innych o paranoję, o ile pamiętam?

John nie daje się zbić z tropu.

– Najbardziej zaszokował mnie fakt, że na ich stronach był link do wideo z zabójstwem amerykańsko-żydowskiego dziennikarza. Daniela Pearla. To zaprowadziło mnie na koreańską seksstronę ze *snuff movies* – jedyne miejsce, gdzie jeszcze można było obejrzyć to wideo albo gdzie stwarzano takie złudzenie. Jak wiesz, fundamentalistyczne strony są najchętniej ukrywane za stronami porno. Po czym mój komputer ponownie zerwał łączność z in-

ternetem, a ja, możesz w to wierzyć lub nie, dostałem wiadomość mejlową *non-reply* od – na miły Bóg – CIA, z informacją, że moje tymczasowe pliki zostały sprawdzone. Ja z kolei wysłedziłem i odzyskałem większość stron, które występowały w plikach dziewczyny. Dwa dni później zostałem pobity. Za mało przekonujące? Jeśli o mnie chodzi, jest to banda idiotów, lecz niebezpiecznych idiotów.

– Ale dlaczego, na Boga, myślisz, że mają na oku ciebie albo mnie, John? Przecież to nonsens.

– Margo, powiedziałem przecież, że moja matka ze strony ojca jest Żydówką. W rupieciach, które pozostawił jej mój dziadek, a które ja po jej śmierci znalazłem u niej w domu, znajdowała się karteczka z adresem niejakiego Schicklgrubera, to, jak wiesz, prawdziwe nazwisko Hitlera. Jedna z najmocniejszych zmyślonych opowieści dziadka okazała się prawdziwa: naprawdę go spotkał w okopach w czasie pierwszej wojny światowej. Wymienili się adresami. Na jednej z tych swoich odrażających stron Klossen sugerował, że istniały belgijsko-żydowskie związki z dowództwem nazistowskiej klikki. Nazwisko mojego dziadka również tam padało, przez co ku mojemu zdumieniu musiałem stwierdzić, że jego karteczka z adresem przebyła osobliwą drogę. Teraz mam dziwne wrażenie, że kilku z tych rewizjonistów pokroju Klossena przypuszcza, że mój dziadek, który był Żydem, odgrywał w tym jakąś rolę. Nie mogą mieć pojęcia o istnieniu karteczki z adresem Schicklgrubera, ale kto wie, może jeden z tych palantów znalazł karteczkę z adresem dziadka w jakimś nazistowskim archiwum... Są więc mną zainteresowani, jak sądzisz?

– To idiotyczne, John. Co za idiotyczne bzdury, co za kompletnie infantrylne wymysły. Oberwałeś w głowę. Czysta paranoja, mania wielkości i niedojrzały zmysł dramatyzowania. Albo wulgarny narcyzm: chcesz miejsca w wielkiej historii, biedaczysko.

– Czyżby? A ty ze swoją dziwną opowieścią o tej arce?

– Byłam po prostu skołowana i w szoku, John, wiesz o tym. Plotłam bzdury.

– Naley mi jeszcze trochę herbaty, Margo.

– John, musisz to zostawić. Im głębiej będziesz drążył, tym bardziej będziemy grzeźli w dziwnych sytuacjach.

– Margo, zdajesz sobie sprawę, jaką książkę zamierzaliście wydać?

– Nie opublikujemy jej, John. Tom po prostu zamyka moją serię. A książka Mattfersena nie wydaje mi się...

– O nie? Książeczka, w której wygaduje się głupoty o chazarskim pochodzeniu niejakiego Johanna Fausta? Margo...

Dzwoni jej komórka.

– Tak, to ja. Nie, jestem u... co? Nie, a ty? I masz już bilety? Ale ja chwilowo opiekuję się Johnem, jak wiesz... Nie, to naprawdę niemożliwe, zwykle anuluje te bilety... No nie, proszę, nie zachowuj się tak wobec mnie.

Marga znika w kuchni i zamyka za sobą drzwi. John słyszy, że rozmawia nerwowo. Po kilku minutach wraca.

– Chcesz jeszcze herbaty?

Uśmiecha się, jakby bolał ją ząb.

– Margo, o co chodzi?

– John, proszę. Nie tędy droga. Jestem tu po to, żeby cię pielęgnować, *remember*? A jeżeli tak będziesz do tego podchodził, wyjdę stąd w ciągu godziny i będziesz musiał zwrócić się o pomoc do szpitala, okej?

– Margo, wiesz przecież, że człowiek, z którym gadasz przez telefon...

– Tak, John, że nazywa się Madwaradze i pochodzi z...

– Masz świadomość, że to, co mówisz, znacznie bardziej pogarsza sprawę niż jego ewentualne korsykańskie pochodzenie, które mi wcisnął?

– Tak, John, wiem. Opowiedział mi nawet wszystko o swoim dzieciństwie.

– Ach. Wzruszające. Piękne dzieciństwo, jak sądzę?

– Owszem. Piękne dzieciństwo na Kaukazie.

– Wyobrażam sobie, tak. Kilka godzin jazdy od granicy z Azerbejdżanem. Stolica Baku, jak wiesz. Co za fantast.

– John, posłuchaj...

John zaczyna kaszleć, chwytając się za plecy w okolicach nerek, jęczy, charczy i zwija się z bólu.

– Nie denerwuj się tak, John. Prześpij się trochę, a ja zrobię zakupy. Okej? Włączę ci jakąś muzykę.

Podchodzi do odtwarzacza CD, naciska klawisz *play*.

– Właściwie czyja to muzyka?

– Francuski barok. Sébastien de Brossard. *Leçon des morts*. Nieziemsko piękna, prawda?

John milczy i widzi, jak czarny gołąb na całego posuwa szaro upstrzoną gołębicę, na której siedzi.

Później tego wieczoru niebo się przejaśnia. Kiedy zapada zmierzch, zauważa, że po południowym niebie jedno za drugim przesuwają się po firmamencie Wenus i niewyraźny księżyc w pierwszej kwadrze. Wygląda to jak obrazek z *Tysiąca i jednej nocy*.

Następnego dnia podczas badania rentgenowskiego okaże się, że w jego jelitach tkwi dziwny przedmiot, jakby chip, coś wielkości pół centymetra, co musiało zostać umieszczone z zewnątrz, bo w wyniku połknięcia nie dostałoby się w miejsce, w którym się znajduje. I czy pan de Vuyst coś sobie przypomina?

Nie, pan de Vuyst o niczym nie wie. Ledwo nawet pamięta bolesną kolonoskopię sprzed roku. Medycy sami na to wpadną, skontaktują się z lekarzem, który się nim wtedy zajmował, i dostaną nic niewyjaśniający raport.

Przedmiot jest zakotwiczony w ścianie jelita i można go usunąć tylko operacyjnie. Ponieważ jego ciało najwyraźniej nie wykazuje objawów odrzucenia, będą na razie jedynie obserwowali, jak sprawa się rozwija.

Marga stoi w korytarzu w oddali, na końcu, widzi szklane drzwi. Wyobraża sobie, że człowiek mógłby latać. Wtedy otworzyłaby te drzwi i skoczyła. Teraz czeka, aż przyjdzie lekarz i minie ją, jakby była powietrzem.

Tamtego wieczoru z otwartymi ustami wspólnie oglądają w telewizji sceny ataku na Eurotunel. Obrazy stopionego metalu, strzępy ciał, smugi krwi na popękanych i osmalonych krągłych ścianach, i tę olbrzymią ciężarówkę,

która jak chip w jelitach Johna lepi się gdzieś do ściany niczym przedmiot z *outer space*, potwór bez nazwy, kształtu czy pochodzenia. Pół godziny później następuje druga eksplozja. Gęsty czarny dym błyskawicznie rozprzestrzenia się w tunelu, w mgnieniu oka dusząc zespoły ratowników, dziennikarzy i policjantów. Przy ostatnich przekazanych obrazach ekran ciemnieje, a reportaż zastępuje bezładna dyskusja w studio.





*I'm not religious. But I feel so moved.*

MADONNA

Zimno. Zimno. Zimno. Jakby zimno wyżarło mi pamięć. Najpierw na statku, potem w pokoju, z którego mieliśmy widok tuż nad poziomem rzeki. Nie wiem, gdzie jesteśmy. Słyszałem, że rozmawiano, i nie wiem, jaki język słyszałem; spałem tak, jakbym umierał. Lwy, liście laurowe, niewyraźne światełko na końcu przysłowiowego tunelu. Pewien rodzaj meczu futbolowego, ale piłki nie było. Wszyscy tylko chodzili. Ktoś jakby przywódca stał na murawie z olbrzymim fallusem i pokazywał go wiwatującemu tłumowi. Zapach siarki. Gdybym tylko nie śnił tak intensywnie. Ogromne koło wielkiej ciężarówki na wysokości oczu, koło miażdżące wszystko, co się znajdzie na jego drodze. Poprzez to śmiech dziecka, lecz śmiech potworny, przechodzący w przenikliwy krzyk. Wyżera mi głowę. Jest mi zimno. Marga przed chwilą kaszłała przez sen. Skrzypiący, suchy kaszel, prawie jak u psa. Ta piwnica jest gorsza niż poprzednia. Nie wiem, jak daję sobie radę bez dializy. Każdego dnia są przynoszone pigułki, a kiedy ich nie łykam, ktoś trzyma moje usta otwarte, naciskając na kość szczękową i wrzuca je do mojego ziejącego, zeszywniałego gardła. Na brzuchu mam bliznę. Ma kształt półksiężyca. Marga twierdzi, że mnie operowano i że spałem przez tydzień. Wszędzie ból. Wszystko uwiera, jakbym tkwił w zbyt małej skórze.

Przez pierwsze dni zrobiłem kilka razy pod siebie. Wtedy mnie zbito. Moja szczęka nie jest w porządku. Dziwnie gryzę, trochę krzywo, gdy do pomieszczenia wsuwają chleb z brązową papką, a my z Margą rzucamy się na to. Za każdym razem gryzę się w aftę w prawym policzku. Wariuję od tego, robię się bardziej wściekły niż z powodu jakiegokolwiek bólu, ponieważ zadaje go sobie sam. Ile trzeba, żeby zetrzeć wszystko, co się uznaje za

szacunek dla samego siebie? Zadziwiające, że zdołam przeżyć bez dializy. Już dawno, i to co do minuty, powinienem się zatruć i umrzeć. Nie istnieje żadna medyczna technika pozwalająca choremu na nerki pacjentowi przeżyć bez dializy. Moje nerki były już w lepszym stanie, owszem, i przez jakiś czas miałem dializę otrzewnową. To znaczy, że sam codziennie „płukałem sobie brzuch”, jak mówiono w klinice. Dostałem do domu odsoloną wodę i nie musiałem już co trzy lub cztery dni jeździć do kliniki. Jeśli raz zapomniałem, od razu pojawiały się objawy anemii, ból w łydkach, puchłem jak balon i śmierdziałem amoniakiem. Silne lekarstwa, które podawano mi wtedy oprócz dializy otrzewnowej, zdawały się dobrze na mnie działać. Ale tego, co dostaję teraz, najpierw z krzykiem odmawiałem, dopóki jeden ze strażników o mało nie złamał mi szczęki i wcisnął mi pigułkę do ust. Czerwone kuleczki z żółtobiałym proszkiem w środku. Biorę je teraz każdego dnia, bo jeśli pominę jedną, od razu okropnie się czuję. Łamię sobie nad tym głowę, ponieważ z medycznego punktu widzenia to niemożliwe. Co jest w tych pigułkach? Wydaje się, że ten sam proszek co w tych czerwonych kulkach. Czego oni chcą? Który jest dzień miesiąca? Gdzie jesteśmy? Dlaczego Mattfersen nas nie poznaje? Marga nie płakała. Bili ją po wewnętrznej stronie dłoni i stóp, ale się zawzięła. Tak mocno zagryzała górną wargę, że zaczęła krwawić. Nawet jednak nie pisnęła. Patrzyła na mnie tak często, jak tylko mogła, jej spojrzenie można nazwać wręcz ciepłym. Puste palce, blada skóra. Siniaki na jej ramionach, karku. Pytam ją, jak wyglądam. Potrząsa głową i mówi, żebym milczał. Na statku było bardziej znośnie. Czuliśmy, jak to wielkie ciało się kołysze, czasem dostawaliśmy choroby morskiej, ale było nam ciepło.

Gdyby tylko nie było tego zimna. Czasem od rana do wieczora mam kłującą migrenę. Czy przez to, co dodają nam do jedzenia, w tej brei, którą tuż przed zmrokiem wsuwają przez okienko? Poprosiłem o dietę ubogą w sól; kiedy stwierdzają, że nie zachowujemy się tak, jak sobie tego życzą, wsuwają mi do środka talerz z bardzo słoną papką, której nie mogę jeść.

Dziwnym sposobem mam w pamięci coraz więcej zdjęć. Nie są to obrazy z mojego życia; na przykład twarzy dziewczyny o imieniu Mira prawie

wcale nie mogę sobie przypomnieć, również rozmowy w wydawnictwie wydają mi się niewyobrażalnie odległe. Wszystko zbladło. Zdjęć, czarno-białych, widzę jednak coraz więcej. Twarze ludzi, których nie znam, lecz zdaję się rozpoznawać. Cecha snu, już tylko niekończący się koszmar. Czowanie w środku nocy, życie, które wydaje się biec dalej bez nas, które na nas wyłącznie żeruje. Albo widzę konstelacje. Światła w oddali, pomarańczowe, przy zjeździe gdzieś, nie wiem gdzie. Odliczamy godziny. Czasem opowiadamy sobie jakąś historię. Czasem Marga się śmieje. Czasem wpada w panikę i godzinami ma czkawkę. Nie mamy toalety, to utrudnia sprawę. Przez godzinę dziennie jesteśmy wyprowadzani na dwór, a następnie prowadzeni do gołej, śmierdzącej łaźni z kiblem w postaci dziury w podłodze. Jeżeli nie możemy wytrzymać do tego momentu i załatwimy się w kącie, biją nas.

Jeśli mają wobec nas jakieś zamiary, dlaczego nas biją? Dlaczego z nami nie rozmawiają?

Myślę, że jesteśmy gdzieś w Azerbejdżanie. Marga mi nie wierzy; uważa, że jesteśmy w Gruzji. To znowu sądzi, że to Jemen albo Izrael. Mówi, że to tylko takie wrażenie, i patrzy na mnie bojaźliwie. Nakrzyczała na człowieka, który jest podobny do Mattfersena. Zdawał się jej nawet nie rozumieć. Kiwał głową jak koń idący polną drogą, tępo i bezcelowo.

Jest mi czasem tak zimno, że godzinami trzęsę się i drzę, aż bolą mnie od tego wszystkie mięśnie. Mardze dolega coś innego; zapada w swego rodzaju komę i gdy wtedy dotykam jej skóry, jest zimniejsza niż u trupa. Jej serce ledwie bije; potem znowu otwiera oczy, a ja mam ochotę zaskomleć, dlatego że to robi. Jakże daleko jest wszystko, co znaleźliśmy. A czasem tak zatrwająco blisko. Widzę twarz mojej umierającej matki; staje się coraz młodsza, to jest niezwykle. W moich wyobrażeniach i snach ona za każdym razem umiera z tym grymasem śmierci, który miała w ostatnich momentach, lecz jej twarz wydaje się coraz bardziej nieskazitelna. Jeszcze kilka dni i zobaczę ją umierającą jako noworodek, dolna warga zassana do środka, te bezzębne usta i wyglądające na zbutwiałe powieki, nieutrzymywane już w swoim kształcie przez mięśnie i nerwy. Boję się, że zacznam się do

niej upodabniać, kiedy budzę się ze śladem zaschniętej śliny w krzywo opadniętym kąciku ust, a wargi mam suche i popękane. Nie chcę być podobny do swojej własnej śmierci. Podczas niekończących się godzin nocy Marga niedawno zapytała mnie, czy nie powinniśmy mieć dziecka. To była pierwsza rzecz, która znowu mi przypomniała o naszym wcześniejszym życiu. Nic nie odpowiedziałem. W tym, że słyszymy i czujemy swoje wypróżnianie się, nie ma niczego nowego. Ale że to się miesza z zapachem ziemi i pleśni w ciemnym kącie, sprawia, że się gapimy i milczymy. Czy trzeba tak głęboko wbijać człowiekowi do głowy, że jest prochem i w proch się obróci? Czy nie wystarcza, że czyta się o tym w gazetach? Często bardzo długo nie rozmawiamy. Nic nas nie powstrzymuje przed tym, żeby wejść na siebie i zabijać czas pieprzeniem się, chociaż długo bym już tego chyba nie wytrzymał. Nie robimy tego. Czas wypadł z zawiasów. Śniła mi się kobieta robiąca na drutach. Robi czapkę, czarną czapkę, z dwiema dziurami na oczy. Duże oczy, od razu to widać.

– Sarnie oczy – mówiła moja matka o dużych oczach. – Zobacz, John, ta dziewczyna ma sarnie oczy.

– Tak, mam.

To, co widzę, przypomina raczej oczy zarżniętego cielaka. Kiedy coś o tym mówię, Marga szepcze:

– Proszę cię, John, przestań.

Potem znowu godzinami milczymy. Słyszę, jak dostaje czkawki. Czasem z tej odległości paru metrów wyczuwamy swoje nieświeże oddechy. Przeważnie jest zbyt zimno na zapachy.

Kiedy ze statku zawieziono nas do pomieszczenia nad rzeką – dzień tłuczenia się po złych drogach samochodem z zaciemnionymi szybami – mieliśmy nadzieję na zakończenie, które pozwoli nam coś zrozumieć. Na statku mogliśmy patrzeć przez mały iluminator. Przez cztery dni woda, szara i gładka, płynny ołów, który faluje i wybrzusza się w stronę chmur niknących we mgłach. Przez większość czasu wybrzeże w oddali. Być może płynęliśmy przez Morze Czarne, nawet nie tak daleko od tureckiego wybrzeża. Zacząłem opowiadać Mardze o Argonautach.

– John, przestań, to też znam – powiedziała zmęczona.

Co chcesz, żebym zrobił? Co widzimy? Niektóre pytania wydają się bezsensownym przesuwaniem powietrza. Przez moment widziałem półksiężyc nad miastem portowym, a pod nim, jeszcze bliżej, Wenus, jasną gwiazdę. Czuję się tak samotny, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Czasem wyprowadzają nas na zewnątrz. W mojej głowie rozbrzmiewa niekiedy muzyka. Coś jak barok, czasami muzyka z jeszcze dawniejszych epok – Clemens non Papa, Tielman Susato. Czasem pianino jazzowe, tak jak brzmi w klubach, niewyraźnie i głucho. Dlaczego, nie wiem. Nigdy nie słuchałem szczególnie dużo muzyki; za bardzo wytrąca mnie to z równowagi. Marga jest inna. Robi mi się niedobrze i mam wrażenie, że tak będzie przez resztę moich dni. Marga mnie pyta, ile tych dni nam jeszcze zostało. Nie wiem.

– Bez uogólnień – często powtarza Marga.

Wcześniej też to mówiła, kiedy prawilem jej komplementy. Bez uogólnień. Czasem stajemy się...

Czy słyszę kroki? Nerki mnie pieką.

– Wiesz – odzywa się Marga – brakuje mi muzyki Tori Amos. Cały czas słyszę jeden numer. *Bonnie and Clyde*.

Uśmiecha się do mnie, nie mogę się śmiać z jej uwagi.

– Nie znam tego numeru – odpowiadam.

Milczymy. Ubranie lepi mi się do ciała. Trzęsę się i pocę. Usta Margi są napuchnięte. Lubię półmrok padający na jej twarz. Potem płacze przez pół dnia, dopóki nie opadnie na nas ciemność, nie przysuniemy się do siebie i nie zaśniemy. I w końcu ten dzień, kiedy zobaczyłem jakąś postać tam przy drzwiach, tuż nad ziemią. Męską postać w długiej szacie, a kiedy podniosła ręce, ujrzałem olbrzymie kciuki, wielkie jak banany, i zapytałem, kim jest, a on zniknął, cofając się, jakby został zdmuchnięty do tyłu, z powrotem do świata.

\*

W domu nad rzeką też płakałem. Słyszałem gdzieś bicie dzwonu. Był wieczór, nad miastem rozciągnięty mrok. Stare budynki wysoko w oddali, nisko przy wodzie było zimno, a nad rzeką unosiły się pasma mgły. Mogliśmy dostrzec kościół. Para młodych kochanków spacerowała nad brzegiem. Słyszałem rytmiczne bicie dzwonu, aż tuż za kościołem zobaczyliśmy, że ktoś, jakby młody pop, uderza młotem w zestaw dzwonów kołyszących się na sznurach. Przyspieszał rytm, dźwięk dzwonów stawał się coraz bardziej porywczy, a jednocześnie dawał prastary spokój. Porządnie mnie wtedy bolało po razach, które dostałem, ponieważ próbowałem się wydostać. Marga mi nie pomagała, ale uderzono ją w twarz tak, że krwawiła z nosa, a jedna z jej brwi była rozdarta. W dziwny sposób uderzenia mnie uspokoiły. Tamtego wieczoru płakałem, ponieważ młody pop, spacerująca para i smugi mgły na rzece zdawały się świadczyć o niespotykanej harmonii. Czymś dla Margi i mnie niedosięglym. Trochę później auta w mieście zaczęły trąbić niczym bezładny chór, przejeżdżając wysoką aleją nad nami. Dużo starych ład i zastaw, między nimi drogie mercedesy, bez wyjątku z barwionymi szybami. Marga teraz też uważa, że to Tbilisi. Przez moment pomyślałem o Aleppo, ale ona mówi, że to niemożliwe. Dzięki tym ładom i zastawom geografia staje się wyrazistsza.

– Baku się zbliża – powiedziałem, a ona się odgryzła:

– Cieszysz się, że może będziesz miał rację?

– *Nicht ein Lüftchen regt sich leise* – powiedziałem – to pieśń Straussa. Albo nie, to się nazywa *Ruhe, meine Seele!* Znasz to?

Marga wtedy już spała. Włosy ma splecione, a w kąciку ust klei się trochę zaschniętej śliny.

\*

Trzy dni temu przyszli po nas. Na przedzie mężczyzna podobny do Mattfersena. Odkąd mamy jasny pokój z toaletą i bieżącą wodą, ani na chwilę nie dają nam spokoju. Bolesne jest zwłaszcza pobieranie krwi. Nie wiem, co chcą przez to osiągnąć. Marga utrzymuje, że jestem królikiem doświad-

czalnym, że nie chcą mnie zabić. Prosiła, żebym opowiedział o matce. Nie znajdowałem niczego, co byłoby warte opowiedzenia. Czy czułem się odrzucony przez kobietę, której nigdy dobrze nie znałem? Tego nie wiem. Wiem tylko, że sprawy posuwają się naprzód bez nas. Strumień, który unosi nas z sobą ku wodospadowi. Wczoraj zaczął sypać śnieg. Przez długi czas nie było prądu; w pokoju natychmiast znowu zrobiło się lodowato i wsunęliśmy się pod wojskowe koce na łóżku. Marga mówi, że nie powinienem sobie robić żadnych nadziei, jak stąd wyjdziemy. To znaczy: nie na nią. Jest jednak pełna zrozumienia, gdy mnie boli. Raz pogłaskała mnie po włosach, długo, w roztargnieniu patrząc na brudnobiałe ściany. Leżałem z głową na jej kolanach, a ona nuciła.

Przesłuchania są ciągiem nieporozumień. Nie mamy pojęcia, do czego oni zmierzają; ich łamana angielszczyzna sprawia, że do niczego nie dochodzimy. Kiedy pytam, czy to Chazaradwili, zostają uderzony. Kiedy pytam, czego od nas chcą, słyszę w odpowiedzi szyderczy śmiech. Jeden raz najmłodszy z nich trzech powiedział mi, że nie wolno mu z nami rozmawiać. Poczuję, że to jakieś otwarcie. Od razu zapytałem dlaczego. Wzruszył ramionami. Powiedziałem, że chcę współpracować, lecz nie mogę, jeśli nie rozumiem ich celu, nie rozumiem dlaczego. Popatrzył na mnie i wolno, z wyrazem żalu, pokręcił głową. Wtedy zapytałem, dlaczego zatrzymano też Margę. Powiedział, żebym się zamknął. Przez maleńkie okienko, wysoko pod sufitem, widzimy koronę cedru.

\*

Może nie byłem wystarczająco czuły. Pomyślałem o tym, kiedy się obudziłem następnego dnia. Po prostu nie dość szczodry. Nie tylko wobec Margi, zwyczajnie, wobec każdego, wobec rzeczy, światła na ulicy, nieznajomego w tramwaju...

To nonsens. Nonsens kogoś, kto się kręci w kółko i nie znajduje już niczego, czego mógłby się ucześcić. Wczoraj zaspokoilem siebie samego. Złagodziło to atak paniki, który mnie ogarnął. Marga to widziała i odwróciła wzrok. Gdy potem zasypiałem, nie było mi wstyd.



Kiedy trafiliśmy do tego pokoju, mieliśmy za paznokciami wielotygodniowy brud. Nie żeby zawsze była bieżąca woda; często z kranu wydobywa się tylko prychnięcie, odrobina rdzawobrazowej cieczy, a potem nic więcej. Zwykle przed południem przez parę godzin jest lodowata woda. Wtedy możemy też spłukać toaletę. Przez pierwsze dni dokładnie się szorowaliśmy. Widziałem ciało Margi częściowo nagie i zapierało mi dech. Moje spojrzenie jej nie obchodziło; myślała się tak, jakby mnie nie było. Drżała, widziałem, że ma gęsią skórę. Fascynowało mnie to, że znowu widziałem te maleńkie wybrzuszenia wokół jasnych włosów. Jej włosy łonowe w kolorze miodu w szarym świetle. Jej szczupłe pośladki. Jakbym widział coś takiego po raz pierwszy w życiu. Jak mały wpływ ma niedostatek na nieskazitelną takiego ciała. Moje nie jest niczym więcej niż upadkiem, to wydaje się logiczniejsze w tym otoczeniu. Nieskazitelną jej ciała sprawiała mi ból. Jej obecność katuje mnie chyba bardziej niż cokolwiek innego. Jednocześnie nie wolno mi myśleć o tym, że mogliby nas rozdzielić; sądzę, że umrę wtedy ze strachu.

\*

Dlaczego pozwalają nam być razem? Zdaje się, że wszystko im jedno, co robimy. Nocami słyszymy łomot, a czasem krzyki. Raz widzieliśmy reflektory przesuwające się tam i z powrotem po matowym szkłe. Było niespokojnie, słyszeliśmy szybkie kroki, zawzięte głosy. Zaczął szczekać pies. Godzinami leżeliśmy z walącym sercem przyciśnięci do siebie i słuchaliśmy aż do rana. Kiedy zasnęliśmy, brutalnie nas obudzono, kazano wyjść na zewnątrz, dokądś zawieziono, tam pokazywano dziesięciu mężczyznom w czarnych garniturach. Jeden z nich wydawał się przywódcą. Nosił kaftan albo džellabę, bo ja wiem. Inny, ubrany na czarno, miał czapkę z owczego futra. Wywiązała się dyskusja. Wskazywano na nas. Na ścianie wisiały obok siebie krzyż prawosławny, półksiężyc i gwiazda Dawida. Pod nimi znaki, które dawno temu zobaczyliśmy po raz pierwszy na kopercie. To była dość ostra rozmowa, podczas której ciągle na nas wskazywano. Mężczyzna w kaftanie wyglądał na oburzonego. Pozostali patrzyli nieufnie i wrogo, kiedy perorował. Spomiędzy fałd kaftana wyjął trzy czerwone ku-

lecunki i rzucił na ziemię. Jeden z mężczyzn złapał je i rzucił mu w twarz. Na to inny wyciągnął broń. Zrobiło się cicho. Wyszli i zostawili nas samych. Jakiś czas później odwieziono nas z powrotem do pokoju. Przepaskę na oczy miałem tak mocno związaną na skroniach, że dostałem kłującego bólu głowy i o mało nie straciłem przytomności. Kiedy upadłem, najpierw wymierzono mi kopniaka. Potem ktoś pomógł mi się podnieść. Kiedy poczułem zapach pokoju, odetchnąłem z ogromną ulgą. Ktoś zerwał mi przepaskę z oczu. Oddychałem głęboko i zobaczyłem, że nie ma Margi.

– Marga – zawołałem – gdzie jest...

Drzwi za mną się zatrzasnęły.

\*

Odkąd jestem sam i opadły pierwsze ataki paniki, śpię niemal nieprzerwanie. Może obudzę się jutro we własnym łóżku i okaże się, że wszystko było snem.

Drzwi otwierają się gwałtownie. To młody strażnik. Doskakuję do niego, ciągnę za rękę i trzy razy wołam imię Margi. Spogląda na mnie, nawet nie wrogo, raczej ze zdziwieniem, i kręci głową.

– *Where is she?*

Cisza. Stawia na stoliku miskę z rozgotowanymi warzywami.

– *Where is Marga? Tell me if she's alive.*

Stoję, drżąc i trzęsąc się, po policzkach spływają mi łzy.

Ponownie na mnie spogląda, potem wolno mówi:

– *Don't worry. She's okay.*

– *Where?!*

– *You keep quiet, sir.*

Wiem, że to ten moment. Wiem, że nie powinienem ponownie pytać go dlaczego, bo wtedy się zatnie. Muszę wykuć łącznik między nim a sobą, coś forsując, choćbym ryzykował bicie.

Pytam:

– *Are you Khazar?*

Prostuje plecy, rzuca mi zdumione spojrzenie, zdaje się długo zastanawiać, potem mówi:

– *Yes.*

– *Do you think I am one?*

Teraz patrzy przeszywającym wzrokiem, podejrzliwie i z fascynacją.

– *Maybe yes.*

– *Is that the reason...*

Niewłaściwe pytanie. Idzie do drzwi, zamyka je ciszej niż zwykle i znikają.

\*

Przez cały dzień się głowię, jak ponownie skłonić go wieczorem do mówienia. Ale chyba na mnie nagadał; tego wieczoru jedzenie przynosi drugi, wielki brutal, który już wiele razy dał mi w skórę. Milczę i łapię się na tym, że patrzę na niego jak wystraszone zwierzę, kucając. Nic dziwnego, że ledwo traktuje mnie jak człowieka; nie zachowuję się jak człowiek, kiedy go widzę.

Tego dnia wyskrobuje na ścianie kamykiem półksiężyc, krzyż i gwiazdę. Ekstrawagancko duże. Czekam z bijącym sercem. Do środka wchodzi brutal.

Ogląda znaki na ścianie. Oczy zwężają mu się do szparek. Podchodzi do mnie. Widzę jego wielką, ogoloną niemal na łyso czaszkę i żyły na karku. Kulę się i trzymam ręce nad głową.

Łapie mnie za ramiona. Zaciskam oczy i zaczynam płakać. Potrząsa mną.

– *Hey. Hey you.*

Podnoszę na chwilę wzrok, znowu zamykam oczy.

Znów potrząsa mną za ramiona.

– *Hey. Why do you do this?*

Puszcza mnie i czeka.

– *Talk to me, please* – wyrywa mi się, zanim to sobie uświadamiam.

Patrzy w zamyśleniu. Wykorzystuję okazję.

– *I want to understand.*

Przygląda mi się badawczo. Wzdycha.

– *Somebody will talk to you. Not me.*

Pospiesznie i z wdzięcznością przytakuję.

Zamyka drzwi i znika.

\*

Ponownie widzę tej nocy gwiazdozbiory, które nie istnieją, poranne słońce na niskim domu, obraz z dzieciństwa. Słyszę jakiś szelest za murem. Szelest się przybliża.

Potem przebiega po szorstkim kocu. Sztywnieję ze strachu, chowam się głęboko pod koc, naciągam go szczelnie na głowę. Drepcze po mnie. To musi być szczur. Po jakimś czasie brakuje mi powietrza. Minimalnie odchyłam koc, na chwilę wysuwam głowę na zewnątrz, przy moich ustach drży coś jakby wąsy. Krzyczę i ponownie chowam się pod koc. Po jakimś czasie dreptanie ustaje. Ostrożnie oddycham. Potem słyszę szeleszczenie i chrobotanie przy drzwiach. W bladym świetle poranka lustruję pokój. Nic. A jednak: kilka szczurzych bobków tu i tam.

Przed południem, o nietypowej godzinie, słyszę kroki zbliżające się do drzwi. Podzwanianie pęku kluczy. Przychodzi po mnie młodszy. Stoi przy otwartych drzwiach, mówi:

– *Come on.*

Podnoszę się z trudem, ruszam za nim. Pełne światło dzienne na korytarzu oślepia mnie.

Wchodzimy po schodach. Jeszcze więcej schodów. Betonowe schody, głuchy pogłos.

Przechodzimy korytarzem. Korytarz skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Idziemy nim do końca, gdzie znajduje się okno z matowym

szkłem. Stoimy pod drzwiami. Mężczyzna w nie puka. Niewyraźny pomruk w pokoju. Młodszy strażnik otwiera drzwi. Zostaję popchnięty do środka. Za długim drewnianym stołem siedzi Hans Mattfersen.

– Hans, do kurw...

– *Shut up. Sit.*

– Hans, zachowuj się normalnie, co jest...

– *Shut up, okay?*

Wykrzykuje to do mnie.

Kiedy przerażony opadam na krzesło przed jego biurkiem, spokojnym już tonem mówi:

– *I am not who you think I am.*

Chce, żebym na dobre zwariował?

Próbuję jeszcze kilku zdań po niderlandzku, mimo wszystko stwierdzam, że on mnie naprawdę nie rozumie. Wtedy dostrzegam szklane oko.

Zaczyna długą opowieść, z której prawie nic nie rozumiem. Docierają do mnie jednak strzępy bezsensownej argumentacji i zdań. Że Państwo Izrael jest gettem, powtórzeniem Warszawy. Że Izrael nie buduje osiedli semickich, tylko chazarskie. Że Icchak Rabin znał pewne tajemnice i że zapłacił za to wysoką cenę. Że Państwo Izrael powinno zostać założone w Kazachstanie. Że ani muzułmanie, ani chrześcijanie, ani żydzi nie rozumieją, jak było naprawdę. Że Khazar Universal Brotherhood będzie szerzył wiedzę o tym prawdziwym przebiegu spraw jako nowe przesłanie. Że istnieje spór o strategię, którą należy wdrażać. Homeopatii czy chirurgii. Albo chemicznej indukcji.

Słucham. Myśli kotłują mi się w głowie. Odczuwam też pewien rodzaj tryumfu, ponieważ okazało się, że cała moja argumentacja, nazywana przez Margę paranooidalną, się zgadza.

Impulsywnie pytam, czy *Ethnic Bomb* istnieje.

Zamyka się. Nieruchome szklane oko jest nie do zniesienia i on o tym wie. Oferuje mi papierosa rosyjskiej produkcji.

Zaciągam się tak głęboko, że natychmiast robi mi się niedobrze, poblądły osuwam się na krzesło.

Przygląda mi się zawistnie i chyba rozważa, co powinien zrobić.

Każe przynieść szklanekę wody, a potem czeka, aż trochę dojdę do siebie.

Siedzę, dysząc.

Pytam, co miały znaczyć te czerwone kulki.

Odpowiada pytaniem: Jakie działanie miał proszek na moją skórę? Czy coś czułem? Mówię „nie”.

Zastanawia się i bębni palcami w blat stołu.

Mówi, że to cud, że nadal żyję.

Wydaje się cierpliwszy i czeka na moje następne pytanie.

– *What are you going to do with me?*

– *Wait and see.*

Uśmiecham się sarkastycznie.

– *Where is Marga?*

Wymawiając jej imię, czuję, że moje ciało zupełnie mięknie.

– *You will not see her again.*

– Co?! Co mówisz?!

Wrzeszczy coś, przez co prawie spadam z krzesła.

Chłopak znowu wchodzi do środka. Mężczyzna za stołem skinieniem głowy daje znak, że mają mnie zabrać.

\*

Z powrotem w pokoju. Kładę się na łóżku. Czuję się wyczerpany i rozpalony.

Po kilku minutach słyszę szelest. Szczur przechodzi obok łóżka do pustego talerza pod drzwiami. Obwąchuje go. Wrażliwy, ruchliwy pyszczek. Zaskakuje mnie piękno tego zwierzęcia. Tylko ogon jest odrażający, ta łysa włokąca się marność, która pozostawia za sobą ślad w kurzu. Zwłaszcza fakt, że wydaje się nieświadomy tej części swojego ciała, wywołuje we mnie obrzydzenie: coś, co istnieje bez powodu, zwyczajnie rusza się bez

powodu, w obsceniczny sposób tylko jest. Okropne. Muszę zamknąć oczy. Potem znów patrzę na wrażliwy, ruchliwy pyszczek i lśniące oczy.

Kiedy się poruszam, błyskawicznie ucieka.

Dzień spędzam na czekaniu na chwilę, w której znów się pojawi. Wraca przed porą jedzenia. Słyszę go pod łóżkiem. Prawdopodobnie długo spałem, śniąc bezładny sen; czuję się wyczerpany i chyba jednak niczego sobie nie przypominam.

Do środka znowu wchodzi chłopak, który przynosi mi jedzenie. Stawia je na stole. Obok kładzie jabłko. Potem tabletki, które codziennie biorę. Co trzy dni dają mi zastrzyk. Co takiego robią ze mną, że dają radę bez dializ? Stale łamię sobie nad tym głowę. Z medycznego punktu widzenia jest to niemożliwe. Przez chwilę na mnie patrzy i pozdrawia, zanim wyjdzie.

Wstaję, szczur zmyka za muszlę klozetową. Biorę jabłko i je zjadam. Ogryzek trzymam w ręce. Kładę się, a ogryzek umieszczam obok siebie na łóżku. Po chwili widzę lśniące oczka, które mnie obserwują.

Dopiero o zmroku podchodzi bliżej, węszy przy kocu, wdrapuje się na łóżko, wacha ogryzek, gryzie go. Kiedy bardzo ostrożnie unoszę głowę, żeby go lepiej obejrzeć, błyskawicznie ucieka. W nocy obudzi mnie dreptaniem po kocu. Leżę i wsłuchuję się skórą, jak po mnie chodzi, obwąchuje mi głowę.

Potem znowu znika. Jakby równocześnie zniknęło wszystko na całym świecie.

\*

Po tygodniu szczur jest prawie oswojony. Bardzo systematycznie, powoli uczyłem go, żeby podchodził bliżej, kiedy zostawiam kawałek jedzenia tuż obok swojej ręki. Potem, po pięciu dniach, trzymałem jedzenie w otwartej dłoni, godzinami. Po jakimś czasie podszedł, żeby powąchać, odskoczył na metr, wrócił. W pośpiechu zjadł kilka kęsów, zniknął.

Następnego dnia wydawał się nawet czekać, aż się położę. Pojawia się zaledwie kwadrans później, trochę hałasuje, jego błyszczące oczy skierowane na moją twarz, nie na rękę.

Zbliża się do mojej ręki, obwąchuje palce, przez moment czuję jego zęby na czubku palca i muszę się skupić, żeby przewyciężyć chęć cofnięcia ręki. Potem starannie wyjada wszystko z mojej dłoni, zanim zniknie. Po półgodzinie siedzi jednak na kocu, wpatrując się we mnie. Kiedy unoszę głowę, nie ucieka, ale cały czas jest gotów czmychnąć. Z powrotem kładę głowę. Chodzi po mnie. Podchodzi mi blisko do twarzy ze swoim drżącym pyszczkiem. Moje chore ciało rozsadza swego rodzaju absurdalna radość.

– Hola – mruczę – hola, ty tam.

Siedzi. Zасыpiam i śpię do rana.

\*

*Bisogna morire, morire bisogna.* Dlaczego ta melodia tkwi w mojej głowie już cały dzień? Podczas gdy szczur zajmuje się gdzieś strzępką papieru toaletowego, a ja się mu przyglądam, słyszę głosy rozbrzmiewające mi w głowie. *Passacaglia della vita.* Marga mi to sprezentowała. Pewnej nocy, już dawno po naszym rozstaniu, zadzwoniła do mnie i płakała. W tle słyszałem tę muzykę. Że wszystko było na darmo, ciągle to powtarzała, że to jest równocześnie wszystko i nic. Przejmujący był ten jej szloch, a ja bezsilnie słuchałem i wymawiałem jej imię. Teraz, gdy nie mogę się tego pozbyć z mojej głowy, nie czuję żadnych emocji. Tylko te głosy, jakbym je rzeczywiście słyszał w tym pustym pokoju, który czasem wydaje mi się tak nierealnie piękny, gdy wieczorne słońce kilkoma plamami przesuwa się po ścianach.

Potem gitara i skrzypce. *Morire bisogna, bisogna morire.*

Ostrożnie gwizdę strzęp rzewnej melodii. Szczur natychmiast się pojawia. Od tego dnia mamy wspólny język. Za każdym razem, gdy wygwizduję melodyjkę, pojawia się i zdaje słuchać. „Jesteśmy na siebie skazani” – mówię mu pewnego dnia. Węszy, drapie i skrobie, gryzie śmiecie i jest pochłonięty rzeczami, których nie rozumiem.

W oddali niewyraźnie słyszę warkot samolotu, wysoko i opieszale. Zасыpiam.

\*



„Musisz w siebie wierzyć, cokolwiek robisz – powiedziała mi kiedyś Marga. – Będzie dobrze, cokolwiek to jest, przez sposób, w jaki to robisz. Nie rozmyślaj nad tym, co robisz, tylko jak to robisz”. Od niedawna starannie się więc myję i golę. Po wielu tygodniach zapytałem chłopaka, czy mógłbym się ogolić. Wilgotna broda uciążliwie się mierzwiła, wywołując podrażnienia skóry na szyi.

Odkąd codziennie wygwizduję dla szczura kilka melodii, mój umysł staje się jaśniejszy. Spokój jest zbawienny; z każdym dniem słońce świeci trochę dłużej i czasem cieszy mnie nawet sposób, w jaki niuanse brudnej bieli zmieniają odcień. *Bisogna morire*. Nadałem szczurowi imię, które on w dodatku już rozpoznaje. Kiedy go wołam – co robię tylko wtedy, gdy mam dla niego coś do jedzenia – natychmiast przychodzi. Cieszy mnie jego rozsądne spojrzenie, a jego ciepło mojego ciała. Raz wszedł pod koc i przez chwilę tam siedział. Potem zaczął się wiercić, trochę wpadł w panikę, szybko odkryłem koc. Szczur w pułapce gryzie na oślep. Ale nie uciekł, został tam, gdzie był. Położyłem koc tak, że tuż przed jego nosem został mały otwór. Siedział, patrząc w bezruchu. Tak zasnąłem.

Ponieważ znowu codziennie się golę, życie wydaje się znośniejsze. Nożyki, które dostaję, muszą wystarczyć na tydzień. Po pięciu dniach jest już tylko pocieranie i naciąganie, aż kaleczę sobie skórę. Pewnego ranka przypomniało mi się gardło tego zamordowanego dziennikarza. Uważnie przeciągałem nożykiem po szczecinie. *Bisogna morire*. Gwizdałem, przeciągając nożykiem po gardle.

\*

Potem, pewnego popołudnia, widzę coś w drzwiach. Drzwiach zrobionych z drewnianych desek, dookoła których biegnie stalowa listwa. W tych drzwiach, gdzieś na wysokości półtora metra, dostrzegam nagle bardzo cienkie pasemko światła. Serce mi wali. W tym miejscu drzwi powinny dać się sforsować. Staję blisko nich z oczami utkwionymi w nieznaczej szparze. Nie widzę nic oprócz odrobiny niewyraźnego światła. Dłubię palcem w drewnie. Kilka drobnych drzazg. Drapię jeszcze dalej. Nic. To drewno jest twarde jak kamień, coś jak dąb lub wiąz. Przesuwam ręką po całej po-

wierzchni, lekko naciskając. Tylko w jednym miejscu bardzo delikatnie się poddaje, to tam widzę niewyraźną smużkę światła.

Ponownie siadam i myślę; ten nowy fakt jest jak grom z jasnego nieba. Potrzebowałem całego dalszego popołudnia, żeby sobie uświadomić, co to oznacza. Szczur siedzi przy mojej prawej ręce, obwąchuje ją. Czuję wilgotny pyszczek. Rozmawiaj z nim, wygaduj bzdury, cokolwiek, żeby go przyciągnąć. Jest bardzo zajęty byciem bardzo zajęтым. Moje myśli i oczy znów błędzą wokół drzwi. Kiedy zmienia się kąt padania światła, pasemko znika.

Postanawiam, że następnego dnia delikatnie zaznaczę to miejsce, bo nie jestem pewien, gdzie to dokładnie jest. Tymczasem badam ścianę w poszukiwaniu miejsca, z którego mógłbym wygrzebać kawałek kamienia. Nie znajduję.

Obchodzę na kolanach całą komórkę. Wszystko jest mocne, surowe, solidne, nie do ruszenia.

Kładę się i zapadam w sen. Śnię o olbrzymim statku, który wystaje z ziemi, rodzaj szesnastowiecznego galeonu, a przy wiosłach siedzą szczury, ciągną i pchają, i statek powoli się wynurza, wzbijając sypką ziemię. Widzę ich szczurze pyski zwilżone kłaczkami śliny, wydają się uśmiechać. Ich stare oczy, ich stare pomarszczone oczy są wesołe. Napawa mnie to obezwładniającym strachem. Budzę się, a w podbrzuszu czuję piekący ból. Okazuje się, że zsikałem się do łóżka.

Następnego popołudnia, po tym jak zaprowadzono mnie do łaźni i z powrotem, zaczynam rękami uciskać i pocierać drzwi. Kiedy drapię i skrobię paznokciami, odchodzą małe cząsteczki drewna. Długo tak nie dam rady; wkrótce moje paznokcie całkiem się zedną. Pocieram więc również czubkami palców. Po jakimś czasie sprawia to ból, ponieważ w wyniku tarcia wytwarzam ciepło.

Kiedy kładę się wyczerpany, mam wrażenie, że znowu widzę słabe pasemko światła. Mam nawet wrażenie, że jest odrobinę większe. Po południu zawsze śpię długo i twardo. Kiedy się budzę, ponownie widzę nieprzystępne drzwi i moja nadzieja wydaje się obłędem.

Przez kilka dni o tym nie myślę. Potem, pewnego ranka, wraca dzika, doprowadzająca mnie do szaleństwa wiara: że przecisnę palce przez tę szczelinę, że następnie oderwę deskę i otworzę drzwi. Często godzinami nie słyszę niczego ani nikogo. Znam korytarz. Wiem, że na końcu jest płaski dach, który widzę przez okno. Dalej nie myślę; jakby dotarcie na ten płaski dach stawało się całym moim światem.

Następnego dnia najpierw zdarza się cud, a potem katastrofa. Kiedy niemal bezwiednie pocieram drzwi w nadziei oderwania kilku minimalnych drzazg, oddziela się duża drzazga i od razu ukazuje się prześwitujące szersze światło. Ogarniają mnie szaleńcza nadzieja i radość. Stoję wpatrzony, a potem z dużą siłą kontynuuję pocieranie i drapanie. W tej chwili dochodzi do czegoś, czego początkowo nie mogę pojąć: ponieważ zbyt gwałtownie pocieram, ostra drzazga, długości około ośmiu centymetrów, wbija mi się głęboko pod paznokiec środkowego palca i łamie się. Całe moje ciało przeżywa ból. Odsuwam rękę, zaczynam się trząść i drżeć. Ból jest koszmarny; od razu robi mi się słabo i muszę się położyć na podłodze.

Po jakimś czasie dochodzę do siebie i czuję nieznośny ból. Cała ręka jest skurczona jak szpon. Drzazga oderwała mi paznokiec, wzbiera ciemna krew. Palec jest spuchnięty. Łapię powietrze; takiego bólu nigdy nie czułem nawet w nerkach. Jest absolutnie nie do zniesienia; wiem, że może doprowadzić do strasznego zakażenia i że stanowi najwyborniejszy element chińskich tortur: odrywanie paznokcia kawałkiem drewna. Szarpię za drzazgę i krzyczę. Kręci mi się w głowie, przewracam się do tyłu. Jęczę z bólu; to nie do wytrzymania. Cała moja ręka jest zdrętwiała; czuję, jakby ból szedł do serca. Ból w piersiach, coś, co zdaje się doprowadzać mnie do szału. Z odrazą patrzę na okaleczony palec i płaczę jak dziecko. Wiem, że końcówki palców mają więcej delikatnych nerwów niż jakiegokolwiek inne miejsca na ciele. Lepiej stracić nogę niż paznokiec w ten sposób. Siedzę, kręcąc gwałtownie głową, to znów się zrywam, najmocniej, jak mogę, uciskam przedramię, żeby trochę złagodzić ból. Nic nie pomaga. Krzyczę, robi mi się niedobrze, kładę się, przekręcam się na bok, oglądam rękę. Palec zdaje się już sinieć. Drzazga tkwi aż do drugiego paliczka; pod skórą widzę

obrzęk przypominający małego czarnego węża. Ponownie szarpnięciem za drzazgę i ryczę z bólu. Nagle drzwi otwierają się z impetem. Stoi w nich młody strażnik i patrzy na mnie ze zdumieniem. Płacząc z bólu, pokazuję mu rękę. Chwyta mnie za przegub, ogląda ranę i mówi:

– *Bad. This is bad.*

Gestem nakazuje mi wstać, prowadzi do łaźni, odkręca kran, wsuwa pod niego moją dłoń, odchodzi na chwilę i zaraz wraca. W rękę trzyma niewielki przecinak, jakiego używa się do cięcia płyt pilśniowych. Gwałtownie potrząsam głową i błagając „nie”, opieram się, gdy podchodzi bliżej. Dostaję potężne uderzenie w głowę, upadam i się nie podnoszę. Pochyla się nade mną, chwyta moją rękę, bierze palec, podczas gdy ja krzyczę z bólu. Ogląda ranę, szybko i bezbłędnie dokonuje cięcia na moim palcu. Ten rozkłada się jak frankfurterka w gorącej wodzie. Widzę białą kość. Cięcie jest tak idealne, że przez pół minuty nie spływa krew. Szarpnięciem wyciąga drzazgę. Czuję jej trzask; potem tracę przytomność.

Kiedy przytomnieję, leżę na łóżku. Mój palec jest mocno obwiązany brudną chusteczką, przesiąkniętą ciemną krwią. Ból tak gwałtownie w nim pulsuje, że przenika moją głowę wolnymi, łomoczącymi uderzeniami. Bum-bum. Bum-bum. Bum-bum. Trzymam rękę uniesioną i próbuję tak siedzieć. Po godzinie sztywnieje mi ramię, lecz kiedy je opuszczam, ból staje się jeszcze bardziej niemiłosierny.

Tak spędzę półtora tygodnia, bez snu, z ramieniem opartym o ścianę, za bardzo przyprawiany o mdłości, żeby jeść, ledwie coś pijąc, gorączka i strach przed zakażeniem. Szczur obwąchuje, a czasem podgryza chusteczkę, kiedy budzę się ze spuchniętą ręką wzdłuż ciała. Pewnego dnia mocno go uderzam. Znika z piskiem. Przez trzy dni się nie pokazuje. Nie mogę zdjąć opatrunku z ręki; nie mam odwagi. Wiem, że lepi się głęboko do otwartej rany. Trzeba jednak będzie. Któregoś dnia w łaźni strażnik wsadza mi rękę pod kran. Przerażony kręcę głową, lecz on jednym ruchem zrywa przyklejoną chusteczkę. Natychmiast zaczynam krwawić jak bydlę. Rana wydaje się czysta, najmocniej, jak potrafię, uciskam przegub i z rozpaczy tupię nogami. Strażnik grzebie w kieszeni, wyciąga dwie czerwone kulki,

rozrywa je, sypie proszek na ranę. Jakby ktoś wrzucił mi bombę do palca. Kręcę się w kółko z bólu i przerażenia. Potem znowu mocno zasypiam, a później budzę się na łóżku. Mój palec ponownie jest owinięty, tym razem gazą, ponownie przesiąkniętą na ciemno. Mam gorączkę. Znowu doświadczam bezsennych nocy.

Potem ból zdaje się ustępować. Napięcie w palcu staje się jednak większe. Jakby został tam kawałek, który teraz puchnie. Następnego ranka pytam, czy mogę tak długo moczyć palec, aż opatrunek sam odejdzie. Strażnik przytakuje i zaczyna sobie coś majstrować przy zepsutym kranie w kącie. Kiedy w końcu opatrunek daje się zdjąć z nieodzownym bólem, widzę, że rana rzeczywiście szybko się goi. Ale wokół paliczka wywiązała się stan zapalny, jest mocno napuchnięty. Nie mogę ruszać palcem. Ból wciąż jeszcze sięga aż po pachę i dalej do piersi.

Chcę najpierw osuszyć palec, a potem proszę o opatrunek. Kilkakrotnie owija mi palec gazą. Tego dnia znowu jem trochę więcej niż kilka kęsów. Odkąd się zraniłem, jedzenie jest bardzo mocno doprawione. Przypuszczam, że myślą, że to działa odkażająco. Usta mnie palą.

Szczur nie tyka więcej mojego jedzenia. Czasem słyszę gryzienie pod łóżkiem. Kiedy tam zaglądam, niczego nie widzę. Pewnego dnia lepiej się przyglądam cięciu w kształcie półksiężyca na swoim brzuchu. Zdaje się, że ono również zadziwiająco szybko się zagoiło. Coś, czego w ogóle nie pamiętam.

Palec nadal jest zaogniony. Strażnik też to zauważy kilka dni później.

Znowu wchodzi do pokoju z przecinakiem. Krzyczę, że nie wolno mu tego robić. Z szarobiałego szmacianego worka wyciąga butelkę, nalewa do połowy do plastikowego kubka, pokazuje, żebym wypił. Jest to mocny alkohol, cierpki smak podwójnie pędzonego trunku owocowego z podłą chemiczną nutą. Zatyka mi dech; alkohol musi mieć około pięćdziesięciu procent albo więcej. Chłopak ponownie nalewa do połowy, bierze mój palec i wsadza do kubka. Trzyma go w nim parę minut. Wiem, co robi, i mam świadomość, że to nieuniknione. Ten człowiek opiekuje się mną, jakkolwiek brutalnie. Kiedy dochodzi do wniosku, że palec został odpowiednio

znieczulony, chwyta rękę, sięga po przecinak i ciachnięciem odcina paliczek. Ten natychmiast się otwiera i widzę różowawą paćkę w kolorze sosu whisky, nasuwającą się na delikatne brzegi. Łapię powietrze i czuję, że robi mi się niedobrze. Wymiotuję na własną krwawiącą rękę, chłopak przeklina, szybkimi ruchami ociera otwartą ranę, co powoduje, że wrzeszczę, wylewa na nią alkohol, wyciera ranę do czysta, znowu mocno obwiązuje mi rękę jakimś strzępem ścierki.

Zasypiam i o niczym nie śnię. Nic mi się już nie śni przez ostatnie dni. Nic; ciemna niekończąca się woda, w której dryfuję wychłodzony i nieważki, to wszystko.

Czekam na wyzdrowienie, tak jak czekam na szczura, jedzenie, pół godziny wietrzenia w łaźni. Stopniowo zatracam wszelkie poczucie czasu i przestrzeni. Żyję w pustej głowie, jest tam spokojnie i nędznie, leżę jak czuwający zmarły włożony do własnego grobu i patrzę na przesuwające się po ścianie plamy słońca, żywa cisza nocą, tylko z rzadka słyszę syrenę w oddali, czasem coś, co przypomina głos z megafonu albo ujadanie psa nad ranem. Żadnego ze swoich spostrzeżeń nie jestem jednak pewien; nie ma różnicy między śnieniem a przebudzeniem, wszystko jest jednolite, a ja nie pragnę niczego innego niż tylko, żeby tak zostało. Po kolejnych dwóch tygodniach mój pokierszowany palec jest bez opatrunku. Nie mam paznokcia, goły bezkształtny kikucik gapi się na mnie, gdy unoszę rękę do oczu.

Potem, pewnej nocy, szczur gryzie mnie w kikut palca, kiedy śpię. Zrywam się obudzony, chyba wpadam w szal, pędzę za uciekającym zwierzęciem, uderzam kością piszczelową o żelazny kant łóżka, ledwo to jednak czuję, w ciemności dostrzegam szczura, doskakuję do niego i obiema stopami ląduję na nim. Pęka jak worek papki. Tupię, dopóki łeppek nie stanie się płaski, oczy tkwią krzywo jak na obrazie Picassa, oboje w tej samej płaszczyźnie obok siebie, wpatrując się w nic, zdumione i zniszczone. Zrywam z podłogi zmaltretowane ciało, rozrywam je i zanurzam zęby w surowym mięsie. Gryzę i siorbię ciepłą krew, i czuje się dziki i pusty. Dostaję erekcji. Ryczę na szczura i pożeram płachty mięsa z grzbietu. Potem znowu się kła-

dę i śpię do czasu, gdy rozlega się walenie w drzwi. Gdy mój młody strażnik widzi resztki szczura i krew na łóżku, długo mi się przypatruje. Zamyka drzwi, na chwilę odchodzi, po czym wraca ze szczotką i wiadrem.

Sprząta syf, podczas gdy ja siedzę na łóżku i się przyglądam.

– *You will not stay here long* – mówi, zamykając za sobą drzwi.

Następnego ranka zostaję zaprowadzony do chłodnego białego pomieszczenia, w którym stoi aparatura medyczna. Muszę się rozebrać i położyć na wąskim białym łóżku. Zostaje na mnie nasunięty duży aparat. Przypomina to badanie rentgenowskie, ale zostaję związany. Na monitorze widzę coś wyglądającego jak jelita. Dociera do mnie, że to moje. W plątaninie bezkształtnej masy, jaką jest moje wnętrze, powoli dostrzegam, że coś się rozświetla, klocek wielkości centymetra kwadratowego. Ma minimalnie iskrzące się brzeżki. Kolor jest najpierw żółty, potem zmienia się na ciemnozielony, a w końcu płonie czerwienią. Gdy tylko pojawia się czerwień, czuję w podbrzuszu kłujący ból. Zagryzam zęby, ale nie wytrzymuję dłużej niż pół minuty. Wołam, żeby przestali. Ku mojemu zaskoczeniu robią to natychmiast. Słyszę dwóch mężczyzn dyskutujących ze sobą i nie rozumiem ani słowa.

Nagle jeden z nich warczy po angielsku:

– *This is not homeopathics. This is surgical, get it, stupid?*

Młody strażnik prowadzi mnie z powrotem do pokoju. Idę chwiejnym krokiem, mocno się go trzymając.

– *What have they done?* – pytam.

Zdumiony słyszę, jak odpowiada:

– *The experiment is not stable.*

Chcę znowu o coś zapytać, ale otwiera drzwi, popycha mnie do środka i mówi gderliwie, lecz bez złośliwości:

– *Go sleep, you.*

Jeszcze przez chwilę stoi w drzwiach, patrząc na mnie. Nie wiem, co takiego jest w tym chłopaku, co mnie ujmuje. Jego spojrzenie? Postawa? Nieporadny sposób, w jaki chciałby mi pomóc, choć nie wolno mu okazywać

wobec mnie żadnej sympatii i być może sam się boi, żeby nie zostać przyłapanym na najmniejszym śladzie złagodzonej surowości? Niespodziewanie jednak widzę w nim coś, co porusza mnie niewypowiedzianie bardziej niż milcząca, niemal chrystusowa pokora i małomówność. Chłopak nosi – choć zakurzone, zdarte i rozdeptane – wyraźnie małe, wąskie niebieskie trampki we wzorek z białych groszków. Moja mama nazywała go *plumetis*. Wpatruję się w ten wzorek z otwartymi ustami, tak długo i z takim zdumieniem, że chłopak sam poniekąd zdziwiony spogląda na swoje stopy, potem znów na mnie, a w moim wzroku jest coś rzewnego, czego młody strażnik absolutnie nie potrafi sobie wytłumaczyć, chyba że zubożeniem spowodowanym przez długie odosobnienie. To dziwne, jak nieistotny detal może się nagle naładować wszelkim znaczeniem, jakie nam wcześniej umknęło. *Life is what happens while you are making other plans*<sup>[7]</sup> – wiedziałem, że powiedział to kiedyś któryś guru popu, a teraz to zdanie niespodziewanie trafiło do mojej świadomości, tak jak wydaje się, że coś może nas złapać za gardło; i nie potrafię wymyślić nic innego, jak tylko głupio się uśmiechnąć, jakbym nic nie rozumiał, nigdy miał nie zrozumieć i już się poddał, a z tego głupkowatego poddania się wyniósł przekonanie niedające się porównać z czymkolwiek. W przeciwnym razie – tak myślę – nie można wytłumaczyć lekkości tej chwili, która w niepojęty sposób wywołuje we mnie pragnienie szybkiej śmierci.

Jeszcze raz patrzę na szarawoniebieskie trampki w niewyraźne białe groszki, białe kropki jak gasnące gwiazdy nocą, gdy niebo się zamazuje, nocą, kiedy gwiazdy nie odpowiadają, nigdy nie odpowiedzą, tak że ich cisza napęła ludzi respektem, przez wieki, i widzę, jak strażnik delikatnym krokiem opuszcza moją celę, i uświadamiam sobie, że nie przegrałem walki, choć nie wiem, jakiej walki.

A potem, w parze z szokiem, którego nie mogę wyjaśnić, ta świadomość (albo szaleństwo): gdybym jeszcze kiedyś poczuł w swoim ciele moralność, prawdziwą moralność, to nieczuły psychopata we mnie być może by milczał – ten, który zrobił ze mnie tchórza.



W ciągu następnych dni czuję się zadziwiająco lekko, wręcz nieważko, pozbawiony myśli i pusty, a zasnawszy, znowu śnię: lekkie, falujące łąki, horyzont i pyłek kwiatowy, oszałamiające obrazy w świetle bez ludzi i domów. Jeszcze nigdy nie byłem tak samotny – myślę, i to mnie uspokaja. Nad niczym więcej się nie zastanawiam. Zdaję się oderwany od wszystkiego i wszystkich; nawet na strażnika przestałem reagować. Chcę spać i śnić, aż umrę. Nefropatia refluksowa, nefropatia refluksowa. To określenie ze szpitala miało coś wspólnego z moją niewydolnością nerek, dlaczego tak mi dźwięczy w głowie, tak bezsensownie i dudniąco? Tej nocy śni mi się zamordowana dziewczyna, śni mi się, że ją delikatnie i powoli penetruję, a ona szlocha i pyta mnie, jak się nazywa, bo zapomniała. Najdziwniejsze jest to, że się wstydzę. Pies Kafki, pies Kafki, dudni i kołacze mi się po głowie. Potem gwałtownie budzi mnie łomot i zgrzytanie klucza w zamku.

Bez jakiegokolwiek uprzedzenia zostaję wczesnym rankiem wyciągnięty z pokoju, popychany korytarzami, wyprowadzony na zewnątrz. Tymczasem jest prawdopodobnie wczesne lato; ciepło słońca kłuje moją bladą skórę, która stała się wrażliwa. Przestraszony zastanawiam się, gdzie jest Marga. Waham się, czy zapytać, czy dadzą jej jeść. Potem mam przez chwilę wrażenie, że wariuję; że myślę Margę ze szczurem. Oczy Margi, blisko siebie na umazanej płaskiej powierzchni, wpatrują się we mnie jak obłąkane.

Nie mogę znieść tego świeżego powietrza, tego nagłego nadmiaru minimalnych wrażeń dokoła. Jasne chmury, cień pada na dużą, starą i zniszczoną fasadę w piaskowym kolorze, surowe okna. Nie wiem, na co najpierw patrzeć, i na niczym nie mogę się zatrzymać. Zostaję brutalnie wepchnięty do samochodu; znajduję się na płaskim terenie, popękany beton, tylko surowe w formie opuszczone budynki w oddali, w których nie ma okien. W powietrzu lata piasek, drobny pomarańczowy brudny piasek, który się lepi do skóry. Mężczyzna podobny do Mattfersena siedzi za kierownicą. Kiedy wsiadam, nieruchomo i uważnie patrzy mi w twarz we wstecznym lusterku. Gdy tylko drzwi się zatraskują, włącza silnik. Za nami widzę miasto. Nie mogę się napatrzeć. Wydaje się, jakby wokół mnie było na świecie za dużo wszystkiego, żeby to pojąć. Puste równiny, złe drogi, które wolno wiją się przez krajobraz i wydaje się, że nie posuwamy się naprzód. Dziury, które pseudo-Hans zręcznie omija, klucząc, jakby jeździł po wesołym miasteczku. On jednak patrzy ponuro i bez wyrazu. Nie mam odwagi o cokolwiek go zapytać; jego spojrzenie daje mi już wystarczająco do zrozumienia, że nie powinienem niczego próbować. Ze smutkiem myślę o moim szczurze, o jego żywych małych oczach, wrażliwym pysku przy moich palcach. Robi

mi się trochę niedobrze. Pytam, czy może się na chwilę zatrzymać, bo chce mi się sikać. Bezwzględnie zjeżdża na pobocze, gwałtownie hamuje, wysiada z samochodu, otwiera mi drzwi, kiwa głową. Staję na skraju drogi. Zapachy suchej ziemi, ziół i wiosny, niemal śródziemnomorskie. Pusta, pusta kraina, bardziej pusta, niż kiedykolwiek widziałem. Wielkie fałdy niekończących się brązowych kamienisto-piaszczystych terenów, gdzieniegdzie mechaty krzew, który się wydyma i kołysze na wietrze, krzak bez korzeni, jakie występują na pustynnych obszarach. Sikam pod wiatr. Obracam się, mój mocz jest zwiewany w stronę auta. Boję się, że to go rozzłości, i odwracam się z powrotem. Opryskuję sobie trochę spodnie i buty. Przygląda mi się z lekceważeniem i lekkim ironicznym uśmiechem, paląc papierosa.

Próbuję jeszcze raz. Chrząkam, patrzę na niego.

– *If you think I am of your people, why do you...*

Oddala się, gdy tylko zaczynam mówić, i staje z papierosem poza zasięgiem słuchu.

– *You are...* – Przełykam ślinę i zaczynam się pocić. – *You are Fausto Khazar, right?*

Ani drgnie. Rzuca mi papierosa. Nie udaje mi się go złapać, łapczywie sięgam po niego na ziemię, gdzie od razu wilgotnieje, bo spadł na asfalt do spływającego moczu. Pseudo-Hans syczy przez zęby, potrząsa głową, pogardliwie odwraca wzrok. Przytrzymuje mi otwarte drzwi. Zabieram ze sobą mokrego papierosa, osuszam go w dłoniach. Jedziemy dalej. Kiedy papieros jest suchy, zatykam go ostrożnie za ucho. Mężczyzna wpatruje się we wsteczne lustro. Martwe oko zdaje się czasem poruszać.

Jedziemy przez coraz bardziej opuszczoną okolicę. Od pół godziny regularnie mijamy stare podupadłe fabryki, wszędzie opustoszałe budynki ze zniszczonymi oknami, to tu, to tam zardzewiała ciężarówka, zrujnowany magazyn, wysoki komin grożący zawaleniem, szerokie drogi, po których kiedyś prawdopodobnie tam i z powrotem jeździł ciężki transport. Pomiedzy nimi błakają się chude świnie i kościste jałówki, ciemnobrązowe, o gęstej sierści. Widok młodego bydła włączającego się po starych olbrzymich terenach przemysłowych wprawia mnie w marzycielski nastrój. Sceny z sie-

demnastowiecznych obrazów na tle industrialnego koszmaru. Między fabrykami widzę czasem coś jakby kościół z krótkim, przysadzistym szczytem. Gromadzą się wokół niego owce, szukając miejsca, w którym nie wieje przenikliwy, hulający po równinie wiatr.

Po pewnym czasie wjeżdżamy w piaszczyste, falujące na całej szerokości góry. Auto warczy, a zawieszenie piszczy, samochód tańczy między garbami i wybojami. Pokerowa twarz z przodu nadal patrzy niewzruszenie. Przy drodze, kiedy lawirujemy po szczególnie trudnym kawałku całkowicie powyżeranego asfaltu, widzę martwego lisa. Jego pysk przypomina pysk mojego szczura. Ponieważ ta myśl niemal doprowadza mnie do płaczu, proszę klona potwora o ogień. Zapalam papierosa. Po aucie od razu rozchodzi się zapach sików. Mężczyzna za kierownicą klnie pod nosem, kręci głową i uchyla okno po swojej stronie.

Trzęsiemy się, podskakujemy i warczeniem torujemy sobie drogę w górę. Znowu po jakimś czasie czuję w uszach mlaskanie. Daleko w dole za nami widzę ogromny teren przemysłowy z wolna zapadający się w równinie, gdzieś porusza się jakiś punkcik albo nagle coś rozłśniewa jak ruchomy wielki kawałek szkła.

Późnym popołudniem robimy przerwę. Pseudo-Hans wyjmuję termos i dwa kubki. Dostaję kubek nienadającej się do picia mocnej zawiesiny, kawałek chleba, biały kozi ser i smakujące jak gąbka jabłko. Stoimy na niewielkiej wyżynie przy opuszczonym budynku wojskowym. Wokół niego znajdują się duże tablice ze scenami walk, nieporadnie narysowanymi. Młodzi żołnierze w natarciu, głowa lotnika, na trzeciej tablicy kolumna czołgów. Pod nimi za każdym razem czerwony pasek z białymi, dla mnie nieczytelnymi znakami. Pompatyczna, ogłuszająca cisza. Czuję wręcz coś na kształt radości, że znowu widzę tego rodzaju znaki. Jakby można było wrócić do chwili, w której zobaczyłem je po raz pierwszy – niewyobrażalnie dalekiej, bezpiecznej i utraconej. Od czasu do czasu wiatr targa suchymi krzakami, przez co osamotnienie wydaje się jeszcze większe. Klon Mattfersena znowu pali papierosa. Tym razem nie rzuca mi żadnego.

Nagle odchodzi ode mnie, forsuje stare drzwi budynku, znika. Natychmiast jestem przy samochodzie. Kluczyki zostały wyjęte. Podnieść klapę i spróbować tak włączyć silnik? Patrząc na budynek. Na moment w oknie pojawia się jego szyderczo uśmiechnięta gęba. Siadam oparty o jedno z dużych kół samochodu i czekam.

Tuż za pagórkami, za wzniesieniem, widzę dach zdezelowanego pomieszczenia. Idę tam. Stoi wśród suchych krzaków, na których kwitną małe jaskraworóżowe kwiatki. Dochodzący stamtąd smród nie pozostawia wątpliwości. Podchodzę do latryny i otwieram rozklekotane drewniane drzwi. Wylatuje na mnie gęsta chmara szerszeni. Pod deską leży sterta gówna, na niej, lekko powiewając, nie tak dawno tam pozostawiony kawałek zabrudzonej gazety. Od smrodu zapiera mi dech. Z powrotem zamykam skrzypiące drzwi i kucam w suchej trawie za barakiem. W pobliżu stoi chuda czarna krówka, przyglądając mi się, kiedy walę kupę. Suche źdźbła kłują mnie w jądra. Wycieram się garścią trawy.

Wracam do samochodu. Popołudniowe powietrze przynosi powiewy na przemian ciepłego i chłodnego wiatru. Oddycham głęboko. Znowu siadam oparty o auto z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą do słońca. Ciepło szczypie moją skórę. Stygnący silnik tyka wolno i uspokajająco.

Po paru minutach mężczyzna wraca, gestem daje mi znać, żebym wstał.

Wsiadam do samochodu. Zjeżdżamy po drugiej stronie wzgórza. Przed nami szeroko rozpościerający się krajobraz, rozległa równina wygładzanych przez suchy wiatr pagórków. Przez wiele kilometrów daleko przed nami widzę wijącą się jedyną drogę, którą pojedziemy.

Jako dziecko tak sobie wyobrażałem biblijną krainę. Teraz dociera do mnie, że to może być wszędzie – od Morza Czarnego po Zatokę Omańską, od pustyni Negew po Syrię, od Nilu po góry Atlas, od Kazachstanu po Azerbejdżan. Potem przychodzi mi do głowy: „Może jedziemy w kierunku Azerbejdżanu. Może w kierunku Baku”.

– *Do we go to Baku?*

Najwyraźniej brutalnie przerywam jego rozmyślenia. Rozkojarzony patrzy we wsteczne lustro, gapi się we mnie przez chwilę, po czym odpo-

wiada:

– *No.*

Nie odzywam się i patrzę przez coraz bardziej zakurzone okno.

Wszystkie opowieści o trzech religiach znowu chodzą mi po głowie, lecz niewyraźnie, jak coś, z czym nie mam już nic wspólnego. Jak zdmuchiwany kurz, oczy martwego lisa, pysk mojego szczura, jak jasne włoski na łydkach Margi. Poczucie całkowitego osamotnienia oderwało mnie od wszystkiego, na czym mi zależało. Po raz pierwszy od długiego czasu znowu czuję kłujący ból w łydkach i lędźwiach. Nagle doznaję przez to wrażenia, że błysnęła we mnie słaba iskierka dawnego życia. Jakby ból miał mi przypomnieć o utraconych rajach. Rajach, które zawsze oglądałem przez szybę wspomnień. Nie żyłem – myślę – nie żyłem. I nagle słyszę strzępy muzyki, którą Marga puszczała mi w ostatnich dniach w domu – mieszanina różnych dźwięków, coś Madonny splata się z barokowymi skrzypcami. *I got you under my skin*, coś o boskim Zbawicielu i śmierci, coś o blasku i strachu. *This world is not so kind.*

Niespodziewanie na prawo ode mnie wyłania się białe, orientalne miasto, pogrążające się w mroku szerokie aleje, wysokie wąskie wieże, jak okiem sięgnąć. Cała wizja zdaje się wypiętrzona z pustych, rdzawobrazowych grzbietów piasku. Naprawdę słyszę odległą muzykę; od mężczyzny przede mną bije przejmujące zimno, dmący lodowaty wiatr, który wychładza mnie do szpiku kości. Mam wrażenie, że tracę przytomność. Inny mężczyzna, którego dotąd nie widziałem w samochodzie, przechyla się przez fotel i klepie mnie po policzku. Wolno jedziemy dalej. Miasto się zapada, widzę chude krowy i potworkowate drzewka, opierające się wiatrowi wiejącemu od wieków w tym samym kierunku. Czyste niebo. Żałosne słońce toczy się po firmamencie jak pomyłka, dziura w niebie, otwór, przez który leje się ołów, żeby zatruć planetę. Nieco dalej księżyc, który właśnie się pokazał, zwraca mi uwagę na olbrzymie wieże wiertnicze na prawo od drogi. Wyglądają na wmontowane w krajobraz niczym symulacja komputerowa i drżą w niewy-

rażnym, białym powietrzu. Wciąż dochodzą nowe; słyszę maszyny ubijające, mechanizmy, które zgrzytają, jeszcze dalej niski trąbiący sygnał. Mam krew na górnej wardze, szybko krzepnie, ścieram ją, kręci mi się w głowie. Wieże wiertnicze wyrastają wysoko nad nami, zapadam się, lecę tam, swobodnie przez nie przelatuję. Pod sobą widzę mechanizmy i sploty, kable i mrowiących się ludzi w wielkim kanale bez końca. Jakby ich nieskończona liczba pracowała przy wykopywaniu kanału biegnącego po horyzont w zwięzającej się, niknącej perspektywie. Widzę, jak dziesiątki tysięcy i dziesiątki tysięcy kopią, przekopują, wydobywają, wywożą ziemię na starych drewnianych taczkach. W oddali widzę wzbijające się w niebo płomień, niewyraźne i tańczące jak protuberancje na tle ostrego światła. Ponownie ten lodowaty powiew bijący w samochodzie od mężczyzny przede mną. Coś mi się wmawia zaklinającym, niezrozumiałym dytyrambem, śpiewnym, groźnym i grmiącym jak podczas staroświeckiego nabożeństwa. Osuwam się w odurzającą euforyczną mądrość, ponadczasową panoramę wiecznie pracujących mas w niebie pełnym piasku.

Budzę się wystraszony. Jedziemy aż do wieczora. Czasem przysypiam, zapomnam, gdzie jestem, widzę huśtawkę w ogrodzie, czuję kwiaty jabłoni, to znowu przeżywam niemiłosierne wstrząsy, ponieważ jedziemy odcinkiem pełnym dziur i garbów. Od półtorej godziny nie ma już drogi, ale szeroka utwardzona ścieżka, na której skrzypią koła. Czuję spalony olej. Mężczyzna zjeżdża na pobocze. Z oddali wyłania się tuman kurzu, który coraz bardziej się powiększa (jak w westernie – myślę, dziwiąc się głupotą własnych skojarzeń). Obłok kurzu staje się czarnym punkcikiem, niewyraźnym minimalnym kształtem, ciężarówką w oddali, zbliżającym się, dudniącym sapiącym przedmiotem, który znika za ścianą wzgórza, potem znów się wyłania, wielki i ciemnoczerwony pędzi na nas, tak głośno trąbiąc, że serce mi zamiera, mijają nas z hukiem, po czym za zakrętem znika z oczu. Nagle oblatuje mnie strach. Czy dlatego, że w tej ciężarówce ujrzałem wielką, absurdalną obojętność, coś, co zdaje się nawet nie dostrzegać istnienia innych mimo tego ogłuszającego trąbienia? Wszystko jest blisko i daleko. Straciłem rachubę. Straciłem siebie. Ponieważ nie potrafię już myśleć, wydaje

się, że nie mogę się też już bać. Ponieważ znowu czuję ten dławiący strach, ponownie robi mi się niedobrze. Naraz zbiera mi się na wymioty. Żółć podchodzi mi do gardła. Jeśli wymiociny mogą sprawiać wrażenie suchych, to tryska ze mnie coś suchego. Dostaję czkawki, wciągam powietrze i krztuszę się. Łzawiące oczy, parę skurczów, jakby ktoś pięścią walnął mnie w żołądek. Zwijam się z bólu. Opadam na kolana, dyszę.

Mężczyzna wyjmuje z torby plastikową butelkę wody, podaje mi ją. Kręcę głową, podsuwa mi ją pod nos, sycząc:

– *You drink.*

Odkręca korek, przysuwa mi butelkę do ust. Niespodziewanie, kiedy jego ręce są tak blisko, ponownie czuję zapach, który uderzył mnie w aucie za pierwszym razem w mieście, kiedy umówiłem się z dziewczyną, a oni wepchnęli mnie do samochodu. Biorę butelkę, piję, mam wrażenie, że natychmiast znów będę wymiotował, nagle jednak letnia woda w moich wnętrznościach się uspokaja. Wypijam jeszcze łyk, dziękuję mu, oddaję butelkę.

Może powinienem pozwolić szczerowi żyć. Myśl o tym, że pożarłem go na surowo ogarnięty szalem odizolowania w tamtej celi, sprawia, że nagle ulegam panice.

Kręci mi się w głowie, upadam na twarz.

Chwyta mnie za kołnierz, podnosi, mówi *Come on* i z powrotem wpycha na tylne siedzenie auta.

Jedziemy. Nad biblijną, rozległą krainą, która zdaje się wieczna, powoli zapada zmierzch. Czasem piękno wzgórz zapiera dech w piersiach. Pasy czerwieni, zieleni, nawet słabego błękitu przeplatają się ze sobą, ukazując smugi, które wiatr i piasek tworzyły przez wieki. Bardzo niewyraźnie, w oddali, wyłania się ośnieżony szczyt. Wczesne lato – myślę – jakże to lubiłem, tego typu kontrasty. Kwiecie, które wiruje ciszej niż śnieg.

W kompletnych ciemnościach zjeżdżamy ze stromego wzniesienia. W świetle reflektorów widzę przesuwające się stare mury, drzewo, a potem coś jakby dziedzińiec. Kiedy otwiera mi drzwi, czuję krowie łajno, boskie doznanie po suszy, zapach bezpieczeństwa i starodawnego ciepła domowego. Patrząc na niego baranim wzrokiem.



– *Don't look like sheep* – mówi. – *They have a look that asks for killing.*  
To miał być żart – myślę. Popycha mnie naprzód.

Myślę o spojrzeniu zamordowanego żydowskiego dziennikarza, wszystko oprócz baraniego wzroku. Ale ubrany jak baran. Chyba się boję – myślę, inaczej nie wspominałbym Pearlą. Jakiegoż pomieszczenia może doznać człowiek.

Zostaję wepchnięty do małego, dusznego pomieszczenia, w którym parna ciepłota ostro kontrastuje z mroźnym nocnym powietrzem na dworze. Śmierdzi spaloną kerozyną.

Pali się tam kopcząca świeczka. Ktoś, jakby prawosławny pop, siedzi, patrząc na nas, lecz w jego ubraniu jest coś, co zupełnie nie pasuje do popa, nie wiem co. Kiwa głową do pseudo-Mattfersena. Ten zwraca się do niego *per father*. A jednak – myślę. A jednak. Trafiłem do niewłaściwej sali kinowej i oglądam coś, czego widzieć nie chcę. Księżopodobny gestem ręki daje znać, żebym usiadł przy prymitywnym stole.

Obaj mężczyźni pochylają się i witają skinieniem, chwytają się za ręce, potem za kciuki, zamykają oczy, jednocześnie wypowiadają coś w stylu zaklęcia. Pop, albo niech będzie *father*, wydobywa zabrudzoną butelkę różowawego płynu, który wygląda jak własnoręcznie rozlewany moszcz.

Wręcza mi szklankę. Czekam, aż im obu też napełni szklanki, aż się nimi stukną, a kiedy piją, ostrożnie unoszę kieliszek do ust. Okazuje się, że to rzeczywiście kwaśny lekki moszcz. Zapach wina po tak długim czasie wprawia mnie niemal w euforię. Równocześnie znowu czuję skurcz w okolicach żołądka. Piję oszczędnie, wręcz ssąc brzeg szklanki. Wino natychmiast jest pompowane przez całe moje ciało, już po chwili płonę, kręci mi się w głowie. Obaj mężczyźni przypatrują mi się współczująco. Później stonowanym tonem zaczynają rozmowę, podczas której czasem na mnie spoglądają lub powściągliwie kiwają głowami. Młody pop cały czas powoli drapie się szczupłą piękną ręką po czarnej jak smoła brodzie.

Niejednokrotnie wyłapuję słowo „kagan”. Czy nie takie imię nosili swego czasu chazarscy przywódcy? Jak długo potrwa jeszcze to szaleństwo? Potem na ścianie za popem dostrzegam wyblakłą, starą, poplamioną mapę.

Krew uderza mi do głowy. Widzę nieregularny zarys Morza Kaspijskiego i zauważam, że kształtem trochę przypomina embrion. Próbuję odczytywać nazwy. Mrużę oczy do szparek i czytam gdzieś przy wybrzeżu: „Bahre Khazar”. Dalej na prawo, a więc na wschód, w głębi kraju, widzę zakreśloną kółkiem nazwę „Khagan”. Lecz to leży w Uzbekistanie, niedaleko Samarkandy. Wydrukowana wielkimi literami i w kształcie półksiężyca w poprzek ogromnego kraju, wpatruje się we mnie nazwa Kazachstan. Na północy odczytuję nazwę „Nowaja Kazanka”. Czyżbyśmy jednak byli po drugiej stronie Morza Kaspijskiego, a więc daleko za Baku? Wszystko zdaje się krzywić: „Chazar! Chazar!”. Założmy, że to jest Kagan, że w rozmowach nie usłyszałem tytułu kagan, lecz nazwę miasta Kogon, w takim razie znajdujemy się nawet nie tak daleko od granicy z Afganistanem. Najwyżej dzień jazdy.

Jestem zmęczony, zmęczony, zmęczony. Upijam jeszcze łyk wina, alkohol bez oporu przepływa teraz do dużych ciepłych plam w mojej głowie, matczyne ciepło, które wszystko znieczula. Książopodobny nalewa mi raz jeszcze, uśmiechając się do swego towarzysza. Kiedy po wypiciu tej szklanki kładę głowę na stole, od razu pochłania mnie zawrót głowy, głęboki i ciemny, gdzie wszystko się rozplywa we wspomnieniu czegoś, czego następnego dnia rano nie mogę sobie przypomnieć.

\*

Najpierw zdejmuję mnie strach na widok niewyraźnych kształtów na ścianie. Sklepiony, otynkowany sufit z postaciami w biblijnych szatach. Z wolna odcinają się na starej zaprawie. Czy to freski? Niespodziewanie przez szparę w skale wpada do środka jasne i przeszywające słońce. Gdzie jestem? W mętnej, nasączonej niegłośnymi podmuchami wiatru ciszy słyszę krótkie beczenie kozy. Sny: dziś w nocy szedłem gdzieś długimi tunelami, za którymi znajdował się ogród, gdzie kiedyś się przeziębilem. Widziałem czarne olchy nad brzegiem rzeki, za nimi dwa olbrzymie dęby, zrosnięte ze sobą, jakby stanowiły jedno. Pamiętam, że miałem dziesięć lat i śpiewałem, coś ot tak. Chyba jeszcze śnię – znowu słyszę głosy, chóralny śpiew, coś słowiańskiego. Potem siadam nagle prosto i ogarnia mnie strach:

naprawdę słyszę chóralny śpiew, na przemian niskie i wysokie męskie głosy. Powoli wraca wspomnienie poprzedniego dnia. Czy jestem w jakimś klasztorze? Sklepienie ściany są pociągnięte białym wapnem, a na nich naniesione freski. Jeśli są autentyczne, mają co najmniej pięćset lat, a tym samym nieocenioną wartość. Nie wygląda na to, żeby w pobliżu był ktokolwiek, kto by się tym przejmował. Za szparą w skale, przez którą wpada słońce, widzę gałęzie krzewu kołyszące się na wietrze tam i z powrotem. Dalej nic poza niebem, rzadkie mgliste poranne powietrze z różowymi pasmami. Różanopalca jutrzienka, to idiotyczne, że człowiekowi w takich okolicznościach przychodzi do głowy coś takiego. Stopniowo freski stają się wyraźne i postaci wychodzą z ciemności. Anioł Zwiastowania wyciąga rękę do wyblakłej plamy, gdzie kiedyś musiała klęczeć Dziewica. W lewej dłoni ściska łodygę lilii, która prawie całkowicie się zatarła. Blżej zablokowanego wejścia do tej malowanej groty freski są mocno zniszczone. Widzę tam granatowe gwiaździste niebo, postać Chrystusa z charakterystycznymi wysuniętymi dwoma palcami, innego świętego z lwem. Ich oczy zostały wydrapane ostrym narzędziem. W jednym miejscu, przy granatowym, pomalowanym w złote gwiazdki niebie, zwisa nawet jeszcze kawałek białego wapna. Ostro zarysowana powierzchnia wskazuje na to, że dużych zniszczeń dokonano niedawno.

Niewyraźne głosy chóru milkną w niemal nieskończonym, spokojnie wydychanym ostatnim akordzie. W pobliżu znowu słyszę krótkie beczenie kozy i regularne obrywanie łykowatej trawy tępymi zębami. Śniłem też o dziewczynie; leżała na mnie i opowiadała, jak umarła. Mówiła, że nie brakowało jej tlenu. Zdziwiło mnie to i chciałem jej dotknąć. Wtedy zniknęła, uciekając długim korytarzem z ostrymi zakrętami. Słyszałem lekkie plaskanie jej bosych stóp. Teraz znowu się wsłuchiwałem i zobaczyłem dwa gołębie na gołym platanie za oknem. Że też świat tak może nękać człowieka, gdy się jest od niego odcięty. Dziwne, że nie czuję już żadnej paniki. Jakby wino mnie odurzyło, a ja wszedłem w inną fazę w samym sobie – jakąś obojętność, która dobrze mi robi.

Siadam z głową tuż przy szparze w skale i gapię się na zewnątrz. To, co widzę, zapiera mi dech w piersiach. Znajduję się w swego rodzaju grocie w kształcie kaplicy w skalnej ścianie, wysoko nad falującym aż po horyzont, szarobrązowym krajobrazem. To może być świat tysięcy lat temu. Niczego, żadnej rośliny ani drzewka, tylko ta szara nieskończoność i regularne, odległe doliny o płynnych kształtach. Żadnej drogi, żadnego domu, żadnego znaku życia. Jedynie wiatr i powoli oddalająca się ode mnie koza. Przede mną jest skarpa szeroka może na dziesięć metrów, dalej, prawdopodobnie za stromą ścianą, teren opada o co najmniej sto metrów.

Kiedy cisza w pełni do mnie dotarła, nagle słyszę spadającą kroplę. Nadstawiam uszu i po jakichś pięciu sekundach ponownie słyszę ten dźwięk. I jeszcze raz. Teraz każda spadająca kropla wydaje się głośniejsza. Po dziesięciu minutach słuchania odnoszę wrażenie, że każda kropla może mnie zmiażdżyć. Próbuję udawać, że nie słyszę, lecz dudnienie nie ustaje (choć za pierwszym razem wydawało się, że to gdzieś na granicy słyszalności). Wiercę się i przemieszczam, trochę chodzę w kółko, mruczę coś do siebie, kropla znika. Potem wstrzymuję na chwilę oddech i dudnienie znowu wraca. Będę musiał żyć z tą kroplą. Gdzie ona spada? Czasem słyszę, że pada jakby bardziej melodyjnie, z lekkim *twoiink*. To znów jest to płaskie *paccc*; innym razem jest w tym coś pryskającego. Nie chcę od tego zwariować. Muszę śpiewać, głośno oddychać, patrzeć na krajobraz. W oddali wyłaniają się bladoszare pasy chmur, które mieszają się z delikatnym błękitem, na tyle jednak niezauważalnie, że nie widać żadnych konturów. Nigdy w całym swoim życiu nie czułem się tak bezgranicznie samotny; biorąc pod uwagę mój stan i fakt, że nie dostaję żadnych pigułek, nie wytrzymam tu zbyt długo. Czuję, że wracają znane objawy: spuchnięte ręce i stopy, piekące pragnienie, zaburzenia ciśnienia krwi, ból w łydkach. Wiem, że śmierć dla chorego na nerki, po pierwszej przytłaczającej fazie, może być tylko euforyczna i łagodna. Jestem irrealnie spokojny.

Późnym popołudniem wszystko jednak znowu zaczyna wirować: jeżeli to są chrześcijańskie freski, nie możemy być przy granicy z Afganistanem. Jedynym prawosławnym krajem w okolicach Morza Kaspijskiego jest Gruzja.

Lecz jeśli freski są tradycyjnie chrześcijańskie, a mimo to znajdują się w grocie w Uzbekistanie albo gdzieś w okolicy, to jak to wytłumaczyć? Religie. Choroba duszy. Wpatruję się w Zbawiciela z wydrapanymi oczami. Nie może odwzajemnić spojrzenia. Jego twarz jest twarzą ofiary, zasłoniętą okaleczeniem.

Kraj zalało czerwone wieczorne słońce. Kiedy siadam blisko szczeliny w skale, czuję aromatyczny, delikatny wiatr. Nie mogę tam siedzieć zbyt długo, ponieważ łzawią mi od niego oczy. Jakieś sto metrów na lewo od siebie dostrzegam teraz jednak mizerny i ciemny kościółek, tuż nad przepaścią; nie ma dachu, w miejscu drzwi zieje mroczny otwór z paroma poruszonymi wiatrem gałęziami w środku. Dwa gołębie siedzą przez chwilę na najwyższym kruszącym się kamieniu muru. Potem pozwalają się unosić wiatrowi, wiszą wysoko nad nieskończonymi garbami piasku, w których nagle dostrzegam nad wyraz małą, poruszającą się ciężarówkę. Kraina jest większa, niż sądziłem, a garby okazują się prawdziwymi wzgórzami. Dziwne, jak bez tego samochodu nie potrafię nawet w przybliżeniu ocenić rozmiarów i odległości.

Kiedy chcę się położyć spać, ktoś długim drągiem odsuwa kamień sprzed grotu. Inny pop niż wczoraj. Na kamieniu przy wejściu stawia talerz i kubek.

Zrywam się. Żeby coś powiedzieć, pytam go:

– *Where is the water drop I hear?*

Przygląda mi się przez chwilę. Potem mówi:

– *David's Tears.*

Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– *Isn't that a plant?*

– *No. David weeps for what has happened to his descendants.*

Pozdrawia mnie ukłonem, wychodzi na zewnątrz. Z trudem ponownie odsuwa kamień, używając dźwigni.

Mógłbym go z łatwością uderzyć i uciec. Ale dokąd? W tym kraju nie mam cienia szansy na przeżycie.

Ploiink. Peccc. Pfwwww.

O zmroku wydaje się, że freski zaczynają straszyć. Wszędzie widzę oczy, które przypominają gwiazdy. Niknąc, wpatruje się we mnie religijne niebo. Niczego z życia nie rozumiem.

Nocą budzi mnie trzepot skrzydeł latającego tam i z powrotem nietoperza. Nigdy nie sądziłem, że tak dobrze to można słyszeć. Nigdy też nie myślałem, że gdziekolwiek mogłoby być tak cicho jak tutaj. Czasami, to jedyny inny dźwięk, słyszę niewyraźne mruczenie porywu wiatru, który węszy przy skalnej szczelinie jak gigantyczny pysk. Potem świat znowu o mnie zapomina. Śni mi się wielki nietoperz, którego widziałem kiedyś trzepoczącego się na moim samochodzie. Dzieło Szatana. Nagle mocno wierzę w Dzieło Szatana. W jego jedynowładztwo. Drzę i bolą mnie plecy. Leżę na twardej pryczy i naciągam na siebie włochaty koc. Zamykam oczy i kompletnie nic nie widzę. Otwieram je i nic nie widzę. Zamykam i nic nie widzę.

Następnego ranka budzą mnie wołające głosy w okolicach groty. Trochę później znowu słyszę niewyraźne śpiewy. Siedzę na ziemi, wpatruję się w szczelinę. Grzebię rękami w drobnym, lodowatym piasku. Grzebię coraz głębiej, jakbym grzebiąc, mógł znaleźć wyjście. Kiedy jednak jestem na głębokości dziesięciu centymetrów, czuję coś metalowego i zimnego. Ogarnia mnie strach, grzebię, chwytam, w mojej ręce coś leży. Jest okrągłe i płaskie. Moneta. Wycieram ją. Dmucham w nią. Pocieram, aż błyszczczy. Inskrypcje i znaki. Głowa mężczyzny z brodą. Grzebię na nowo, wyciągam jeszcze trzy monety. Kompletnie nie wiem, ile mają lat. Nie mam pojęcia, co na nich jest. Kładę je na dłoni, zamykam dłoń, znowu otwieram. Bardziej gapię się na pozbawiony paznokcia czubek środkowego palca niż na monety. Potem wkładam je do jednej z kieszeni mojej postrzępionej marynarki. Po ścianie groty tam i z powrotem biegają mrówki. Są wśród nich uskrzydłone egzemplarze. Za każdym razem, gdy o mało się nie zderzą, szybko uskakują, potem znowu natychmiast wracają na właściwy tor, który najwidoczniej mają przed oczami. Niczego ze świata nie rozumiem.

U szczytu mojego posłania odkrywam napis ołówkiem, niewyraźny, ale czytelny. Brzmi on:

*Forthel-*

A dalej:

*Khata holon theoth –*

*26 lut. 1904*

Urwane. Reszta jest zniszczona. Wpatruję się w wizerunek świętego Józefa, który pochyla się nad żłobem i patrzy na dziecko swojej żony z Innym. Jego szata jest kruczoczarna, aureola nad głową się złuszczyła, lecz nadal jest wyraźnie widoczna.

Czekam na jedzenie, na picie. Nie mogę myśleć o niczym innym.

Późnym popołudniem niespodziewanie słyszę podekscytowane głosy, przesuwanie, ludzi żywo dyskutujących, nawet głos kobiety. Głosy się zbliżają. Mijają moją grootę. Przyciskam oko do otworu. Nie wierzę w to, co widzę.

Stoją tam, z kajdankami na rękach, Mattfersen i Marga. Oboje mają na sobie coś w rodzaju długich szat, a na ich twarzach widać ślady przemocy. Ona stoi tyłem do mnie. On odwraca do niej głowę. Widzę, że to on; po jego oczach. Obok niego widzę tego drugiego, bardziej podejrzanego, niemal jego sobowtóra, lecz pochylonego, w jego zgarbionych plecach jest coś z drapieżnego zwierzęcia, a zarazem jakaś uniżoność.

– Hans! Marga! Margaaa! – wołam na całe gardło.

Nie widzę żadnej reakcji. Może stoją akurat poza zasięgiem głosu. Wieczorne słońce przebija się przez szarawe pasma mgły i świecąc z naprzeciwka, nagle sprawia, że oboje stają się ciemnymi sylwetkami.

Pseudo-Hans popycha ich do przodu nad krawędź przepaści. Hans się opiera. Krzyczę wniebogłosy. Słyszę wiatr głucho wiejący przy szczelinie

w skale. Walę w ścianę. Rzucam się na kamień zasłaniający wejście do groty. Płaczę i wołam.

Obaj mężczyźni pyskują do siebie. Marga się trzęsie. Ponieważ słońce się przebiło, przez jasny kaftan, który nosi, widzę zarys jej ciała. Głowę przeszywa mi piekielny ból, wraca wszystko, co tłumilem przez ostatnie miesiące. Jakby mój mózg nadmiernie krwawił – rana w głowie, dziura w myślach, przez którą płyną ropa i krew, doprowadzając mnie do szaleństwa.

Wtedy Marga powoli się do mnie odwraca; wysuwam rękę przez szczelinę, macham i krzyczę. Nagle widzę jej wzrok skierowany na mnie. Krzyczę i macham. Jej spojrzenie jest szkliste i nieobecne; zdaje się niczego nie widzieć. *Jakby jej oczy były ze szkła.*

Teraz Hans popycha mężczyznę, rękami w kajdankach uderza go w pierś. Wydaje się, że tamten chce się powstrzymać, ale uderza Hansa w żołądek, kiedy ten się przymierza, żeby go ponownie zaatakować skutymi nadgarstkami. Z równiny w dole słyszę zbliżający się warkot ciężkich silników. Groty tu na górze są ostrzeliwane. Uderzenie blisko mnie. Słyszę spadające kamienie i walące się ściany. Trzy postaci się chwieją, padają na ziemię. Widzę, że usta Margi są szeroko otwarte, lecz nie słyszę żadnego dźwięku.

Znowu następują uderzenia. Teraz, gdzieś nad moją grotą, słyszę szybkie kroki, głosy wykrzykujące rozkazy, chaotyczne okrzyki. Ponownie uderzenia, trochę dalej. Czy Hans i Marga służą do wymiany jako zakładnicy albo środek odstraszający? Klon Hansa zrywa się, zaczyna wymachiwać rękami i najwyraźniej krzyczy do czegoś lub kogoś na równinie daleko w dole. Jeszcze jedno uderzenie. Słyszę grzmoty tuż nad grotą, w której siedzę. Następuje olbrzymi huk. Wszystkie trzy postaci zostają zdmuchnięte ze skały, może zostają starte?

W chmurze krwi i strzępów widzę nagle, że pojawia się coś na wzór tęczy.

Potem na równinie pode mną znowu nastają ogłuszająca cisza i biblijny spokój. Mgła krwi opada na piasek przy samym wejściu do mojej groty w głębokiej ciszy po huk, tylko odrobinę głośniejszy niż padający śnieg.



Potem niewyraźnie słyszę dobrze znane mi śpiewy gdzieś w jednej z kaplic w skalnej ścianie, wiatr targający dużym krzewem. Żadne znaczenie nie istnieje – myślę. Widzę przed sobą ruchliwy, ładny pyszczek szczura, brązowe lśniące oczy; płaczę w ciszy, w głębokiej, rześkiej, nieskończonej ciszy tego wspaniałego kraju. Plamy krwi zdają się parować w dobroczynnym wieczornym słońcu.

Z fresku powyżej spogląda na mnie ciemny anioł. Jego oczy zostały wydrapane przez jakiegoś zdeklarowanego komunistę czy muzułmanina, lecz jego wzrok bez oczu pali tym bardziej. Ręka, którą ten Anioł Zwiastowania wyciąga do jaskrawoniebieskiej chmury, zdaje się, dopiero teraz to widzę, idealną kopią takich rączek, które kiedyś, w innym życiu i nieprawdopodobnie odległej przeszłości, znajdowałem w skrzynce na listy. Jak wykręcona łapka kurczaka, narysowana niezręcznie, ale dokładnie, jak kulawa noga unoszącego się, szalonego proroka wskazuje na zachód, tam na dworze w słońcu, gdzie nizina niezauważalnie przechodzi w falujące, przepiękne, suche wzgórza Azerbejdżanu albo Kazachstanu, bo ja wiem.

Uderzenie odsunęło kamień od mojej groty na jakieś trzydzieści centymetrów. Mogę się tamtędy precyzyjnie przesuwać, wiem to. Jestem wolny. Ruszam jak we śnie ku otworowi. Ku strzępom Margi, ku biblijnej pustce. Przeciskam się przez dziurę i wdycham nieskończone, letnie wieczorne powietrze nieznanego mi pustyni.

Idę nad skraj przepaści.

Och, matko.

Sikam w spodnie.

Czuję wzbierające ciepło w moich sfatygowanych, lazurkowych jajościskach.

Zmartwychwstanie.

Dostaję zawrotu głowy i przewracam się do przodu.

# Przypisy

[1] (Z ang.) – Z moralnego punktu widzenia, opierając się na naszej historii, tradycji i doświadczeniu, taka broń jest potworna i powinna zostać zakazana.

[2] (Z wł.) – Drogi Hansie, co dalej z nami? Mam nadzieję spotkać Cię za jakiś czas. W maju będę w Turynie. Jestem taka zmęczona... Całuję, Césarine.

[3] (Z ang.) – Trzynaste plemię.

[4] (Z ros.) – Proszę skontaktować się z administratorem systemu.

[5] (Z ang.) – Skanowany dokument został poddany kwarantannie.

[6] Aluzja do wiersza Pietera Nicolaasa van Eycka *De tuinman en de dood* (Ogrodnik i śmierć), w którym ogrodnik daremnie ucieka przed śmiercią do Isfahanu.

[7] (Z ang.) – Życie jest tym, co się wydarza, kiedy robisz inne plany (John Lennon).